

Michał Krzywicki

Psalmody

NSB

Rozdział 1

Powiecie, że będę bluźnić.

Mówcie tak.

Powiecie, że jestem winien.

Pluję na to.

Nazwiecie bękartem, synem kurwy.

Proszę bardzo.

Oskarżycie o zło.

Miło mi.

Powiecie, że gdyby nie ja...

A ja odpowiem, że gdyby nie wy...

Rzygam na wasze symbole, od Jerozolimy aż po Akwizgran. W Tuluzie i Gedanensis. Podczas mszy świętej i żałobnego pogrzebu. Szczam na was od czasów APOCHONEPTA III aż po wiek, w którym Abelardowi obcięto jaja. Zresztą zdradzę wam tajemnicę. Listy od pięknej Heloizy pisał sam do siebie.

Wieszczą mój powrót, zastanawiają się, czy zostanę normalnie zrodzony, czy z jakiegoś inkuba i kurwy, czy może jako bękart ułomnego księcia. Przestrzegają, że wyskoczę z łona żydowskiej nierządniczy.

Słyszano już wiele, że narodziłem się w okolicach Paryża, a moja matka miała na imię Blanche. A niechby nawet. Ładnie przecież.

W Tuluzie, w Cyrene i w Aleksandrii obwieszczali moje narodziny i w wielu, wielu innych miastach, za imion

cesarzy i królów, których nie spamiętam.

Poznałem tchórzliwych rycerzy, rzadko tych mężnych, nie zliczę na palcach, ilu świętoszkowatych psów w habitach i zwykłych szelmów oszukałem.

Na stałe związałem swoje losy z Florencjuszem de Vivarem w Mieście o Tysiącu Bramach.

Zaraz potem, podczas którejś z wypraw w imieniu króla Kastylii, krzyżowcy z zakonu Calatrava okupowali jedno z miast wyzwolonych spod władzy Arabów, na południe od Sierra de Guadarrama – i właśnie tam mój rycerz zakochał się...

A przecież kobieta to zło.

* * *

Florencjusz de Vivar od wczesnych lat wysłuchiwał opowieści, jak jego ojciec i bracia zwalczają Arabów w Hiszpanii. W końcu i on dojrzał, by zabijać. Gdy rozsmakował się w wojnie na dobre, nie poprzestał jednak tylko na organizowanych przez możnych panów krucjatach, ale sam zaczął stawać na czele *algarades*, wypraw łupieskich. Wraz z innymi Kastylijczykami, Baskami, rycerzami z Gaskonii, Bretanii kradł Maurom konie i bydło, łupił ich miasta.

Wslawił się wprawnym mieczem i odwagą. Widziano, jak poturbowany, krwawiący od ran, nie opuszczał oręża i żadnym grymasem na twarzy nie zdradzał, że cierpi z bólu. On sam zwykł mawiać, że tylu wrogów jest wokół

niego, że nie ma czasu, by myśleć o śmierci. Z upływem lat, gdy krew nieprzyjaciół krzepła na nim jak zbroja, zaczął wierzyć w swą nieśmiertelność. Przestał liczyć się ze zdaniem możnych panów, którzy nie tylko z racji pochodzenia, ale i doświadczenia dowodzili kampanią. Sam decydował, kiedy i gdzie uderzy wraz z powiększającym się z dnia na dzień oddziałem zapatrzonych w niego młodych rycerzy.

Wielmoże królewscy mało przychylnie spoglądali na samowolne wyczyny pośledniego rycerstwa, synów *caballeros villanas* – drobnych właścicieli ziemskich. Najpierw groźby, a potem kary spadały na tych najbardziej krnąbrnych, tak samo zajadłych w walce, jak i w rozboju.

Florencjusz postanowił więc sam zadbać o swój los.

Na pasie ziemi niczyjej, gdzie nie sięgała władza muzułmanów ani chrześcijan, a gdzie ustawicznie trwały walki, wraz z wiernymi mu druhami stworzył swoje własne królestwo, biorąc w niewolę słabych, mordując silnych, każąc płacić kupcom, pasterzom i pielgrzymom, którzy chcieli przejść przez jego władztwo bezpiecznie. Ale odkąd chrześcijanie zaczęli wypierać Arabów na południe, zrozumiał, że nadejdzie dzień, kiedy będzie musiał wybrać i zapewne podporządkować się nowej władzy, bo inaczej obwołają go banitą.

W krótkim czasie ci, którzy z nim przebywali, i ci, których puszczał wolno, nadali mu przydomek Diabeł.

Zawsze postępował zgodnie z planem. Zarówno

działania wojenne, jak i dyplomatyczne przeprowadzał według wszelkich zasad sztuki wojennej. Szedł na kompromisy z Maurami, kiedy musiał, zdradzał chrześcijan, kiedy mu to odpowiadało, jego kompani służyli mu wiernie, większość z nich miała za sobą udział w królewskiej armii albo książęcych kompaniach.

* * *

Kastylijczyk na swą siedzibę obrał jedno z wielu na wpół opustoszałych miast, leżących na pustynnej ziemi, dzielącej chrześcijan i muzułmanów. Nieliczni mieszkańcy, których wziął pod swoją opiekę, zwali je Miastem o Tysiącu Bramach, bo okalające je mury szpeciły liczne wyłomy. Niektóre domy, niegdyś należące do szlachty, zamieniono w prawdziwe twierdze: dodatkowe wieże, wąskie okna, grube ściany. W ciasnych uliczkach przeciskali się strażnicy, pilnując, by nikt nie chodził po zmroku. Każda z dzielnic przypominała teraz obóz warowny, bo każda miała swojego dowódcę. Żydzi zadbali o przepływ gotówki między mieszkańcami; dzięki ich talentom handel rozkwitł tak, by nie było ani zbyt biednych, ani zbyt bogatych. Florencjusz nakazał, by wszyscy w mieście zostali uzbrojeni po zęby, nawet kobiety w razie zagrożenia miały stawić czoło oblężeniu.

Jego sława przyciągała rycerzy różnej maści, nie tylko wyklętych przez Kościół i uciekających przed rodową zemstą lub prawem, ale i tych, którzy szukali przygód.

Szybko nauczyli się, że tylko on stanowi tu władzę. Prowadził ludzi do walki, miał wszędzie swoich wężycieli, od Toledo aż po Saragossę, i daleko poza granice muzułmańskich miast. Zawczasu dbał o sfinansowanie każdej dyplomatycznej rozmowy, doradzał, jak pertraktować z Arabami, ile pełnych sakw nie urazi godnych grandów. Mówił swoim poddanym, jak żyć i jak umierać.

W ciągu zaledwie paru lat jego kompania zmieniła się w prawdziwą społeczność, z namiotów i nędznych szałasów przeprowadzili się do zrujnowanego miasta, w które tchnęli pozory życia. Wśród nich zamieszkali handlarze bydła, kupcy, cieśle, nawet starcy znaleźli tutaj schronienie, a także kobiety i dzieci. Wszyscy mogli czuć się bezpiecznie w Mieście o Tysiącu Bramach, na ziemi niczyjej, która stała się ich domem, a prawo stało po stronie obywateli, którzy nie musieli więcej ryzykować życia na niebezpiecznych szlakach od Pirenejów do Tuluzy. Ziemia niczyja, ziemia de Vivara, gdzie Bóg nie sądzi ani nie karze, gdzie tylu jest bogów, ilu ludzi, tyle modlitw, ile warg – szepczących w półmroku domów zamienionych w kapliczki, meczety, synagogi.

Nowy pan tej ziemi polubił swoje królestwo. Szybko zapomniał o naprędce budowanych obozowiskach w drodze na *algarades*, gdzie granice wyznaczał horyzont, a nie ruiny miasta.

Jako syn drobnego właściciela ziemskiego nie mógł liczyć na to, że dostanie ojcowską ziemię. Majątek miał

odziedziczyć jego najstarszy brat, średni wyruszył do Ziemi Świętej parę lat przed bitwą pod Las Navas de Tolosa. Florencjusza, jako najmłodszego, przeznaczono do stanu duchownego. Nauka w przyklasztornej szkole, choć pouczająca, dała mu przedsmak tego, co go czeka w klasztornych murach. Prosił ojca, by pozwolił mu sięgać częściej po miecz niż po pióro. Ale stary de Vivar twierdził, że tylko w ten sposób może uchronić się od przekleństwa ciążącego nad całą rodziną. I kiedy wydawało się, że nic już nie zdoła przekonać starca – ani błaganie, ani groźby, że młodzieńcowi zostaje tylko ucieczka i przyłączenie się do pierwszej lepszej bandy – nestor rodu umarł.

Śmierć ojca sprawiła, że Florencjusz nagle miał szansę pokochać życie.

I oto teraz, po paru latach od tamtego wydarzenia, w spiekocie lata, chował się w ciasnych uliczkach, szukając cienia, ale też i towarzystwa – chciał poczuć, jak jego miasto oddycha, poznać zalety tego miejsca i ile ma przywar. Pojawiał się na targu, by rozsądzić spór między krzykliwym kupcem a wystraszoną kobietą, karciał Żyda za chciwość, wykpiwał młodzika, który imponował dziatwie swym mieczem. Wydając sądy i pouczając mieszkańców, nie silił się na ton mędrca ani nie sięgał po frazesy z uczonych ksiąg. Zdawał się wyłącznie na intuicję – choć uczeni w piśmie zwą to po prostu rozsądkiem – i miał nadzieję, że dzięki temu nikt nigdy nie nazwie go za plecami głupcem.

Niedługo jednak zachował wewnętrzny spokój. Przecież to, co zbudował, nie mogło trwać wiecznie. Miasto o Tysiącu Bramach runie jak domek z kart.

Zaczął się w chować w wieży, żeby już tylko z wysoka obserwować swoich poddanych – bo tak ich zaczął nazywać – jak niespiesznie wracają do domów, by zdążyć przed zmierzchem. Im bardziej ich poznawał, z tym większą niechęcią myślał o tym, że mógłby do nich zejść, przyglądać się ich tępym twarzom, ohydnie ich codziennych czynności, jakby wykonywanych w letargu: przekrzykiwali się na targu, okradali, bezmyślnie pochłaniali wieczerzę, udawali gorliwość w modlitwie, kochali się i zdradzali nawzajem, by w końcu umrzeć i nic po sobie nie zostawić.

Po prostu żyli. Dla cieśli, pasterzy i drobnych kupców to było zresztą *aż* – w tych trudnych czasach, a dla niego *tylko tyle*. Czuł się jak Bóg, gwarantował im bezpieczeństwo, życie.

Florencjusz tak bardzo pragnął znaleźć swoje miejsce na ziemi, z dala od zniechęconych królewskich rycerzy i rozpolitykowanych możnych. Jeszcze niedawno wierzył, że w mieście mógłby się schronić przed światem, teraz już nie chciał grzebać swojego życia w ruinach. Z dnia na dzień ulatywała gdzieś jego pewność siebie, nocami nawiedzał go niespokojny sen. Budził się skąpany w pocie, zaczęły dręczyć go majaki. Wydawało mu się, że ktoś szeptał mu do ucha wprawdzie rzeczy wielkie o nim samym, potem wyłącznie szyderstwa, że śmierdzi trupem.

Zaczął się obawiać, że przestrogi ojca, mówiące o tym, że cały ród jest przeklęty, coś znaczą. Choć do tej pory nigdy nie dawał im wiary.

Mijały miesiące w spiekocie słońca i w zimie.

Przez długie dni nie opuszczał swych komnat. Stracił na wadze, wiele rzeczy, których kiedyś nie dostrzegał, teraz zaczęło go drażnić. Winił swojego kucharza za niestrawne jedzenie albo że nie czuje smaku potraw. Służbę przeklinał za nie dość skrupulatne wypełnianie rozkazów, kochanki, że są zbyt oschłe i zimne. Kompani od wina, od których teraz stronił, mówili za jego plecami, że popada w obłąd, a gdy doszły go słuchy, że ktoś inny pożąda jego władzy, kazał go zgładzić, a potem jego żony, dzieci i kochanki. Wielu rycerzy uciekło z miasta w obawie przed nieuchronną zgubą, którą rychło przewidywali, pasterze nie wracali o zmierzchu do domów, kupcy znikali na szlakach. Niektóre dzielnice opustoszały. W mieście przestano sobie ufać, z lękiem też spoglądano na wieżę.

Zdarzyło się nawet, że de Vivar stanął przy oknie i chciał wyskoczyć. Poczul się jak podczas bitwy z Maurami, gdy wybierał najgroźniejszych wrogów w zasięgu wzroku, jakby chcąc zginąć w walce.

Pewnego wieczora, jedna z nałożnic – ale tego nie był do końca pewny, bo gdy się obudził, nikt przy nim nie leżał, a prześcieradło było gładkie po jego prawej stronie – opowiedziała mu historię poprzedniego właściciela tego miasta. Hrabia Berengar, ulegając Maurom, którzy przez

wiele dni oblegali miasto, kazał ponoć żywcem zamurować się w jednej z zamkowych piwnic, nie chcąc oddać niewiernym swego poematu. Skrył go pod koszulą, bo tylko tyle zdążył włożyć na siebie, uciekając z sypialni. Żałosna to śmierć, jeżeli jesteś zdecydowany ponieść ją dla paru linijek poezji.

Florencjusz kazał odszukać jego grób. Po kilku dniach opukiwania ścian podziemi zamku i rozkruszania murów odkryto zimną celę, a w niej hrabiego. Wyglądał jak trup, ale wydawał się jeszcze żyć. W rękę trzymał zwój idealnie zakonserwowanego papieru, skarb, dla którego poświęcił życie. Ledwie ustami poruszał, ale wyraźnie prosił, by go zabić. Bez ulgi na twarzy przyjął jednak cios noża w pierś. Zamilkł.

A poemat...

Nic szczególnego.

Tylko kilka słów.

– Co za diabeł? – mruknął pod nosem rycerz.

* * *

I mimo że nic się właściwie nie wydarzyło, w jednej chwili wstąpiła w niego jakaś niewidzialna moc, bo jeszcze tej samej nocy odzyskał wiarę we własne siły, apetyt, by zjeść wieczerzę w towarzystwie najwierniejszych druhów, a do łóżnicy wziął sobie nawet dwie Żydówki. Czuł, że musi dać swoim podwładnym dowód, że nie popadł w obłąd. O świcie zebrał ludzi i

wyruszył do niewielkiego miasta leżącego na drodze do Toledo. Szli setką, trzy dziesiątki konnych, piechurzy i strzelcy. Pod mury podeszli o zmroku.

Ryk przerażonych mieszkańców zlał się z grzmotem burzy i tryumfalnym krzykiem najeźdźców wpuszczonych przez opłaconych strażników. Zgon miasta przypominał trzęsienie ziemi.

To tyle.

Poezja śmierci.

Florencjusz nie brał udziału w mordzie. Wrócił poza mury, rozsiadł się na wzgórzu nieopodal, by podziwiać kłęby dymu i ogień nad miastem, którego blask rozświetlał zaczarowane granatem niebo.

Jeżeli ciało ludzkie jest narzędziem duszy, to czyż jego dusza jest chora? Roztarł w dłoniach piasek. Bóg stworzył pokój, ale przecież zrodził też wojnę. Którą drogę obrać, by mu się przysłużyć? Z krzyżem na piersi w klasztornym zaciszu czy z mieczem w ręku skierowanym przeciwko niewiernym?

Pokręcił głową, patrząc w gwiazdy. Po cóż człowiekowi wolność, kiedy wybór jest taki niepewny, obciążony winą?

* * *

Rzeź trwała całą noc. Wraz ze świtem pozostałych przy życiu pozamykano w paru ocalałych od zniszczenia domach.

De Vivar wyznaczył po kilku ludzi, którzy wyprowadzali ofiary na główny plac, by odrąbać im głowy toporem. Raz za razem – starzec, dziecko, zdrowy mężczyzna i kobieta. Niektórzy zdążyli zapłakać, innym pozwolono pomodlić się jeszcze, ktoś przeklął oprawców, komuś, zanim obcięto głowę, złamano szczękę. Wskazywał niekiedy litościwie jedną z ofiar i puszczał wolno, choć szybko stracił rachubę. Ci, którym pozwolono odejść, zyskali szansę na przeżycie. Jeżeli przejdą niebezpieczne szlaki na północ lub na południe, opowiedzą, do kogo należy ziemia niczyja, i jak wielki jest ich strach przed rycerzem z Miasta o Tysiącu Bramach.

Jeden z uwolnionych, garbaty starszy mężczyzna, przestrzegł Florencjusza, że właśnie wydał na siebie wyrok.

– Zgubiła cię własna pycha – syknął.

Rycerz złapał śmiałka za brodę i spytał:

– Jak zwie się twój ród?

W odpowiedzi usłyszał przysięgę, że w swoim czasie na pewno pozna odpowiedź.

Lubił wyzwania, więc pobłogosławił szyderczo swoją ofiarę i puścił wolno, a gdy ktoś z tłumu zdradził szeptem imię mężczyzny, kazał jednemu ze swoich ludzi narzucić staremu na plecy jakiś płaszcz, by osłonił mu chude ramiona i resztki popalonego ubrania.

– Nie szata zdoła szlachcica, tylko jego duma – rzekł garbus, ale podarunek przyjął.

Florencjusz odprowadził go wzrokiem do bramy. Znieważył już zbyt wielu możnych, plądrując ich miasta, by teraz przejąć się zemstą Matiasa.

Do południa uporali się z robotą, zostawili sobie dziesiątki kobiet na usługi i dla gwałtu. A potem rozpoczął się systematyczny rabunek. Nadjechały z dawna oczekiwane wozy, które pośpiesznie ładowano. Brano wszystko, bez wyjątku: kosztowności, naczynia, dywany, meble, zwierzęta, ktoś przygarnął schowane w skrzyni dziecko.

Gdy odchodzili, Florencjusz odwrócił się, spoglądając na dokonane zniszczenia. Z daleka wymarłe miasto wydawało się normalne. Tylko gdzieniegdzie słupy dymu były świadectwem niedawnej masakry. Ile takich miast obrócił w ruinę, ilu jeszcze mieszkańców na ziemi niczyjej stanie się jego ofiarami?

* * *

Berengar, nie wierząc w Boga, który nadałby sens jego istnieniu, oddał się sztuce. Kreślił literki, zwał je poematami. Obiecałem mu życie wieczne. Minęły lata, a on wciąż żart, srał i... pisał. Nie wyściubiał nosa poza mury swego zamku, okoliczni mieszkańcy omijali jego siedzibę z daleka. Na usługach miał tylko nicponi, którzy przychodzili i odchodzili, tylko on trwał. Żądał ode mnie, bym pokierował jego dłonią, gdy pisał. Wzorem starożytnych poetów chciał zyskać nieśmiertelność. Zakpił

ze mnie, choć on uważał, że to ja zakpiłem z niego. Mam talent, ale nie do wierszy. Co najwyżej mógłbym podpowiedzieć, jak napisać kronikę, przekłamać historię. Powtarzałem mu to do znudzenia. Tłumaczyłem, że jest mi przeznaczony, niemal jak kochanek, ale mam mu do zaoferowania zupełnie co innego.

Gdy jego siedzibę napadli Maurowie, rozkazał zamurować się w piwnicy. Nie tylko ze strachu, ale i żeby mnie ukarać za to, że – jak utrzymywał – z rozmysłem go zawiodłem, to jego marzenie... by stać się wielkim poetą.

Tkwiałem z nim tam, wystuchując jego skarg i nieudolnych prób sklecenia jakiegoś wiersza. Płakał, przeklinał, w chwilach słabości nawet modlił się, za nic mając me pomstowanie i pogróżki.

Musiąłem przy nim tak trwać. Z trudem zachowywałem spokój. Ratowała mnie tylko myśl, że przeznaczony mi człowiek zawsze mnie spotka na swojej drodze. Nie ukryje się przede mną ani pod habitem, ani w zamku.

Słyszałem odległe kroki, przytłumione głosy. Nastuchiwałem, chciałem krzyczeć. Uwolnijcie mnie! Dam wam wszystko to, o czym marzycie. Wtedy hrabia, schowanym przy pasie nożem, odciął sobie język, bym nie wrzeszczał. Gdybym mógł sprawić, żeby gołymi rękami rozdrapał ścianę, zmusiłbym go, a tak mogłem huczeć tylko w jego głowie, naigrawać się bądź prosić, uzalać się nad swym losem, zupełnie jak on.

Często wyobrażałem sobie świat jako grób, gdzie ludzie nie mogą nawet wzrokiem przebić wieka nieba, choć

blagalnie wyciągają w jego stronę ręce. Jak żywcem pogrzebani. Moim grobem był Berengar, jego ciało i loch. Tak długo czekałem. Chciałoby się rzec: Boże, miej litość...

Pewnego dnia usłyszałem walenie w ścianę, posypał się gruz i niespodziewanie odkryto moje więzienie. Światło łuczywa przegnało mrok. Rycerz, który wszedł do środka, przez chwilę wdychał stęchłe powietrze. Miał twardą głowę, brodę, która okalała wąskie usta, prosty nos, szpetne blizny na twarzy, śniadą cerę. Ciemne, niemal pozbawione białek oczy. Dla mnie jawił się jak najlepszy ogier, którego duszę będę musiał osiąść. Otrzeptał się z kurzu, nachylił nad Berengarem i oniemiał, widząc, że hrabia, na wpół przytomny, oddycha. Szarpał nim przez chwilę, a ten zamglonymi oczyma wskazywał mu zwitek papieru, który trzymał w ręku. Nieznajomy wyciągnął go, zerknął na niego niedbale, a widząc, że hrabia chce coś szepnąć, nachylił się ku niemu. A ja huczałem z jego napuchniętej gęby, ze skróconym językiem:

– Zabij mnie, skróć męki, miej litość.

Rycerz zrozumiał, sięgnął po nóż i jednym wprawnym cięciem po gardle odebrał mu życie.

Zamarł, bo trup rozsypał się w proch.

Nie zdziwiłem się, gdy w strachu wymówił me imię.

Wszedł z celi.

Nawet nie poczuł, że odtąd nie jest już sam.

Nie od razu go poznałem. Nie miałem pewności, że to on.

Czasami zanim dotrę do tego, który jest mi przeznaczony, pasożytuję na innych. To jest piekło dla diabła właśnie. Takiego jak ja.

Wędrują dusze przeklęte, wędruje i diabeł. Jest poza czasem, ale żakiety w przestrzeń. Pan wypchanych lalek. Diabeł impregnuje martwą skórę. Jestem pasożytem, tego nie kryję. Nie ja jestem twórcą, cesarzem, królem, choć bardzo bym tego chciał. Ja mogę jedynie splugawić ołtarz w Jerozolimie krwią krzyżowców, zatruć czystą wodę Jordanu trupami, ale i tak najbardziej pożądam świątyni z mięsa i kości, i serca, gdzie Bóg ukrył ludzką duszę. Przechodzę z ciała na ciało, jak zaraza.

* * *

Kobieta, którą Florencjusz de Vivar ujrział w dzień świętego Pawła, stała na targu niby posąg, jakby ktoś odmalował życie miasta tylko dla niej, jako tło. Stragany, ciasne uliczki, białe domki; ich obraz stał się rozmyty. Odcinała się od nich czarnym konturem swych szat i śniadą cerą.

Lśniła.

Błyszczała w słońcu.

Żydowski lichwiarz, stojący tuż obok, wyrwał go z odrętwienia, przywrócił do świata, sprawił, że gwałtownie odczuł szpetotę krzykliwych przekupek, chytrych kupców, napływających do miasta chrześcijan i wyjątkowo nieco bardziej cichych Arabów. Przychylniej

patrzył na *mullawidów* o śniadych twarzach, przemykających niepewnie między straganami. Zachowali wiarę w Chrystusa, ale przyjęli zwyczaje ze Wschodu. Pocili się nie od spiekoty, tylko od arabskich szmat, które ich krępowały. Potrafili jednak sprawiać wrażenie, że są mniej widoczni niż inni.

Promienie słoneczne odbiły się od złotego dachu meczetu, oślepiając na chwilę rycerza. Stracił kobietę z oczu, więc zaczął przepychać się przez tłum. Gdy ponownie odnalazł ją wzrokiem, sięgała po pomarańczę, jakby w zwolnionym tempie. Chłonał każdy jej ruch, każdy skrawek boskiego dzieła: nadgarstek, smukłe dłonie, wąskie palce. Szczupłe ciało skrywała pod ciemną suknią bez żadnych ozdób. Czując jego wzrok na sobie, odwróciła głowę. Przyjrzał się jej: wychudła nieco na twarzy, o ostrych rysach, miała mocno zarysowany trójkątny podbródek, wystające kości policzkowe, prosty mały nos i ciemne oczy. Wydawało mu się, że na jej obliczu nigdy nie zagościła zmarszczka gniewu ani zwątpienia, ale zaniepokoiła go źle ukryta melancholia, jakby myślami uciekała gdzie indziej, jakby za czymś tęskniła.

Przed oczami mężczyzny stanęły wszystkie przypadkowe dziwki, ich plecy wygięte w łuk, obfite półkuliste kształty rytmicznie uderzające o jego biodra, to jak klęczały, gdy brały jego członek do ust. I wszystko to nabrało teraz innego znaczenia, stało się zadrą w sercu, w jednej chwili wezbrało w nim obrzydzenie.

Uśmiechnęła się do niego, a potem pozwoliła, by starsza kobieta, która wyłoniła się z tłumu, zapewne piastunka, zaprowadziła ją do lektyki.

Wiedział, że jej twarz i to spojrzenie, choć przelotne, zapamięta już na zawsze. To ta chwila, o której trubadurzy śpiewają, że zmienia życie w wieczne oczekiwanie. Odtąd beczynność wypełnia dzień, a zamiast klarownych myśli w głowie gnieździ się obłąd.

Rzygam. Tkliwe szczyny.

Anna.

Jej imię poznał miesiąc później, kiedy wojska króla Kastylii, któremu podlegali calatravensi, po zdobyciu miasta odeszły dalej na południe, kierując się w stronę siedzib Maurów na drodze do odległej Kordoby. Była żoną Alfonsa, miejscowego *musta'riba*, chrześcijanina, który pozostając pod władzą Maurów, przyswoił sobie ich zwyczaje, ale pozostał przy Chrystusie. Do niego też zwrócił się król, by zadbał o porządek w mieście, ponieważ znał zwyczaje i miejscową ludność lepiej niż przybyli rycerze. Florencjusz miał już okazję spotkać go wiele miesięcy temu, gdy dokonywał jakiejś transakcji – sprzedał mu towar zagrabiony w jednym ze spalonych miast na szlaku do Toledo. Teraz skorzystał z zaproszenia do domu. Wnętrze urządzone wygodnie: w środku komnaty, korytarze i schody wyłożono dywanami, ogrzewając zimą albo zwilżając latem za pomocą przemyślanego systemu rur. Zapoznał się ze zbiorami ogromnej biblioteki, w której gospodarz łaskawie

pozwalając mu spędzać wiele godzin.

Przy każdej wizycie natykał się na Annę, która nie stroniła od męskiego towarzystwa, a mąż pozwalał jej na pełną swobodę, tym bardziej że domagała się tego całą swoją postawą. Należała do tych kobiet, które nie znoszą sprzeciwu, ale jednocześnie znają swoje miejsce i wiedzą, że mężczyźnie trzeba pozwolić, by nim pozostał. Pod muzułmańskim panowaniem musiała zapewne przysłańać twarz, teraz obnosiła ją z dumą.

Dziwka!

Niewiele mówiła, raczej słuchała. Czuł na sobie jej wzrok, ukradkowe spojrzenia. Pewnego razu, gdy nalewała mu jakiś napar, musnęła jego dłoń, pochyłona nad stołem, i zatrzymała na chwilę swój policzek przy jego brodzie. Wtedy po raz pierwszy poczuł, jak pięknie pachnie.

Rozmawiali po łacinie albo po kastylijsku, w jego rodzimym języku, co sprawiało mu szczególną przyjemność, a gdy zaczęła mówić po arabsku, nagle poczuł się jak w klatce pełnej świergocących ptaków. Ale hałas szybko przerodził się w intrygującą melodię. Mowy mahometan nigdy dobrze nie poznał, a teraz nie tylko rozumiał każde czułe słowo Anny, ale i sam potrafił przemówić równie pięknie.

Niesamowite uczucie. Dar od Boga? A choćby i od diabła, pomyślał. Po prostu cieszył się, że może porozmawiać z tą czarującą kobietą zupełnie swobodnie.

Bóg poplątał ludziom języki, ja je rozplątnę. Jak szybko

mój rycerzyk zaakceptował swój nowy dar. Miałem nadzieję, że tak samo ucieszy się z innych...

Onieśmiał ją czytaniem i tym, że z podziwem wyrażał się o kulturze islamu, twierdząc wręcz, że Arabowie niczego chrześcijanom nie zawdzięczają, a wprost przeciwnie – to poddani Chrystusa wiele uczą się i korzystają na kontaktach ze Wschodem. Wymieniał astrolabium albo papier, który u Arabów stał się powszechny. Raz nawet zawyrokował ze wzniesionym palcem, a szumiało mu już trochę w głowie od wina wypitego wspólnie w ogrodzie, że chrześcijanie nie wymyślili nic prócz krzyża.

Też tak sądzę.

Rozumiała jego wątpliwości, także wtedy gdy pytał, czy rola krzyżowców jest wpisana w misterny plan Boga, gdy wątpił, czy zadaniem prawdziwego sługi Chrystusa jest próbować go wypełniać bez całkowitego zrozumienia. Śmiała się wtedy z niego, mówiła, że powinien służyć Bogu w habicie z mieczem albo z księgą w ręku. Wyznał jej, że jako najmłodszego z rodu de Vivar ojciec przeznaczył go do stanu duchownego, ale Bóg – jak mawiał – kazał mu poznać swoją drogę, krzyżując oręż z niewiernymi, a nie w mnisim habicie.

Bóg?! Dobrze sobie.

Do *mustariba* zachodzili także rycerze z zakonu Calatrava, z którymi szybko się zaprzyjaźnił. Dumni panowie w krótkich tunikach, o równo przyciętych grzywkach, schludni, jakby nie znali kurzu na drodze i

potu po walce. Sprawiali wrażenie na wpół przytomnych, ale zawsze pewnych, co powiedzieć, kiedy się przeżegnać, a kiedy bez lęku przekląć króla. Mówiono o nich, że na polu bitwy jeden zakonnik wart jest dziesięciu innych rycerzy, że ich konie są najszybsze, a świadkowie bitew, w których brali udział calatravensi, przysięgali, że widzieli ich dziesiątki, nawet wtedy gdy król zarzekał się, że pod jego rozkazem służył tylko tuzin zakonnych rycerzy. Najbardziej śmiali twierdzili wprost – że są oni przekłeci przez Diabła. W podbitych miastach odbierali co swoje. Jedna dziesiąta tego, co król Kastylii zdobywał podczas krucjaty przeciwko Maurom, należała się zakonowi z krzyżem o barwie zakrzepłej krwi, wplecionym w liść. Alfons pobierał dla nich zapłatę, by zadośćuczynić ich wysiłkowi w odbiciu miasta. Robił, co mógł, by sprostać zadaniu, zapewniał, że jeszcze kilka dni i zgromadzi należną zakonowi sumę. Obciążył podatkiem chrześcijan i Arabów, mieszkańców i przybyłych, których jego urzędnicy objęli spisem, każąc strażnikom w bramach dokonywać skrupulatnych rejestrów, kto przybywa do miasta. Do czasu spłaty wynagrodzenia za poniesiony trud w walce, by umilić krzyżowcom pobyt, podarował im winiarnie mieszczące się w chrześcijańskich klasztorach w mieście. Dotąd korzystali z nich Maurowie. Pomni przykazań proroka Mahometa, aby wystrzegać się alkoholu, ukrywali swoje ułomności przed Allachem w świątyni Chrystusa, w cieniu krzyża opróżniając dzbany rozkosznego napoju. Calatravensi

skorzystali z oferty *musta'riba*, okazując mu swą wdzięczność. Florencjusz spędzał wieczory w ich towarzystwie. W ciemnych ławach klasztoru Świętego Jakuba rozsmakował się w cysterskim winie. W świetle świec, które rzucały cienie na ponure rzeźby świętych, opróżniali kolejne dzbany, niekiedy klękali, by się pomodlić, tłumaczyli przy tym, że nie szydzą z Boga, ale proszą o łaskę, o nowy dzień, o gwieździstą noc, o krew niewiernych na mieczu, o litość nad ich przeklętymi duszami. I o wino, żeby nie skwaśniało zbyt szybko. Z czasem libacje wypełniły się zapewnieniami o dozgonnej przyjaźni i niekończącymi się opowieściami. Pedro i don Manrique wspominali wyprawy na północ Hiszpanii, przechwalali się, kto więcej ubił niewiernych w bitwie pod Las Navas de Tolosa, a Florencjusz zdradzał nieco z przeszłości Miasta o Tysiącu Bramach.

Żył więc z dnia na dzień, zachodząc to do klasztoru Świętego Jakuba i spędzając noce ze swoimi kompanami, to – szukając pretekstu – odwiedzał Alfonsa, i jak zapewniał gospodarz, w jego domu był mile widzianym gościem; zawsze śledził wzrokiem Annę, prosił, by towarzyszyła mu w ogrodzie albo w bibliotece. I od kilku zdawkowych spojrzeń, w ciągu miesiąca, przeszli do ukradkowych spotkań na targu, a potem, przy cichym przyzwoleniu braci z Calatrava, począł organizować u Świętego Jakuba potajemne schadzki.

Myślał tylko o niej. Kochali się namiętnie, bez pośpiechu, choć drżeli o każdą chwilę, którą mogli sobie

poświęcić. Nie gonili za kolejną pozycją, sycili się swoimi ruchami. Jego dłonie pewnie wędrowały po jej białej skórze, przeganiały cienie. Jeżeli na początku tliła się w nim tylko nieznana mu wcześniej iskra pożądania, to z każdym nowym spotkaniem coraz mocniej upewniał się, że nie może już bez tej kobiety żyć. Że to nie cień, który spotkał na swej drodze do śmierci, tylko – że ona właśnie jest jego Życiem.

Tliło się w nim nieznanie wcześniej uczucie. Gotowy był dla niej ponieść ofiarę i zapomnieć o Mieście o Tysiącu Bramach. Nie potrafił wprawdzie porzucić dla niej miecza, ale ona, wśród gorących pocałunków, szybko znalazła rozwiązanie. Zakon Świętego Jakuba. Braciszkanie swoją siedzibę umieścili w Ucles, hojnie obdarzeni przez króla Kastylii, mieli tak jak inne zakony bronić chrześcijańskiej ziemi przed Maurami. Od innych bractw różniło ich jedno – mnisi mogli się żenić, przebywać wraz z żonami i rodzinami w klasztorze. Jej siostra była żoną jednego z zakonników i Anna wierzyła, że im dopomoże.

Florencjusz z trudem uwierzył, że jego życie tak łatwo ma szansę się zmienić.

* * *

Imponowała mi jego męskość, tym bardziej że Berengar okazał się niezgrabnym grubasem, któremu każdy ruch sprawiał trudności, jakby co najmniej niósł krzyż na

Golgotę. Nie mogłem znieść, jak traktował jedzenie, nie delectował się nim, tylko żarł. Tak samo obchodził się ze swymi męskimi kochankami, których przymuszał do klęczenia. Sycił go tylko tryumf nad ciałem i mokra końcówka, do której śpieszył w jednostajnym rytmie.

Za to nagie ciało Florencjusza przypominało najpiękniejszą z rzeźb. Każdy mięsień był jak troskliwie wygładzony kamień. Mógłbym tak trwać w zachwycie...

Ciemna, krótko przystrzyżona broda. Diabelskie oczy. Tak, tak... Przeszywał mnie dreszcz na samą myśl, że to ja przez nie patrzę. Nos prosty, śniada cera. Rzeknę jeszcze – przystojny.

Jęzor za to miał zbyt długi, gdy rozochocony trunkiem, przechwalał się druhom z Calatrava, jak bardzo Anna jest gibka, jak delikatną ma skórę. Pił. A z każdym kielichem płynęło słodkie wino i zdradliwe słowa. Jej szeptał: Kocham, im mówił, że nieźle się pieprzyła. Chwalił się każdym szczegółem, nic nie potrafiąc zachować dla siebie. Calatravensi klaskali, klepali go po plecach, napętniali kolejne dzbany. Gotowała się w nich krew z pożądania i zazdrości.

Jednego słowa tylko nie zmieniał. Annie i swoim braciom przecież wyznał, że ją kocha.

Żalósne.

* * *

A potem, gdy myślał, że dzień albo dwa dzielą ich od

tego, by zostać już ze sobą na zawsze – choć nie wiedział jeszcze, jak ma się to stać – Anna przysłała boso, w wymiętej koszuli, jakby wyrwana ze snu.

Krzyczała.

Przytulił ją mocno, ale go odepchnęła.

– Spalili mój dom. A mnie... – Rozglądnęła się nerwowo po kościele, zasłaniając piersi, jakby jakieś niewidzialne ręce chciały ich dotknąć.

Wybiegła ze świątyni.

Zaskoczony tym, co ujrział, zrozumiał dopiero po chwili. Ruszył za nią, ale zniknęła gdzieś między domami i wąskimi uliczkami. Próbował ją odnaleźć, lecz bez powodzenia.

* * *

O wszystkim usłyszał kilka dni później od swoich kompanów od wina. Rycerzy z Calatrava.

Musta'rib ponoć zdradził, próbując na powrót dogadać się z Maurami. Nikt nie dochodził prawdy, wystarczyło podejrzenie rzucone przez któregoś z potężnych baronów i Alfonsowi wymierzono karę. Jego dom ograbiono i spalono, służbę i rodzinę wybito. Annę zgwałcono. Bandyci ją dopadli, tylko nie zdążyli zabić.

Potem dowiedział się, że możni tego świata nie łamią raz złożonej przysięgi. Sprawcą okazał się Matias wraz ze swymi synami.

Jak mógł do tego dopuścić, zostawić samą na pastwę

oprawców. Czuł się winien, musiał szybko odnaleźć swą ukochaną, by zapewnić jej bezpieczeństwo, już na zawsze.

* * *

Błąkał się przez kilka dni, szukając Anny. Jak duch nawiedzał spalony dom, siedział przy zwałonej bramie, spacerował po wymarłym ogrodzie. Miał nadzieję, że jego Życie wróci, chociażby dlatego, żeby pożegnać się z miejscem, które – jak mu kiedyś wyznała – było dla niej niebem. Szukał jej w cieniu wymarłych drzew, które sterczały ponad poszczerbionym murem otaczających fontannę posągowych cherubinów; dziwnym trafem przetrwały pożar prawie nietknięte. Przeganiał nocnych złodziei. Jednego przydusił do ziemi kolanem i tłukł pięściami w twarz.

– To jej świątynia! – krzyczał.

Gdy oprzytomniał, zrozumiał, że zatłukł młodego chłopca na śmierć. Pociągnął go za nogi i zostawił bluźniercę gdzieś na drodze, nie bacząc na strach, jaki wzbudził wśród zabłąkanych przechodniów.

W końcu stracił rachubę czasu i zapomniał, jak smakuje wino, poił się bowiem jedynie wodą spływającą z prącia cherubina – posągowej fontanny, aż pewnego dnia poczuł dziwny zapach przywiany z ogrodu przez letni ciepły wietrzyk. Zaczęło świtać. Mocne poranne słońce wyjrzało zza korony drzew, dodając nieco otuchy, bo ręce zaczęły mu drżeć ze strachu przed tym, co może zobaczyć.

Przekroczył próg domu, wszedł do ogrodu, minął fontannę, by wdrzeć się głębiej między wypalone kikuty owocowych drzewek, przejść wzdłuż resztek winorośli, karłowatych krzewów.

Nagle padł na kolana i jęknął.

– Przenajświętsza Panna.

Wysunął drżący palec przed siebie, jakby chciał wskazać komuś miejsce, na które patrzy, a przecież był sam.

Cud.

Olśnienie.

Pomiędzy drzewami unosiła się w powietrzu młoda kobieta, twarz skrywały jej długie włosy. Głowę miała przekrzywioną nieco na bok, chude ręce swobodnie zwisały wzdłuż tułowia, spod długiej koszuli wystawały delikatne stopy. Całe ciało skąpane było w żółtym, świętym blasku. Słońce oślepiało go, by nie bluźnił zbyt dużą ciekawością.

– Najświętsza Maria Panna – wymamrotał.

Kłęczał ze zwieszoną głową i zaczął się modlić wytrwale.

Trwał tak przez czas jakiś.

W końcu, po tych wszystkich czułych wyznaniach i imionach, którymi ją obdarzył, odważył się i zerknął raz jeszcze. Przeląkł się, bo oślepiła go jasność, a potem jakby usłyszał głos świętej. Zmrużył oczy od słońca, ale nic nie dostrzegł, nic więcej, prócz jej łaski, która wydawała się spływać na niego. Drżał na całym ciele.

A potem podmuch wiatru zdarł z suchej ziemi liście. Wydawało mu się, że słyszy czyjeś kroki, rozejrzał się i nikogo nie zobaczył, zamiast tego jednak poczuł smród, jakby męczyła go niestrawność.

– *Panie?* – usłyszał niski głos. – *Florencjuszu de Vivarze.*

Nie odwrócił się, nadal schylał głowę w pokorze.

– *Rycerz nie powinien zbyt długo klęczeć.*

– Głupcze! Nie widzisz?! – warknął, przerywając modlitwę. – Najświętsza Panienska.

– *Naga?*

Florencjusz podniósł wzrok nieco wyżej.

Panienska wciąż kołysała się nad ziemią. Nie zniknęła. Unosiła się z przechyloną głową, tylko jakby nieco przygasała.

Tkwiał tak sparaliżowany, czekając, aż coś się wreszcie wydarzy. I dopiero gdy słońce nieznacznie przesunęło się za zachód, święta straciła cały swój blask. Z przerażeniem przyglądał się powieszonyj na przydrożnym drzewie prawie nagiej dziewczynie. Uginająca się pod jej ciężarem gałąź zwisała nad samą drogą.

– *Masz swoją Najświętszą* – parsknął intruz.

– *Anna* – szepnął.

Wisiła na drzewie. Powiesili ją, nie wierzył, że zrobiła to sama.

Jego Życie.

* * *

Zapał się w sobie. Chciał umrzeć wraz z nią, tutaj, w ogrodzie. Odciął więc Annę z gałęzi, ułożył na ziemi, ukucnął przy ciele. Uwolnił jej szyję ze śmiertelnej pętli, z niedowierzaniem pogładził siny ślad.

Zrzucił płaszcz, ciężki pas z mieczem, wdrapał się na drzewo, sznur zaplątał wokół karku i szarpiąc go, sprawdził, czy drugi koniec dobrze się trzyma.

I skoczył.

Gałąź nie wytrzymała.

* * *

Siedział w progu domu swej ukochanej i nienawidził siebie. Że pozwolił jej umrzeć. Przecież to jego wina, że zginęła w tak ohydny sposób. Miał tylu wrogów, którzy chętnie odebraliby mu każdy skarb.

W dłoni trzymał puchar. W środku mieszał z winem trutkę kupioną na targu.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał diabła.

– *A czego ty chciałbyś ode mnie ?*

– Jestem przeklęty?

– *Powiedziałbym raczej, że otrzymałeś dar. Jak wielki, to zależy od ciebie. Widzisz tamtą kurwę?*

Florencjusz rozejrzał się po ulicy. Młoda kobieta trzymała za rękę chłopczyka, który ledwie za nią nadązał, przeskakując z nóżki na nóżkę.

– Kobieta.

– *Kurwa. Spójrz dobrze.*

Przyjrzał się jej i zrozumiał, co diabeł miał na myśli. Tak wiele nasienia przyjęła w swe łono, że nawet nie wiedziała, kto jest ojcem jej dziecka. Nie potrafił zrozumieć, skąd to wie, ale był tego pewny.

– *To grzech w ten sposób kalać świątynię bożą, nawet jeżeli w zamian za to otrzymuje brzęczącą monetę, za którą wyżywi siebie i dziecko.*

Zamyślił się, zbliżając zatruty napój do ust. Tak bardzo chciał upić łyk i umrzeć.

– Do czego zmierzasz?

– *Jakie uczucie jest tak silne jak miłość? Powiedz, że sam zgadnę, choć jedno i drugie jest mi przecież obce. To nienawiść, nieprawdaż?*

Jakże chciałbym się teraz śmiać albo zakpić z biednego rycerzyka. I masz swoją Annę, zobacz, gdzie cię zaprowadziła miłość. Do wypalonego ogrodu. Ale przecież jej już nie było, a ja mogłem sprawić, żeby mi zaufała choć trochę.

– Zemsta – szepnął, odstawiając puchar.

– *Właśnie. Dostrzeżesz ludzkie grzechy, choć zwę je czasami pragnieniami. Dzięki temu pozwolę ci się zemścić.*

– Na jak długo to wystarczy? – Zwiesił głowę. Ze wszystkim jest tak jak z Miastem o Tysiącu Bramach. Przemija.

Musiąłem mu dać to, czego pragnie najbardziej.

– *Mam ją.*

– Kogo?

– *Jej duszę.*

Jego ojciec próbował mnie przechytrzyć, dając syna na naukę pisania i czytania, potem próbując zmusić chłopaka, by wstąpił do klasztoru. Ja jednak przeczuwałem, że płynie w nim gorąca krew starego de Vivara.

– Jak to możliwe?

Uwierzył mi na słowo. Wyczytałem to z tonu jego głosu. Ale też chciał po prostu wiedzieć, jak zdołam tego dokonać. Ależ proszę bardzo, śpieszę z wyjaśnieniem – chciałem sztydzić, ale się powstrzymałem.

– *Nie rozumiesz, to fin'amor, miłość dworna. Twój sprawdzian. Ukochana wystawiła cię na największą z prób.*

– Anna jest martwa.

– *Ciało to kloaka, liczy się dusza.*

– Gdzie więc jest?

– *Mówią o tym czyściec.*

Jakiż grzech popełniła, że zasłużyła sobie na to? Czyż nie zdradzała *musta'riba* z nim? Ale przecież to nie grzech śmiertelny! Musiała popełnić jakiś czyn, zanim go poznała.

– *Powiesiła się. A takich nie przyjmują ani u góry, ani na dole. Do czasu Sądu Ostatecznego.*

– Do czasu Sądu Ostatecznego – powtórzył i zwiesił głowę. Złamał wszelkie zakazy, skazał swą ukochaną na wieczne potępienie.

– Namiętność... – chciał się wytłumaczyć, choćby przed diabłem, bo gdzieś w głębi serca mężczyzny pojawiła się nadzieja. – To z namiętności... – zaczął, a diabeł dokończył za niego:

– ... z początku miła, zapewne. Czujesz smak słodkich wiśni, a to, co z owoców zostanie – zgnije. Wszystkich tych, którzy ślepo oddadzą się pożądaniu, czeka kara piekła.

– Ależ, czy ciało – nawet kobiety – nie jest świątynią Boga?

– Tak, pod warunkiem, że nie wlewasz tam nasienia tylko dla uciechy.

Diabeł nie drwił z niego, układał tylko słowa w przekonującą melodię.

– Więc ją spotkam?

– Zapewne, ale czy jesteś gotów, by pokonać drogę do piekła za swą ukochaną ?

Okazja nie czyni podłego, ujawnia go, wiem o tym. Biedak był gotów uwierzyć teraz w każde moje słowo. I o dziwo...

Florencjusz nie spytał o nic więcej. Jeżeli to był czar, nie chciał, by prysł. Chciał wierzyć, że diabeł, który go przeklął, jest w stanie zwrócić mu ukochaną.

Odrzucił puchar z zatrutym winem.

Czasami doświadczenie śmierci sprawia, że bardziej kochamy życie. Czasami...

– Nie spytasz, jaka jest twoja pierwsza próba.

– Ach, *fin 'amor*, prawda.

Chyba wyrwałem go z chwilowego odrętwienia, ale i wyczułem w jego głosie nutkę zwątpienia. Musiałem mu przypomnieć, kim naprawdę jest: nie płaczkliwym kochankiem, tylko rycerzem.

– Zemsta – przypomniatem.

Uśmiechnął się, naprawdę.

** * **

Wiele pokoleń z rodziną de Vivar. Wiele się od niej nauczyłem. Potrafiłem rozróżnić, kiedy matki i córki płakały ze szczęścia, a kiedy z Żalu, widziałem, jak patrzył kochający życie starzec na swoich bliskich, gdy umierał. I te ich spojrzenia – od widma samotności przez współczucie do obojętności. Tyle reakcji.

Polubiłem seniora rodu de Vivar. A potem, gdy rodzili się jego synowie – każdego z nich z osobna. Ojciec chciał oddać mi najstarszego, ale wiedziałem, że najmłodszy jest mi przeznaczony. Jego ukochałem najbardziej, czułem, że właśnie na niego przyjdzie mi przejść. Ale stary mnie oszukał. Chciał odesłać syna do klasztoru, a gdy ten się buntował, sam zaczął przebywać coraz dłużej poza domem. Ten stary głupiec wiedział, co robić! Nigdy nie dotykał syna, bojąc się, że umrze w tej samej chwili. Znał moje ograniczenia. Przeczuwałem, że coś knuje. Przypominałem mu, że beze mnie jego latorośl uschnie. A on szeptał, że wolałby widzieć śmierć syna niż przekazać mu przekleństwo. Nie wierzył w to, co mu tłumaczyłem, że

właśnie JA nadam sens życiu najmłodszemu z de Vivarów, choć tak do końca nie byłem pewien, czy się nie myliłem. Ze on pokocha kogoś naprawdę, ale wtedy już będzie za późno...

W końcu jego ojciec mnie przechytrył. Zaprzyjaźnił się z hrabią Berengarem, szaleńcem od poezji. Zadbał, by w chwili jego śmierci niespełniony poeta stał tuż przy nim. By go dotknął... Powiem wam przynajmniej prawdę, jak senior rodu de Vivar umarł. Zafajdane gównno! Rznął dziwkę, a ta potraktowała go nożem. Zmarł kilka tygodni później od ropiejącej rany, mocno trzymając za rękę swojego tłustego kochanka – tak, tak – poświęcił nawet swój zad, by mu hrabia zaufał. Rozkochał go w sobie.

W ten sposób ojciec Florencjusza na parę lat przerwał moją zażyłość z kastylijską rodziną. A przecież on, jego dziad i pradziad... Oni wszyscy mieli dar. Ale nie pytajcie mnie, jak to wszystko jest możliwe.

* * *

Przodkowie Matiasa pochodzili z Saksonii. Miał dwóch synów i dwóch braci. Ponoć wszyscy napadli na dom *musta'riba*.

Pierwszego z braci, młodszego, Florencjusz zarznął w zamtuzie. Dziwkę, której zapłacił za wystawienie jurnego młodzieńca, też musiał zabić. Zbyt głośno się darła. Nie mogła znieść radości, jaka malowała się na twarzy mordercy, gdy podcinał ofierze ścięgna, potem kroił mu

członki, nacinał skórę, tak by nieszczęśnik zdychał w mękach.

Starszego spił w tawernie, zamknął w beczce i utopił.

Matiasa dopadł po mszy świętej, gdy wracał wraz ze swym orszakiem do domu. Wyglądał znacznie młodziej i dostojniej niż podczas pierwszego spotkania. Trzymał głowę wysoko, ściał brodę i wdział pstrokate szaty.

Florencjusz wyszedł na drogę i zaczął krzyczeć. A głos, którym przemawiał, nie należał do niego.

– Matiasie Saksończyku, twój grzech jest zbyt wielki, byś mógł stąpać po ziemi. By przywłaszczyć sobie majątek don Alfonsa, spaliłeś mu dom i zabiłeś rodzinę. A jego żonę kazałeś swoim ludziom gwałcić. Wydaję na ciebie wyrok śmierci.

Matias zawsze wędrował w asyście rycerzy i pachołków, co zresztą było powodem drwin mniej zamożnych i często zazdrosnych baronów, bo mówili, że Saksończyk mógłby ze swym orszakiem oblegać niewielkie miasto. W intruzie, który stanął mu na drodze, też nie wzbudził należnego szacunku, kiwnął więc ręką, a kilku mężczyzn z jego świty, zeszło z koni, by nauczyć szaleńca respektu, ale ten zaczął się drzeć nieswoim głosem.

– Pedro! – zwróciłem się do tego, który szedł jako pierwszy. – Czyż nie okradłeś własnej matki, wtedy gdy potrzebowała cię najbardziej? Despero! – Spojrzałem w oczy drugiego, nieco młodszego. – Trudnisz się lichwą. Rujnujesz dobrych chrześcijan.

Przystanęli, a dwóch pozostałych zaczęło się cofać.

– *Dzień przeklęty, dzień święty. Od was zależy, po której stronie staniecie. Przeze mnie przemawia Bóg. Znam wasze słabości, znam wasze grzechy. Wyzwolę was od jarzma tyrana, który każe wam czynić zło. – Dobrze się bawiłem, uwierzcie mi. – Suka! – warknąłem w stronę żony Matiasa. Miała wielkie czarne oczy, w których odbijał się strach i mogłem wyczytać grzech. – Czyż nie zdradziłaś swego męża, który zresztą nie jest ciębie wart?*

Saksończyk spojrzał na młodą żonę. Gdy owdowiał, sprowadził ją sobie prosto z Saksonii, wydawała mu się taka niewinna, z tym dziewczęcym licem, teraz wstydliwie zarumienionym.

– *Lubisz dziewczynki, prawda ? – Spojrzałem na niego oczyma de Vivara.*

Ktoś ze świty Matiasa, nie pytając o pozwolenie, ruszył na zuchwalca.

– *Napyskowałem. A ty musisz stawić im czoło* – Rycerz usłyszał szept, a potem schylił się i sypnął przeciwnikowi piaskiem w oczy. Niegodne to rycerza, ale ułatwia zadanie śmierci. Mocnym uderzeniem miecza podciął mu nogi. Zaparł się całym ciężarem, by ostrze, którym przekłuł leżącego, przybiło go do samej ziemi.

Matias wrzasnął na pozostałych, by rzucili się na zagrządzającego im drogę mężczyznę.

A Florencjusz szybko zaczął wymieniać imiona i grzechy tych, którym mógł spojrzeć w oczy.

Pycha.

Obżarstwo.

Pożądanie.

Lenistwo.

Większość przystanęła. Ktoś klęknął.

Tęga kobieta z orszaku zaczęła płakać.

Słońce za plecami rycerza dodało mu blasku.

Uwielbiam efekty.

Kilku zbrojnych ze świty Matiasa również przyklęło.

Masowa zbrodnia jest wtedy, gdy zaczynasz rządzić duszami. Oglupieli, słysząc, że znane już są ich najskrytsze pragnienia i grzechy.

Wtedy jeden z nich obwołał najmłodszego z de Vivarów świętym. Kastylijczyk wykorzystał okazję. Wczuwając się w rolę, przeszedł między klęczącymi i namaścił ich czoła znakiem krzyża – ślad brudnych palców.

Matias splunął. Sklął swoich rycerzy, pachołkom zagroził stryczkiem. Nikt się nie ruszył. Zrezygnowany – wyciągnął z pochwy miecz i chciał spiąć strzemionami boki konia, ale ktoś ze służby uderzył swego pana toporem. Saksończyk zwiotczał. Spłoszony koń popędził do przodu, zrzucając jeźdźca z grzbietu, ale jedna stopa mężczyzny ugrzęzła w strzemieniu. Garbus ze zwieszoną nisko głową niezdarnie rzeźbił w piasku wzory bezwładnymi rękoma.

Florencjusz czuł, jak rozpiera go siła, czuł się, jakby był nieśmiertelny.

Jednak widok trupa, jego rozłupanej czaszki, wyrazu

zdziwienia na twarzy... to za mało. Zbyt łatwo przyszła zemsta. Nie wystarczyła, by wymazać poczucie winy za śmierć Anny. A może musi przelać więcej matiasowej krwi?

* * *

Chciał zabić dwóch synów Matiasa, ale przechytrzyli go.

Pił w tawernie. Ciepło wlewało się przez okna, drobinki kurzu wirowały w powietrzu, osiadając na ławie zastawionej dzbanami z winem.

Zaszli go niespodziewanie, od tyłu.

Nie zdążyłem go ostrzec. A mówią, że diabeł wszystko potrafi.

Skrepowanego trzymali w jakimś lochu przez dwa dni, a potem przyprowadzili przed oblicze króla. Za swe dawne zasługi – a przecież nigdy nikomu nie służył – za walkę z Maurami na ziemi niczyjej władca nakazał mu zapłacić główszczyznę za zabitych, na co chętnie przystali i synowie Matiasa, i sam de Vivar, oraz odbyć pielgrzymkę pokutną do Ziemi Świętej. Król nakazał mu, by powrócił dopiero po pięciu latach. Takich spraw rozstrzygał więcej, a skarżący musieli podzielić się odszkodowaniem. Najmłodszy z nich nie wybaczył jednak mordercy. Zapowiedział, że gdy ten wróci z Jerozolimy, własnoręcznie obedrze go ze skóry.

– Obyś przeżył do tego czasu, kurwi synu – oskarżony

pożegnał się z nim niedbale.

* * *

Na łajbie, która zabrała nas do Ziemi Świętej, nie zliczylbym cizby na pokładzie – sam motłoch: szewc, kowal, rzeźnik, winiarz, kilku rycerzy, tylko wraz ze służbą, ale żaden z, nich nie miał w sobie tyle pokory co de Vivar, który stał przy burcie i wyglądał świętego miasta, jakby tam ziemia miała go uleczyć. Zamknął się w sobie, nie słuchał ani moich rad, ani kąśliwych uwag. Pozwoliłem mu samemu się przekonać i czekałem, aż zacznie mnie błagać o pomoc, choć nie mogłem znieść, że nosi ze sobą tę wstrętną obręcz pokutną.

Czy Bóg go ukarał? Florencjusz zadreślał się myślą, że nie jest już wolny jak ptak. Uwierała go pokutna obręcz. Nie odczuwał pokory, jedynie strach przed tym, że spotka Najwyższego w Ziemi Świętej. Gdzieś w głębi duszy skrywał żal za ziemią niczyją, tak bardzo chciał wrócić do dawnego życia, a teraz jego statek ciął fale Morza Śródziemnego, by ponieść go w dal. Tam, gdzie go nie znają, gdzie ma odbyć nakazaną mu królewskim wyrokiem pielgrzymkę, spędzić pięć suchych lat, by zadowolić tych, którymi gardził.

Dlaczego Pan nie pośle go najprostszą z dróg prosto do Anny? Może stanie na czyjejs drodze jako ofiara. Czyż złe uczynki wypełniły na tyle jego duszę, że Bóg nie

dostrzegł w nim już żadnej pokory i pozostawił go diabłu i teraz on ma kierować jego losem, drwić z niego?

Przemyślenia słabeusza.

I gdy myślał o ukochanej, przypominał sobie twarz najmłodszego z Matiasów. Jeżeli Bóg pozwala cieszyć się dniem sukinsynom, i pozwala, by słabi odbierali sobie życie ze wstydu i z bezsilności, to co to za padół.

Już lepiej. Wracajmy z tej Jerozolimy! Przecież...

A może to kara. Skrył twarz w dłoniach. Zabijał przecież dla zysku, i nie tylko pogan. Ale czy treść życia Anny można sprowadzać wyłącznie do tego, że miała stać się karą dla niego?

Te rozterki sprawiały, że przestawałem wierzyć w mądrość de Vivara. Czyżby okazał się najgłupszym z rodu? Gdzie buta i proste zasady – albo raczej brak zasad – jego ojca ?

* * *

Gdy dotarliśmy do Jerozolimy, Florencjusz musiał zapłacić za wejście do miasta kilka złotych monet. Modlił się wśród motłochu, obmył w Jordanie, z dnia na dzień marniał na ciele, a i w sakwie w końcu zabrakło grosza. Zgubił go własny żal. Gdy zastabł z głodu, trafił do hospicjum, wraz z największą biedotą.

– Jestem – szeptałem mu do ucha, bez względu na czas i miejsce. – Jestem.

A on wciąż mną gardził. Wiedziałem, że w głębi duszy

nie chodzi o to, że chce się mnie pozbyć, tylko że mu nie pomogłem. Trawiła go chęć zemsty na rodzinie Matiasa, tęsknił po prostu za rodzinną ziemią, bo wciąż wierzył, że właśnie tam znajdzie choć cień Anny. Jakiś szczegół, który mu o niej przypomni. Płakał, bo nie zachował po niej żadnej pamiątki, prócz wspomnień i snów.

W końcu chciał się zabić, tak jak wtedy, w ogrodzie. Pominę opis tej żałosnej próby. Wystarczy powiedzieć, że nawet się nie skaleczył, a brak sukcesu nie przekonał go o jego partactwie, tylko o nieśmiertelności. Przyznaję, byłem trochę przerażony. Choć lepsze to niż przekonanie Berengara o nieśmiertelności jego poezji.

Wreszcie, za moim podszeptem, okradł jakiegoś biedaka z ostatniego grosza, potem wskazałem mu pijanego rycerza, by przywłaszczył sobie jego mienie. Upokorzony milczeniem Najwyższego, wrócił wreszcie na statku do Hiszpanii.

* * *

Zmarniał przez rok. Zmarniała Hiszpania. Suche słońce, karłowate krzewy. Burzono meczety, budowano kościoły. Ale człowiek został ten sam. Pycha, obżarstwo, pożądanie...

Siedem grzechów głównych, tysiące ludzi.

Starszy syn Matiasa ponoć poległ gdzieś w bitwie, ale młodszy żył i grzeszył dobrą pamięcią. Gdy tylko zabójca jego ojca postawił stopę w Tuluzie, odszukał go i kazał

zabić. Florencjusz przechytrył sprytem i przerósł odwagą wynajętych oprawców – zgładził ich, a potem także ostatniego z Matiasów. Wymazał z pamięci szczegóły jego śmierci. Pamiętał tylko, że kilka dni przyglądał się zwłokom leżącym na górskiej ścieżce, aż zgniły, głowa odpadła od wiotkiej szyi i stoczyła się po skale.

W przygodnej tawernie świętował zemstę. W sercu i w dzbanie ziała pustka.

Przeczuwał, że dłużej już nie pożyje. Zbyt dużo miał wrogów. Zbyt wiele głów odciął, gdy rządził na ziemi niczyjej.

Nieważne, gdy pił, szybciej mijało mu życie.

– *Możesz ją zdjąć – szepnąłem.*

Milczał, chyba nie wiedział, o czym mówię.

– *Zdejmij obręcz – nalegałem, ale głupiec uparł się, że przypomina mu o Annie.*

Domagał się jej, na trzeźwo prosił, a po opróżnieniu dzbana już tylko groził.

Stał się postrachem gościńców. Tam szukał śmierci, choć każdy zwycięski rozbój przekonywał go tylko o własnej nieśmiertelności. Co nie przeszkadzało, by kolejną walkę traktować jako wyzwanie śmierci na pojedynek.

Musiałem coś zrobić, nie mogłem go stracić. Zbyt wiele pokładałem w nim nadziei. Nie chciałem, by skończył żywot z nożem w plecach po nocnej pijatyce. Co wtedy stanie się ze mną?

Błąkał się, okradał kupców przy traktach, aż dołączyło do niego kilku podrzędnych złodziejasków. Z trudem

znosił ich brak karności. Zapomniał jednak o swoim nędznym położeniu. Znów miał ludzi pod swoimi rozkazami, wielbili go. Czyżby? Szczęśliwie podsłuchiwał ich rozmowę. Zamierzali oddać go rodzinie kogoś, kogo kiedyś skrzywdził, więc jeszcze tej samej nocy upił swoich niewiernych kompanów i poderżnął wszystkim gardła, gdy zasnęli.

Znowu działał sam. Wyczekiwał kupców na drogach. Jedni uciekali od razu, inni stawiali opór. Wtedy wczuwał się w rolę oprawcy, a wszystko odbywało się jak podczas mszy świętej – po kolei i z namaszczeniem, tylko że krótka potyczka zastępowała modlitwę, potem błaganie o litość, a na koniec mord, zamiast *Kyrie eleison*. Po pracy kilka brzęczących monet rzuconych na stół w tawernie zamieniał na dzban wina, posiłek i nocleg. Czasami pech: niespodziewane spotkanie w tawernie. Ktoś poznawał w nim Diabła z ziemi niczyjej. Zostawiał więc trupa na piętrze i uciekał.

W końcu nie chciał już tak gnać, oddychać kurzem drogi, nie wiedzieć, gdzie położyć się spać. Tym bardziej że psy Matiasa szczekały coraz głośniejsze, zacieśniając krąg. Ale chciał dokończyć to, co zaczął.

* * *

– *Oj, wiem, co chcesz powiedzieć. Że gdyby nie ja... A ja ci odpowiem, że gdyby nie ty...*

– Kurwi syn! – to jedno, na co było teraz stać de

Vivara. – Nie potrafisz nawet pomóc mi się zemścić do końca, to jak mam ci uwierzyć, że oddasz mi Annę!

I wtedy stał się cud.

W tawernie, gdzie dziwki śpiewały altem podczas rżnięcia na wyższym piętrze, gdzie Maur przepijał do chrześcijanina, don Manrique i Pedro, niegdysiejsi kompani od wina, zaproponowali mu podróż do jednej z komandorii rycerzy z Calatrava.

Proponowali mu nowe życie.

Chciał wstać, ale poczuł jakby szarpnięcie w głowie.

– *Nie!* – usłyszał. – *Nie możesz sprzedać swej duszy zakonowi. Zlegnij w kurzu na drodze, psie! Gnij w lochu. Nie będziesz służył Najświętszej Paniencie albo Chrystusowi. Jesteś mój.*

– To wy? – Spojrzał na nich, dziwnie się uśmiechnął, jakby do siebie. Zakonnicy ochronić go mogą nie tylko przed rodem Matiasa, ale i jego przekleństwem, które drżało z wściekłości w środku, w jego głowie, ścisnęło za serce, tłukło o żebra, niemiłosiernie i bez ustanku.

– *Nie!* – Brzmiało to jak błaganie, nie rozkaz, nie był to jednak głos de Vivara.

– Tak. – Pedro uśmiechnął się, klepiąc go po plecach. – Zniknąłeś na trochę, he? Zabierzemy cię stąd. – Don Manrique odsunął nieco dalej wino, by więcej nie pił.

De Vivar uśmiechnął się i pozwolił się podnieść, bo gotowali się do drogi. Pozwolili mu wesprzeć się na ich ramionach i prawie nieprzytomnego od trunku wyprowadzili z tawerny.

Z trudem utrzymywał równowagę.

Padamy z własnej woli, ale sami nie możemy się już podnieść, przeszła mu przez głowę ulotna myśl, a twarz wykrzywił nieporadny uśmiech.

* * *

Komandoria calatravensów leżała na niewielkim wzgórzu. Blask księżyca rozświetlał zakonnikom drogę. Prowadziła przez kamienny most zawieszony nad rzeką, szeroka na wołu z wozem, kręciła się jak wstążka w górę, aż doprowadziła ich do ciężkiego, grubego muru i bramy, której skrzydła rozwarły się niczym paszcza bestii, z przeciągłym zgrzytem. Na drogę wybiegły psy, duże i parszywe, osaczyły krzyżowca jak stado wygłodniałych wilków. Nie gryzły jednak, tylko ujadają, skacząc wokół końskich kopyt.

Próg przestąpił jeden z braci służebnych w szarym płaszczu.

– Psy zostają. – Uśmiechnął się, zadowolony ze swojego żartu.

– Nie kęsają, nie gryzą? – don Manrique zakpił.

– Bo syte. – Braciszek skłonił się w wyuczonym ukłonie. – Rozumiem, panie, że gdy droga zbyt długa, przechodzi ochota do miłej rozmowy. Zajmę się twoim wierzchowcem z należną mu troską. – Złapał za uzdę.

Zakonnicy przekroczyli próg komandorii, wkroczyli na dziedziniec i zeskoczyli z koni. Kilku pachotków leniwie

podeszło do nich, by je oporządzić, Pedro i don Manrique gdzieś znikli, a Florencjusz sam udał się za tęgim bratem, który niedbale przywitał go imieniem Syna Bożego. W mroku dostrzegł majaczące kontury stajni, warsztatów, chlewa, skąd dochodziło ciche kwiczenie świń, a gdy zadarł nieco głowę, na blankach murów rozpoznał sylwetki czarniejszych niż noc milczących kruków.

Znaleźli się w wąskim przejściu. Schody poprowadziły ich do niskiego pomieszczenia. By wejść do niewielkiej celi, musiał schylić głowę.

– Tutaj prześpisz noc, panie. Przyjdę do ciebie o świcie.

– *O świcie* – powtórzył dobrze znany mu głos.

Drzwi za jego przewodnikiem zatrzasnęły się z hukiem, zostawiając go z dogasającą świecą.

Rozejrzał się nerwowo po wnętrzu: niewielkie okno, twarde łoże, kawałek drewna pod głowę. Odetchnął z ulgą. Był sam, potwornie zmęczony. Położył się i czekał, aż knot wypalił się do końca. Delektował się, że świat zniknął mu sprzed oczu. Dopiero wtedy je zamknął.

Pod powiekami było jaśniej: gwiazdy ułożyły się w przedziwne konstelacje, w uszach słyszał muzykę, dudnienie koni, śpiew, ciężki oddech Anny, jej spojrzenie, uśmiechała się do niego, a potem położyła na jego twarzy swoje ciepłe dłonie. Wiedział już, że nadchodzi sen, ale przed oczami pojawiła mu się jeszcze scena z ostatnich chwil w klasztorze Świętego Jakuba. Niemal czuł jej oddech na sobie, jej spojrzenie, nagie piersi, biodra, które mocno trzymał.

– *To tylko sen.*

* * *

Przez trzy dni kazano mu pościć. Spał w niewygodzie na sienniku, przykryty cienką derką, choć nie pamiętał, żeby przez ostatnie lata miał możliwość aż tak się wyspać. Modlił się w kaplicy wraz z innymi braćmi po pierwszym posiłku, potem kiedy zabił dzwon po nonie, i na jutrznię, na prymę albo na tercję. Nigdy nie modlił się tyle i tak gorliwie. Próbował skupić się na sensie modlitwy, ale tylko mętne myśli wypełniały mu głowę.

W końcu coraz więcej czasu zaczął spędzać w celi. Nie jadł, nie wychodził do ogrodu, przestał się modlić. I nie z nakazu sumienia, raczej ze zgryzoty, z jakiegoś wewnętrznego smutku, może trochę z tęsknoty za Anną. Poświęcał się bezowocnym rozważaniom. Przestrzeń celi dzieliła się na część, w której znajdował się on, a resztę wypełniała pustka. Wstawał i przenosił się w inne miejsce, kucał pod ścianą i pod oknem. W miejscu, które opuszczał, próbował zliczyć wirujące pyłki, widoczne w smudze światła wpadającego przez wąskie okno do wnętrza celi. Ale to tylko pustka, a on nadal istniał.

* * *

Florencjusz de Vivar wariował.

Znów myślał o tym, by skrócić swój żywot na tym też

padole. Zabrzmiało melancholijnie. Może, ale i mnie udzielił się jego nastrój.

Potem zaczął mamrotać co najmniej jak Augustyn albo Bernard z Clairvaux.

Modlitwa wypełniała mu głowę, gdy klękał pochylony przed ołtarzem, gdy szeptał. Żadnych myśli, tylko potok słów, którym ludzie nadają znaczenie. Tak samo pracowała mu zuchwa podczas posiłków. Bezmyślnie. Pomagała mu trawić przesolone mięso, tak jak głowa modlitwę.

Gdy chodził wzdłuż ścian celi, drgał mu każdy mięsień. Ciężko oddychał, gdy spał. Szeptałem, ale udawał, że mnie nie słyszy. Przeliczał krople deszczu, które tłukły o parapet, robactwo towarzyszące mu w celi, bez końca wstuchiwał się w bicie własnego serca. Musiałem w nie uderzać, by dokładnie je słyszał. Przeraziłem się, gdy próbował ogarnąć liczbą pyłki w powietrzu albo gwiazdy pod powiekami.

W końcu pozwoliłem mu uwierzyć, że może się mnie pozbyć, choćby na chwilę.

Postanowiłem przycupnąć jak mysz w odległym kącie serca mojego rycerza.

Obawiałem się szaleństwa.

* * *

Po dniach spędzonych w samotności w celi – tryumfował. Choć wiedział, że nie pozbył się diabła na

zawsze, czuł, że czort schował się gdzieś w głębi jego duszy, może w samym sercu. Z trudem wyobrażał sobie, że odzyska żywą Annę. Choć myślał, że mógłby znów dotknąć jej twarzy opuszkami palców, chłonąc zaczarowane zapachem jej skóry powietrze, sprawiała, że był gotowy, w jednej chwili słabości, poddać się i podarować diabłu duszę.

Pedro w końcu zaczął zabierać go na spacer po klasztornym ogrodzie. Przekazywał mu wiedzę o prawach, które obowiązują w zakonie, określając zakres jego obowiązków. Krzyżowiec wyjaśniał wszystko spokojnie, jakby ważąc każde słowo, upewniając się co chwila, czy aby na pewno został dobrze zrozumiany.

Kobieta, mawiał, gdy przechodzili wzdłuż parkanów, choć zawsze trzeba odnosić się do niej z należną jej czcią... nie można pozwolić, by odebrała rycerzowi serce. Gdy wspominał o męskiej chuci, uśmiechał się tylko i przestrzegał, że nigdy nie należy brać sobie kurwy do łóżka przed bitwą. Odbiera siły, tak bardzo potrzebne do walki z silniejszymi ramionami niż kobiece. Florencjusz ledwo mógł tego słuchać. Z trudem utrzymywał dłoń na rękojeści miecza, nie wyciągając go z pochwy.

Jego towarzysz tymczasem, nieświadom zagrożenia, uśmiechał się do niego, obejmował w pół, poklepywał jak dobrego przyjaciela. Nakazywał modlitwę, ale jednocześnie nie gwarantował, że Bóg go wysłucha. Przestrzegał, że do każdego z braci musi odnosić się z szacunkiem, by potem, na polu bitwy, móc mu zaufać, by

nie mieć w nim wroga. Musiał dbać o swój ekwipunek. Jak Florencjusz się spodziewał, oddano mu miecz, konia, ale dano mocną uprząż, nowy habit, nową zbroję: mocną kolczugę z czepcem, żelazny hełm o opadających krawędziach, bojową tunikę, trzewiki, rękawniki, derkę, koc, kapy i wiele innych rzeczy, o które nigdy nie dbał, choć przecież został wychowany na pańskim dworze. Bliższe mu było jego królestwo z czasów przed Las Navas de Tolosa, gdzie spał w byle namiocie albo w zdobytej twierdzy i nie korzystał z wygody.

Pedro roztaczał przed nim wizję nowej chrześcijańskiej Hiszpanii i potęgi zakonu Calatrava. Chwalił się, że wielki mistrz odpowiedział na wezwane jednego z pomorskich książąt i w odległym zakątku świata, daleko za granicami Cesarstwa Niemieckiego, postanowił założyć nową komandorię. Zdradził mu też tajemnicę, że z powodu postępującej krucjaty przeciw Arabom to tutaj, w Hiszpanii, potrzebni są krzyżowcy, i na Pomorze i do Pomezanii zostaną wysłani ci, którzy grzechem splamili swój honor. Spojrzał wymownie na swego rozmówcę i doradził mu, że lepiej będzie, jak zgłosi się sam. Gdy to mówił, ton jego głosu się zmienił, nie był już tak przyjacielski, ale raczej władczy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Pedro nigdy tak na niego nie patrzył, odkąd się poznali. Czekał, aż Florencjusz skinie głową, że wszystko zrozumiał, i dopiero wtedy twarz mu się nieco rozjaśniła, jakby wyszła z półmroku.

De Vivar pogrążył się w myślach. Tutaj wydawał się

jednym z wielu, ale wiedział, że jak tylko stanie na gościńcu albo wjedzie do któregoś z hiszpańskich miast, wzbudzi podziw, nie tylko tych maluczkich, ale także pstrokatych rycerzy z Toledo, z Alcaniz, Saragossy.

Nerwowo wygładził fałdy zakonnego habitu, patrząc gdzieś w dal ponad mury twierdzy.

Gdy ułożył się w swej celi, miał nadzieję, że i tym razem w śnie nawiedzi go Anna.

* * *

Okazało się, że los mi niespodziankę sprawił. Zakonny zamek okazał się całkiem przytulnym miejscem. Przestałem drzeć o życie de Vivara, tak jak na gościńcu. I ja miałem trochę czasu, by nieco odpocząć.

* * *

Ze snu zbudziły go ciężkie kroki, zgrzyt zasuw, skrzypnięcie drzwi. Podniósł się z łoża i pozwolił się poprowadzić temu samego przewodnikowi, który zamknął go do celi w dniu jego przybycia do komandorii. Teraz, po wąskich korytarzach, schodami w górę i aż do niewielkiej kapliczki o sklepionym stropie, szli w milczeniu, bez pośpiechu, a Florencjusz liczył każdy krok, wsłuchiwał się w swój ciężki oddech, byle przegonić sen, jego wspomnienie i smak. Nie chciał myśleć o Annie.

Oślepiło go światło świec, zaskoczyło piękno ołtarza,

mistrzowskie witraże: przedstawiały sceny walki rycerzy Chrystusa. Każdy z nich miał twarz bestii, ludzkie były tylko grymasy bólu, radości albo niemal świętego uniesienia. Ludzie stworzeni z kamienia i drewna wtapiali się w kolumny podpierające niskie sklepienie, trzymali atrybuty swojej świętości i władzy, jaką dało im niebo, choćby święty Maurycy z włócznią albo święty Marcin z gęsią.

Pod ołtarzem stali Pedro i don Manrique, którzy przywitali go skinieniem głowy. Obok chwiało się na nogach tęgi mnich o małych, zapadniętych oczkach i szpiczastych uszach. Miał wydatny, niemal kwadratowy nos. Jego twarz przypominała ryj świni; nawet cerę miał różową.

– To brat Humbert. – Pedro przedstawił świnię. – Jest naszym kapelanem. – Mówiąc to, uśmiechnął się jakoś dziwnie.

Florencjusz skinął głową i stanął naprzeciwko nich. Wygłodniały, obolały, dopiero teraz odczuł, ile dni spędził w drodze i jak bardzo niewygodne miał łoże. Czy już jest ocalony? Nie będzie musiał błąkać się po gościńcach?

O tej najbardziej wysuniętej na północ komandorii słyszał niewiele, ale opowieści o kapelanie, którego mylono ze świnią, krążyły od dawna wśród rycerzy w Hiszpanii.

– Szlachetny bracie, prosisz o rzecz godną tylko najprzedniejszych rycerzy. – Humbert odezwał się leniwym głosem, jakby wygłaszał po raz kolejny dobrze

znaną mu formułkę.

Florencjusz ponownie schylił głowę, tym razem z większą pokorą. Wydawało mu się, że tak trzeba, choć o nic nie prosił, przyprowadzono go tutaj. Spojrzał na Pedra i jego towarzysza jakby z wyrzutem, ale musiał przyznać, że przecież tam, w gospodzie, ocalili mu życie.

– Masz silnych wrogów – ciągnął kapelan. – Rodzina Matiasa zasiada obok króla Kastylii, który zapewne zostanie władcą całej Hiszpanii. To ostatnia chwila, by zagwarantować ci bezpieczeństwo. Dotąd byłeś panem samego siebie, od teraz będziesz niewolnikiem, ale równych sobie. Jeśli będziesz chciał iść za góry, wyślą cię za morze, jeżeli będziesz chciał zostać w Kastylii, wyślą cię do Burgundii. Jeżeli będziesz chciał się posilić, każą ci odejść od stołu.

Humbert zamilkł na chwilę.

– Czy będziesz mógł znieść te wszystkie uciążliwości?
– spytał w końcu.

Zapytany znów spojrział na obu braci, z którymi wypił tyle dzbanów wina, ale nic z ich twarzy nie wyczytał. Nie do końca rozumiał, co się tu dzieje, ale wiedział, że decyzje zostały już podjęte, i że choć wszystko dotyczy jego, dzieje się jakby poza nim.

– Tak – zgodził się po chwili.

– Czy jesteś gotowy pozbyć się majątku, wyzbyć się całego bogactwa, z wdzięcznością przyjąć tylko to, co ofiaruje ci zakon?

Florencjusz uśmiechnął się pod nosem – to, co

najcenniejsze dla rycerza, pozwolili mu zostawić: konia i miecz. Przeliczył jeszcze szybko w głowie kilka wiosek i część depozytu u lichwiarza. Niewielka strata w zamian za bezpieczeństwo – pogładził habit.

– Tak. – Skinął głową.

– Czy jesteś gotów porzucić grzechy tego świata?

– *Będą trudności.* – Szept wybił go na chwilę z równowagi, ale ponownie potulnie skinął głową.

– Tak.

– I przyjmując jeden z siedmiu grzechów głównych jako bluźnierstwo i przekleństwo zarazem.

Zaskoczony spojrzął na dwóch pozostałych krzyżowców. I tym razem nie znalazł na ich twarzach żadnego wyrazu, który mógłby odczytać jako zachętę albo zdziwienie.

Pedro podszedł do drzwi przy ołtarzu i otworzył je powoli. Do środka zaczęli wchodzić bracia z Calatrava. Niscy, wysocy, tędzy i wychudzeni, ale wszyscy posępni, jak armia Boga albo Szatana, gotowi na wszystko.

Ustawili się w kilka rzędów.

– Czy ktoś z was – Humbert zagrzemiał, nagle jego głos stał się silny i donośny – zna powód, dla którego Florencjusz de Vivar nie może przyjąć naszych święceń?

Milczenie.

Florencjusz przebiegł po niemych twarzach. Czego od niego chcieli?

– Więc będziesz sługą i panem tego domu, zgadzasz się? – Humbert spojrzął na niego.

Skinął głową.

– Jeżeli Bóg tak chce. – Czarny kapelan nie spytał, oznajmił.

Znow skinięcie głową.

– Powtórz.

– Jeżeli Bóg tak chce – powtórzył.

– I Szatan.

– *I ja w swojej skromnej osobie.*

– I Szatan – szepnął Florencjusz, przełykając ślinę.

– Módlmy się więc, szlachetni bracia, aby nasz nowy brat okazał się godnym swej sławy.

Bracia podchodzili do niego i klepali go po plecach. Na początku myślał, że robili to spontanicznie, ale po chwili pojął, że to część celebracji.

Przyglądał się ich posepnyim twarzom, powolnym, pewnym ruchom. Niczym prawdziwy *El Campeador* – bojownik, stawał do walki nie tylko z rycerzami honoru, jak osławiony El Cyd, ale także tymi, których świat zepchnął na margines; pozbawionymi jak on sam złudzeń co do natury człowieka. Brał udział w wielu bitwach, gdzie z trudem odróżnić można było wroga od brata, ale teraz...

Teraz bał się pierwszy raz w życiu.

Krzyżowcy, którzy stali jeszcze przed chwilą w pokorze, jak na mszy świętej, wsłuchując się w słowa Humberta, wzbudzili w nim więcej strachu niż pędząca na niego z uniesioną bronią gromada Maurów.

I teraz należał do nich. Był niewolnikiem i panem.

– *Jesteś niewolnikiem i panem.*

* * *

De Vivar nadal udawał, że mnie nie słyszy.

Musiąłem go przekonać, że wiele mogę. Że jestem jednym z filarów świątyni, którą ludzie nazywają padole, ziemią...

A zakon! Cóż, sam lepszego bym nie stworzył. Wszystkich przeklętych zebrano pod jednym sztandarem. Wyczuwałem obecność innych diabłów, ale przed sobą dobrze się skrywaliśmy. Za to zawsze mnie zastanawia, jak ludzie potrafią tak bezbłędnie i szybko wskazać diabła w drugim człowieku.

Tylko że te wszystkie diabły... mam je w pogardzie, ja byłem inny.

Nie chodziło tylko o duszę, bynajmniej. Sąd Ostateczny to zabawa w targowisko, gdzie każdy jak na straganie chwali się, co ma. Już widzę to oczyma wyobraźni, jak poślednie diabły przekrzykują się: Obżarstwo! Pożądanie! Ja mam chciwość! Dajcie tego chciwca! Zobaczcie moją dziwkę!

Ja chciałem czegoś więcej.

* * *

O zmroku Florencjusza zbudziły odgłosy kłótni na dziedzińcu. Rozmówcy musieli być tak wzburzeni, że za

nic mieli nocne czuwanie i ciszę.

Pedro i don Manrique przeklinali na głos decyzję Humberta. Zabroniono im wypraw na południe Hiszpanii, mieli zostać wysłani na misję do odległych Prus. Te pogańskie ziemie nie rokowały żadnych nadziei, wydawały się im bardziej odległe niż Jerozolima.

Florencjusz usłyszał wtedy po raz pierwszy o rysie. O tym, że rozdarła niebo, jak ostrze miecza tnie habit. Że spływają przez nią psalmy, których nikt nie rozumie.

– *Koniec świata. Sąd jest już blisko* – usłyszał szept i przeraził się.

I wtedy coś pojął. Jeżeli jest Diabeł, jest Bóg, jest Sąd Ostateczny.

Humbert wezwał go nazajutrz. Do tej samej kaplicy, gdzie przyjęto go do zakonu.

– Masz groźnych wrogów – przemówił do niego władczo, ale z respektem.

– Tak jak i przyjaciół. – Kiwnął głową.

– Ale nie na tyle władnych, by zapewnić ci w Kastylii bezpieczeństwo do końca twoich dni.

Humbert spojrział na rycerza i, jakby zachęcony jego milczeniem, ciągnął:

– Zasługi naszego zakonu są nieocenione w walce z Maurami. Po bitwie pod Las Navas de Tolosa król jest pewny zwycięstwa. Stąd odesłanie kilku rycerzy daleko za granice Cesarstwa Niemieckiego nie osłabi jego sił.

Florencjusz jeszcze niedawno wyobrażał sobie, jak wkroczy w nowym habitie do tylko co podbitych miast i

pijąc wino ze swymi braćmi z Calatrava, szukać będzie w twarzach kobiet śladów Anny, a w końcu spróbuje zemścić się za nią.

– Wiedziałeś, jak sprawić, by stać się nietykalnym – ciągnął jego nowy przełożony. – Włożyłeś nasz habit. Ale nie myśl, że sprawi on, że staniesz się niewidzialny. Nie pozwolę ci skalać imienia zakonu Calatrava dla zemsty.

Rycerz przełknął ślinę. Świńskie oczka kapelana świdrowały go chytrze.

– Gdzie? – spytał tylko.

– Zakon Calatrava odpowiedział na wezwanie biskupa Prus, Chrystiana. Ten cysters ma głowę na karku. Stworzył Zakon Braci Chrystusowych, który wspiera jego misję w Prusach. Pojedziesz nad morze, do Gdańska. Tamtejszy książę Świętopełk – ledwo wymówił jego imię – za namową Chrystiana ofiarował nam tymawski gród. Tam osiadziesz wraz z innymi rycerzami, zadbasz o to, byśmy za kilka zim mogli się tam sprowadzić na dobre. Waszym mistrzem zostanie stary Almodovar.

De Vivar poznał przymioty tego dziwnego, wychudzonego mnicha podczas pobytu w klasztorze. Skory do modlitwy, unikający jadła, pochodzący z dobrej rodziny, do każdego odnosił się z należnym mu szacunkiem, choć – jak wyczuwał – wymuszonym, bo mówił niedbale, czasami nawet szeptał, wymagając od rozmówcy, by ten przysunął się do niego. Humbert dalsze dyspozycje przedstawił krótkimi i urywanymi zdaniem: lokalne konflikty pomorskich książąt z Piastami można

wykorzystać, ale nie ingerować zanadto, Zakon Najświętszej Marii Panny zwalczać wszystkimi dostępnymi środkami.

– Wszystkimi? – spytał wtedy.

– Wszystkimi. – Kapelan się uśmiechnął. – Szczegółowych odpowiedzi udzieli wam brat Almodovar. Bóg nam wybaczy.

Czyżby? Nie masz w sobie diabła. Ciebie mogą trawić jedynie wyrzuty sumienia albo sraczka, de Vivar pomyślał z wyrzutem, jakby to kapelan był winien jego przekleństwu.

– Zabiłeś wielu możnych, obraziłeś króla swoim powrotem. – Humbert spojrzał na niego jakoś wnikliwiej.

– Zgniłbyś w lochu, a szkoda tak dobrego rycerza. Ale twoja krew nie jest lepsza od grandów i baronów szepczących do ucha królowi Kastylii. A ich rodziny żyły w miastach, które napadałeś.

Rycerz nie wiedział dlaczego, ale to ostatnie zdanie zabrzmiało jak komplement.

– Mamy wspólnych wrogów. – Kapelan skinął głową, widząc zakłopotanie na twarzy swego rozmówcy. – Nie wszyscy patrzą przychylnie na rosnącą potęgę zakonu. Ale jest coś jeszcze – mruknął i zamilkł na chwilę. Florencjusz zrozumiał, że goni tak z tymi wszystkimi informacjami, by przejść jak najszybciej do rzeczy, tej najważniejszej. – De Vivar... – Mnich zamyślił się. – Ponoć pochodzicie od słynnego El Cyda, ale możny twój ród przecież nie jest. – Pokręcił głową, jakby otrząsnął się

z jakichś myśli, wspomnień. – Wszyscy z de Vivarów służyli tej samej sprawie. Twoje życie od chwili narodzin należało do nas. Tak jak El Cyda, jak twego dziada, jak ojca – wyznał kapelan i zamilkł.

Czekał najwidoczniej, jakie wrażenie wywarł na rycerzu.

– Nic w twoim życiu nie działo się przez przypadek. Musiałeś okrzepnąć, poznać samego siebie. W walce, o głodzie, z kobietą. Zyskałeś sławę diabła, nie wiedząc, że zostałeś przez niego przeklęty, jak cała twoja rodzina. Każdy spotka w końcu swego diabła, to nieuniknione. Każdy skorzysta z jego mocy. Jedni z miłości, inni – nie uwierzysz – choćby z powodu grzechu obżarstwa.

Twarz Humberta nagle pobladła, jakby nabrał oddechu i wstrzymał go w oczekiwaniu. Przeszedł się po kaplicy, zwiesił nisko głowę, ręce splótł jak do modlitwy, podparł nimi podbródek. Stał, trwał tak przez chwilę, po czym rzekł:

– Można o nas powiedzieć, że jesteśmy przeklęci. Ale jestem zdania, że właśnie Bogu służymy. Bo przecież nic na świecie nie dzieje się bez Jego woli. Nie wierzę w istnienie Zła jako braku. Szatan jest narzędziem Najwyższego. Mnożymy więc sekty i religie. Nakładamy rzymskie togi, by w senacie przegłosować wojnę, albo ubieramy się w rycerskie habity.

– Czyli czysta robota, tylko nie wiadomo, czy Pan będzie zadowolony. – Nie kpił, chciał zrozumieć.

Kapelan spojrzał na niego z ukosa, złość na chwilę

przemknęła przez jego twarz, ale zaraz przymilnie się uśmiechnął.

– Masz trochę racji w tym, co mówisz. Tylko że teraz nadarza się najlepsza okazja, by może zrozumieć nieco więcej.

Mówi tak jak diabeł, pomyślał Florencjusz.

– Nad Pomezanią pojawiła się rysa – zaczął wyjaśniać Humbert. – Nie nad Jerozolimą, nie nad Rzymem, nie nad Toledo, tylko w jakimś odległym zakątku świata, gdzie rycerze nie chadzają na krucjaty, które celują dalej niż za ich miedze. Właśnie tu. A wiesz dlaczego?

Pokręcił przecząco głową. Kaplica była zbyt duszna, zrobiło mu się gorąco. Wszystko to, w jednej chwili, zaczęło go przerażać. Ile prawdy było w tym, co mówił podobny do świni kapelan, a ile szaleństwa?

– Pochłonięci jesteśmy waśniami, bo złoto w istocie ma większą moc dla rycerza niż możliwość zbawienia. Zakon Najświętszej Marii Panny kładzie już łapę na Prusach, interesuje się tymi ziemiami cesarz niemiecki i papież. Nawet po ostatniej klęsce krucjaty piastowskich i pomorskich książąt do Prus tamtejsi władcy starają się powstrzymać od przyziemnych sporów. Gościńce spływają krwią, ludzie oszaleli.

– Brzmi zachęcająco. – Florencjusz z ledwością ukrył niezadowolenie w głosie. Poczul się nagle jak zesłaniec. Miasto o Tysiącu Bramach wydało mu się teraz odległym wspomnieniem, tak bardzo zatęsknił za jego murami i dawnym życiem.

*Gdzie mogę być, nie chcę; gdzie chcę być, nie mogę:
podwójna nędza.*

– Calatravensi dostali szansę, mogą się teraz czynnie przyłączyć do chrystianizacji Prus. A także, kto wie, zostać może z czasem jedynymi opiekunami tych ziem – dodał z westchnieniem kapelan.

– A przecież nad Toledo słońce świeci tak samo. – Florencjusz spojrział na swego rozmówcę. Pozazdrościł mu tej gorliwości, jaką dało się słyszeć w jego głosie, i wiary w to, o czym mówił.

Tamten ciągnął:

– Od Asyrii do Egiptu bogowie towarzyszyli zwycięskim hufcom. Stali w pierwszych szeregach. Przeklinali wrogów, błogosławiąc przelaną krew zwycięzców. Isztar, Marduk, Jahwe! Jahwe jest „panem potężnym w boju, królem chwały”. Tak! – Klasnął w dłonie ożywiony tym, co miał właśnie powiedzieć. – Ludzie ufają, że Bóg, któremu oddają cześć, nie będzie bierny. Tak jak on. – Złapał się za krzyż, zawieszony na szyi. – Myślisz, że to ofiara?

Wygląda na takiego, pomyślał Florencjusz, ta wykrzywiona twarz, wychudzone ciało.

– To zelota. Wojownik. Zginął, bo walczył w imię Boga, za wiarę. Żydzi, by zrzucić jarzmo Rzymian, siali postrach i zamęt. Nie cofali się przed masowymi mordami, sądzili tych, którzy wyrzekali się starej wiary. Uciekali na pustynię, stawiali opór potęgom tego świata, wierząc, że choć przeklinają swe imię na wieki, w dniu

sądu Bóg im wybaczy. Ale powtarzam: wierzyli, a wiara to nic więcej jak domysł. Jedynie prorocstwo Daniela jest słuszne. – Humbert zaczął cytować: – „Wolę bożą będą nieść aniołowie, a złe duchy spotka straszliwy osąd”. A Szatan prowadzi tam świętą wojnę przy boku Pana, rozumiesz? Jest w bożym planie, ma odegrać swą rolę przy końcu świata. Nikt nie staje po stronie słabych bogów. Ani Maurowie, ani chrześcijanie.

Jakby od niechcienia zdmuchnął jedną ze świec.

– Oto jest nasze życie. Ale możemy podjąć ryzyko, że staniemy po właściwej stronie. Jesteśmy inni od wszystkich. I nieważne, czy będą to czasy Asyrii, czy Egiptu, czy będziemy walczyć w Hiszpanii o Toledo, czy w Ziemi Świętej o Jerozolimę. Bóg rozsądzi, kto miał rację. Czy rycerze, którzy w imię świętej wojny dbają wyłącznie o bogactwa i wierzą, że Bóg już tu, na ziemi, wybaczy im ich grzechy, ich mordy, to, że po kolana broczą w krwi niewiernych. Czy my, jak zeloci, jak Machabeusze.

Zdmuchnął kolejną świecę.

– Działanie jest czysto bestialskie, ale cel święty, nieprawdaż? – Uśmiechnął się. – Ale nie mamy pewności, czy mord może być wybaczony.

Rycerz przypomniał sobie miasta, które palił, ludzi, których kazał zabijać. Gdzie był wtedy Bóg, tuż za nim, czy odwracał się i uciekał?

– Widzę w mroku nie gorzej niż za dnia. To niezwykle, prawda? – ciągnął kapelan. – Ktoś obdarzył mnie darem,

ale nie ma nic za darmo. A ty?

De Vivar, gdy tylko jego oczy przywykły do półmroku, też doskonale wszystko widział. Ale zrozumiał, że nie tego dotyczy pytanie, i nie chciał odbierać wiary w swe cudowne możliwości Humbertowi, który zresztą szaleństwo miał wypisane na swoim świńskim ryju.

– Ja też mam dar – wyznał. – Widzę ludzkie grzechy. Twój, kapelanie, to pycha.

– Więc już podpisałeś swój pakt. – Humbert wyciągnął spod habitu jakiś zwój zawieszony na szyi.

Pakt? – zastanowił się.

– *Maskarada!*

Nie wierzcie w pakt ani w krew na pergaminie. Przychodzi taki dzień, że zanim się obejrzycie, jestem w was. Wtedy albo mnie zaakceptujecie, albo będziecie udawać, że mnie nie słyszycie. Ale co ja mogę poradzić, że inne diabły, chcąc sprawić, żeby człowiek poczuł się lepiej, spisują cyrografy. Cóż, ziemia jest rajem dla głupców.

Nieśmiało uderzył się w pierś, udając, że ukrywa pod koszulą pergamin.

Humbert uśmiechnął się zadowolony.

– Nie do każdego przychodzi. Ale czułem, że ty jesteś inny. Rozmawiasz z nim, słyszałem.

Postanowił zaryzykować.

– A ty słyszysz swojego?

– Nawet go widzę. – Gruby mężczyzna ożywił się.

– Ma kopyta, rogi, długi ogon. Z mordy przypomina

kozła.

– *Gówno prawda.*

De Vivar zwiesił głowę. I pewnie ma tak wielką kuśkę, że mógłby jednym ruchem zamieść klasztorny dziedziniec, pomyślał z rezygnacją.

– Gdy już dzień sądu się zbliży, świętą wojnę poprowadzą siły potężniejsze niż ludzka ręka dzierżąca miecz. Nie człowiek będzie ją czynić, tak mówi Apokalipsa. I co zrobi wtedy krzyżowiec opluty krwią niewiernego? Zetrze krwawe ślady z habitu i powie: Boże, to dla ciebie. – Kapelan zaśmiał się. – Ale nie mówię o Janie i jego Apokalipsie. Choć święty to zapewne człowiek – wyraźnie zakpił – miał wyobraźnię.

Bлуźnierstwo za bluźnierstwem, na moment zwątpił, nawet Biblia nie stanowiła dla kapelana sacrum.

Humbert podszedł do niego i objął go ramieniem.

– Zbyt długo żyjemy na tym świecie – rzekł – by przejmować się każdym kamieniem na drodze. Przed nami jest kręta droga i godzimy się z tym, że nie wiemy, co jest za zakrętem. Godzimy się z tym i przyznaję, że tak jest ciekawiej. Spójrz – wskazał na drzwi – gdy wyjdę, nie oznacza, że mnie nie będzie. Nie będzie mnie przy tobie, nie będę w twoim życiu, ale będę gdzieś szedł, choć może upadnę. Ale nie oznacza to, że jak mnie nie widzisz, to mnie nie ma. I tak jest z Najwyższym, jakkolwiek człowiek nada mu formę. – Przesunął dłonią po krzyżu zawieszonym na piersi. – To zelota. „Gdzie jest padlina, tam się i sępy gromadzą” mówi Ewangelia. Z tej nauki

wyznawcy wzięli to, co im pasowało. I tak jest ze wszystkim. Ze wszystkich świętych ksiąg ludzie biorą to, co im wygodne, i nazwą to Biblią albo czymkolwiek. A prawdziwa mądrość to ta, która istnieje poza czasem i przestrzenią, a to, co spisują ludzie, naznaczone jest miejscem, w którym żyją, tym, co obserwują. Ale my mamy odwagę powiedzieć, że wojna jest złem. Nie tak jak święty Augustyn. Wojna sprawiedliwa. – Parsknął. – Bo uderza w pogan. Bóg kieruje postępami człowieka. – Znowu parsknięcie. – Jakżeby Bóg mógł tak pobrudzić sobie ręce. Ma od tego Szatana. Święty nie mylił się tylko w jednym. Ostrzegął, że człowiek nie jest w stanie przejrzeć boskich zamiarów i że łatwo pomylić nakazy Boga z pokusami zła w szale bitewnym.

Odszedł nieco od Florencjusza i stanął w progu kaplicy.

– Pod Civitate papież, by zachęcić swoje wojska do walki z Normanami, obiecał im odpuszczenie grzechów. Po przegranej bitwie została mu tylko modlitwa za zmarłych. Potem odpust Aleksandra II – zaczął wyliczać na palcach – podczas walki o fortecę Barbastro, to klucz do Saragossy. Zaatakowały połączone siły Katalończyków, Aragończyków i rycerzy z różnych regionów Francji. Papież Aleksander II obiecał rycerzom dać odpust. Później Clermont i wezwanie Urbana do krucjaty, i Bernard z Clairvaux ze swoją misją szerzenia chrześcijaństwa przez mnichów z krzyżem zamiast miecza. Pomysł godny diabła, tak pomyślało wielu z nas, wstępując do zakonów. – Uśmiechnął się. – Tak, walka z

mieczem to nasz obowiązek, ale jako przekleństwo, nie chluba. Skazaliśmy się na potępienie, lecz w modlitwie szukamy nadziei. Dlatego, mówię, módl się, ale nie zakładaj, że Bóg cię usłyszy i wybaczy.

Westchnął ciężko.

– Wojna to Szatan. Niech oskarżają nas, że jemu służymy. Bez względu, jak go nazwiesz. I od niepamiętnych czasów służą mu całe pokolenia. Boski plan nie jest zrozumiały, nawet dla diabła. Ale jeżeli jest wojna, to Bóg ją wymyślił, a Szatan jest tylko wykonawcą, a my jego sługami.

– Wypełniamy więc wolę bożą.

– Właśnie, ale bez hipokryzji. Poświęcamy się wraz z naszymi duszami. Będziemy walczyć o każdą piędź Ziemi Świętej. W Jerozolimie, Hiszpanii albo w Prusach. – Przełknął ślinę. – Jezus chciał uwolnić naród wybrany od ucisku, oczyścić ziemię z tych wszystkich, którzy łamią prawo. Osądzili go wygrani i to oni napisali historię. Ale czy przegrał? Zresztą o tym rozsądzi Bóg na Sądzie Ostatecznym. Wystarczy dzień, by wzniecić wojnę, albo chwila, by wszcząć bójkę na weselu. Ale ile ty dni poświęcisz swego życia, żeby znaleźć jedno miejsce i jednego człowieka, by go zabić? – Spojrzał na niego i zamilkł.

Florencjusz nigdy nie doświadczył takiej ciszy. Przypomniawszy sobie rzeź pod Las Navas de Tolosa, gdy podnosząc się ziemi, jeszcze na wpół przytomny, rozejrzał się po polu bitwy, gdzie nie było miejsca, by nie nastąpić

na trupa. Świat wtedy zmarł na chwilę, ale w uszach coś świstało, czuł swój oddech, a tutaj, w tej małej kapliczce, zaległa martwa cisza.

I wtedy zrozumiał, że wyprawa do odległych Prus jest dla niego prawdziwym wyzwaniem, a jednocześnie powrotem do zwyczajów z czasów, gdy panował na ziemi niczyjej.

– Wiem, o czym teraz myślisz. – Kapelan odwrócił się do niego. – I właśnie dlatego ciebie wybraliśmy spośród wielu.

Florencjusz ukłonił się nisko.

– Czuję się zaszczycony.

– Może. Albo po prostu wiesz, że nie masz wyjścia. W Hiszpanii dla większości pozostaniesz grabarzem, nieczystym sumieniem kastylijskiego króla, solą w oku pałających zemstą baronów. Tam będziesz rycerzem z Calatrava.

– Nie zawiodę – przyrzekł.

– Siebie na pewno. Ale czy nie zawiedziesz zakonu?

Dziwne to były słowa, ale przyjął je z pokorą.

– Rysa – szepnął Humbert. – Koniec świata jest już blisko.

De Vivar spojrział na jego bladą twarz, otwarte w przerażeniu usta.

– To znaczy, że będziemy ratować świat? – spytał nieco cynicznie.

– Albo go do końca pograżymy – usłyszał odpowiedź.

* * *

– *Jest diabeł, jest Bóg, jest Sąd Ostateczny. I Szeol. A tam...*

– Co tam?

Wreszcie się do mnie odezwał.

– *Tam, ty i ja. I... Anna.*

– Nie rozumiem.

– *Jesteś gotowy.*

– Na co?

– *Jedziemy do piekła. Do Szeolu. Tam, gdzie moja władza jest nieograniczona. Musiałem się upewnić, że jesteś rycerzem cnotliwym.*

– *Więc wszystko to, włóczenie się po gościńcach i ten zakon... to twoja sprawka.*

– *Oczywiście – skłamałem.*

Czy był łatwowierny? Nie, spodziewałem się, że teraz będzie mnie sprawdzał.

Rozdział 2

Siedziałem na murze opactwa cysterskiego zakonu w Oliwie i wypatrywałem czegokolwiek na *via mercatorum*, gościńcu prowadzącym z Gdańska: śladu jeźdźca, kurzu z drogi, blasku słońca. Ale nad szczytami okolicznych drzew przechadzał się tylko cień granatowych chmur, które odstraszały podróżnych siąpiącym od wielu dni deszczem zmieniającym drogę w błotnistą pułapkę.

Nie pamiętałem już, ile dokładnie zim minęło, odkąd opuściłem swój dom w Pomezanii i przybyłem do klasztoru, ale przed oczyma nawet dziś miałem twarz Namedy, wydawało mi się, że nadal czuję jej wilgotne dłonie.

– Jesteś inna niż wszystkie dziewczyny, które znam – szepnąłem jej kiedyś, gdy razem siedzieliśmy na polanie nieopodal mojego lauksu.

– Nie mów tak, Dorge. – Zarumieniła się wtedy.

Pochodziła z Natangii i była młodą czarownicą. Miała rzadką zdolność. Potrafiła tkać mgłę. Widziałem kiedyś, jak przesuwa ją między palcami niby chmurkę, stworzoną z niewidzialnych nici, potem rozkłada na progu swego domu, czyniąc wejście niewidzialnym. Kapłani zakazali jej tego, tłumacząc, że jest jeszcze za młoda na czary, że niedostatecznie jeszcze panuje nad swymi zdolnościami. Zamieszkała niedaleko naszego lauksu, w siedzibie kapłanów w świętym gaju, gdzie miała przyuczać się, jak

korzystać z daru otrzymanego od bogów. Nieraz chyłkiem opuszczała swoje więzienie – jak mawiała – i ukrywała się razem ze mną. Wybieraliśmy wtedy zaciszne miejsce, gdzieś w środku lasu, i kładliśmy się na wilgotnej od rosy trawie, a Nameda tknęła nam z mgły nasze schronienie – nad głowami mieliśmy półkoliste sklepienie, wokół siebie nieprzeniknione dla wścibskiego oka ściany. Jakby sprawiała, że znikają drzewa, chowały się ptaki.

Mało rozmawialiśmy, zresztą, gdy tak patrzyła na mnie, wiedziałem, że słowa są zbyteczne. Wystarczy, że kogoś czujesz przy sobie, rozpoznasz jego uśmiech, tkliwe spojrzenie.

Trafiła do mojego lauksu wraz z innymi dziewczynami złapanymi podczas napadu plemion z Pomezanii, którzy wyprawili się aż nad wielkie morze. Mój ojciec upatrzył jedną z branek na moją żonę – śliczną niebieskooką dziewczynę, pracowitą i silną, ale ja spoglądałem tylko na Namedę.

– A my? – spytałem ją kiedyś, patrząc, jak jeden z chłopaków z lauksu niezdarnie rozbiera chuderławą niewolnicę i obcałowuje.

Leżeli obok pod starym dębem, nie zdając sobie sprawy z naszej obecności. Dostrzegali tylko mgłę.

Nameda wzięła mi wtedy dłoń i położyła na swej piersi.

– Czujesz? – spytała.

Pod koszulką wyczułem niewielką wypukłość.

– Kiedyś urosną – uśmiechnęła się – wtedy będziesz mnie mieć. Przecież jestem ci przeznaczona.

Zrozumiałem. Chyba.

– Dziękuję – rzekłem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć, gdy pozwoliła mi się pocałować.

Moja i tak zawsze czerwona twarz musiała się bardzo zarumienić. Odgarnęła mi z czoła grzywkę – bo nie splotłem włosów – jak małemu chłopcu, a potem wzniosła wysoko dłonie, ku słońcu, w miejscu gdzie promienie się rozpraszały, przebijając mgliste sklepienie. Wydawało mi się, że to ona tką jego blask między palcami.

Zacząła mówić, niby do mnie, niby do siebie, ale z uśmiechem:

– To złotemu bogowi zawdzięczamy dobre zbiory, ciepło, jasność dnia, ale i to, że chce się wstać. A jego srebrzystemu bratu, który zastępuje go między gwiazdami, siano na polach, dobre plony w ogrodach. Dzięki nim mamy tak wiele, a tak mało o nich wiemy – szepnęła mi do ucha. A potem kazała mi przyłgnąć do ziemi, uchem i policzkiem.

– Ziemia! Jest wszystkim. Rodzi, żywi i przyjmuje nas potem do siebie.

Nie wiedziałem wtedy, czy udaje, czy nie wie, że słońce blaknie, nie daje takich plonów, nawet księżyc się chowa, więc jak polować i łowić ryby, jak spać bezpiecznie pod gołym niebem, jeżeli swojego palca nie widzisz? Ziemia nie dawała już plonów, można było zarznąć tyle świń w ofierze, ile się miało, a i tak zniwa były marne, a bydło padało na uschniętej trawie. Ogień natomiast zaczął niszczyć wszystko wokoło – ale tylko do

Wisły, bo do świata chrześcijan demony nie miały wstępu – i nie można go było już ugasić. Ponoć demony Patollu i Natrimpe wciąż rozdmuchiwały żar, budziły zmarłych. Kapłani przestrzegali, że to dowód, że odwrócił się od nas Najwyższy, bóg nieba i ziemi, Occopirma.

Nameda wstała i pociągnęła mnie za rękę. Nie mogłem wtedy uwierzyć, że mgła nad nami rozproszyła się w jednej chwili. Parka, która leżała obok, spłoszona, poderwała się z trawy. Chłopak klął, a dziewczyna, oblana rumieńcem, zasłaniała swą nagość. Uciekli.

– Chodź ze mną – szepnęła i przylgnęliśmy do drzewa. Jego gałęzie przypominały rozpostarte ramiona. – To dąb. Jak myślisz, ile dusz skrywa? Na pewno samych prawdziwych bohaterów. – Westchnęła, muskając ustami gładką korę. – Nie martwcie się, dzielni wojownicy, czas wyzwolenia waszych dusz nadchodzi.

– A w co bogowie mnie zaklną? W ptaka, żabę, nietoperza? – Posmutniałem nagle. – Nic w życiu chwalebного nie uczyniłem. Ojciec nigdy nie zabrał mnie na wyprawę. Nie nadaję się także do chronienia ognia w lauksie.

Mój ojciec, jako głowa rodziny, zdecydował, abyśmy przyjęli wiarę Chrystusa i stali się pruskimi neofitami. Odtąd słyszałem, jak matka płakała nocami. Ale kiedy znów wyruszył na wyprawę, tęskniła za nim, a gdy nie wracał, a tulisz ogłosił jego śmierć, długo nie mogła się z tym pogodzić. Starszyzna wybrała w końcu mojej matce nowego męża, poganina, który zdarł z jej szyi niechciane

brzemie – krzyż.

A ja miałem zostać tuliszem, widziałem w ludzkich oczach, komu jaka śmierć przeznaczona, i miałem zaglądać w zaświaty, by mówić rodzinom, jaką drogę pokonują zmarli. Nawiedzały mnie sny tych, którzy mnie przywoływali. Widziałem ich wtedy jako ptaki, niedźwiedzie, sarny, zaklętych w drzewach, bez żadnych uczuć. Albo słyszałem dusze tych, którzy weszli w ciała swych synów i córek, jak wyli, lamentowali, chcąc przekazać najbliższym, jak przykładowo żyć, by swoimi czynami wymazali winy zmarłych. Mogłem wtedy złapać przeklętych we śnie, dotknąć ptasich piór albo poczuć chłód ręki. Mogłem wszystko: wyrwać włosy, okaleczyć ludzkie ciało, obdrzeć ze skóry albo przytulić, szepnąć dobre słowo. Nigdy jednak tego nie robiłem, chciałem, by zaświaty nie przyzywały mnie więcej. Czasami, widząc przedmiot należący do zmarłego, odgadywałem, jak zginął i gdzie go pochowano. A gdy przyglądałem mu się dłużej, wydawało mi się, że widzę czyjeś całe życie. Jakby tak długo umierał... Wiedziałem też, że największym przekleństwem zmarłych są Patollu i Natrimpe, budzili cienie. Cienie zmarłych, których dusze widziałem we śnie, jak są więzione w swych martwych ciałach; nigdy nieoddane ziemi ani niespalone na stosach. Tak miało wyglądać moje życie, śnić koszmary? Chciałem od tego uciec, dlatego też nie odstąpiłem od nowej wiary, choć mój przybrany ojciec nakazał mi to. Teraz mieszkałem pod jego strzechą, nie miałem

własnego gospodarstwa i żony, więc mógł decydować o moim życiu, byłem przecież jego przybranym synem. Jednak widząc mój opór, zrezygnował z karania mnie, przestał zamykać w piwnicy pod domem, przeznaczonej dla niewolników. Przekonały go łzy matki. Neofici z innych lauksów, tak jak i ci, którzy trwali przy starej wierze, również nosili miecz, a różniło ich tylko to, że po walce innemu bogu oddawali cześć. Pragnąłem zostać wojownikiem, jak ojciec, nie pogańskim kapłanem, który widzi śmierć. Wiedziałem jednak, że ojczym w końcu złamie mój opór. Groziło mi wyrzucenie z lauksu. Jedynym wyjściem był ślub z branką i stanie się głową rodziny. Wtedy mógłbym decydować o sobie.

Nameda szanowała mój wybór, ale jednocześnie nie rozumiała, dlaczego walczę z przeznaczeniem. Przecież już zawsze będę widział śmierć w oczach innych i prędzej czy później bogowie upomną się o mnie.

Nasza wspólnota została podzielona na neofitów i tych, co na zawsze ukochali starych bogów. Żyliśmy obok siebie, w sąsiednich lauksach – ukrywaliśmy nasze osiedla na bagnach, w zakolach rzek, na niewielkich wzniesieniach, łagodnie opadających ku zielonym jeziorom – wspólnie obsiewaliśmy pole, dbaliśmy o ogród. W czasie zagrożenia szukaliśmy schronienia w grodzie obronnym, zbudowanym na granicy lauksów, tak by wszyscy mogli zdążyć na czas. Ale los pogan dla chrześcijan w jednej chwili stawał się obojętny. Wiedziałem, że kiedyś nadejdzie taki dzień, gdy jedni

będą przyglądać się, jak umierają pozostali.

– Nie martw się. – Wskazała na posąg stojący na środku polany. W granicy wyryto kobiecą twarz, naszyjnik, róg do picia i pas z mieczem. – Ty też zasłużysz na wieczną opiekunkę, która zadba o ciebie, gdy odejdiesz z tego świata.

Podszedłem do rzeźby.

– Ta jest opiekunką twojego ojca. Mówią, że chadzał aż do Sambii i na Pomorze. Wielu niewolników brał ze sobą. Palił klasztory na Mazowszu i Kujawach. Taki dzielny wojownik zapewne usłyszał wołanie zaklęte w pieśń.

Też miałem taką nadzieję.

– A ta, którą słyszą teraz wszyscy, kogo wzywa? – spytałem.

Tego nie wiedziała.

Rozdział 3

Mam słabość.

Choć ludzkie ciało jest takie kruche, ma wiele zalet. Wyobrażam sobie, co czuje kochanek pod opuszkami palców, kiedy pieści niewieścią skórę. Drzę na samą myśl, że i ja mógłbym to zrozumieć. Słyszę ich ciepłe oddechy, przyglądam się splątanym ciałom, a gdy panna oporna, zamiast namawiać młodzieńca do gwałtu, lękliwie wyczekuję, czy zdołają osiąść jak mężczyzna ukochaną kobietę. Przyklaskuję jego czułym słowom i gestom, troskliwym spojrzeniom. Nie szepczę sprośności, nie straszę chłopaka wiotką kuśką.

Najbardziej lubię artystów. To zazdrość, ale poskromiona. Benedykta z Tuluzy miałem namówić do oszpeceń rzeźby świętego Piotra. Zamiast tego przyglądałem się jego pracy w niemym zachwycie, jak troskliwie dba o każdy szczegół, jak się poświęca dla kamienia i jego wprawne ręce, uzbrojone w młotek i dłuto, nadają mu Życie.

Lichwiarz wzbudza we mnie zazdrość, gdy się uśmiecha, słysząc brzęk monet. I ta jego pycha, gdy dłużnik klęczy przed nim jak przed Bogiem.

Zazdroszczę ludziom uniesień. Zamiast usidlać ich dusze, uczę się, jak drzeć z podniecania, żyć pragnieniami, cieszyć się górą złota albo tylko snem jakimś, choćby ulotnym. I przez to zostałem ukarany wilgotnym lochem

ich wnętrzości.

Nazwiecie mnie – Złym.

De Vivara – przeklętym! A ja oznajmiam wam, pomimo wszystko, że otrzymał dar. Tak, jestem nim.

Beze mnie, czy bez Boga, jest tylko prochem. To ja sprawiam, że jego serce bije. Uderzam w nie zaciśniętymi pięściami, gdy przykłada odkrytą dłoń do piersi albo gdy zasypia. Nie chcę go straszyć. Niech myśli, że oddycha jak inni, chcę, by żył, choć szuka Życia.

Anna.

Dla mnie to tylko kurwa.

A de Vivar nie doceniłby nigdy tego, co miał. Tych rąk, nóg, płuc...

* * *

Krzyżowcy z odległego Calatrava rozbili obóz przy jednym z pomorskich szlaków, dwa dni drogi od Gdańska. Od wczoraj wyczekiwali przybycia Braci Chrystusowych z Zantyra, bo ci mieli poprowadzić ich do grodu księcia Świętopełka. Potem razem mieli udać się dalej, do Oliwy, by tam się spotkać z bratem Chrystianem i uzgodnić dalsze kroki co do wspólnej misji w Prusach i przeciwdziałaniu Zakonowi od Najświętszej Marii Panny.

Florencjusz de Vivar zbudził się jeszcze przed świtem. Coś nie dawało mu spokoju.

Oporządził w końcu konia i ruszył w stronę pobliskiego wzgórza, tuż za lasem otaczającym polanę, na której

obozowali. Minął rzędy rozstawionych namiotów i wozów, dogasające ogniska, pozdrowił próbujące ogrzać się przy nich patrole i niemal roztopił się w szarości poranka.

Jadąc po omacku, z trudem odnalazł wydeptaną przez strażę drogę i dopiero wtedy mocniej ścisnął konia łydkami za popręgiem, przyśpieszył, by szybciej sięgnąć szczytu wzgórza. Z radością przywitał pierwsze promienie słońca, które lizały przykrytą śniegiem okolicę: skute lodem pobliskie jezioro, opadającą ku niemu od wschodu nizinę i wszystkie lasy wokoło. Spojrzał na północ, gdzie za nieprzeniknioną gęstwiną skrywał się książęcy gród. Prowadziła do niego *via mercatorum*. Krzyżowcy ciągnęli nią od kilku już dni, mijali motłoch, szczątki spalonych wozów, naprędce sklecone szałas i trupy; ludzie marli z wycieńczenia, z głodu, od mrozu.

Bez względu na stan wszyscy w obliczu rychłego Sądu Ostatecznego przypominali sobie o Bogu. Najbardziej parszywi mieli czelność umierać z modlitwą na ustach. Wyznawali swe grzechy na gościńcu, tuż przed śmiercią, szeptali do ucha swym matkom, synom, córkom, przygodnym klechom: obzerałem się, bluźniłem, kradłem, gwałciłem. Nagłą wiarę tych nieszczęśników w bożą litość zrodził strach, nie raptownie obudzona miłość. Splunął z niechęcią. Czy zdążą oczyścić się z grzechów, zanim Bóg zatrzaśnie świat jak wielką skrzynię z jękiem żywych i prochami umarłych? Nagle poczuł ciężar pokutnej obręczy i uśmiechnął się gorzko. Gdy jego

chwila nadziei, krnąbrność albo bojaźń przed śmiercią przysłoni mu jasność umysłu i będzie wierzył, że jedna chwila wystarczy, aby przebłagać Najwyższego. A diabeł...

... będzie, tuż obok.

Pomorskie gościńce przypominały mu chwilami wąskie uliczki miast w Hiszpanii. Potoki krwi, trupy i prośby, by dobry Bóg stał się świadkiem wyrządzonej właśnie krzywdy. Ale za Pirenejami, gdy krzyżowcy zostawiali za sobą zgliszcza, wywozili tyle złota i srebra, że pod ich ciężarem załamywały się ośle grzbiety, a w piastowskich grodach, których zresztą nie odważyli się łupić, nagrodą za odwagę było ryczące bydło i kwicząca świnia.

Florencjusz nie mógł się jeszcze przyzwyczaić do języka ludzi Pomorza. Trudniej też akceptował dar posługiwania się każdą obcą mową, kiedy zrozumiał, komu go zawdzięcza.

Calatrava, Las Navas de Tolosa, Tuluza – wszystko to wydawało się teraz odległym wspomnieniem. Jego kompani drwili z niego, że podczas postojów siedzi z nosem w księgach, przegląda raporty o Pomorzu i Prusach, że pisze coś nocami, zamiast korzystać z wdzięków dziwek napotkanych na gościńcu albo w przydrożnych gospodach. Kładł się samotnie, stronił od cielesnych uciech. Poznał, co to miłość, w odległej Hiszpanii, i wiedział, że kiedy nie możesz spojrzeć kochance prosto w oczy i samym ich wyrazem zdradzić, jak bardzo jej pragniesz, to ciało, leżące pod tobą, równie

dobrze może być martwe. Zresztą wolał unikać kobiet, w wielu twarzach odkrywał jakiś szczegół przypominający mu o Annie.

Śmiał się z innych Kastylijczyków, bo nie mogli nadziwić się urodzie pomorskich dziewczyn. Przechwalali się swoimi kolejnymi zdobyczami, chwaląc bladość cery, smukłość ciała i gibkość w łóżu tutejszych niewiast, które w nocnych przechwałkach i wspomnieniach przy ognisku urastały do rangi cudu.

Siła krzyżowców malała z każdym tygodniem, topniała jak śnieg pewność siebie, znikła gdzieś dawna buta i przekonanie o własnej wyższości. Wśród rycerzy, pozbawionych nadziei na łupy i chwałę w Hiszpanii, zesłanych do odległych Prus, narastała rezygnacja, ale także przeświadczenie o niezasłużonej karze.

Florencjusz stronił od ich towarzystwa. Większość to tchórze, splamili honor zakonu, uciekli z pola walki. Byli tu też mężowie krnąbrni i mało pokorni, którzy z ledwością poddawali się regule zakonnej. Wszyscy jednak stanowili o sile calatravensów w tej pomorskiej ziemi, kimkolwiek by byli, i tylko na nich mógł liczyć.

Niewygoda w drodze – bo tu zimy okazały się sroższe, a szlaki mniej przejezdne niż w Hiszpanii – powodowała, że kompani stawali się bardziej nerwowi, oskarżali się o wszystko, tęskniąc jednocześnie za piaszczystymi szlakami i bogatymi miastami, a także postrachem, który tam wzbudzali. Na pomorskich gościńcach musieli walczyć z wygłodniałymi bandami włóczęgów; ci nie

dbali o honor w walce i nie mieli względu na ich stan i godność, szarpali zakonników jak wilki, niespodziewanie atakując z lasu. Okradali wozy, zabijali konie dla mięsa, wiedząc, że krzyżowcy zostawią je na szlaku. Łatwym celem podczas postojów okazywali się nieostrożni pachołkowie, ogłuszani pałką i wciągani do lasu. Krzyżowcy tracili wszystko: kozy, bydło, świnie, ekwipunek, ludzi. Zginęło nawet kilku rycerzy, zbyt ufnych w swe doświadczenie. Mając przewagę w broni, pewni siebie, rzucili się w pogoń między gęstwiny, by już nigdy nie powrócić.

Don Manrique i Pedro trzymali się zawsze razem, ale Florencjusz już nawet i od nich stronił, by ukryć swój ból, bo nie chciał niczyjej litości ani próby zrozumienia. Zamknął się też w sobie po tym, czego się od swych towarzyszy dowiedział. Humbert, choć niechętnie, usunął wszystkich przeklętych ze swojej komandorii, wykonując rozkazy wielkiego mistrza. Naznaczeni przez diabła rycerze nie byli już potrzebni w zakonie. Sam nie podpisał żadnego cyrografu, nie widział w ciemnościach. Ta inscenizacja miała przekonać tylko nawiedzanych przez diabła zakonników, że kapelan służy tej samej stronie. Przemilczał, że w całej Kastylii pozbywano się niewygodnych calatravensów. Król nie chciał, by po zwycięstwie nad Arabami cokolwiek mu zarzucono. A poza tym, w istocie, obawiał się tych odmieńców – nie starczyło mu jednak na tyle odwagi, by kazać ich zabić. Przeklętych wysyłano do Jerozolimy albo do odległych

krain, jak choćby tam, gdzie nie sięgają granice Cesarstwa Niemieckiego.

De Vivar zawsze czuł się jak banita. Jako najmłodszy z synów, potem na ziemi niczyjej, w Jerozolimie i po powrocie do Hiszpanii. A teraz, gdy włożył habit zakonu z Calatrava i myślał, że jego los się nieco odmieni, podróż na Pomorze okazała się zesłaniem.

Przekłęci rycerze, tak jak de Vivar. Choćby Pedro i don Manrique... próbowałem coś dojrzeć w ich oczach, ale wszystko, co znalazłem, okazało się zbyt ludzkie, żebym mógł uwierzyć, że skryty się tam diabły. A jeżeli tak... To jakieś tchórzliwie, pozbawione ambicji ścierwojady!

O ile łatwiej byłoby nam wszystkim, gdybyśmy mieli kopyta, by móc choć kopnięciem w rycerski zadek wyperswadować takiemu głupie posunięcie, szpony, by rozerwać gardła nieprzyjaciół, rogi, by straszyć.

Szkoda gadać. Pomorski gościniec nie służył również mnie. Przeczuwałem jakieś niebezpieczeństwo.

Aha. Zapomniałem o czymś jeszcze. Zawsze marzył mi się duży fallus, jak u konia – już widzę wszystkie dziwki brzemiennie.

Florencjusz spojrział na niebo, tym razem kierując wzrok na wschód i południe. Tam, gdzieś daleko, rysa oszpeciła niebieski firmament. Widzieli ją tylko ci, którzy mieli dość odwagi, by wyprawić się do Prus. Wyobrażał ją sobie na kształt piorunu, zastygłego w swym blasku, jak

lśni w bezgwiezdną noc albo blednie o brzasku. Ale na Pomorzu mawiano, że przypomina Włócznie Świętego Przeznaczenia, która skróciła mękę Chrystusa: długie drzewce, przełamane w kilku miejscach, zakończone grotem, wokół którego rozsypują się drobne ryski, by rozejść się dalej i dalej, jak pajęczna sieć.

Słońce już wzeszło, więc zawrócił konia, by powrócić do obozu. Nagle zaskoczył go dziki ryk dobiegający z polany i odgłosy walki.

W pierwszej chwili chciał pogonić konia, ale opamiętał się, zeskoczył na ziemię, przywiązał uzdę do pobliskiego drzewa, a sam skrył się nieco dalej, przy ścianie krzewów, by stąd, niedostrzeżony, móc przyjrzeć się walczącym.

Pojawiali się nie wiadomo skąd. Dosłownie. Jakby wychodzili z drzew.

– *Nie idź, tam. Zaufaj mi* – usłyszał szept tuż obok swego ucha.

Miałem nadzieję, że nie pożałuje.

Wzdrygnął się, ale posłuchał.

W obozie zapanował chaos. Wozy i namioty płonęły. Ludzie krzyczeli, bydło ryczało, psy ujadły, kąsały nogi i ręce. Rycerze nie zdążyli dosiąść koni, wielu z nich padło od ciosów pałek, nie zdołali nawet wznieść ku górze mieczy, zadać cięcia. Najeźdźcy nie przypominali włóczędzów ani w ubiorze, ani w sposobie walki. Ubrani w ciepłe kozuchy, z toporami w ręku, otoczyli obóz, jakby wcześniej to przemyśleli, a potem zdobywali skrawek po skrawku, trzymając się blisko siebie, osłaniając od – nie

mógł uwierzyć – niezręcznych, jakby na ślepo kierowanych ciosów krzyżowców.

Przykucnął, krew w nim zawrzała, gotował się do walki. Dłoń zacisnął na rękojeści miecza, ale nie podniósł się.

– Umierają. Ale ty będziesz żył.

Dojrzał przy jednym z namiotów, jak broni się don Manrique, przysadzisty Brabantczyk, który uważał się za szlachcica, a nikt nie śmiał temu zaprzeczyć. Zawsze zgarbiony, ponury, z rzadką brodą jak u młokosa, teraz w zakrwawionej tunice, rozdawał ciosy mieczem na ślepo, próbując rozerwać zacieśniający się wokół niego pierścień napastników. Prusowie zachodzili go z każdej strony, kłuli włóczniami jak dzikiego zwierza, a Florencjusz patrzył jak zahipnotyzowany. W postawnym młodzieńcu rozpoznał Pedra, odganiał kilku napastników, zataczając szerokie koła jedynym orężem, jakie w tej chwili posiadał. Dłońmi! Był bez spodni, prawie nagi. Ale właśnie tylko ci dwaj wydawali się trzeźwi na umyśle. Reszta krzyżowców biegała jak w amoku.

De Vivar trwał w bezruchu. A przecież wystarczy napiąć mięśnie, wskoczyć na koński grzbiet, zjechać ze wzgórza i wznieść miecz ku górze.

Nigdy się nie bał śmierci. Miał teraz okazję przypomnieć sobie, jak smakuje krew niewiernych, ale...

– Krew zawsze smakuje tak samo. Pozwolę ci ją jeszcze chłęptać, nawet w imię Boga.

Sceny rozgrywające się w obozie przeraziły go. To

rzeź, nie bitwa. Tyle razy szukał śmierci albo walczył jakby jej na przekór – nie myślał wtedy o niej, a teraz sama myśl, że mógłby tam zginąć, w tej jatce, prawie bezbronny, przerażała go. I nigdy nie zobaczyłby Anny.

– *To nie Arabowie! Mówią, że pruscy czarownicy odbierają swoim wrogom duszę podczas walki. Że wiedzą, gdzie jest ukryta. Wyrrywają serce!*

Czy to prawda? Bał się o tym przekonać.

* * *

Florencjusz rejestrował każdy ruch don Mannque, patrzył, jak słania się na nogach, jak kręci się, wymachując mieczem. To, czego nie mógł dostrzec, bez trudu sobie wyobraził: twarz wykrzywioną na przemian w bólu i nienawiści, a potem obezwładniający strach – to zobaczył – taki, który odbiera pokonanemu ostateczną nadzieję, gdy rany są już zbyt głębokie. Przed samą śmiercią, gdy klęczał, a jeden z Prusów rozbijał mu toporem głowę, pojawiło się na jego twarzy jeszcze zdziwienie, jakby nie wierzył, że właśnie w ten sposób umiera.

Wzdrygnął się, widząc, jak oprawcy niemal rozrywają ciało Pedra. Katują nagiego trupa kilkoma ciosami, jakby z zemsty.

Dopiero teraz poczuł, że zaciska pięści.

– A gdzie twój honor? – spytał sam siebie.

– *Honor jest tym, jak cię widzą inni. A ciebie nikt tu nie*

zobaczy. Nikt prócz mnie. – Diabeł na wszystko miał wytłumaczenie.

* * *

Kiedy odgłosy walki umilkły, wsiadł na konia i zjechał ze wzgórza. Polana zamieniła się w cmentarz. Ruszył między rzędy namiotów, połamanych wozów, naszpikowanych włóczniami pachółków, zatłuczonych na śmierć krzyżowców. Wszędzie śmierć kreśliła krwawe ślady. To nie mogła być robota zwykłych ludzi, przypadkowo podążających gościńcem. Oprawcy musieli iść ich tropem, wyczekując odpowiedniego momentu, by zaatakować. Oceniając na pierwszy rzut oka, musiał uznać wojenny kunszt pogan.

Kilku pachółków konało w męczarniach, więc dobił ich mieczem. Dwóch braci z Calatrava siedziało teraz wspartych o koło wozu. Wiotcy, bez życia, szklanymi oczyma wpatrywali się w obrazy, które zastygły przed nimi w ostatnich chwilach ich życia.

Zszedł z konia i spokojnie podszedł do Brabantczyka. Krzyżowiec leżał z rozbitą głową, a jego mózg mieszał się ze stopniałym śniegiem.

– Don Manrique. – Pochylił się nad martwym rycerzem. – Nie wiem, czy byłeś szlachcicem, ale jednego jestem pewny. Wyglądasz jak gówno.

Przeżegnał się, zamknął martwemu powieki.

Odszukał Pedra. Kopnięciem odrzucił jakieś zwłoki

leżące na kolanach calatravensa i przykucnął obok; krzyżowiec siedział jak drewniana lalka, śnieg pod nim stopniał, nabrał koloru krwi, z brzucha sterczał kawałek solidnie naostrzonego kija. Żył jeszcze, bo pierś unosiła się i opadała ciężko. Florencjusz szybko zliczył klucia, cięcia, siniaki na nagim ciele. Przyjaciel nie miał szans, by przeżyć dłużej niż kilka kolejnych oddechów.

Nachylił się nad konającym, bo – choć z trudem w to uwierzył – coś szeptał:

– Mój bracie... Cienie...

Podtrzymał głowę umierającego, by nie opadła na piersi. Szept zmienił się w charkot. Krew bluznęła z ostatnim niezrozumiałym słowem.

W jednej chwili pojął, że usta Pedra już się nie poruszają. Rozpoznał woń stęchlizny, którą – tak mu się przynajmniej zdało – przyniósł lekki podmuch wiatru. Wyczuł także ruch za sobą. Może diabeł tańczył, naigrawał się z niego, a może grzebał palcem w trupim mięsie. Gdy się odwrócił, nikt nie stał za jego plecami.

Człowiek może poczuć wiatr. Ja zostałem skazany na smród trzewi de Vivara, a on oglądał się za siebie, jakbym tam stał. Jakżebym tego chciał! Cały, w swym diabelskim majestacie, rozewrzeć szczęki, pokazać zębiska, Ha! Gdybym je tylko miał.

Jestem tu, w twojej głowie, rycerzu z Calatrava – chciało mi się płakać i śmiać. I ten jego obłąd, że niby czuje mój smród.

– Poddał się zbyt wcześnie – Florencjusz usłyszał

dobrze znany głos.

Diabeł zachichotał i zaczął szeptać głosem konającego.

– Zapewne chciał powiedzieć, że mu czegoś bardzo Żal albo żebyś przekazał jego ojcu, że zginął w honorowej walce.

Cisza. Diabeł zamilkł, smród odszedł.

Florencjusz pomodlił się chwilę nad zwłokami i ruszył przez polanę. Czuł się jak w miejskiej jatce, tylko że mięso nie wisało na hakach, krwawe skrawki porozrzucano po ziemi. Jakiś rycerz, wsparty o psie truchło, trzymał się za brzuch, próbując zatrzymać wypływające mu na wierzch wnętrzności. W załzawionych oczach mężczyzny dostrzegł błaganie o litość.

– Panie, byłem z tobą pod Las Navas de Tolosa – jęknął umierający, gdy krzyżowiec zatrzymał się przy nim. – Zadbaj o moją duszę! Jeszcze chwilę i przeklnę Boga za ból, którego nie mogę znieść.

Zrozumiał. Uderzeniem miecza skrócił jego męki.

Odszukał namiot mistrza zakonnego, który miał objąć dowodzenie komandorii calatravensów w Tymawie, i wszedł do środka.

Almodovar, ciężko dysząc, leżał na łożu skleconym z desek. Jakiś pachoł opatrywał mu rany. Mistrz, jako przykładowy rycerz Chrystusa, nawet teraz, w obliczu śmierci, promieniował nadzieją i urodą: śniada cera, orli nos, gęste brwi, twarz spokojna, oczy – na wpół przymknięte – rejestrowały wszelki ruch wokoło. Gdy

cień przybyłego przysłonił mistrzowi światło, wlewające się do namiotu przez wejście, Almodovar nieznacznie się uśmiechnął, jakby bagatelizując rany, zapewne głębokie, bo krew sączyła się przez szmaty, nieumiejętnie zakręcone wokół jego brzucha i prawej nogi.

– Prusowie nie znają zasady, że jak wróg spadnie z konia, też trzeba zejść z grzbietu na ziemię. Zresztą nie mieli koni – zażartował.

Florencjusz przysiadł przy jego boku, pogładził jego piękną twarz.

– Mistrzu, zaskoczyli nas.

– Kto?

– No, Prusowie przecież.

– Ach, tak.

Rozmowa w jednej chwili wydała się Florencjuszowi jakaś dziwna. Almodovar przypatrywał mu się z ciekawością.

– Zwycięzców pod Las Navas de Tolosa! – zachrypiał, próbując podnieść się na łokciu, ale giermek przypadł do niego i odwiódł go od niepotrzebnego wysiłku.

Troskliwie stał pot z czoła swego pana, spojrzął na de Vivara wymownie, ściągając brwi, marszcząc czoło – jak srogi ojciec, który przestrzega nieświadome zagrożenia dziecę.

Florencjusz udawał, że nie wyczytał nic z twarzy sługi, a do mistrza rzekł:

– Las Navas de Tolosa... To dla pogan nic nieznaczące miejsce. Chwała o nas ledwie dociera do granic cesarstwa,

a co dopiero tutaj.

– Walczyliśmy bez lęku – odparł cicho Almodovar, bacznie przyglądając się podwładnemu, jakby na coś czekał.

– O tak. – Rycerz westchnął.

Przed oczami miał wciąż widok Prusów. Z łatwością dokonali rzezi na krzyżowcach, którzy biegali jak ślepcy po obozie.

– Mogę cię o coś spytać? – Mistrz odepchnął nachalnego pacholka, jego troskę odbierał jako zbędną nadopiekuńczość. – Mówią, żeś już dawno postradał zmysły, że na gościńcu rozmawiałeś z koniem?

Florencjusz wzruszył ramionami.

– A jakie to ma znaczenie? Nie ma. – Pokręcił obojętnie głową.

– Więc przyznajesz, żeś rozmawiał? – Mistrz zaczął się denerwować. – Mów! Czy to prawda, że jesteś jednym z tych przeklętych?!

– A prawda, co mówią o tobie, mistrzu, że wolisz chłopców niż dziewczęta? – Zajrzał mu w oczy. W jednej chwili zmieniły się w ślepią wściekłej bestii.

– Kpisz, bo myślisz, że zemrę tu, na tej pomorskiej ziemi – warknął. – No chyba, że ty... – Spojrzał na giermka, ale ten odwrócił tylko głowę, udawał, że nic nie słyszał. Wychudły, nawykły do noszenia miecza za swym panem, skłonił głowę w wyuczonej pokorze.

– Za kogo ty mnie masz? – De Vivar pokręcił głową, ale myśl, że mógłby pozbyć się i mistrza, naprawdę

pojawiła się w jego głowie.

– Gdzie krew na twoich rękach, gdzie byłeś, kiedy my walczyliśmy z tymi... psami?!

– Warczałem gdzie indziej, mistrzu, wybacz.

– To zdradzę ci tajemnicę, głupcze.

Florencjusz przemilczał zniewagę, ale zacisnął pięści.

– Nikogo nie widzieliśmy. – Almodovar uśmiechnął się gorzko. – Dlatego przegraliśmy. A ty... Ty to co innego. Powiedz mi tylko dlaczego...

– Co teraz, mistrzu? – spytał tylko.

– Nic. Wracamy do Hiszpanii.

* * *

Musiąłem przekonać de Vivara, że decyzja mistrza, by wracać za Pireneje, jest dla nas zgubna. Mamiałem go wizją spotkania Anny, przecież za Wisłą jest piekło na ziemi. Sprowadź mnie tam, krzyczałem, zbyt długo się wahał, zanim wyraził zgodę. Jak uparty osioł na górskiej przełęczy.

Trzeba było tylko usunąć przeszkody...

Postanowili przeczekać, aż minie śnieżyca. Usiadł na skrzyni z przełamanym skoblem, wcześniej doszczętnie ograbionej. Sklecił z kilku desek stół. Mistrz Almodovar nakazał mu przeczytać na głos kilka raportów dotyczących Prusów. Jednocześnie przeklinał swego giermka za nieudolność przy opatrywaniu ran.

Florencjusz poczekał, aż Almodovar przyśnie. Zajrzał

do papierów rozrzuconych na blacie; raporty od brata Humberta, w które go wyposażono. W nieuporządkowanej stercie odszukał także pisma mistrza. Nie mógł jednak odczytać wszystkich liter, szczególnie tych rozmazanych, pisanych niepewnie albo w strachu, że ich autor nie zdoła dokończyć myśli. Pewnie starzec spisywał swe ostatnie chwile albo słał listy do komandorii w Hiszpanii, mając nadzieję, że ktoś przeżyje i je zawiezie.

Musiał dowiedzieć się czegoś więcej o kraju, do którego przyjechał, o ludziach, może natrafi na jakąś wzmiankę o piekle, co uwiarygodniłoby słowa diabła.

Nie ufał mi.

Nagle przeszył go ból w prawym ramieniu, jakby ktoś złamał mu rękę albo naciągnął ścięgna palców, które zaczęły się poruszać bez jego woli. Chwilę potem odczuł drętwotę, a ręka sama powędrowała w stronę pióra, wokół którego wyschła już kropla atramentu. Zaczął pisać, ale to nie jego ręka pisała: *Tchórzliwy to lud, który w zasadzce wyznaje waleczność, mord jedynie zadaje, nie pozwalając prawym mężom zginąć w honorowej walce.*

Kiedy wróciło czucie w rękę, odrzucił pióro ze wstrętem i spojrzał na dłoń, zgiął palce. Raz i drugi. Wiedział, kto jest temu winien, ale wiedza nie czyniła go silniejszym. Wręcz przeciwnie. Z ledwością powstrzymywał przerażenie.

Zamyślił się nad tym, co napisał. Od razu odczytał diabelską kpinę.

* * *

De Vivar słyszał i widział jak inni. Mogłem pójść tylko tam, gdzie on. Nie opuszczałem go, gdy spał, podstuchiwałem jego bełkotu, który nazywał modlitwą, nie mogłem zapomnieć, jak drżał, gdy kochał się z Anną.

Niemal obnosił się ze swoją nagością wśród innych krzyżowców, podczas kąpieli na postojach, przy rzece albo jeziorze. Albo tylko mi się tak wydawało. Nie mogłem jednak nie czuć, jak obmywa swe ciało zimną wodą ze strumyka, jak pomimo chłodu wystawia swe członki na słońce, zamiast ogrzać się futrami.

Wszedłem w życie Florencjusza tak gwałtownie. Nawet gdybym mógł, nie potrafiłbym już go tak po prostu zostawić. I nie dlatego, że czułem się wobec tego pięknego rycerza w jakikolwiek sposób zobowiązany. Był dla mnie karą, ja – jego wybawieniem, choć on uważał inaczej.

Choć muszę przyznać, że i dla mnie był szansą...

Wtedy, tam, w namiocie mistrza Almodovara, po raz pierwszy próbowałem nie tylko wiedzieć, co myśli i czuje, ale i...

Rozdział 4

Czas diabła w Oliwie zaczynał się wraz z nadejściem zmierzchu. Z *via mercatorum* dochodziły do opactwa przeraźliwie świsty, śmiechy, pijackie śpiewy pełne bluźnierstwa. W opactwie gaszono wtedy wszystkie świece, dym tylko na chwilę podpierał sklepienia dormitorium, by poddać się ciemnościom. Tylko infirmerii nie pozostawiano bez światła, chorzy zbyt dużo mieli trosk, by skazywać ich na obecność Złego.

Dusze księży, diakonów, subdiakonów, konwersów, oblatów zostawały wystawiane na pokuszenie. W dormitorium bracia modlili się jeszcze głośno, ale ten, który zasypiał ostatni, skazywał się na samotność i potępienie. Wpatrywał się w ciemne sklepienie nad swoim łóżem i za diabelskim podszeptem ugniatał twarde prącie albo wyobrażał sobie, że wędruje po gdańskich zamtuzach, tudzież obłapia obiatę przy schodach do krypty.

Najsilniejsi z mnichów zamykali się w celach. Nie wpuszczali diabła nawet za próg. Biczując się, odganiaли złe myśli.

Mało kto w klasztorze żył wedle reguły zakonnej, prócz opata i przeora.

Starzy zakonnicy w pracy wyręczali się młodszymi, w modlitwie i umartwianiu stali się za to zbyt gorliwi. Niejeden doprowadził się do śmierci, inny do kalectwa.

Natomiast młodzi, niecierpliwi z natury, szukali spokoju przede wszystkim w ogrodzie, ale to tylko wiosną i latem, oraz w skryptorium.

Poznałem więc, co to chrześcijaństwo. Dla mnie, Prusa z Pomezanii, to religia słabeuszy, która pozwala zachować przy życiu miernoty. Niewolnicy fałszywej moralności – siłą chcą ją narzucić innym. Nie potrafią nadać sensu swojemu istnieniu, muszą prosić o to Boga, którego syn okazał się zbyt słaby, by walczyć. Umarł hańbiącą śmiercią na krzyżu.

Ja na początku też byłem słaby.

Nie mogę znieść, że nic nie zrobiłem.

Pamiętam, jak stałem na wzgórzu przed bramą grodu obronnego i obserwowałem dym unoszący się ponad szczyty drzew, znad gospodarstwa, skrytego w zakolu rzeki. Znałem tamtejszą rodzinę. Liczniejszą niż moja, pogańską. Wiatr rozniósł zapach spalenizny po całej okolicy.

Myślałem, że to zwykły napad kilkusobowej bandy. Kończył się czas zimy, ale śniegi jeszcze nie ustąpiły, a lód skuwał jeziora i rzeki, więc łatwo było polować nie tylko myśliwym w lasach, ale i tym, którzy szukali łatwego łupu w lauksach.

Oczywiście wyobraźni widziałem już pełną złości twarz naszego buttanawas, najmężniejszego z wojowników, który zawsze stawał na czele lauksu, jak szykuje ludzi do pogoni albo wyprawy odwetowej. Czułem dreszcz podniecenia, to mogła być moja największa podróż poza

granice gospodarstwa, na dodatek z toporem w ręku.

Nagle krajobraz – zielone iglaste drzewa, leniwie sunące po niebie chmury i dym, kaszlący w stronę nieba popiołem, roznoszący zapach śmierci – zmienił się nieznacznie. Tam, gdzie za nieprzeniknionym gąszczem chowały się inne sąsiednie lauksy, pojawiły się dodatkowe ślady ognia.

Usłyszałem krzyki. W moją stronę zaczęli nadbiegać umazani błotem, we krwi, wyczerpani ludzie. Większość rozpoznawałem z daleka. Nie wszystkich znałem z imion.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak w tak krótkim czasie można wyrządzić tyle krzywdy.

* * *

Schroniliśmy się w grodzie obronnym. Kobiety, dzieci, starcy, ale i gotowi na wszystko wojownicy. I ja też mocno trzymałem palce zaciśnięte na trzonie topora, choć chyba bardziej z rozdrażnienia niż ze strachu. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to prawdziwy strach. Kilka pomieszczeń dawało nam dach nad głową, a wypełniony zapasami magazyn pozwalał nawet na przetrwanie oblężenia, które jednak o tej porze, ze względu na rychło mające nadejść roztopy, zdarzały się rzadko. Wysoka palisada, wzmocniona wałem ziemnym, dawała nam poczucie bezpieczeństwa. Gdy jeden z obserwatorów na wieży ostrzegł nas, że wrogowie nadchodzą, w środku zapanowało poruszenie, a już chwilę potem zawrzało na

wieść, że to nasi pobratymcy z sąsiednich lauksów. Neofici z krzyżami na piersiach. Stanęli przed palisadą i nic nie dały przekleństwa naszego buttanawas i żądania kapłanów, by odeszli.

Początkowo padł pierwszy szereg intruzów, przeszyty strzałami. Nie zniechęcił jednak pozostałych – do nocy schowali się w lesie.

W grodzie wszystkich postawiono w stan gotowości – nawet kobiety i dzieci. Kapłani pozwolili odejść chrześcijanom, znalazło się kilku tchórzy, którzy w ten sposób chcieli uratować życie.

Za mnie poświadczył mój ojczym, choć i mnie chcieli zmusić, bym odszedł. Myślałem o tym. Tam byli chrześcijanie, jak ja i mój ojciec. Nie chciałem jednak opuścić matki.

O zmroku ktoś z lauksu wybił strażników, a najeźdźców wpuścił do środka. Mój ojczym oskarżył o zdradę neofitów. Spojrzał na mnie, w rękę trzymał topór, gotowy go użyć. Matka rzuciła mu się na ramiona, pozwoliła, bym wybiegł z chaty.

Najeźdźcy byli już w środku. Zniszczyli mój świat w ciągu paru chwil. Spalone domy, wyrżnięte rodziny. Trupy. Tylko nad jednym nie uroniłem łzy. Mojego ojczyma.

– Jestem ochrzczony! – krzychałem ze strachu. Miałem nadzieję, że mnie oszczędzą, tak jak tych, którzy z krzyżami na piersiach przyłączali się do neofitów, choć w gęstym dymie i wśród wrzasku trudno było rozpoznać

ochrzczonej. Krzychałem i ja, biegając wśród mieszkańców lauksu i napastników. Wśród nich dostrzegłem mnicha. Szary habit, zapewne niegdyś biały, długie włosy i broda, wychudła twarz, szkliste oczy, cienkie usta. Wydawał się nieruchomy pośród dymu, lamentu i śmierci.

Wtedy zrozumiałem, że przecież nie zostawią przy życiu mojej matki.

Tylko nieliczni z nas mieli odwagę i siłę, by walczyć. Umierali na klęczkach, przeszyci strzałami. Padali z rozłupanymi głowami.

Nie wiedziałem, co robić. Czy bronić domu jak inni, czy stanąć po stronie nowej wiary.

Nameda odnalazła mnie i ukryła się w moich ramionach, choć nie były z żelaza, przyznaję, że drżały wtedy jak źdźbła trawy na wietrze. Chowając się wraz z nią w progu domu, przyglądałem się, jak matka ciężko stąpa w stronę świętego drzewa. Chciałem się rzucić w jej stronę, ale Nameda powstrzymała mnie i przestrzegła, żebym nie wychodził na plac z gołymi pięściami. Kątem oka dostrzegłem, jak moja siostra wymyka się z lauksu: na początku myślałem, że stara się umknąć, ale zdziwiłem się, gdy podbiegł w jej stronę wielki wojownik. Nie uderzył toporem, tylko mocno objął ramieniem i odciągnął na bok. Nie chciałem w to wierzyć, ale siostra miała poza lauksem kochanka, a on brał ją na moich oczach, niby pierwszą lepszą branke.

Rozejrzałem się za matką. Prawie biegła teraz wraz z

innymi w stronę świętego dębu.

Tajemniczy mnich zaczął krzyczeć i wskazywać tym, których przywiódł ze sobą, pochod starców, kobiet i dzieci. Jakiś wojownik wyprzedził ich, podłożył ogień pod drzewo; suchy konar zajął się w jednej chwili. Moja matka wyciągnęła ręce w lamencie, przewróciła się. Wswobodziłem się z uścisku Namedy i rzuciłem się na pomoc. Gdy śmignęła nad moją głową okuta pałka, przyłgnałem do ziemi. Wstałem i znów pobiegłem, przypadłem do matki.

– Uciekaj! Uciekaj! – szeptała albo krzyczała.

Nie posłuchałem. Ciągnąłem ją za ręce, by się podniosła. Gdy w końcu ruszyła w stronę drzewa, poszedłem za nią, ale ona odpychała mnie, nalegając, bym uciekł. Gdy upadłem, bo ktoś przebiegł za moimi plecami i popchnął mnie, krzyknąłem tylko z rozpacz, widząc, jak moją matkę wciąga do środka gładki konar.

Rzuciłem się w stronę palisady, w miejscu, gdzie była szczyrba. Prześlizgnąłem się przez wąską szczelinę, przesadziłem rzeczkę, i wbiegłem między liście i krzaki, schowałem się.

Postanowiłem przeczekać atak.

* * *

Nie wiem, ile tkwiłem w lesie, walcząc z każdym odruchem strachu, by nie uciec, ale i odwagi – nieraz chciałem poderwać się z ziemi i rzucić z krzykiem na

ustach, aby zabijać wrogów mego lauksu. Nie zrobiłem jednak nic. Wsłuchiwałem się tylko w odgłosy śmierci, ostatnie tchnienie mojego małego świata.

Gdy wszystko ucichło i tylko zapach spalenizny unosił się między drzewami, wyszedłem ostrożnie z ukrycia. Przeraziłem się, bo dopiero teraz przypomniałem sobie o Namedzie, że pozostawiłem ją w lauksie. Pognałem w stronę dogasających zgliszczy. Szukałem swojej przyjaciółki wśród żywych i umarłych, ale bezskutecznie. Pocięczałem się, że pewnie najeźdźcy wzięli ją w niewolę. Że przeżyła i że sobie poradzi.

Nie mogłem znieść myśli, że oprawcy mieli twarze podobne do mnie, ubierali się tak jak ja, mówili tym samym językiem.

Nie chciałem opłakiwać mojej matki – przecież sama wybrała taką śmierć – ale łzy cisnęły się do oczu, spływały po policzkach. Klęczałem długo przy spalonym dębie, a potem usłyszałem odgłos, jakby ktoś szedł ścieżką usłaną z suchych liści. Skuliłem się w sobie. Podły strach sparaliżował mnie, nie miałem nawet siły, by rozejrzeć się wokół, a co dopiero wstać i znów się ukryć. I dopiero po chwili zrozumiałem, że nikt nie idzie w moją stronę, a ten dźwięk dochodził gdzieś z pogorzelska. Zacząłem więc rozgrzebywać popiół i ziemię. Parzyłem sobie dłonie, łamałem paznokcie. I nagle dojrzałem kawałek nadpalonego korzenia drzewa. Mocno go ścisnąłem, choć był jeszcze ciepły. Nie mogłem w pierwszej chwili uwierzyć, gdy rozpoznałem odgłos, który

mnie wcześniej wystraszył: to był szept mojej matki.

Jej dusza omal nie przepadła w kawałku drewna, wysechłby zapewne. Wiedziałem, że tulisz może sprawić, by drzewo odrosło, zasadzić w świętym gaju, niech tam choćby i spłonie – ale doszczętnie.

* * *

Krzyżowcy, którzy przyszli dzień później, znaleźli mnie nieprzytomnego w popiele – pokrył mi twarz. Chcieli wyrwać mi z ręki odnaleziony kawałek drewna, próbowali wyłamać palce i chyba tylko szaleństwo, które oszpeciło mi twarz, rozśmieszyło ich tak bardzo, że pozostawili mnie przy życiu.

Stąd niewola, a nie śmierć z głodu, stąd sińce, upokorzenie i łzy. W jednej chwili zawstydzilem się – jak mogłem starać się uwierzyć w ich Boga? Przyjąć krzyż? Tylko dlatego, że chciał tego mój ojciec, a ja sam próbowałem oszukać przeznaczenie – jak mawiała Nameda – nie przyjmując wyznaczonej mi roli pogańskiego kapłana.

Nawet nie pamiętam, czy się broniłem, czy stałem bez ruchu. Lepiłem się od krwi, oczy miałem podbite, całe ciało posiniaczone. Poszturchiwania moich nowych panów, ich śmiech i lament towarzyszy niedoli, których skrupowano sznurem wraz ze mną, nie pozwalały mi zasnąć i zapomnieć o upokorzeniu i żalu.

Wlokłem się po mojej ziemi wraz z innym porwanymi z

lauksów. Nie widziałem, gdzie jest kres tej wędrówki. Wielu z nas odebrało sobie życie, połykając kawałki kamieni albo prosząc innych, by ich udusili we śnie. Woleli śmierć niż upokorzenie w niewoli, wybrali niepewną wędrówkę w głąb ziemi, gdzie czekali na nas przodkowie, siedząc na ławach i strzegąc wejścia do lauksu, otoczonego palisadą z dziewięcioma bramami. Gdy ktoś postanawiał odebrać sobie życie, inni więźniowie wtykali mu w dłoń kawałek placka, który udało im się zachować, by zmarły nie szedł w zaświaty z pustymi rękami, by mógł spożyć posiłek wraz z pradziadami.

Pomimo że rycerze obserwowali nas i karcili pachółków, złorzecząc, że nie przybyli na pruską ziemię, by taszczyć ze sobą trupy, to coraz więcej zliczałem moich martwych braci. Pachółkowie odcinali zmarłym ręce, by szybko pozbyć się zwłok – nieraz jakaś kończyzna pozostała skrępowana linami – a my, ponaglani przekleństwami, musieliśmy iść dalej i ciągnąć ze sobą ten makabryczny bagaż.

Gdy nadszedł dzień, kiedy nogi odmówiły mi posłuszeństwa i drżałem cały w gorączce, pomyślałem, aby tak jak wielu przede mną, połknąć język, ale zabrakło mi odwagi, by umrzeć. Spojrzałem na niebo, gdzie ponoć tkwiła rysa. Dojrzałem tylko chmury. Wydawało mi się, że jedna z nich przybiera kształt twarzy, na której rozkwita drwina.

Z czasem nasi prześladowcy odstąpili od

poszturchiwania i zaczęli nas dokarmiać. Z tępym wyrazem twarzy albo wystraszeni, tak samo bladzi i zmęczeni jak my, z ulgą osiągnęli rzekę. Teraz szliśmy wzdłuż brzegu, i tak jak daleko sięgał mój wzrok, tak daleko ciągnęło się jej koryto, jakby nie miała końca.

Wisłę znałem tylko z opowieści wojowników, którzy wracali z wypraw na Pomorze. Jej ogrom i niespokojny nurt wzbudziły we mnie respekt. Mój ojciec opowiadał, że rzeka wpada do samego morza. Marzyłem wtedy, by zobaczyć wielką wodę, ale nie jako niewolnik, ale zwycięzca.

Z czasem tempo marszu stało się powolne. Zacząłem wybudzać się z letargu. Mieliśmy niekiedy chwilę wytchnienia, szczególnie gdy wozy utykały w błocie. Przysiadaliśmy wtedy w kucki, żeby nie zmoczyć ubrań od wilgotnej ziemi. Odwilż przyszła nagle, zaskoczyła krzyżowców.

W końcu dobrnęliśmy do jakiejś przeprawy, gdzie pośrodku rzeki tkwiła niewielka wyspa. Za pomocą wbitych w ziemię pali po obu jej stronach i grubych sznurów przeciągano ruchome pomosty, na które rycerze kazali załadować pachołkom dobytek, a sami pognali nas dalej na północ. Niedługo potem kilku jeźdźców dołączyło do pochodu, ciągnęli za sobą skrupowanych sznurem jeńców z innych lauksów. Pokonywaliśmy kolejne staje. Znów osłabiła mnie gorączka, ale nie poddawałem się, choć każdy krok stawał się trudniejszy.

Tuż za mną wlekli się chłopcy z sąsiednich osad.

Znałem niektórych. Jeszcze niedawno podczas wspólnych wypraw do lasu drwiliśmy z siebie, przekomarzaliśmy się, każdy chciał zaimponować innym odwagą i siłą. Teraz nic nie zostało z naszej beztroski, prócz wspomnień. Wyglądaliśmy jak starcy.

Podczas jednego z postojów pewien ryży chłopak, by wlać w nasze serca nieco otuchy, opowiedział nam o Jeziorze Łez.

Wtedy to po raz pierwszy zacząłem dłubać w kawałku drewna zabranym z mojego lauksu.

* * *

Jezioro Łez, gdzie ponoć uchwycono spojrzenie boga. Tak nazywano lauks, w którym rządził chrześcijański mnich o imieniu Godfryd. Wiele mitów krążyło od wioski do wioski o tej osadzie. Ponoć mnich wiele lat temu przekroczył Wisłę, by ochrzcić naszych ojców, ale chronił pogan przed tymi, dla których chciwość i żądza mordy były silniejsze od nakazów biskupa pruskiego Chrystiana, by ich oszczędzić.

Mój ojciec widział na własne oczy Jezioro Łez. Jego sława docierała do najodleglejszych lauksów, do Sambii i Galindii. Był postrachem Jaćwięgów, zniknął kiedyś na jedną zimę, by powrócić aż z odległej Rusi, a po drodze – jak zapewniał – odnalazł Jezioro Łez. Wtedy też pękło niebo i mój ojciec namawiał swą żonę, a moją matkę, by udać się tam i schronić, ale ona nie chciała. Kolejnej zimy

odszedł na wyprawę i nigdy go już nie ujrzałem.

* * *

Kawałek drewna w moich zręcznych dłoniach zaczął przypominać krzyż. Na każdym z postojów, by nie zwariować od beznadziejnych rozmów z innymi niewolnikami, nie wysłuchiwać ich lęków albo przechwałek, co zrobią, kiedy tylko rozerwą sznury, pocierałem mój korzeń o ziemię, o kamień, dłubałem w nim, kalecząc palce. Jeden z pacholeków przypatrywał się temu, co robię, od wielu dni. Bałem się, że zakaze mi rzeźbić, ale on wręczył mi kozik, bym mógł pracować dalej, bardziej dokładnie. Starąłem się, by ramiona wiszącego były proste, mięśnie – żyłaste, zebra – widoczne. Gładziłem po drewnianym ciele opuszkami palców, tak by poczuć każdą część z osobna: chude nogi, przebite stopy.

Twarz.

Twarz sroga, bez tej skazy cierpienia. Jakbym nie ja ją wyrzeźbił, tylko cudza ręka.

Gdy ukończyłem zaczęte wiele dni temu dzieło, pacholek odebrał kozik, pomacał rzeźbę z uznaniem, ale mi ją oddał. Zrobił zdziwioną minę, gdy gestami przyznałem mu, że jestem neofitą, choć jeszcze niedawno wstydziłem się tego i zamierzałem ukrywać to przed innymi więźniami. Podniosłem wysoko chrześcijański symbol przed siebie, narażając się na ich przekleństwa i

wyznałem Chrystusa, nerwowo żegnając się po kilka razy.
Dość miałem tych sznurów. Tak bardzo mi ciążyły.

Rozdział 5

Sama obecność zła w świecie musi być dobra, skoro je Bóg dopuszcza. Zło nie może być nicością, jak kłamał Augustyn. Ja jestem. Wypełniam ludzkie ciało, gdzieś między sercem a duszą, pomiędzy żebrami.

Czuję, jak drżą palce de Vivara.

Nareszcie!

Mogłem nimi poruszać!

„I dziwiłem się, że już kochałem Ciebie, a nie twór wyobraźni zamiast Ciebie, i nie zatrzymywałem się, by się cieszyć Bogiem moim, lecz porwany byłem ku Tobie pięknnością Twoją”, powtórzyłem za świętym Augustynem.

De Vivar usłyszał blisko namiotu trzask łamanych gałęzi, skrzypienie śniegu ustępującego pod ciężarem stóp. Ktoś przedzierał się nerwowo, na oślep.

Dowiedział się z raportów mistrza Almodovara, które właśnie odrzucił ze wstrętem, że w pomorskich lasach na krzyżowców czyhało wiele niebezpieczeństw. A opuszczony obóz był łatwym łupem dla padlinożerców w ludzkiej skórze.

Uwierzył, że dokumenty mówią prawdę, gdy usłyszał pełen zadowolenia krzyk i tupot rozbiegających się po polanie intruzów. Wiatr czasami zniekształcał słowa, ale rycerz z Calatrava rozpoznawał pomorski dialekt. Włóczędzy śmiali się na myśl o tym, że o świecie obudzą

się z pełnymi brzuchami.

Postanowił przycząć się w namiocie. W rękę trzymał już miecz, gotowy, by sztydzić z tego, że tylko Bóg daje i odbiera życie. Napiął wszystkie mięśnie, szykując się do skoku na każdego, kto odchyli ciężką kotarę przy wejściu.

Jednak nikt do środka nie zajrzał. Po odgłosach domyślił się, że intruzów mogło być więcej niż ma palców u rąk. Rozpalili ognisko. Wsłuchiwał się w każdy odgłos: kobiecy chichot, kłótnie między mężczyznami, może wyrywali sobie zdobycz, ponaglenia, rozkazy, narzekania. Bez trudu przewidział, co teraz robią. Po kilku pacierzach, które nerwowo szeptał pod nosem, poczuł swąd przypalanego ludzkiego mięsa, usłyszał pełne zadowolenia głosy nucące sprośne przyśpiewki.

Ta beztroska, ta radość z łatwego łupu, przekonała go, że ma do czynienia z przygodnym, pospolitym motłochem, a nie z zorganizowaną bandą, jakich pełno grasowało na gościńcach i włóczyło się po lasach w poszukiwaniu ofiary – czy to zwierzęcia, czy człowieka.

I choć los jego braci z Calatrava już się dokonał, nie chciał pozwolić, by ich ciała skończyły tak marnie. Wszedł przed namiot i rozejrzał się po obozowisku.

Ognisko i plecy sześciu mężczyzn, i jednej kobiety – długi warkocz sięgał białogłowie aż do pasa. Dwóch towarzyszy, stojących najbliżej, w podnieceniu łapało ją za pośladki, reszta siedziała zapatrzona w mięso skwierczące nad ogniem.

Florencjusz ruszył zdecydowanym, ciężkim krokiem,

nie bacząc, że skrzypienie śniegu zdradzi jego obecność. Podmuch wiatru poderwał poły płaszcza, jedna ręka w półmroku wydawała się kończyć błyszczącym w zapadającym już półmroku ostrzem, drugą zacisnął w pięść.

Pierwsza odwróciła się kobieta.

Ładna, choć wychudzona buzia, zapadłe policzki, niebieskie duże oczy. Przerazenie. Chlasnął niebrzydką twarz płazem miecza tak, że trzasnęła czaszka. Dwaj kompani niewiasty tylko spojrzeli nieprzytomnie na truchło, a potem i ich rycerz z Calatrava wynagrodził śmiercią. Trzech pozostałych odskoczyło od ognia, skryli się w półmroku, ale nie odstępili. Zerkali na mięso i na intruza.

Z cienia wyszedł, opierając się na kiju, kulejący grubas. Wyciągnął ręce w stronę ogniska i zaczął je ogrzewać, jakby nie dostrzegając niebezpieczeństwa.

– Przyłącz się do wieczerzy, panie, dla wszystkich wystarczy – zaprosił calatravensa z uśmiechem.

Krzyżowiec przyjrzał się tłuściochowi. To nie był zwykły ciura, pachół czy chłop. Po postawie, rysach twarzy rozpoznał w nim szlachetną krew, zepsutą przez panujące na gościńcach obyczaje.

– Z równym gadasz – odezwał się Kulas, widząc, jak calatravens mu się przygląda.

Florencjusz uśmiechnął się.

– Może kiedyś machałeś mieczem, ale teraz masz tylko kostur żebraczy.

– Czyż nie czyni mnie to człowiekiem? Doświadczając miłosierdzia i wzdargy Boga, poznajemy siebie.

– A więc klecha. I to uczony. Wybacz mi, ale nie zasiądę z wami przy jednym stole.

– Jadło ci nie odpowiada? – Zaśmiał się ten z półmroku.

– Towarzystwo. – Splunął. – Zresztą lepsza chyba zwierzyna w lesie niż martwy człowiek, z którego dusza jeszcze nie uleciała.

– Głód nie jest dobrym doradcą, przyznaję.

Klecha skinął na pozostałych, a oni na dobre skryli się w mroku.

– Zanim umrzesz, zdradzę ci sekret, rycerzu – powiedział, nie przestając ogrzewać dłoni przy ogniu. Był bardzo pewny siebie albo takiego udawał. – Nie wierzę, że dziś umrę. A wiesz dlaczego? Piastowałem kiedyś godność biskupa. Bóg nie zapomina o swoich wiernych.

– Biskupa, powiadasz. – Florencjusz odchrząknął. – Więc schudłeś. – Był już gotowy, by wpierw obdarować rzezimieszków bólem, dopiero potem przynieść im śmierć.

* * *

Nie rzucili się na krzyżowca. Zamarli w pół kroku, choć wcześniej próbowali zająć go z tyłu.

De Vivar usłyszał, jak ktoś nieporadnie przebija się przez chaszczę, jeden z przybyszy klął, inny go uciszał. Na polanę wyszedł zwykły pachol i rycerz w białym

płaszczu z czerwonym krzyżem, pochylony, jakby pod ciężarem trosk albo grzechów, tęgi, sapiący z wysiłku, bo każdy krok wydawał się dla niego wyzwaniem.

Włóczędzy odstąpili i uciekli.

– Na rany Syna Bożego! – krzyknął przybyły i ruszył w stronę calatravensa. – I Bogu niech będą dzięki, żeście wyszli z tego cało. Jestem brat Ranen Sobiesławowic. Bratanek księcia Świętopełka, od niedawna w służbie zakonu Braci Chrystusowych z Zantyra – przedstawił się i wyciągnął prawicę. – I Bogu niech będą dzięki, że przybyliśmy w porę. – Spojrzał na pachołka, który otrzepywał ramiona z gałęzi i liści.

– Trochę za późno. – De Vivar wskazał na pozostałości obozu.

Rozejrzeli się po obozowisku, zatykając nosy. Smród palącego się ludzkiego mięsa stawał się nie do zniesienia.

– Prusowie – rzekł książę.

Ranen pochodził z możnego rodu pomorskich książąt, Sobiesławowiców. Gdy zmarł mu ojciec, tron przypadł bratu starego księcia. Stryj nigdy nie zamierzał oddać władzy bratankowi, z czym zresztą ten nie do końca się jednak pogodził.

Florencjusz złapał go za ramię.

– Wiem, bracie, że to nie zwykli włóczędzy.

– Bóg odwrócił od was wzrok, skoro postawił wasze obozowisko na ich drodze. Pełno ich tu, ale od kilku dni wiemy, że większa grupa idzie na północ. Zapewne w stronę grodu księcia Świętopełka. Ale nie ważą się go

zaatakować, zbyt dużo rycerstwa tam przybyło. – Ranen z niepokojem spoglądał w ciemność, skąd dobiegały ich odgłosy łamanych krzaków.

Florencjusz podszedł do dwóch martwych kompanów, których już na dobre przykrył śnieg. Ukucnął przy nich i zaczął odsłaniać ich zamarznęte, sine twarze. Śnieg lepił się, jak zasłona chciał zakryć koszmarne maski przed upstrzonym już gwiazdami niebem, przed pięknym przecież światem, gdzie śmierć, choć drepcze po gościńcach, nie musi na niego patrzeć.

– Las Navas de Tolosa! – krzyknął, potrząsając jednym z umarłych kompanów. – Las Navas de Tolosa!

Dopiero w tej chwili poczuł prawdziwy żal, że ich utracił i że na to pozwolił. Gdyby mógł odszukać teraz w swych lędźwiach diabła, wyrwałby go i wdeptał w ziemię. A wraz z nim ten żal...

Sobiesławowic podszedł do niego, odpychając uprzednio rękę pacholka, który próbował i jego habit oczyścić z liści.

– Co krzyczysz? – spytał, gdy stanął już przy calatravensie.

– Las Navas de Tolosa! – De Vivar poderwał się z ziemi i położył mu ciężkie dłonie na ramionach. – Chcę, żeby ten krzyk usłyszał każdy Prus. Te diabły wyrznęły nas przy postoju na pomorskim gościńcu.

Zemści się, przyjdzie i na to czas. Tak jak się zemścił na rodzinie Matiasa. Tu żaden król nie nałoży mu obręczy pokutnej. Ten kraj, uwierzył w to, mógłby się stać dla

niego nowym Miastem o Tysiącu Bramach.

Ranen pokiwał w przerażeniu głową.

– Liczyliśmy na oręż dzielnych rycerzy z Calatrava, a wyszło na to, że będziemy kopać im groby.

Krzyknął głośno w las.

Na polanie pojawiło się kilku kolejnych pachołków.

Sobiesławowic zaczął szybko wydawać dyspozycje:

– Oporządźcie konie, zbierzcie na wozy to, co jest najcenniejszego – nakazał, a potem głośno się zastanowił:

– Książę Świętopełk i brat Chrystian nie będą radzi, że zamiast dziesiątków przybył jeden rycerz z Calatrava. Bóg chyba naprawdę nas przeklął. Co za rzeź!

Florencjusz spoglądał na grubego zakonnika i zastanawiał się, że jeżeli jest to przedsmak tego, co go spotka na tej ziemi, to nie będzie łatwo. Szybko jednak oprzytomniał i burknął na jego służbę:

– Trzeba też wziąć habity, miecze, płaszcze, pasy i załadować na wozy. Wszystko. Żeby śladu nie było po tym, że tu dokonana się rzeź rycerzy z Calatrava. Resztę spalić.

– Przecież nikt nie musi wiedzieć, że dotarł tylko jeden rycerz. – Książę uśmiechnął się chytrze na ten pomysł.

– Dwóch. Jest jeszcze jeden. – Wskazał ręką namiot. – Choć ledwie żyw.

– Marna to pociecha. Sklepiemy z desek leże. – Ranen w zamyśleniu potarł obwisły podbródek. – Może nie zemrze, nim dotrzemy do Gdańska. – Poszedł zajrzeć do namiotu. Wyszedł po chwili z zakłopotaną miną.

– Piękny to mąż i zapewne prawy. – Przeżegnał się. –
Bóg jednak zabrał go do siebie.

Florencjusz aż drgnął, słysząc te słowa.

– Zmarł od ran... – Zasepił się.

– Dostrzegłem dziurę w jego szyi.

– A giermek?

– Też ma dziurę. Wszędzie pełno krwi.

Książę spojrział na dłonie i habit rycerza z Kastylii.

– To krew Prusów. Walczyłem. – Florencjusz
odepchnął pomorskiego krzyżowca i wszedł do namiotu.
Dwa trupy, stół, rozrzucone raporty. Strzała na blacie.
Cała we krwi.

– *Mistrzu, zastąpiłeś właśnie Almodovara* – usłyszał
szept.

* * *

Florencjusz nie mógł się nadziwić, skąd znalazł tyle sił,
by przebić strzałą niemal całą szyję Almodovara. Gdy
wrócił giermek z kubkiem roztopionego śniegu, zabił i
jego, choć mógłby przysiąc, że to diabeł kierował jego
ręką.

Przyjrzał się martwej twarzy mistrza – nie wyrażała już
spokoju, malowały się teraz na niej granice ludzkiej męki.

* * *

Dzień później de Vivar spytał się mnie o to, kto trzymał

strzałę, która została wbita w gardło mistrza. Chciałbym w odpowiedzi wzruszyć ramionami. Gdybym tylko to potrafił... Nie zamierzałem się też przyznać, że opanowałem na chwilę jego ciało, przede wszystkim rękę. Chyba by nie zrozumiał tej mojej potrzeby, by nie tylko namawiać kogoś do zbrodni, ale i dokonać jej z całym tym bagażem wątpliwości. Chciałem poczuć to, co odczuwał de Vivar, zabijając Matiasa i wielu innych. Nie mogłem inaczej. Nie dość miałem jeszcze siły, by utrzymać coś więcej niż pióro albo strzałę...

Po raz pierwszy udało mi się stępić jego zmysły, sprawić, by był bezwolny, ale jakże mógłbym mu to wyznać. Gdybym wierzył w Niego, rzekłbym: Niech Bóg broni!

Więc nic nie wyznałem. Nie chciałem się przecież przyznać, że moja władza sięga już nieco dalej niż jego słuch i wzrok.

A potem spytał się o coś tak żalosnego, że aż mnie zemdlilo. Czy śmierć mistrza była konieczna? A która jest?

Wyczułem jednak, że tą zbrodnią naprawdę go zaciekałem. Nie wiedziałem, co z niej wyniknie, ale on wierzył, że mam plan. Zaczął się mnie obawiać, ale i ufać nieco bardziej.

* * *

Pachołkowie księcia ukrywali ślady rzezi, ogniska

nabierały blasku.

Florencjusz siedział przed namiotem, zapatrzony przed siebie, zastanawiał się, jak to możliwe, że tylko on widział najeźdźców. Odpowiedź mogła być tylko jedna – za sprawą diabła.

Cienie.

Uratował go przed niechybną śmiercią, a potem sprawił, że teraz to on, de Vivar, jest odpowiedzialny za losy zakonu na pomorskiej ziemi. Ale za jaką cenę! Dla diabła nie istniał honor. Zabił nawet Almodovara – to zwykła zbrodnia, nie męstwo.

Czy to też część *fin'amor*! Droga z kości i krwi, którą musi przejść, by u celu poczuć upragniony smak ust Anny?

* * *

Jechali pomorskim gościńcem. Dwóch krzyżowców, służba i kilka wozów. Widać, że książę bardzo był ciekawy rycerza zza Pirenejów, bo przyglądał się mu i uśmiechał.

Bratanek księcia Świętopełka wyglądał jak tusty wieprz: okrągły nos, obwisłe policzki, szkliste oczy. Usta, jakby bez barwy, niby w ciągłym uśmiechu – cienka kreska od ucha do ucha. Nie znał granic w jedzeniu i piciu. Nieporadny podczas walki, o ile w ogóle chwycił miecz. Tusza i zakonny habit niejednym razem uchroniły go przed niepotrzebnymi starciami. Zwinny był za to przy

suto zastawionym stole. Modlił się gorliwie, nie mógł się jednak przemóc, by przestrzegać postów.

Śluby zakonne złożył niedawno, przypominał o tym co chwila, jakby tłumacząc się ze swych ukrytych gdzieś w głębi słabości. Tacy jak on nigdy nie staną ramię w ramię z krzyżowcami udającymi się do grobu Chrystusa.

Jego żona, Damroka, córka księcia na Sławnie, zmarła kilka lat temu. Gdy wyjechał na wyprawę do Prus i słuch po nim zaginął, wystawiła kościół, by przebłagać Boga za grzechy męża albo – jak mówili inni – by prosić Najwyższego, by ukochany wrócił. Ojciec chciał ją wydać za jakiegoś pomorskiego rycerza, ale ona w gniewie przeklęła całą rodzinę, za co stary książę kazał zamknąć ją w wieży.

– Pierdolić łabędzie – miał w zwyczaju mawiać wdowiec.

Ponoć przyrzeczony jej nowy mąż chciał ją porwać, a ona rzuciła się z wieży, ale na szczęście jej piastunka sprowadziła te piękne ptaki, które poniosły księżną na białych skrzydłach. Tylko nie wiadomo gdzie, zwłok nie odnaleziono.

Ranen wrócił z wyprawy, oskarżył stryja, że nie wziął jego żony w opiekę. Ranił go, musiał uciekać. A rycerza, który chciał mu porwać żonę, odnalazł i zabił, przebijając jego biały habit z czarnym krzyżem, za którym niefortunny zalotnik próbował się schować. Zakon szukał pomsty na Sobiesławowicu za wyrządzoną krzywdę, a Świętopełk rozsądził spór, kazał bratankowi ufundować

kościół i zapłacić majątek jako główshczyznę Zakonowi Najświętszej Marii Panny. Kościoła nie ufundował, krzyżowcom nie zapłacił. Odtąd miał potężnego wroga. Zakon. I łabędzie. Tych nie znoził.

Księżę niedługo rozpaczał z powodu utraty żony. Brakowało mu czułości. Choć niemłody, niejedną pannę – jak sam mawiał – zauroczył już swą postawą, powagą na twarzy, szybkością ruchów i gibkością w łozu pomimo swej tuszy.

Nie należał do ludzi gwałtownych. Tylko niedostatki w jedzeniu albo nadmiar wypitki powodowały, że stawał się niespokojny, jakby sam diabeł wchodził mu w głowę i powodował, że mnożył na jego rachunek złe uczynki; wtedy rycerz bił do nieprzytomności słabszych od siebie, kochał przygodne kobiety bez ich zgody, trzepnął mnicha nazbyt mocno podczas nerwowej spowiedzi. Ale nie omieszkał przypominać, że Bóg jest wielkoduszny i nie osądzi go po tych błahostkach, tylko po rozterkach, jakie nim potem targają, i dobrych słowach w modlitwie.

Sobiesławowic wiele miał szczęścia pod Brodnicą. W bitwie z Prusami nie odniósł żadnej rany – przewrócił się o kamień i leżał długo, udając martwego. Wstał po zakończonej bitwie. Długo potem rozpaczał, że reszta zakonu została wyrżnięta. Doszło tam zresztą do zdrady. Brat Chrystian, cysters z Oliwy, słał więc listy nie tylko do Meklemburgii, ale i do Calatrava, by szybko wspomóc zakon świeżym rycerstwem. Bo dotychczasowy protektor, Świętopełk, już zapatrzył się na nowy zakon, od

Najświętszej Marii Panny.

Florencjusz wiedział z raportów Almodovara, że wyprawy tutejszego rycerstwa do Prus z różną mocą i powodzeniem prowadzone były pod dowództwem Henryka Brodatego, Konrada Mazowieckiego, Leszka Białego, Świętopełka i jego braci. Choć nie zawsze stawali na ziemi pruskiej ramię w ramię, to zarówno arcybiskup gnieźnieński, kiedy jeszcze żył, jak i biskup pruski Chrystian cieszyli się, że wspólne właśnie i spory książęta odłożyli na później. Tak było podczas kilku ostatnich wypraw, do czasu zdrady Gryfitów i Odrowążów. Najmężniejsze śląskie rycerstwo musiało stawić czoło pruskim hordom, a Małopolanie pod wodzą Gryfitów ustąpili z pola walki, tłumacząc się stratami.

Może mniej tu słońca niż w Hiszpanii, ale ludzie wszędzie tacy sami – Florencjusz przypomniał sobie właśnie i spory zza Pirenejów.

Oparł brodę o pierś, bo droga stała się nużąca. Jego kompan rozglądał się dookoła, wypatrując niebezpieczeństw, ale z każdą stają, która zbliżała ich do Gdańska, mogli czuć się coraz pewniejsi. I śnieg przestał padać, topniał szybko, a wiatr osuszał ziemię. Tylko ta niekończąca się masa ludzi krocząca gościńcem... Tuż obok krzyżowców jakaś kobieta mocno przyciskała do piersi płaczące dziecko, rosły chłopiec próbował zmusić kozę na postronku do posłuszeństwa, bijąc ją i przeklinając. Kilku mnichów szło spokojnie gęsiego – swą pewną postawą i mrukliwym śpiewem wzbudzali lęk

wśród tłumu. Zakapturzony rycerz, zapewne obłąkany, bez konia i miecza, opędzał się kijem od szydzącej z niego dziatwy.

Gdyby nie wozy, popędziliby konie, rozpędzili hołotę na drodze i w jeden dzień dotarliby do grodu, ale słońce już zachodziło, więc musieli kolejną noc spędzić w naprędce przygotowanym obozie.

Wozy ustawili w szereg, rozpalili ognisko. Nikt nie ośmielił się zasnąć.

De Vivar przykrył się skórą i przymknął tylko oczy, nasłuchując każdego odgłosu: pogawędek pacholców, ich ciężkich kroków, wycia wilków w lesie, skrzeku poderwanego ptactwa. Anna wydawała mu się teraz tak odległa – jej dotyk, spojrzenie, ich wspólne rozmowy. Pod na wpół przymkniętymi powiekami odmalował mu się obraz śniadej twarzy kochanki, roześmianej i pełnej życia. A zaraz potem twarz blada i trupia. Wystający język. Wisielec.

Przysiadł, rozgorączkowany. Odepchnął złe myśli i wizję, odetchnął głęboko.

Gościńiec zamarł. Ciężka ciągnąca drogą spała w niedbale skleconych szałasach. Większość ciągnęła, jak mówił Ranen, do okazalszych grodów, by tam znaleźć schronienie, gdzie jeszcze obowiązuje książęce prawo. Wielu było jednak pielgrzymów, którzy udawali się do Oliwy, by ujrzeć rysę i świętą relikwię – szeptającego Chrystusa. Z dala dostrzegał ogniska, czasami dochodziły do jego uszu żałosne śpiewy, odgłosy samotaniny, walki.

Kolejny dzień przywitał ich słońcem i bezwietrznym ciężkim powietrzem.

Sobiesławowic spojrział na niebo, gdy jechali ponownie drogą.

– Przez rysę – sklął pod nosem – nie możesz być już nawet pewny, czy w jednej chwili spadnie śnieg czy deszcz, choć niektórzy twierdzą, że zima zawsze nadchodzi szybko, a jeszcze prędzej odchodzi.

Bliskość rysy, choć Florencjusz jej nie widział, pozwalała uwierzyć, że sąd jest blisko. Ludzie podporządkowywali jej wszystko. Nawet ignorując ją, czuli, jaka kara może ich za to spotkać. Tak myślał. Tam, w Hiszpanii, rozdarcie nieba wydawało się jakąś niepojętą tajemnicą, a tu po prostu rysa tkwiła na nieboskłonie. Ludzie pogodzili się z nią. Oskarżali ją o to, że wpływa na zmianę pogody, o żółć w trzewiach, o to, że się boją, ale gdzie tkwiła przyczyna? Może w nich samych, w ludziach. Spojrzął na nich, chłód wzajemnej niechęci szpecił ich pobladłe twarze, przyśpieszali, bo z każdym krokiem zbliżali się do grodu Świętopełka i klasztoru cystersów. Walczyli o miejsce łokciami, nikt nie chciał zostać wypchnięty z szeregu, jakby szli w kolejce do nieba. Bo w niebiesiech, szeptał wystraszony ludek, nie starczy przecież miejsca dla wszystkich. W jednej chwili każdy mógł stracić szansę na odkupienie i zlec w przydrożnym rowie bez rozgrzeszenia.

A śmierć nie oszczędzała nikogo.

Ludzie opowiadali sobie, że w Krakowie na stopnie

schodów kościoła Najświętszej Marii Panny wywleczono spod ołtarza klechę. Rozszarpano go na strzępy, nikt nie potrafił ocenić jego winy. Mówiono tylko, że zbyt cicho śpiewał psalmy, zbyt mało gorliwie. Na Śląsku bożogrobowcy zgodnie ze swoim zwyczajem w szpitalu Najświętszej Marii Panny opiekowali się chorymi. W święto Wniebowstąpienia poderżnęli wszystkim gardła. Tych braci, których złapano, Henryk Brodaty kazał powywieszać na rynku w Legnicy. Na nic zdały się tłumaczenia, że odmówili pielęgnowania chorych, bo zrozumieli, że właśnie chorobą ich Bóg pokarał za grzechy. Na Mazowszu cały konwent benedyktynów zatłukł się biczami na śmierć. W konwulsjach krzyczeli, że przelewają swą krew ku przestrodze, że są niegodni niebiańskiego miejsca, i że wszystko, co zrobili, uczynili w imię Boga.

– Wyglądasz, bracie, jakby ci się jakiś koszmar przyśnił albo szpetna baba. – Zaśmiał się Ranen, wybudzając z letargu kompana. Zmarszczył brwi i czoło, jak to miał w zwyczaju, gdy bardzo chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział jak. Kiedyś może nazwałby to kłamstwem, ale odkąd wrócił z Szeolu, wiele słów straciło znaczenie. – Ubili nas – rzekł w końcu.

Florencjusz spojrział na niego niepewnie. Zrozumiał, że usilnie stara mu się coś wyznać.

– Brat Andrzej przeszyty włócznią. Jeszcze czuję pod palcami jego gładką martwą twarz. – Właśnie próbował ją sobie wyobrazić. – A tutaj – uderzył się w pierś – jak

długo będę w sercu odczuwał boleść? Bracia Fryderyk de Lubowe, brat Gotfryd... leżą tam. – Wskazał gdzieś za siebie ręką. – Pod Brodnicą. W ziemi. O innych nie chcę nawet myśleć. Nawet brat Albrandt. A i Henryk de Lu... nie żyje. A jego siostra...

De Vivar patrzył na Sobiesławowica i nie wiedział, kim jest de Lu ani jego siostra, ale...

– *Wyobraź sobie pulchną dziewczkę, która wpełzła księciu do łóżka, a potem, gdy jest już po wszystkim, wyplakuje łzy nad losem swego młodszego brata. Nasz księciunio łatwo jej uległ i zaprzysiągł, że chłopcu włos z głowy nie spadnie. Nigdy się nie przyznał kochance, że go szczerze nie znosił. A teraz udaje, że mu żal...*

– A ty, przybyszu z Calatrava, ilu jesteś wart, bo mówię ci, diabły tańczyły pod Brodnicą.

– *Ale chyba dupy, której już nie wypieprzy.*

– Tak jak i te na gościńcu, co to moich towarzyszy zaskoczyły. – Splunął.

– Nie mówię o Prusach. Mówię o diabłach.

Ani Prusów, ani diabłów nikt nie widział, choć płonęły przysiółki, a nawet całe grody. Wielu widziało natomiast cienie. Tak jak wtedy, gdy spłonęło gdańskie podgrodzie.

– Sam Szatan chyba maczał w tym palce, że pogrzebał prawie cały Zakon Braci Chrystusowych w tej obcej ziemi – powiedział z naciskiem Ranen.

Florencjusz powątpiewał w to, skłonny był raczej sądzić, że to zwykły przypadek albo nieudolność dowódcy sprawiła, że zakon poniósł klęskę. Był jednak przerażony

tym, co usłyszał. Nie dość, że calatravensi wybici, to jeszcze bracia z Zantyra ziemię gryzą.

– Może to Bóg na chwilę tylko odwrócił wzrok. – Książę zamyślił się. – Ale przecież Brodnica to nie Szeol. Widocznie Bóg wystawił nas na najcięższą z prób. I co nam teraz przyjdzie z pokrwawionych habitów twoich braci, które wieziemy na wozach?

Florencjusz nie odpowiedział, tylko spytał:

– A mistrz twój przeżył?

– Przeżył. Siedzi w stróży w Zantyrze wraz z dwoma innymi braćmi. Powierzył mi misję sprowadzenia ciebie.

De Vivar zamyślił się. Cały Zakon Braci Chrystusowych leżał tam, w tej parszywej, zapomnianej przez Boga ziemi. A oni dreptali tu, na gościńcu, wraz z tą hołotą, jak jakiś orszak pogrzebowy. Spojrzał na kiwające się łby, zlepione brudem włosy, kaptury, warkocze, łysiny. Rzędy mijanych głów z takim samym wyrazem twarzy: oślepiałe, wyzbyte już nawet troski, czekające tylko na to, czy Bóg zlituje się nad nimi i podetknie pod nos jakiś ochłap, który pozwoli przeżyć kolejny dzień. Tylko po co? By dalej iść do Gdańska, do najbliższego kościoła, do biskupa, do archanioła, a może do samego Boga, bo ponoć w klasztorze oliwskim budują dla Niego bramę?

Czasami omijali modlących się przy drodze rycerzy, wraz z nimi ich giermków i pachółków, niekiedy mnichów, albo ich trupy, jakieś krwawe plamy zmieszane z resztkami śniegu, świadectwa walki i rozpacz, która

szła gościńcem wraz z nimi.

– Odbudujemy potęgę zakonu – Ranen próbował pocieszyć kompana, domyślając się jego wątpliwości. – Sami sobie jesteśmy winni, może zbyt mało Boga mamy w sercu.

– Albo już dawno o was zapomniał.

– Teraz o dobre stosunki z Bogiem dba Zakon Najświętszej Marii Panny. A nam trzeba świeżej krwi. Prusowie, widać, nie tylko w handlu zrobili się hardzi. – Z ciężkim sercem zaczął na głos liczyć, jakby od niechcienia, stosy trupów na jakimś odległym polu, świadectwo walki, pewnie o żywność, może nawet o ludzkie mięso.

– Przestań – poprosił go Florencjusz. – Już wiem, że rachować potrafisz.

Sobiesławowic wydał się nieobecny myślami.

– Prusowie albo diabły! – krzyknął nagle. – Diabły skakały tam jak po gościńcu w Vogelsanck.

Ponoć Wedeghe, ślepiec, który kazał zwać się mistrzem, choć wypełniał rozkazy prawdziwego mistrza von Salzy, pokumał się z diabłem. Brał Prusów w niewolę, by wykorzystać ich do budowy nie tylko Vogelsanck, ale i pozostałych stróży nad Wisłą. Zakon Najświętszej Pani wprawdzała wizje swojego panowania nad Pomezanią, ziemią chełmińską, michałowską, a może i Kujawami.

– A my, stróża w Zantyrze. Dobrze, że choć nasz mistrz straż tam teraz pełni. – Książę splunął. – Ale ilu rycerzy nam pozostało? Same pacholy, co to nie warto ciągnąć ich

było pod Brodnicę. To już lepiej mieć choćby takich jak u Najświętszej Marii Panny. Dzielne chłopcy, choć ponoć od dziewczek stronią, w rzyć sobie zaglądają, jak sodomici. A sodomia u nich ponoć karana. – Zachichotał. – Jeżeli prawda to, że Świętopełk, za podszeptem tego krzyżackiego psa, wystawił nas na najcięższą próbę pod Brodnicą, tym razem nie tylko skaleczę mego stryja.

– Pewnie zrobiłbyś dokładnie to samo, gdybyś miał tyle władzy, co Wedeghe – skwitował Florencjusz.

– Ale to dla nas ostatnio brakuje miejsca przy książęcym stole. Mnie nawet obraża to, że stryj zgodził się za namową Chrystiana sprowadzić obcych krzyżowców na swoją ziemię.

Chrystian wzywał tutejsze rycerstwo, by zasiliło szeregi jego zakonu, ale brakowało chętnych, nawet za obietnicę zbawienia. A w Meklemburgii, choć to daleko, cystersi mieli swoje wpływy. Zresztą młody rycerz z Niemiec z większą ochotą garnął się do bogatego zakonu Najświętszej Pani niż do pomorskich braci z Zantyra. Stróża nad Wisłą to jak zesłanie.

– Dziś władza kryje się w tym, kto bliżej książęcego ucha szepcze. – Ranen spojrział na krzyżowca z Calatrava, jego usta wykrzywiły się w coś na kształt uśmiechu. – Albo kto ma diabła po swojej stronie.

Florencjusz udawał, że nie dosłyszał ostatniego zdania, tylko rzekł:

– Nikomu nie będę się kłaniać zbyt nisko. Ani Świętopełkowi, ani tym od Najświętszej Pani i żadnej

innej regule niż ta, którą wyznają calatravensi. Przybyłem na wezwanie Chrystiana. I zrobię wszystko, żeby mój zakon powiększył się o znamienitych rycerzy.

– Jak bardzo są znamienici? Jaka krew w nich płynie?

– Kastylijska, baskijska...

– Nie o to będzie pytał brat Chrystian ani mistrz w Zantyrze – przestrzegł go Ranen.

De Vivar wiedział z raportów, że wielki mistrz Braci Chrystusowych niechętnie podchodził do pomysłów biskupa Prus Chrystiana, który po tym, jak jego starania o powiększenie zakonu rycerzami z Meklemburgii się nie powiodły, spojrzął dalej, aż za Pireneje. Dzięki kontaktom cystersów i przy poparciu księcia pomorskiego Świętopełka, oddano calatravensom Tymawę, gród nad Wisłą, na północ od Zantyra, siedziby Chrystiana. Brat Chrystian chciał swoją bożą milicję wzmocnić, jednocześnie musiał pogodzić się z tym, że nieco zmieni się jej charakter. Bracia z Zantyra mieli przejąć nie tylko regułę calatravensów, ale także nieco brutalniejszy sposób postępowania z niewiernymi i skorzystać z ich doświadczeń w walkach z Arabami w Hiszpanii. Przedkładał jednak krzyż – nie miecz – w niesieniu słowa bożego, o czym ponoć przypominał przy każdej okazji.

Ale teraz wszystko stało pod znakiem zapytania.

– Najznamienitszych rycerzy mam u swego boku – powtórzył z naciskiem Florencjusz.

– A iluż to? I gdzież oni są? A prawda, pomogłem ci ich pochować.

– Przybędą następni. W Meklemburgii mają stawić się śmiałkowie nie tylko z Hiszpanii, ale i z Rzeszy. Zbiorą się tam, by w znacznej sile dotrzeć na Pomorze. Zresztą nie kpij ze zmarłych mych braci. – Mocno uderzył się w pierś. – To boli.

Książę zmiarkował nieco, że jego żart zbyt daleko sięgnął. Zresztą sam jeszcze nie przestał opłakiwać swoich, którzy zginęli pod Brodnicą. Ton jego głosu nie brzmiał już tak beztrosko, gdy rzekł smutno:

– Ale nie wzniosą miecza przeciwko Prusom.

– Przybędą – mruknął calatravens, tym razem mniej pewnie. – Choćby miały być to same diabły.

– A w dupę z tym wszystkim! Lepiej przyśpieszmy nieco. – Ranen odepchnął jakąś białogłową, która próbowała wetknąć mu zawiniątko z niemowlakiem na konia. – Bo jak mi Bóg miły, zostanę ojcem.

Przystanęli na chwilę, bo na drzewie, przy drodze, młody mnich w białym habicie, by nie spaść, przywiązał się do najgrubszej z gałęzi i nie dbając o wygodę, obwieszczał światu z wysokości swą mądrość:

– Z każdym krokiem – próbował przekrzyczeć tłum – bez względu na to, dokąd zmierzasz, jesteś bliżej śmierci!

Florencjusz nadstawił ucha.

– Bez względu na to, jaki masz wyraz twarzy, czyś szczęśliwy, czyś strachliwy, biedny czy bogaty! – Mnich skierował oczy na calatravensa. – Nieważne, czy szurasz łapciami w kurzu, jedziesz na wozie czy ugina się pod tobą grzbiet szkapy czy rączego rumaka.

Krzyżowiec uśmiechnął się tylko i przyśpieszył, by dogonić wozy. Tłum pęczniał, coraz mniej miejsca robiło się na drodze, pachołkowie uspokajali konie, bo zaczęły wierzgać nerwowo.

– Czy Bóg ich wysłucha? – spytał, spoglądając na księcia.

– To zależy od tego, jak piękną ludzkie wyśpiewają modlitwę. Musi płynąć prosto z ich serc – wyjaśnił Sobiesławowic.

De Vivar zastanawiał się, czy grubas wierzy w to, co mówi, czy tylko lubi siebie słuchać.

– A Szatan? – spytał.

Księżę spojrział na krzyżowca.

– Nie rozumiem.

– Czy Szatan też usłyszy waszą pieśń?

– Jeżeli tylko nadstawi ucha. – Księżę zaśmiał się. – Ale nie dla niego jest przeznaczona.

– *Nie dla mnie, nie dla mnie ona!*

Florencjuszowi przeszły po plecach ciarki. Dawno już nie słyszał tego głosu.

– Rozumiem. Ale to czyni nasze zadanie trudniejszym. Trzeba trafić w gusta jednego słuchacza – zastanowił się na głos.

– Błędnie – przestrzegł go Ranen, ale bez strachu w głosie.

– Słowem i uczynkiem.

– *Jak wy wszyscy.*

Trudno pojąć żywot ludzki i to, co jest nam dane,

zamyślił się Florencjusz. Gdy będziesz chciał przejść rzekę, ona właśnie wyleje, gdy będziesz wchodził pod górę, pod twe stopy stoczą się kamienie. Może właśnie od ciebie zależy, czy powiesz, czy to Szatan, czy Bóg chce sprawić, by twoja droga wiodła pod górę albo przez najgłębsze wody.

Ranen zaczął coś mrużyć pod nosem:

– A te wasze metody walki z Arabami...

– Że niby co? – Mógł się tylko domyślać, że księżę obawia się zmian.

– Bo wiele się zmieniło, odkąd rysa oszpeciła niebo, rycerze chadzają do samego piekła. Ale co to szkodzi, żeby stróżę, jak Bóg przykazał, wypełniać nadal sumiennie... – Odchrząknął. – Żaden Prus bez mojej wiedzy nie przekradł się przez Wisłę. Ale i handluję z nimi, przyznaję.

Dopiero znacznie później Ranen wyjaśnił Florencjuszowi, że ochoczo brał od pogan ich skarby: szczególnie futra, które na Pomorzu sprzedawał i uczciwie się z Prusami rozliczał. Nawet po Sasinii i Galindii się rozniosło, jaki z niego dobry pasterz Chrystusa. Żył jak król. Szkoda tylko, że jego postępowanie nie spodobało się Świętopełkowi. Stryj od tej pory z nim nie gadał, oskarżał, że go ośmieszył przed księciem Konradem i Henrykiem Śląskim, a ci z Prusami nie paktowali, tylko walczyli. Jedynie Chrystian zadowolony był z książęcego bratanka, bo biskup nie wyznawał zasady miecza i krzyża.

– Mówią o tobie Diabeł, to prawda?

– Co z tego?

– Henryk ze Śląska ma brodę dość szczególną i mówią o nim brodaty.

– A ja mam ogon? – Zaczął się śmiać.

Ranen spojrzał na calatravensa, przyjrzał mu się jakoś dokładniej, jakby naprawdę szukał czegoś przy jego zadku.

– Koń ma – stwierdził rzeczowo.

– Matko Przenajświętsza! Nie dziwota, że cię od książęcego stolca własny ojciec odsunął, oddając władzę bratu.

I dopiero wtedy Sobiesławowic wybuchł śmiechem. Widać było, że mu nowy kompan mocno przypadł do gustu.

– Bo mam mętlik w głowie. Po targach pruskich mówią, że ma przybyć diabeł na ich ziemię, bo to, co teraz tam szaleje za Wisłą, to tylko zwykłe licho, diablęta.

– Łatwo dajesz wiarę pogańskim bredniom – wyśmiał go Florencjusz.

Książę nie czuł się urażony.

– Zresztą nie tylko za Wisłą, bo już i na pomorskiej ziemi diabły ludzi nachodzą – dodał.

Ranen dłuższą chwilę rozwodził się, jak to diabły sięgały zapomnianych przysiółków, wciągały ludzi w leśne ostępy, chowając się tam niby niedźwiedzie. Darły z ludzi skórę, by się w nią przyoblec. Tak wielu prawilo, ale nie każdy w to wierzył.

– Diabeł ze mnie czy nie, to nie jest istotne – rzekł

Kastylijczyk z rezygnacją. – Mówię wam, że wasza porażka przekonuje tylko Świętopełka i Konrada, żeby sprowadzić na Pomorze i Mazowsze Zakon Najświętszej Marii Panny. Bitni to rycerze, z doświadczeniem. Wykazali się już odwagą w misjach w Prusach. Spodobali się Henrykowi Brodatemu i Konradowi. Spodobają się i Świętopełkowi.

Cztery zimy temu Leszek Biały, Konrad Mazowiecki i Henryk Brodaty, mając przy boku krzyżowców od Najświętszej Pani, próbowali ukarać Prusów za zniszczenie zamku chełmińskiego. Gród w Chełmnie, choć Konrad, tak jak obiecał, odbudował, nie ostał się jednak zbyt długo pod naporem kolejnych pogańskich napadów. Rycerze ze Śląska, Pomorza, Mazowsza, z Małopolski spotkali się w Wierdzelewie na Kujawach. Stawił się tam i biskup Chrystian. Całe rycerstwo zgodnie przekroczyło wtedy Wisłę, jedni uderzyli na ziemię chełmińską, inni wyruszyli do ziemi pruskiej. Zakonnicy z czarnym krzyżem wyszli z tej wyprawy bez szwanku.

– Mówisz tak, jakby od Boga nic nie zależało, jedynie od książąt. Boży tron jest większy od tych w Gdańsku, na Kujawach, nawet w Rzymie. – Pomorski krzyżowiec westchnął.

– Bóg swoje, człowiek swoje – odparł Florencjusz. – Zresztą Konrad nie jest głupcem. Krzyżacy już mają swój Vogelsanck nad Wisłą. A na Pomorzu są jeszcze joannici.

Nie dla nich jednak były wyprawy za Wisłę. Potrafili tylko gospodarzyć na tych ziemiach, by wspierać zyskami

braci w Jerozolimie. Zakładali więc osady, zajęli się handlem, a kiedy rysa wystąpiła na niebie, wspierali budowę kościołów i skupili się na pogłębianiu chrześcijaństwa, a nie jego szerzeniu.

– Zmierzasz do tego, bracie, że może jeszcze będziemy potrzebni. – Ranen pobłogosławił sznur mnichów ciągnących zapewne w stronę opactwa i przeklął psa, który szczekał wściekle na ich konie.

De Vivar odwrócił wzrok i poklepał swego wierzchowca po grzbiecie. Zastał tu inne niebo niż nad Hiszpanią. I innego diabła. Ten nie wyznaje Mahometa. A kto jest we mnie?

– Z czasem na naszej ziemi pojawią się inni krzyżowcy. – Książę jakby nieco posmutniał. – Może i sam cesarz przybędzie tutaj, chyba że wcześniej w Krakowie jakiegoś głupca wezmą na króla. Ale na razie jest, jak jest. Gdy pękło niebo, wydawało się, że wszystko się zmieniło. Wielu z nas, bez względu na to, jak wielka jest rysa, podąża ścieżką Pana. Inni, zanim się pomodlą, spojrzą w niebo, czy warto dziś się modlić, czy jeszcze można z tym zwlekać. Żyją, ciesząc się grzechem i myślą, że Bóg wybaczy im wszystko na Sądzie Ostatecznym. Albo wcale o tym nie myślą. Żyją, jak żyli, bo inaczej nie potrafią. Nie mnie jednak oceniać. Nie dziś, nie gdy niebo pęka. – Sposepniał nagle, a twarz pokryła mu się głębszymi zmarszczkami.

Florencjusz zamyślił się nad słowami nowego kompana. Jeżeli dzieje ci się krzywda, myślisz, że Bóg cię

ciężko doświadcza. Jeśli zgrzeszyłeś, przeklniesz Szatana, który zapewne połasił się na twoją duszę. Tak czy inaczej, uważasz, że wobec ciebie Najwyższy ma plan. A mnie, kto doświadcza?

– *Oj, to ja! To ja!* – szeptał diabeł. – *Me ma Boga, a jeżeli jest, to oddal mi ciebie, bym cię zagłaskał... na śmierć. Za nic mam wasze dociekania i logikę.*

– Wiem, jak liczyć krowy. – Ranen zaskoczył Florencjusza swoim wyznaniem. – Ile paszy potrzeba, by nie zdechły z głodu. A niby jestem krzyżowcem i na co mi ta wiedza? – spytał.

– A ty o czym? – Florencjusz poczuł się, jakby ktoś wyrwał go ze snu. Spróbował się domyślić: – O żarciu?

– Nie o jedzeniu, tylko o zarządzaniu chlewem, pastwiskiem. Co to za pasterz, który nie dba o swą trzodę. Może Bóg też czegoś nie wie. Widzi nas, liczy, ale chyba zliczyć dobrze nie może. Zobaczcie – głód i smród.

– Taką trzodę wyrzynałem w Hiszpanii bez mrugnięcia okiem. Mniej trzody, mniejszy chlew, mniej grzechów. – Florencjusz uśmiechnął się.

– I po to tu jesteś? – spytał książę, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Ranen czuł jeszcze gorycz Brodnicy, a ten tutaj chwalił się, że radził sobie niegorzej na swojej ziemi. Może, gdyby jego bracia byli większej wiary, Bóg oszczędziłby im tej porażki, ochronił przed diabłem. A tak, proszę, mają, co chcieli – spojrzął znów na calatravensa.

De Vivar odchrząknął. Kiedy krzyżowiec jest wielkiej

wiary, jego miecz będzie ostry, a tarcza duża i zasłuży na przychyłność Najwyższego. A diabeł sprawił, że on znalazł się na pomorskim szlaku, szukając upragnionej kochanki, w towarzystwie przegranego rycerza chrystusowego.

Ściana drzew po jednej stronie gościńca zrzędła, ich oczom ukazała się polana. Niewysoka trawa okalała wytartą ziemię, gdzie tkwiła niczym cień ogromna waga. Dwa wielkie ramiona zbudowano z długich belek, teraz zbutwiały, na ich końcach zawieszono głębokie talerze. Kręgosłupem tego potwora był wielki, szerniały od dymu słupek. Krew zastygła u samej nasady, z dawna wsiąkła w drewno. Wokół walały się zmurszałe liny, żelazne obręcze, dyby.

Zakon duchaków kilka lat wcześniej osiadł na stałe w Małopolsce. Zajmował się przede wszystkim szpitalnictwem, ale odkąd na niebie pojawiła się rysa, poszerzył nieco swoją duszpasterską działalność o nowe pomysły; nie spodobały się one jednak w Krakowie, ale na Mazowszu i Pomorzu owszem. Zakonnicy znaleźli tu możliwych fundatorów i dzięki ich wsparciu pobudowali wielkie, drewniane monstra, mające nie służyć wadze – tylko dusze. Ustawiano się do nich w kolejce, oczekiwano, że Pan zejdzie w chwale i będzie sądzić żywych i... zmarłych. Bo wielu wtedy pomarło, nikt już ich nawet nie liczył. Z wycieńczenia i głodu, i od chorób.

W końcu, po wielu tygodniach oczekiwania na sąd, zakonnicy zwątpili w swą misję. Pozwolili ludziom

wrócić do domów. I wtedy z nieba posypały się twarde, zimne kule, a każda wielkości pięści. Wieśniacy mówili, że Bóg jest zły, bo odstąpili od żniw, i teraz przyjdzie im chyba zbierać zamiast plonów lodowe kule. Z troską i bojaźnią spoglądali na oszpecone i podziurawione pola, tęsknili za pięknem ziemi zrytej pługiem.

Ale zakonnicy szybko przypomnieli im o sobie, uznając, że plaga z nieba jest karą boską za to, że ludzie przestali cierpliwie czekać na sąd. Głód wielki zbierał żniwo, ale duchacy namówili wielu rycerzy, by siłą zaciągnąć grzeszników pod wagi. Zresztą sami postanowili sądzić i karać, choć nikt nie wiedział, dlaczego akurat przez nich miałby przemawiać Bóg. Drewniane szale skrzypiały w dzień i w noc, coraz cięższe od krwi.

Jatka trwała, aż biskup wrocławski poprosił o pomoc Świętopełka, który przegonił szaleńców z pomorskiej ziemi, a ich szaleństwo szybko zostało zapomniane. Zbyt wiele plag spadło jeszcze na ludzi.

– Zarosła nieco – stwierdził Florencjusz, patrząc na upiorną wagę.

– Jest ich więcej. Jeszcze parę lat temu wierzyliśmy, że się przydadzą. Teraz straszą tylko podróżnych. – Jego towarzysz nawet się nie obejrzał za drewnianym monstrum. – Niektórzy jeszcze wierzą, że kiedyś nadejdzie ich czas. Bóg zważy grzechy, jedni pójdą na lewo, inni na prawo.

– A ty?

– Ja uważam, że wprawdzie spadnie nam na głowy niebo. –
Książę nie zachował powagi. Zaśmiał się głupio.

De Vivar zamyślił się. Świat oszalał, to pewne. A
Ranen śmiechem świata nie ocali, ale siebie próbuje – i
całkiem nieźle mu to wychodzi.

Krzyżowcy wjechali na most, potem pokonali dwa
brody, od wschodu mijali łąki i pastwiska, teraz zupełnie
puste, od zachodu – las. Przed sobą mieli pół dnia drogi.
Tylko chwilę poświęcili na postój, by zejść z kulbaki i
rozprostować kości.

Jeszcze przed zapadnięciem zmroku dojrzeli
obwałowania Gdańska.

Ranen zrównał swego konia z koniem towarzysza.

– *Gedanensis* to nie dom boży, to przybytek Szatana –
mruknął. – Omijaj tawernę przy kościele Świętego
Mikołaja, w kościele się pomódl, z nikim nie gadaj, daj
jałmużnę, na targu się nie pchaj, sakwę mocno trzymaj,
najlepiej przy jajach, sprawdzaj, czy jest, niby się drapiąc,
ale nie nazbyt długo i nie tak zawzięcie, jak przy
prawdziwej okazji. Innych mnichów błogosław, a
rycerzom nie zapomnij się kłaniać. I trzymaj język za
zębami.

De Vivar spojrział na niego zdziwiony.

– Co z tego jest prawdą? – spytał.

– Tylko to ostatnie.

Rozdział 6

Strach w Oliwie przed zatraceniem duszy okazał się wielki. Ludzie niepewni byli tego, co czynili – jak rozpoznać i zliczyć swoje dobre uczynki. Pod drzwiami opactw, klasztorów, w kościołach całymi dniami cisnęli się grzesznicy. Błagali, by byle mnich wysłuchał ich, wskazał przewiny, wyznaczył pokutę, nawet zabrał coś z lichej sakwy na odpust. Szczera spowiedź wystarczyła Bogu, choć diabeł się z niej śmiał, jak zapewniali duchowni. Zresztą chorzy tuż przed śmiercią nie tylko szukali pomocy w murach Oliwy, ale i Świętego Wojciecha, Mogilna, Tyńca. Tam nie tylko modlitwą prosili o spokój duszy dla siebie i swych bliskich, ale i śpiewem. Ponoć we wszystkich cysterskich i benedyktyńskich murach rozbrzmiewała psalmodia.

Nie miałem wtedy pojęcia, do jakiego świata ciągną mnie w niewoli, ale pamiętam, jak się wlokłem, odliczając kolejny krok, spętany więzami.

Próbowałem nie słyszeć żalosnego zawodzenia mych braci, nie widzieć ich wykrzywionych bólem twarzy. Wmawiałem sobie, że nie czuję w powietrzu ekskrementów, potu i krwi. Gdybym uwierzył, że wszystko to, czego doświadczyłem przez kilka ostatnich dni, jest prawdą, musiałbym na zawsze pogardzić tą ludzką trzodą – pruskimi braćmi. I sobą też. Skamlaliśmy o każdy kawałek suchego placka i kroplę wody. Niektórzy

nawet klękali przed krzyżowcami, błagali o litość. Idąc na końcu pochodu ze skrepowanymi rękoma, skupiałem wzrok na plecach tego, który szedł przede mną. Uginał się pod niewidzialnym ciężarem niekończącej się drogi, podnosiłem go z ziemi, gdy upadł, przeklinałem, kiedy nie chciał wstać i iść dalej.

Pachołek, ten który dał mi kozik, dokarmił mnie podczas postojów. Natychmiast wszystko pożerałem, nie dzieląc się z nikim. Właśnie za to kilku moich współplemieńców planowało mnie zabić – nie omieszkali mi o tym powiedzieć, spluwając w moją stronę.

Pewnej nocy, gdy pozwolono nam odpocząć nieco dłużej, obudziłem tego, który szedł przede mną. Chciałem mu przedstawić pewną propozycję: podzielę się jedzeniem, które otrzymywałem, a on będzie mnie za to chronił w nocy.

– Ocknij się – szepnąłem.

Otworzył oczy i zerknął na mnie przerażony, spytał o coś, ale zbyt głośno. Nie mogłem pozwolić, by inni usłyszeli, o czym rozmawiamy, więc dłonią zatkałem mu usta. Próbował się oswobodzić, a ja przestrzegałem go, by milczał. Zaczął wierzgać i kopać nogami, uderzyłem go pięścią w gardło, raz i drugi, aż przestał.

Nie chciałem go udusić.

Spojrzałem na tych, którzy zamierzali mnie zabić. Nadal spali.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Ale nie tchórzostwo, bo to paraliżuje – te uczucie już znałem z mojego lauksu.

Raczej świadomość, że nie przeżyję kolejnego dnia. Zamordują mnie dla zemsty.

Podczołgałem się do nich i ostrożnie okręciłem wokół szyi jednego z nich krepujące nas więzy, a potem zacisnąłem z całych sił. Drugiego uderzyłem w czoło wcześniej przygotowanym kamieniem. W jego oczach, które rozbłyły na chwilę – wielkich i czarnych – dostrzegłem niemal wdzięczność. Zakończyłem jego cierpienie.

Kilku pozostałych więźniów, wyrwanych ze snu, poderwało się z ziemi. Ale nikt nie krzyknął, by nie sprowadzać na siebie uwagi strażników, którzy przysypiali nieopodal przy drzewie.

– Co żeś zrobił najlepszego? – spytał jakiś Galindczyk.
– Teraz ukatrupią nas wszystkich.

Któryś szeptał, by i mnie zabić, ale byli za bardzo przerażeni.

Schowałem się w cień. Przeżyłem jedną noc, zabijając trzech moich braci. Co będę musiał zrobić, by przeżyć kolejną? Przeszedł mnie dreszcz.

Usłyszałem szept dochodzący spod koszuli. Położyłem dłoń na krzyżu. Czułem, jak drewno pulsuje, jakbym trzymał ciepłe serce wyrwane z trzewi upolowanej zwierzyny.

I wtedy, tak bez zastanowienia, wyciągnąłem go i wbiłem ostry koniec w rękę tego, którego zabiłem jako pierwszego. Leżał teraz przede mną z wywalonym językiem i szeroko otwartymi oczyma. Wbijałem raz po

raz, tłukąc chrząstki i kości jego dłoni na miazgę. Czułem ciepło krwi, jej lepkość. Potem poderwałem z ziemi jakiś ostry kamień i zacząłem bić jeszcze mocniej, ale uważniej, tak by oddzielić dłoń od reszty ciała. Potem umazałem krwią usta trupa i zacząłem krzyczeć. Wraz ze mną krzyknęli inni jeńcy.

* * *

Strażnicy, którzy nadbiegli, musieli ocenić sytuację po mojej myśli. Jakiś Prus zwariował, odgryzł sobie dłoń i rzucił się na innych, gryząc ich i kęsając.

Wśród niewolników powstał harmider. Większość próbowała poderwać się z ziemi, ktoś wskazywał na mnie, ale krzyżowcy nie znali naszego języka. Jakiś rycerz uderzył mieczem w zwartą grupę, trzasnęła czaszka, pękła czyjaś ręka. Potem nadbiegło kilku pacholków i zaczęło nas dźgać włóczniami i bić pałkami. Cały czas leżałem skulony na ziemi, próbując przeczekać najgorsze. Któryś z jeńców, chcąc umrzeć jak mężczyzna, przestał błagać o litość i rzucił się na oprawców z gołymi rękoma. W jego ślady poszło kilku innych, nie bacząc, że są skrupowani więzami. Jeden z rycerzy odskoczył na bok i przewrócił się, ale pozostał w moim zasięgu. Rzuciłem się na niego, poderwałem miecz z ziemi i trzasnąłem go przez łeb, a potem rozciąłem sznur i po chwili byłem wolny.

Moi współplemieńcy spojrzeli na mnie z nadzieją. Przystanąłem niepewny, co mam uczynić. W końcu, w

jakimś odruchu miłosierdzia, rzuciłem im miecz, by rozciąli sobie więzy, a sam skoczyłem w las, by skryć się między drzewami. Odbiegłem, ale niezbyt daleko i przyłgnałem do ziemi. Kilku pachołków weszło za mną między wysokie krzewy. Nie szukali długo, nie chcieli ryzykować życia dla jednego Prusa.

* * *

Wiele dni wędrowałem, nie pamiętałem już ile, ale nigdy nie zapomnę rozdartego nieba, gdy rysa znów pękła. Ze sklepienia na ziemię uderzyła ciężka fala deszczu. Strumienie wezbrały, woda wytoczyła koryta nowych rzek.

Moja dłubanka, którą skradłem jakimś rybakom, nie miała szans na Wiśle. Porzuciłem ją rychło, by dalej podążać pieszo.

Przeczekałem dzień, może dwa – wtedy nie mogłem tego wiedzieć, bo noc zaległa na dłużej niż zwykle – w pniu drzewa. Skryty przed wiatrem i deszczem, cierpiałem jednak głód. Gdy słońce wychodziło, choć tylko na chwilę, zbierałem leśne owoce i łapałem ryby. Wracałem szybko na swe legowisko, bacznie przyglądając się niebu. Wyczekiwałem, kiedy przyjdzie wiatr i rozgoni deszczowe chmury.

Nigdy jeszcze nie czułem się tak samotny jak właśnie wtedy. W chwilach, gdy po chłodnej ciemności następowała słoneczna jasność, oślepiająca swym

blaskiem okolicę, wierzyłem nawet, że mógłbym tak przeżyć życie. Jak pustelnik, nie bacząc na tłum, zgiełk i wrzask. Ale krzyż na szyi ciążył tak bardzo. Zresztą co to za życie. Przypominałem sobie to, co straciłem w Pomezanii. Mój lauks. I wyobrażałem sobie Namedę, jak razem polujemy, kąpiemy się w rzece, jak po powrocie z wyprawy opowiadam jej, czym się wławiłem. Przed oczyma miałem jej uśmiech i to, jak wyciąga dłonie po ofiarowane przeze mnie podarki.

W końcu opuściłem swoją kryjówkę. Dzień drogi później dołączyłem do milczącej grupki mnichów – zwali się benedyktynami – wędrujących wzdłuż Wisły. Habity mieli wyblakłe, poszarpane od gałęzi i wiatru. Nie pytali o nic, nic nie mówili. Modlili się tylko w milczeniu. Po ich wyglądzie domyślałem się, że przeżyli już niejedno w drodze.

Z czasem spotkaliśmy kolejnych wędrowców, a gdy wkroczyliśmy na gościniec, zatęskniłem za samotnością.

Bogatsi rozjeżdżali biedotę końmi i wozami, matki porzucały swe dzieci, wycieńczone rodziny zostawiały kalekich. Wzdłuż gościńca poustawiane były sklecone naprędce z gałęzi i liści chatki, które, choć na chwilę, mogły dawać schronienie. Pozostawione przez jednych, od razu stawały się domem dla następnych. Nieco dalej od drogi, po lasach i polach, leżało pełno trupów. Albo pomarli z głodu, albo zalała ich jakaś większa fala. Zwłok nie chowano, omijano je z dala, ale śmierć zarażonym powietrzem i wodą upominała się po swoje, zbierając

kolejne zniwa wśród wędrujących gośćmićami.

Pieśń słyszałem już niemal co dzień. Była jak podmuch silnego wiatru. Zwałała ludzi z nóg, niektórzy już do końca trwali tak na klęczkach. Czasami sączyła się tylko z nieba, szeptała każdemu niezrozumiałe słowa do ucha, potem na dobre zadomawiała się w głowach i w sercach. Niektórzy szarpali sobie włosy z głów, obcinali uszy, przebijali serca.

Zresztą niczyja krew nie robiła już wrażenia. Ani krzyżowca, ani mnicha czy biskupa. Jednak wsiąkała w ziemię, bez względu jakiego koloru by była, ten sam przykrywał ją kurz.

W mijanych grodach zamykano przed pielgrzymami bramy. Niektórzy je szturmowali, zostawiając swoje ciała na ubitej ziemi, inni błagali o zmiłowanie, o wodę, żywność. Częstowano ich strzałami.

Pola uprawne leżały odłogiem, studnie zatrutowano, znikwały psy, potem najslabsi, kobiety i dzieci.

Największe mordy ludzie tłumaczyli sobie tak, że Bóg przecież wszystkim wybaczy.

Rozdział 7

Na concilia, w obecności innych diablów, jeden z majores przypomniał mi, że to diabeł ma kusić, a ja pozwoliłem, by to mnie kuszone. Princeps oficjalnie ukarał mnie za – jak to określił – zbytnią lakoniczność w sprawozdaniach, a już mniej oficjalnie – za uległość wobec ludzi.

Diabeł jest jak ptak. Przemieszcza się z ciała do ciała – z klatki do klatki, by zostawić tam swój ślad, jak kał: bluźnierstwo, obżarstwo, pychę.

A kim ja jestem ?

Karą była nieuchronność śmierci. Najgorsze, że, e nie wiedziałem, kiedy nadejdzie. I zapomnienie. Wraz z którymś z ciał miałem w końcu umrzeć i nic po sobie nie pozostawić ani brzydkiego, ani pięknego.

Ta śmiertelność to coś, czego nie mogłem pojąć.

Należę do kręgu Zła i tam mam swoje miejsce. A jeżeli piekło zstąpiło na ziemię, muszę się tam dostać.

Do Szeolu! Do domu!

* * *

Brat Chrystusowy i rycerz z Calatrava minęli wieś Święty Wojciech. Wielu pielgrzymów tam zostało, w prepozyturze benedyktynów, aby ukłonić się przed majestatem świętego.

Dalej już nieco minęli oddaloną od gościńca na strzał z łuku Orunię, przekroczyli potok, przez mostek, a gdy konie przeszły w cwał, rozpychając wystraszonego ludka, sięgnęli szybko bram największego grodu w kraju Pomorzan nad Wisłą.

Żar lał się z nieba, słońce roztopiło na dobre resztki śniegu.

Skraj *Gedanensis Castris* stanowiła dzielnica z kościołem parafialnym, który górował nad skrytymi w jego cieniu dachami i cmentarzem grodowym. Na północ od świątyni cisnęły się warsztaty rzemieślników i rybaków; smród ryb mieszał się tam z ludzkim potem, kupiecki żywioł zza Łaby sąsiedował z Pomorzanami i pruskimi neofitami.

Siedziba Sobiesławowiców wysunięta była najdalej na północny wschód. Tkwiła na wyspie, połączona z lądem długim, wąskim mostem pobudowanym nad Motławą. *Castellum* Świętopełka wydawało się niedostępne, ledwie widoczne spod bramy wjazdowej na podgrodziu, w zapadającym zmierzchu, jakby utkane z mroku.

Strażnicy krzykiem i kopniakami odgonili ciżbę, by dać drogę możliwym panom i ich wozom, dzięki czemu krzyżowcy bez większych przeszkód skierowali się w stronę osady targowej, do kościoła parafialnego pod patronatem świętego Mikołaja. W dusznej ulicy śnieg już nie zalegał, tylko błoto.

Ranen mrucał, że gdyby tylko zechciał, Gdańsk mógłby być jego grodem, że to on, a nie Świętopełk,

mógłby zasiadać na książęcym stolcu. Ale zaraz przeklinał los, który – niepomny na jego skromność i oddanie sprawie Chrystusa na odległej stróży – sprawił, że zbyt wielu miał wierzycieli wśród możnych panów, bo tylko u nich pieniądz był w wielkiej łasce. Bo odkąd niebo pękło, zwykli ludzie woleli wymienić miód za świnie, świnie za miód. To, co kto zgromadził w kruszcu, oddawał szybko, by kolejny dzień nie mógł go zaskoczyć. Bo choćbyś miał wtedy kilka srebrnych monet czy złoto w garści – brzucha tym nie napchasz. Dbano przede wszystkim, by w ostatniej godzinie mieć co zjeść i co wypić. Co innego książę, biskup, możny kupiec, rycerz, no i lichwiarz – tym grosz nie śmierdział; dzięki niemu pili, żarli i swawolili. *Bellatrones* i *oratores* – tym ostatnia godzina jawiła się mniej straszna, wiele mieli zapasów i złota, i jadła. A wieśniak obawiał się obfitych śniegów w zimę, gradu bądź suszy, tragarz nieprzejezdnych szlaków, zubożały rycerz niehonorowej śmierci, pielgrzym, ścierający kurz drogi w marnych łapciach – zapomnienia i śmierci w rowie.

Ranen mówił to tak, jakby wszystkim współczuł, i zdawało się, że gdyby zastąpił Świętopełka, świat wokół zmieniłby się w jednej chwili, jak po uderzeniu bata.

Przecisnęli się przez wąską uliczkę, nad którą zastygło słońce. Jakby cały żar z nieba zlał się na te kilka straganów i chałup, przydusił je, oplótł ciężkim gorącym szalem. I nagle Florencjuszowi zdało się, że widzi rysę na niebie. Przystanął, zmrużył oczy i próbował przyjrzeć się

niebu. Może się zapadnie, właśnie teraz, gdy o tym nie myślał, gdy nikt nie jest na to przygotowany. Mieszkańcy tłoczą się, gwarzą, śmieją się, kupują, sprzedają, myślą albo nie myślą wcale. Ale czy na coś takiego można się przygotować?

Ruszył, bo ktoś, nie bacząc na jego ubiór, popchnął go – zbyt wąska uliczka.

Znaleźli się na targu. Wszędzie kręcili się ludzie. Ocierając pot z czoła, przeliczali, ile grochu za mleko, a jakie mięso dać za pół dzbana miodu. Zadowoleni kupcy szybko znikali z łupem między straganami, inni zachęcali, że są skłonni wystawić na sprzedaż żonę i dziecko, jeżeli klient tylko zechce i ma czym zapłacić. Krzyżowcy przeszli wzdłuż lad z rybami i skierowali się do północnej części, tam gdzie było mniej gwarno, a przekupnie czmychali i rzedli jak licho zasiane żyto. Mniej tu krzyku, zawiści, wyrywania sobie towaru, pomyślał Florencjusz, trzeźwiejąc nieco od przytłaczającego ich wcześniej smrodu. Tutaj klientela wydawała się zacna, bardziej wyniosła, powolna w rachunkach, mniej skora do wrzasku, choć zapewne wymagająca.

Skierowali się w stronę dobrze widocznej teraz wieży kościoła. Z każdym krokiem ludek znów gęstniał. Ciasne uliczki wypełniały się nowym płaczem, jękami pełnymi bólu, przekleństwami, oskarżeniami, smrodem fekaliów i potu. Niektórzy spali pokotem przy uliczkach, budząc się tylko na żebry. Rycerze i bogaci kupcy, otoczeni przez swe zbrojne orszaki, niemal wyrąbywali sobie drogę

mieczami, siejąc popłoch i wzbudzając wśród ofiar i gapiów nienawiść.

Czerń krzyży na habitach odcinała się od ich bieli. Połysk drogich kamieni, choć ledwie widoczny w tym tańcu dogasających promieni słonecznych i ludzkich cieni, towarzyszył pstrokaciźnie kupieckich płaszczy. Nietrudno było też oddzielić czerwień od reszty. Wszystko to wyraźnie różniło się od wymęczonych twarzy i wszechobecnej szarości znoszonych i przkurzonych koszul biedoty. Tylko gdzieś tliła się isierka nadziei. W kącie mijanej przez krzyżowców chaty Florencjusz posłyszał kwilenie, a potem ujrzał matkę, która karmiła niemowlę przyssane do jej obwisłej piersi. Tutaj, w grodzie, gdzie sięgała władza książęca, biedacy mogli przynajmniej poczuć się bezpieczniej, przynajmniej tu śmierć i upadek obyczajów nie pienity się jak zaraza. Najbardziej jednak przeraziło go to, że w tłumie dostrzegł twarz Anny. Spocił się cały w jednej chwili, chciał zejść z konia, ale się powstrzymał. Nie mógł dać się zwieść zmysłom.

Ruszył dalej, by w końcu z ulgą odetchnąć. Tu, choć ciżba zaległa ulicę, zapadła już w zbawczy sen. Rzędy ludzkich ciał, głowa przy głowie, ręka przy ręce. Niektórzy, pocierając policzki, próbowali nie zasnąć. Ich wyznaczono na wartowników, by strzegli skarbów rodziny bądź poznanych na *via mercatorum* przyjaciół; kawałka nici, noża, może trochę mąki albo placka; cnoty najbliższych: kochanek, żon, sióstr i dzieci.

Przy ścianie kościoła parafialnego ustawiono nowe fundamenty. Plac budowy stał się schronieniem nie tylko dla motłochu, ale i budowniczych. Powłazili jak robactwo, w każdą dziurę w ziemi, między ociosane kamienie. Kilku pacholców pilnowało drabin, wiader i lin – świadectwo, że jeszcze w tych trudnych czasach nie zrezygnowano z budowy nowego kościoła.

Gdańsk był siedzibą archidiakona pomorskiego, biskupa włocławskiego, Mikołaja, któremu wedle kościelnych praw gród podlegał. Obrotny mały człowieczek nie ufał ani cystersom, ani benedyktynom walczącym o posiadłości w Gdańsku. Zadbał więc o to, by dominikanie znaleźli w księciu Świętopełku dobrego opiekuna i fundatora nowego kościoła. Miał być pobudowany na chwałę Pana, a na przekór zakonowi, które nie tylko wokół Gdańska miały majątki, ale i z gdańskich tawern i ceł czerpały korzyści. Część dziesięcin Sobiesławowice oddawali Oliwie dla cystersów, część słali do prepozytury benedyktynów w Świętym Wojciechu, a niedługo trzeba będzie księciu opłacać i dominikanów. Biskup Mikołaj niechętnie patrzył na konkurencję, choć sam pobierał niemało. Kazał nawet w majątkach pod Gdańskiem, gdzie były łąki oraz jeży niska, pobudować spichrze, by pomieścić w nich dziesięcinę w zbożu. Z sądów także biskup brał sporą sumkę. A jego ludzie pilnowali, by w komorze celnej nad Motławą, która leżała tuż pod okiem księcia Świętopełka, książęcy urzędnicy odliczyli z opłat menniczych skromny

grosz, bo i ten się archidiakonowi wedle boskich praw należał.

Więc biskup wrocławski stał po przeciwnej stronie niż calatravensi, Bracia Chrystusowi i biskup pruski Chrystian. Ale tak jak i oni, chciał mieć swój zakon na Pomorzu. Padło na dominikanów, którzy ze swoją posługą wśród najuboższych mogli dopomóc w rozwiązaniu niektórych problemów.

Florencjusz, tak jak zalecały raporty Almodovara, zgodził się, by zatrzymać się w kościele parafialnym u Marcina, kanonika grodowego, kapelana samego księcia Świętopełka. Był on oddany sprawie stworzenia siedziby zakonu zza Pirenejów w Tymawie. W ten sposób chciał wesprzeć biskupa Chrystiana i zaszkodzić Mikołajowi.

Gospodarz ucieszył się na widok czerwonych krzyży na habicie, tym bardziej że jeden z nich miał barwę zeschniętej krwi i był wpleciony w liść. Dwóm pachółkom, przysłanym przez księcia, bo jego już czas jakiś jak pomarli, kazał zaopiekować się końmi gości, a sam wprowadził przybyłych w swe skromne progi. Zamykając za nimi drzwi, lękliwie wyjrzał jeszcze na przetaczającą się w świetle księżycy ciżbę sunącą w głąb grodu.

– Czego się tak boisz, braciszku? – zaciekawiał się Ranen, obejmując Marcina ramieniem jak ojca albo starszego brata.

Sobiesławowic darzył wielkim szacunkiem tego starca, który Boga wyznawał z lękiem w sercu, ale i rozumnie.

Świat wolał obserwować z daleka, rzadko go chwalił, raczej narzekał. Kapelanów gdański ksiązę miał siedmiu, ludzie mówili, że każdy chronił jego majestat przed jednym z grzechów głównych; i właśnie Marcina posłał wraz z Chrystianem na spotkanie z rycerzami z Calatrava do Meklemburgii, by negocjował objęcie przez nich siedziby nad Wisłą – Tymawy.

I Florencjuszowi kapelan Świętopełka od razu przypadł do gustu. Pięć tuzinów lat na karku czyniło Marcina starcem, a z ludźmi sędziwymi Świętopełk, jak sam przyznał, nie lubił przebywać zbyt często. Mniej mieli pokory wobec niego niż ci, którzy zawdzięczali mu wszystko, a i życie zawierzali. Człowiek sędziwy mniej miał do stracenia.

Przeszli wąski korytarz i Marcin wprowadził ich do infirmerii. Tam zasiedli przy stole, plecy oparli o zimne kamienne ściany.

W pomieszczeniu panował chłód, ale głęboko wciągali czyste powietrze, próbując szybko pozbyć się smrodu z ulicy.

Gospodarz ugościł ich winem i piwem. O nic więcej zresztą goście nie prosili. Żal im się zrobiło staruszka, który sam im usługiwał – znosił dzbany i kubki do stołu, dbał, by wypełnić je po brzegi – a przy każdym ruchu strzelało mu w stawach, utyskiwał na ból w krzyżu, ale nie wymawiał się od gościny, tylko – jak sam powtarzał, trzymając dzbanek drżącą ręką – stwierdzał fakt. Zresztą trunek zmógł szybko brata od Chrystusa, bo i podróżą

mocno był utrudzony. Położył się więc we wskazanej izdebce na tyłach infirmerii.

Gdy Marcin został sam na sam z gościem z dalekich stron, nie oszczędzał języka, jakby się znali od lat albo przeczuwał, że zaraz z niego ujdzie życie, i chciał zdążyć wszystko powiedzieć, i jak się Kastylijczyk domyślił, wyzalić się nieco. Wpierw zaczął narzekać na kościół, który jak purchawka wyrasta mu za ścianą. Mówił, że jeszcze żadnego z dominikanów na oczy nie widział, utyskiwał, że przyjadą zapewne na gotowe. Potem jakby się nieco tego, co rzekł, przestraszył i dodał, że w sumie jednak nie może narzekać, bo ksiązę obiecał mu nowy kościół parafialny rozbudować. Choć, jak podsumował, wiele mu z tego nie przyjdzie, bo już mu na tym padole niewiele dni zostało.

– Tylko parę kroków stoję nad przepaścią piekła albo nad skrajem nieba. – Na chwilę zwiesił smutno głowę. Przesuwał palcem po brzegu kubka, nie tknął nawet wina. – Gdzie te czasy, gdy choćby biskup Kietlicz z orszakiem jeździł po gościńcach? Teraz nawet biskupi postradali rozum, zasilają bandy po gościńcach. A biskup Chrystian toczyć się musiał dwukółką do Gdańska wam na spotkanie. Jest już u Świętopełka.

De Vivar wyciągnął się na ławie, oparł o ścianę, wyciągnął nogi, splótł ręce na brzuchu. Westchnął. Dał znać Marcinowi, że pomimo późnej pory i zmęczenia chętnie go posłucha.

– Zmartwień przybywa z każdym rokiem. Nic nie idzie

ku dobremu. – Marcin westchnął ciężko. – Tak, jakby nic się ze światem nie działo.

Rozwiódł się z goryczą, jak to możni posyłają swe dzieci do szkoły, każąc im się uczyć, by potem w jeden dzień, gdy osiągną wiek dojrzały, stracić wszystko na polu chwały – tak to nazywali. Byle krew się lała. Trupy najbardziej majątnych rycerzy chowano do czasu Sądu Ostatecznego pod posadzką kościoła, tu, w Gdańsku, albo w oliwskim opactwie. Ryse wszyscy mieli za nic. Tylko kiedy słyszeli pieśń, przez kilka następnych dni żyli w bojaźni bożej. Świętopełk też jakby zagrożenia nie dostrzegał. Jego bracia, choć młodzi, już szczykali, prócz Warcisława, bo pomyłony. Natomiast Racibor tylko czekał, aż Świętopełkowi powinie się noga. Cieszył się, kiedy brat był poza grodem. Choćby kiedy ziemię słupską najeżdżał, chcąc Duńczyków stamtąd wyrzucić. Nie omieszkał jednak wytykać władcy przy wszystkich możliwych, że te wyprawy są zbędne, kiedy Prusowie, albo sam diabeł, zachodzą pod gdańskie podgrodzie – toż jednego dnia całe spłonęło. Ogień wybuchnął jak z podziemi, w kilku miejscach naraz. Ludzie mówili, że paliła się nawet rzeka. Od tej pory nikt tam nie zamieszkał. Nawet ci włóczędzy, dla których już zabrakło miejsca w grodzie, woleli pomorskie gościńce od tego przeklętego miejsca.

– Jak nie ogień, to Prusowie. Przeprawy nieszczelne. – Marcin wymownie spojrział tam, gdzie spał Brat Chrystusowy. – Ponoć mają wystawić nowe stróże wzdłuż

Wisły, to prawda?

– Ano, już widzę, wystawią, po tym jak zakon od czasu klęski pod Brodnicą nazbyt osłabły. – De Vivar pokręcił głową.

– A was siła?

– Ano tak. – Zaśmiał się ponuro. – Choć dwóm usypaliśmy groby na gościńcu, ale reszta czeka u wrót Gdańska – skłamał.

– Biskup Chrystian całą nadzieję pokłada w rycerzach z Calatrava. Ponoć wielu was. – W głosie Marcina pojawił się cień niepewności.

– Tak mówił?

– Tak prawił przy książęcym stole. Sam słyszałem, jak Świętopelkowi się chełpił, że idzie was, zbrojnych, trzy tuziny i jeszcze do tego pacholów tyle – kilka razy pokazał palce obu rąk. Zliczyć najpewniej więcej nie umiał. – A i czarne krzyże nadstawiały pilnie ucha. Nieprzychylnie na was patrzą. – Marcin uśmiechnął się szczerze.

Florencjusz chciał coś powiedzieć, ale kapelan machnął ręką.

Dla niego Chrystian był dobrym pasterzem. Marzył, by wzorem świętego Augustyna zbudować państwo boże na ziemi. Konrad Mazowiecki, nie mając już wsparcia w Henryku Brodatym, który musiał zająć się swoimi śląskimi sprawami, obawiał się ambitnego biskupa, więc prowadził potajemne rozmowy z zakonem Najświętszej Panienki, który zamierzał osiąść w Prusach i mógłby się

przysłużyć w obronie piastowskiej ziemi. Wielki mistrz zakonny, von Salza, choć sam nad Wisłę nie przybył, słał listy i wysłanników. Na Pomorze, Kujawy i Mazowsze przybywało coraz więcej zakonników w białych płaszczach z czarnym krzyżem. W Vogelsanck osiadł najpotężniejszy powiernik jego planów – Wedeghe. Ślepiec z nadwiślańskiej twierdzy knuł tylko jak mógł, by wspomóc wyprawę swojego zakonu do Prus.

– Siła czarnych krzyży zasiądzie przy stole księcia. Musicie stawić im czoło – przestrzegł rycerza Marcin.

– Będą sądzić zdradę pod Brodnicą – domyślił się Florencjusz.

– Tak, po Brodnicy książęta piastowscy patrzą na siebie nieufnie, winnych szukają. Nie minie dzień, jak wezmą się za łby. Choć pewnie Leszek Biały sprawi, że załagodzi się spór z Henrykiem Brodatym, bo wielu śląskich rycerzy zostało ubitych, a Gryfici zaniechali pomocy. – Spojrzał jakoś dziwnie na gościa. – Ale nie twoja to rzecz, prawda.

Kastylijczyk rozeznawał się nieco w książęcych sporach, dokładnie przestudiował raporty, ale nie ukrywał przed Marcinem, że mało go interesują te przyziemne sprawy.

– Bo z ciebie to boży rycerz – kapelan tak sobie tłumaczył jego niechęć do świeckich sporów.

Florencjusz uśmiechnął się tylko, zamyślił nad losem Tymawy. W Hiszpanii zostałby jednym z wielu krzyżowców walczących z Arabami. Na Pomorzu miał szansę stać się mistrzem zakonnym.

– Świętopełk – Marcin wyrwał go z zamyślenia – rad każdej waśni Piastów, bo tylko z tego korzysta. Nie jest głupi. Za równego go nie mają. Gdy tylko któryś z Piastów koronę na głowę włoży, wnet upomni się i o Pomorze. A stryj Ranena chciałby wtedy już mieć tyle sił, by nie klękać przed piastowskim majestatem.

Marcin wiedział, co mówi. Książęta piastowscy, nie bacząc na cień rysy na niebie, walczyli o dzielnicę senioralną. Świętopełk wspierał Odonica, młodego księcia wielkopolskiego. Ożenił się nawet z jego siostrą, piękną Euforyną, a księciu oddał swoją siostrę Jadwigę. Wspólnie próbowali odbić Wielkopolskę wujowi Odonica – Władysławowi Laskonogiemu, który również nieprzychylnie patrzył na to, że Leszek Biały, z którym się przeciwko Odonicowi związał, wspólnie występuje ze Świętopełkiem w Prusach. Nic tylko czekać na zemstę Laskonogiego, kpił ze stryja bratanek, siadając przy gdańskim stole. Ale nietrwałe były to sojusze, Piastowie jak dzika sfora obwąchiwali się nawzajem, a każdy liczył się ze zdradą.

Gość nachylił się nad stołem, by osłodzić sobie życie łykiem wina, ale już po chwili wrócił do dawnej pozycji.

– Zbyt wielu zakonników nad Wisłą, którzy zamiast słowem to mieczem wojują. Albo sakwą... – Marcin ściszył głos do szeptu, zerkając w stronę sypialni. – A ci, ponoć ufni Bogu, od modlitwy nie stronią, Bóg im przychylny.

– Nie wierzysz chyba, że do Prusów przemówi Biblia –

zaśmiał się de Vivar. – Nie po to tu jestem, wiesz przecież.

– Prawda, ilu bogów wyznają, nie zliczysz.

Florencjusz potarł brodę. Co go obchodziły imiona pogańskich bogów. Głupi lud, bez rozterek własnych, bo nie znał przykazań bożych. Żył w prostocie, to pewne, nie wystrzegał się diabła ani nie pragnął przypodobać się Bogu. Paganie w Pomezanii nie budowali świątyń, lecz czcili żaby i nietoperze, pewnie ze strachu przed światem i dlatego, by go poskromić. A on musiał wejść między tę pogańską sforę i zabijać, dla diabła albo w imię dobra. I dla siebie, by odzyskać Annę.

Marcin przyglądał mu się przez chwilę, potem zmarszczył czoło i energicznie pokręcił głową, jakby chciał wyrzucić zbędną myśl, która siłą zalęgnąć się chciała.

– Trudno cię przejrzeć. – Machnął ręką. – I prawda to, co rzekłeś, że krzyż miecza potrzebuje. Ale nie należy mieczem się wyręczać. Są inne sposoby, choćby Gotfryd i jego jezioro.

De Vivar słyszał już wcześniej o Gotfrydzie, Ranen opowiedział mu o nim, jeszcze zanim dotarli do Gdańska. Cysters pochodzący z Łekna, w towarzystwie dwóch innych braci, przybył z misją do Pomezanii. Planował wykupić z niewoli wcześniej pochwyconych mnichów. Problem tkwił w tym, że oni nie chcieli wracać. Zżyli się z Prusami, jeden założył nawet rodzinę. Gotfryd wpadł w szal. Zmusił ich do wykonania rozkazu, grożąc

ekskomuniką. Pobłogosławił im na drogę, a sam został, by dalej pogan nauczać. W niedługim czasie poznał ich zwyczaje i żył tak jak oni, choć nie przestawał ich nawracać. Kiedy i jemu zagrożono anatema, wyjechał na parę miesięcy, a gdy wrócił, utrzymywał, że został biskupem Prus. Zapewniał neofitów, że nie da im zrobić krzywdy. A gdy rysa rozdarła niebo, zniknął na dobre, kryjąc się wraz z nimi przed trawiącym Pomezaniem Szeolem w Jeziorze Łez.

Marcin zamilkł, ale po chwili ciągnął:

– Mnie się tak widzi, jeżeliby twój zakon nie uwierzył w legendę o tym przeklętym jeziorze, to wtedy w Meklemburgii nic by nie przekonało świętych mężów z Calatrava, żeby przyjechać do tak zatęchłej dziury.

– Zakon wszędzie toczy wojnę z niewiernymi. A Jezioro Łez, cóż...

– To nie legenda, zapewniam cię.

– Szeol to czy raj?

Marcin potarł podbródek w zamyśleniu, by po chwili konfidencko szepnąć:

– Może sam się o tym przekonasz.

Florencjusz poczuł ukłucie gdzieś w okolicy serca.

Jeżeli został przeklęty, to musi istnieć piekło. A tylko tam diabeł, w swoim królestwie, może mu pomóc w odzyskaniu Anny. Od Boga nic nie otrzymał, nawet niewielkiego znaku, choć walczył dla niego tyle lat. Stwórca pozwolił, by odebrano mu Życie. A może zbyt małą pokładał wiarę w boski plan albo zbyt mało gorliwie

się modlił...

– ... *a przez to i nagrody brak.* – Diabeł kpił zapewne, ale może i było w tym trochę prawdy.

I nagle de Vivar pomyślał chytrze, że przecież na odkupienie grzechów nigdy nie jest za późno.

Nie wiem, co sobie wyobrażał. Że potrafi mnie oszukać, że nie słyszę, jak knuje? Zresztą był taki wspaniały w swym cynizmie: nie zastanawiał się, czy zbyt dużo krwi przelał, bo przecież zabijał dla Boga. To oczywiste. Jego rozterki dotyczyły tego, czy aby zbyt mało nie klękał. Kochałem go za to, kim jest. Był taki samolubny. Ale wiedziałem, że miłość do niego nie może przystąpić mi tego, czego ja pragnę.

Florencjusz chciał coś rzec, ale widząc, że staruszek pali się do dalszej gadki, nie próbował się z nim przekrzykiwać. Splótł tylko ręce na brzuchu i postanowił cierpliwie go wysłuchać.

Kapelan zrozumiał to właściwie, jako przyzwolenie do dalszego kazania.

– Bóg wiarę wynagradza siłą nie tylko w sercu, ale i w lędźwiach. Może nie zginęłoby tylu Braci Chrystusowych pod Brodnicą, gdyby nie wola boska. I zdrady by nie było.
– Spojrzał wymownie na krzyżowca.

Zatem Bracia Chrystusowi tracili twarz, pomyślał de Vivar, nawet u takiego zaufanego człowieka, jakim był Marcin. Ten zapewne szeptał Świętopełkowi same pochlebstwa do ucha o cystersach z Oliwy, o biskupie Chrystianie, o braciach z Zantyra, nawet o śniadych

rycerzach z Calatrava. Ile to korzyści będzie mieć Świętopełk, kiedy odda im Tymawę, a sam Chrystian utraci pełną kontrolę nad swoim zakonem i będzie się musiał liczyć z pomorskim księciem, dobrodziejem tymawskiego zakonu. Każdy miał jakiś interes, nawet Marcin, o czym Florencjusz wyczytał z pism Almodovara. Za pomoc udzieloną przez Świętopełka cystersom Chrystian miał wspomóc jego dążenia do utworzenia biskupstwa niezależnego od włocławskiego biskupa, który dusił każdy grosz z Gdańska. Na tym nowym stołku kapelan skromnie widział swoją osobę, czego mu zresztą odmówić nie było można, bo nadawał się do tej godności doskonale. Będzie musiał tylko przytyć.

Florencjusz uśmiechnął się na myśl o tym, że staruszek nie zdąży ziścić swego chytrego planu. I bawiło go, że ta niepozorna postać mogła ruszyć nieopatrznie tyle pionków na szachownicy. I w swej skromności albo obłudzie nie przyznawać się do tego, że wszystko to tylko po to, by zostać biskupem. Ale bynajmniej nie wyrzekął, podziwiał, chylił czoło nisko, jak tylko można najniżej.

– Dlaczego się kłaniasz? – zdziwił się nagle starzec.

– A wybacz, Marcinie. – Nawet nie wiedział, co czyni.

– Zmęczenie robi swoje, głowa sama opada na pierś.

– A prawda, gościńce męczące, konie wychudłe, powietrze zbyt zimne albo słońce za gorące. Zawsze coś.

Nalał wina.

– Najazdy Prusów to nie sprawka Szatana, jak mówią niektórzy, ale kara boska. – Marcin nie szczędził

rozmówcy swoich dalszych przemyśleń. – Rzym za prześladowanie chrześcijan zginął pod naporem Germanów. Barbarzyńcy jednak niegodni są poznać swojej roli w planach naszego Pana. Oni tylko biorą ciżbę w niewolę, rycerzy prowadzą na zatracenie, kobiety, dzieci... Nie mnie to wiedzieć, ale myślę, może niepotrzebnie, zbyt głośno. To, co mówię, wiem – machnął ręką nad głową – to strzępy myśli, a nie jedna, wielka i prosta. A tylko taka dziś przemówi do tłumów. Myśleć samemu dziś to zbytek. Od myślenia mamy innych. Biskupów, książąt, kupców, braci zakonnych...

– I kapelanów. – Gość uśmiechnął się do Marcina wyzywająco.

– Ja już dawno żadnemu księciu do ucha nie szepczę. Przynajmniej nie tak, jakbym chciał.

Świętopełk z rzadka wyznawał winy. Swój grzech zawsze jakoś wytłumaczył. Miał Marcina tylko za starca, choć jeszcze zimę temu miał go za starca mądrego.

Marcin wwiercił się teraz oczami w kubek wina, ale mówił dalej:

– Wszyscy przekonywać chcą wojną, nie słowem. Słowo nic nie znaczy.

– Benedyktyni już próbowali słowem nawracać Prusów – wtrącił calatravens. – Więc się nie dziw, że nastają inne czasy.

– Wojciech był już trupem, kiedy przekraczał Wisłę. Gdy przecinał rzekę, zapewne patrzył w swe odbicie. Zapewniam cię, że nie dostrzegł w lustrze wody swej

twarży, a raczej twarz trupa. Tylko po to tam pojechał. Chciał zostać świętym. A nam dziś święci nie są potrzebni. Zresztą nawet jemu samemu świętość się nie przysłużyła. Ponoć prawdziwych prochów nigdy nie znaleziono. Tkwią dalej w ziemi Prusów, tylko oni wiedzą, gdzie jest grób.

De Vivar nie wiedział, o kim mówi kapelan, zapewne o jakimś miejscowym szaleńcu szukającym zbawienia. Widział podobnych w Hiszpanii, jak rzucali się z gołymi rękami na Maurów, żeby męczeńską śmiercią odkupić grzechy.

Marcin w końcu skusił się na wino. Opróżnił szybko kubek.

– Może wiedział o tym i Chrobry. – Odlął nową porcję trunku z dzbanka. – Kto o to teraz dba, nawet jeżeli to prawda. Pękło niebo, a niektórym się wydaje, że zabiliśmy Boga. Siedem grzechów głównych przewala się po lasach i gościńcach, a rysa na niebie coraz większa. Niedługo zawali się nam jego sklepienie na głowy. Duchacy pobudowali miejsca Sądu Ostatecznego. Przelali niewinną krew. Choć tłumaczyli się, że każdy jest winien. Cystersi natomiast i benedyktyni odkąd układają pieśni, nie żyją w zgodzie. Mają nowy sposób, by przygotować świat na przyjście Pana. I teraz dominikanie. Każdy ma pomysł na Boga. Czasami wydaje mi się, że czcimy zupełnie innych Bogów.

– A Szatan?

Marcin przez chwilę przyglądał mu się uważnie, jakby

od niechcenia zajął się winem, upijając jeden łyk, dwa...

– Szatan jest zawsze jeden, choć wiele ma twarzy.

– *Więc czym ja jestem?* – De Vivarowi zadźwięczał dobrze znany głos w głowie i nie dowierzał, usłyszał w nim bowiem odrobinę zadumy i niepewności?

Marcin opróżnił kubek, przymknął oczy, ułożył głowę na blacie i zasnął.

Rozdział 8

Każdy dzień w Oliwie z czasem zaczął przypominać poprzedni, szybko też popadłem w rutynę – modlitwa, nauka, pomoc w ogrodzie. Kilka razy pozwolono mi opuścić klasztor i pojechać z szafarzem do książęcego grodu na targ. Zachwyciłem się wielkością gdańskich kościołów, choć mnisi opowiadali mi, że na pielgrzymich szlakach boże świątynie przypominają góry: o szerokich nawach, z poszerzonym apsydami transeptem, z wielkim obejściem dla chóru, a nie tylko z dachem i krzyżem. Musieli mówić prawdę, bo zapamiętałem zmęczone twarze tych, co wracali z odległych krain. Ich oczy, pomimo zmęczenia i udręki podróży, zdradzały rozpierającą ich dumę, że widzieli to, o czym ja mógłbym tylko pomarzyć.

W dzień targowy jakiś ślepy starzec zaczął krzyczeć, że widzi diabła, jak napełnia worek zarzucony na grzbiecie grzechami tych, którzy splugawili to święte miejsce. Ludzie wpadli w popłoch, zaczynali się przepychać, tratować nawzajem.

Innego dnia na gród spadła psalmodia, jak deszcz. Dla mnie była niemal namacalna. Każdy odgłos jej dźwięku wydawał się kroplą, uderzającą z osobna. Wielka i ciężka, roztapiała się w mej głowie, by ustąpić kolejnej.

Innym razem niosła się wąskimi uliczkami jak letni wietrzyk, ocierała o ściany domów, sięgała dachów,

wypełniała każdy zakamarek grodu. Nikt nie znalazł miejsca, żeby od niej uciec. Wydawało się, że zlewa się z żółtym blaskiem słońca, przegania cienie. Ludzie słuchali bądź zatykali uszy, ale psalmodia wdzierała się im do głowy, zmieniała twarze w krzyczące maski.

A ja słuchałem bez lęku. Choć za każdym razem rozumiałem ją inaczej. Bałem się, bo wielu moich pobratymców podrzynało sobie gardło na drodze, w tawernie, w kościele. Ot tak, w jednej chwili.

Letnią porą najbardziej lubiłem wychodzić daleko poza mury klasztoru, gdzie wieśniacy orali pole. Nawykli do tego, by jeszcze przed zmierzchem kończyć pracę i wyczekiwać ze wzniesioną głową. Czekałem wraz z nimi. Pieśń jednak przychodziła w najmniej spodziewanych momentach.

Najgorszą porą była zima, gdzie dzień krótki, a noc długa, i diabeł po obejściu, po dziedzińcach, i pod murami klasztoru hasał, bo ponoć i jemu mróz dawał się we znaki. Wtenczas modlono się jeszcze żarliwiej, głośniej wzbijała się pieśń pod sklepienie klasztorów. Zamykano wtedy bramy przed ubogimi, obrzucano kamieniami tych, którzy nie chcieli odejść. Nie mogłem wyczekiwać już pieśni na otwartym polu, a właśnie tam najlepiej bym ją pojął. Niczym nieskrępowaną, żadnym echem, żadnymi murami, jak z kroplą deszczu – zimną i chłodną, ale czystą, prosto z nieba do mojego serca. Chciałem w to wierzyć.

Nie rozumiałem, dlaczego w skryptoriach tworzono pieśni, w tych ciasnych murach, gdzie bracia zakonni z

cierpiętniczymi minami układali wersety, mylili słowa, te ważne z tymi, które nic nie znaczyły.

Nawet opactwo oliwskie rozbudowano, by więcej talentów mogło zmieścić się w skryptoriach. Choć przybywali z udawaną pokorą, nęcił ich blask sławy. Każdy z nich myślał, że to właśnie on ułoży pieśń na przywitanie Boga.

Spacerując po klasztorным ogrodzie, wspominałem drogę, którą pokonałem, zanim dotarłem aż tutaj.

Ze swoimi dotychczasowymi towarzyszami podróży – benedyktynami, rozstałem się, gdy jeden z nich zachorzał w drodze. Uciekłem podczas któregoś z postojów, gdy kazali mi iść do strumienia po wodę. Skierowałem się – wtedy tak myślałem – w stronę moich rodzinnych stron.

Po kilku dniach błąkania się po pomorskim trakcie, któregoś wieczoru, chmury jakby przybrały złowróżbną barwę, bo niemal czarną. Przeganiane przez wiatr, układały się w przerażające monstra na niebie. Dojrzałem słup ognia unoszący się nad lasem. Wygłodniały i zmęczony, ruszyłem za odgłosem ludzkich śmiechów i śpiewów – beztroskich, jakby nie walił się świat.

Na polanie wokół kilku ognisk tłoczyli się włóczędzy. Swąd przypalonego mięsa mieszał się z odorem potu. Dzieci skakały przez ogień albo dokuczały starcom, silniejsi próbowali odegnać intruzów kijem. Kobiety trzymały się blisko swoich mężczyzn, a każdy miał ich po kilka. Usługiwały im, masując stopy i przeczesując włosy, hierarchia została już dawno ustanowiona. Zapewne

mogły liczyć na siłę ich mięśni w stadzie wygłodniałych wilków.

Nie pytając o pozwolenie, przysiadłem przy jednym z ognisk. Pomimo głodu postanowiłem trzymać się z dala od mięsa. Zerkąłem na jakiegoś rudego chłopaka, który obracał w rękach kawałek suchego bochenka.

Zlustrowałem tych, którzy siedzieli wokół ogniska, brudne, ponure obdartusy, wszyscy zmarznięci i przemęczeni. Każdy w innym wieku, wielu było tu mnichów, chłopów, dwóch wyglądało na rycerzy, co na początku bardzo mnie przerażyło. Ale przyjrzałem im się baczniej w półmroku – młodzi, nie mniej przestraszeni niż inni, próbowali skryć swój strach pod maską hardości. Wyróżniały ich tylko śniade twarze, zarośnięte od wielu tygodni. Nie zwracali na mnie jakiegóż szczególnej uwagi.

– A ty tu czego? – Jakiś tłuścioch zerknął na mnie, a potem skinął na dwóch wychudzonych młodzieńców.

Odziani byli w skórzane kurtki, jeden z nich miał nawet pas i miecz – pewnie zdjęty z trupa jakiegoś rycerza.

Podeszli do mnie, a ja nie wiedząc, co robić, wyjąłem spod koszuli krzyż i wyciągnąłem przed siebie.

– Słyszycie, jak szepta? – spytałem.

Struchleli. Spojrzeli na swojego przywódcę, szukając ratunku.

– A co tam masz? – grubas zwrócił się do mnie i spojrzał na worek, który znalazłem w jakimś opuszczonym szałasie i trzymałem teraz przed sobą jak tarczę. – Może się dogadamy.

Rzuciłem mu go pod nogi.

– Wiele w życiu widziałem, ale to... – Nie rozumiałem, czy mówi o krzyżu, czy o tym, co właśnie wyciągnął z wnętrza: nici, igłę, nóż.

Spokojnie odrzucał to, co uznał za niepotrzebne.

Machnął ręką i zagwizdał.

– Prawdziwe skarby w takich czasach. – Spojrzał na mnie jakoś dziwnie. – Możesz pójść z nami.

Uśmiechnąłem się i z wdzięcznością przyjąłem z jego ręki kawałek chleba.

* * *

Nagle zapragnąłem znów spotkać moich pruskich braci. A tymczasem skumałem się z dziwną kompanią, której towarzystwo mogłem ledwo znieść. Tłuscioch obłapiał mnie przy byle okazji, mówił o przyjaźni, przekonywał, że z nim nie zginę.

– Słyszeliście, kurwy niemyte! Jezus szepta! – krzyczał, poklepując mnie po plecach.

Pewnego dnia zasłabł i odtąd kazał się nieść w prowizorycznej lektyce, skleconej z dwóch drągów i jakiejś płachty znalezionej na wozie.

Kobieta, która szła z nami, szukała mego towarzystwa. Gdy się kładłem do snu, przylegała do moich pleców. Nie przeszkadzało mi to. Dzięki temu było nam obojgu cieplej. Podczas kąpieli w strumieniach myła mi plecy. Myślałem, że reszta będzie o nią zazdrosna, ale tylko się

uśmiechali w moją stronę, jakby zachęcając mnie do tego, bym skorzystał z jej wdzięków.

Raz, gdy leżeliśmy w spiekocie słońca na niewielkiej polanie, rozebrała się i wskazała palcem.

– Dotknij, o tu. – Położyła dłoń poniżej pępka.

Poczułem, jak coś w jej brzuchu drży.

– Kopie. – Uśmiechnęła się.

Do tej pory myślałem, że jest po prostu gruba. Dopiero teraz pojąłem znaczenie uśmiechów jej kompanów. Dla nich niedługo stanie się tylko ciężarem. Może już skazali ją na śmierć, a może czekali, aż urodzi dziecko... Wzdrygnąłem się.

Wyobraziłem ją sobie bez blizn na twarzy, bez strupów na rękach, pachnącą, w prostej sukni zamiast poszarpanej koszuli. Kiedyś mogła się chwalić urodą.

– Kto jest ojcem? – Machnąłem ręką w kierunku mężczyzn, którzy odpoczywali nieopodal.

Pokręciła głową.

– Gwałcili mnie wiele razy. Wszyscy, także ci, którzy dawno odeszli.

Usiadłem przy niej, pogłaskałem po sztywnych od brudu włosach.

– Chciałbyś? – Złapała mnie za krocze i oblizała usta. – Mogę wiele ci dać.

Odepchnąłem ją ze wstrętem.

– Myślisz, że tylko za to możesz kupić opiekę?

– Brzydzisz się mną? – Poderwała się z ziemi.

– Nie. Mówię, że możesz na mnie liczyć i nie musisz

tego robić.

Zaczęła się śmiać.

– Nie wierzę. Zawsze jest coś za coś. A ja mogę tylko to ci dać.

Zrozumiałem, że szuka mojej opieki, nie ufając swoim kompanom. Widząc jej wzburzenie, zaczęli się śmiać.

– Myślisz, że jesteś ode mnie lepszy? – Nachyliła się nade mną i syknęła: – Dla nich też jesteś mięsem. Przyjdzie zima i zarzną mnie i ciebie, jak świniaki.

– Do zimy mnie tu nie będzie.

– Zabierz mnie ze sobą.

– Dobrze. – Miała piękne niebieskie oczy.

Zbyt dużo w nich wyczytałem. Musiałem jej skłamać. Czyż można oszukać śmierć?

Pocałowała mnie i odurzyła nieco ciepłym oddechem.

* * *

Pewnej nocy podpatrzyłem, jak klęczy przed tłuściochem i sięga do jego krocza, jak się śmieje obleśnie, gdy skończył. Tylko półmrok dzielił mnie od nich, na polanie, pod gwieździstym niebem. Chciałem wstać i biec, stawiać jak największe kroki, uciekać...

Uciekać...

Czekałem na świt jak na zbawienie.

Tak jak teraz, w oliwskim ogrodzie.

Rozdział 9

Winią Żydów za kontakty ze mną.

Mówią, że czuć ich koźłem – to kara za zabicie Chrystusa. Też Żyda. Chrześcijanie twierdzą, że gdy Żydzi się ochrzczą, tracą fetor. Że ten smród to niby ode mnie. Przypisują Żydom magiczne zdolności: Salomon Żyd, Arystoteles Żyd, Sedekiasz Żyd. Ponoć Żydzi mają po mnie złe oko. Wystarczy, że spojrzą na zboże i już marnieje. A dla nich samych jestem tylko alegorią.

Przynajmniej dla chrześcijan istnieję naprawdę, tak jak i moje królestwo na ziemi.

Marcin, choć gościnny, nie mógł zapewnić rozrywek, do których rycerze chrystusowi nawykli, gdy chcieli wynagrodzić sobie czas spędzany w drodze. Musieli także odpocząć po przydługiej podróży. Do dnia świętego Pawła zostało niewiele czasu, a trzeba było radzić, jak sprawić, żeby więcej niż jeden rycerz z Calatrava zasiadł przy książęcym stole.

Dla Ranena dzień zaczynał się, gdy słońce stało wysoko, a samopoczucie zależało od tego, czy syta wieczerza sprawiła, że twardo spał, i uśmiech dopiero wykwitał na jego twarzy, gdy służba pod nos podstawiła mu pierwszy posiłek.

Florencjusz śmiał się, bo słońce ledwie wzeszło, a burczenie w brzuchu spałego krzyżowca obudziło ich

wszystkich. Brak czegokolwiek na stole w infirmerii kapelana Marcina wzbudził w młodym Sobiesławowicu w pierw gniew, a potem zwątpienie w sens życia. Dodatkowo zeźlił się, gdy mu calatravens sprawił niespodziankę i oznajmił, że nie ma dla nich miejsca na dzisiejszej wieczerzy przy stole Świętopełka, a w końcu wpadł w furję, zapowiadając, że czarnym krzyżom zgotuje na trakcie drugą Brodnicę.

– Nie po to pędziłem tym zasranym gościńcem, żeby mi teraz byle ksiązę przed nosem drzwi zamykał, a wpraszał dupojebców – wyrzekał na głos, gdy szli dusznymi uliczkami, rozpychając się przez tłum oniemiałych gapiów, mędrców, wprawiających tłum w chwilowe odrętwienie, żebraków, którzy niemal czepiali się ich habitów...

Dla rycerza chrystusowego jeszcze dwie, trzy wiosny temu, ksiązące *castellum* stało otworem. Teraz krzyżowcy musieli zadowolić się tawerną, do której trafili, kierując się na północ grodu.

Gospodarz uraczył ich tym, co jak zapewniał, miał najlepszego. Bracia przypili do siebie, unosząc wysoko kubki z napitkiem, ale długo razem nie siedzieli. Ranen już po chwili zaczął obłapiać kilka stołów dalej jakieś dziewczki, szeptał im do ucha sprośności, czasami pośpiewał coś głośniej ku uciecze wszystkich, śmiał się, gdy babsko mu włosy targało, ale zaraz je poprawiał, by grzywka leżała równo na czole.

Florencjusz usiadł nieco zasepiony, wsłuchując się w

żałosny lament człowieka, który oznajmiał co chwila, że to, co śpiewa, to nabożne pieśni. Ale ani razu nie usłyszał nic o Bogu, tylko o miłości, i nie tej rzewnej, tylko takiej, w której widzisz i zadek kobiety, i plecy wygięte w łuk, a niekoniecznie jej twarz.

Parszywi krzyżowcy, w pański krzyż przyobleczeni, pokręcił głową, myśląc o swoich kompanach wybitych na gościńcu. Skąd on teraz weźmie takich chwatów, jak ci z Kastylii, Aragonii, Brabancji. Nie pił, podły trunek nie był godny rycerza. Pieśni nie słuchał, sprośna, kłóciła się z tym, o czym marzył. Pokochałby się ze swoją Anną. Ale otrząsnął się szybko ze smutnych myśli, które czyniły go słabym.

Zły nastrój pogorszyły jeszcze dwie gęby, które pojawiły się między nim a szynkwasem. Do tawerny weszli po cichu, z pokorą, przycupnęli przy jednej z ław, zamówili piwo, ale już po chwili szczerzyli zęby jak swoi; starszy spróchniałe, młody w większości wybite. Ojciec i syn. Stary w darze od Boga otrzymał durną gębę, szpetną, i takiej samej w nasieniu nie poskąpił synowi. Jedynie miał więcej zmarszczek i blizn. Oczy te same, okrągłe i wybałuszone, grube wargi, odstające uszy, albo raczej ucho – bo mu jedno zostało. I te grzywki, tak cholernie równo przycięte tuż nad grubymi brwiami, Florencjusz pomyślał, że musi ich spytać, u jakiego balwierza się strzygą.

Ale gdy podeszli do niego, przysiedli się jak do swego, zapomniał o pytaniu i już chciał uderzyć w gębę

starszego, bo był na wyciągnięcie ręki, i wiekowy, to pewnie i słabszy, albo chociaż skłąć, ale stary, widząc, co się święci, krzyknął szybko:

– Piwo dla rycerza!

Przy ławie pojawił się biust, biodra, ładna twarz i zamówiony dzban.

Florencjusz odprowadził uśmiechem uroczą obsługę, po czym uśmiech przeniósł na intruzów.

– Trunek wnet się skończy. Może choć zdążycie się przedstawić, zanim opróżnię dzban. – Rozlał piwo do kubków.

Przepił do gości, ale nie czekał, aż uniosą kubki. Pił sam.

– Nazywam się Bertold, a to mój syn Pilgrim. Z Passawy.

– No, to gratuluję. Kawał świata żeście zwiedzili.

– Oby nie na darmo – wtrącił młody.

– Zawrzyj gębę, jak starzy gadają. – Ojciec zamachnął się, ale syna nie uderzył.

Zresztą ten nawet nie próbował się zasłonić, pewnie przyzwyczajony do gwałtownych, ale mało niebezpiecznych ruchów starego. Miał okrągłą, nalaną buźkę chłopczyka, niewiele odrósł od ziemi, ale szeroki był w barach i natura obdarzyła go dość osobliwymi dłońmi i dużą głową.

Brzydal bez proporcji. Partactwo Boga? Czy forma zabawy z tworzywem, jakim jest ludzkie ciało. Wielkie łapy, wielki byczy łeb...

Bertold nachylił się nad stołem, by być bliżej calatravensa, głos ściszył do szeptu.

– Jesteście, panie, krzyżowcem.

Florencjusz rozejrzał się po tawernie. Świat krzyżowca można było ująć w trzech słowach: cycki, gorzała i nutka kultury płynąca z lutni.

– Domyślny jesteś, choć krzyż mam na piersi. I pełen odwagi, jak myślę, że przysiadasz się do stołu, jak do swego.

– Mówię ci, że jestem Bertold z Passawy.

– A to twój syn, Pilgrim – zapamiętałem.

– Zakonnicy z Calatrava są jak ogiery dobrej krwi, więc gdybym był zwykłym pacholem, to bym nie podchodził.

– Właśnie – przyznał syn.

Stary tym razem zdzielił go przez łeb. Pilgrim wydał się bardzo zaskoczony.

– Za co?

– Morda, mówię, bo nie wytrzymam. Wybacz, panie. Rodzony, ale po gębie tylko to rozeznasz, i tym co poniżej pasa. Resztę odziedziczył po matce. A ta nie należała do roztropnych. Zresztą widać, z kim się skumała. – Wskazał na siebie i zachichotał.

De Vivar westchnął ciężko.

– Już mówię, panie, dlaczego ci spokój zakłócamy. Chciałbym, żebyś przygarnął mego syna.

Calatravens zaśmiał się, piwa nieco posmakował.

– A to niby czemu? – Spojrzał z odrazą na pryszczatą gębę wyrostka.

– Zwykłych giermków prawy rycerz może mieć i setki, ale ty, panie, zasługujesz na najlepszego. A mój syn, choć głupi jak muł, to silny jak tur. Ba, jak dwa! – to mówiąc, zdzielił młodzika po łbie.

Młody nawet nie drgnął.

– Mógłbym go tak lać i lać. O, proszę. – Bertold z Passawy wstał i z całych sił zaczął okładać dużą głowę Pilgrima silnymi kuksańcami swych ciężkich pięści. – Nawet nie drgnie. A was siła miała być. A jest jeden mąż, choć przyznaję, z postaci ocenię, że nie tylko zacny i pewnie jednym cięciem miecza...

– Dość – przerwał mu Kastylijczyk. – O czym prawisz?

– Z dalekiej Meklemburgii ciągniemy. Słyszeliśmy o wezwaniu biskupa Chrystiana i o waszej porażce w obozowisku. Plotki szybko rozchodzą się po pomorskich gościńcach. Pruskie diabły. – Splunął. – Jeden kulas mówił...

– Żartujesz?

Bertold spojrzał na niego.

– Nie rozumiem.

– Jaki kulas?

– Biskup Kulas, tak go zwa, bo ponoć był kiedyś biskupem. Opowiadał z dumą, jak dostał od krzyżowców płazem miecza w głowę, ale przeżył. I najadł się do syta. – Zachichotał, ale widząc ponurą twarz krzyżowca, zamilkł na chwilę. – Już go rycerze od Najświętszej Paniienki wypytali o wszystko. Obiecał, że za marne grosze powtórzy wszystko przy książęcym stole.

Florencjusz się zamyślił. Spojrzał na Ranena. On też zaczął przysłuchiwać się rozmowie.

– Tak, panie. Kulas trąbił, a teraz trąbi cały gościniec, cały Gdańsk – ciągnął Bertold. – Więc jak będzie, panie, najmiecie mego syna? Na służbę, rozumie się. W Tymawie może nawet zacząć od tego, że będzie rąbał drwa, żeby świętym rycerzom, gdy wrócą utrudzeni z wyprawy, było ciepło. A rąbać drwa to on potrafi. I krew mu niestraszna.

Słowa zawisły nad stołem. Pewnie zatrzymywały ziarenka w klepsydrze, które odmierzały czas w kościele Świętego Mikołaja, zegar słoneczny w opactwie oliwskim; ptak, który zerwał się do lotu, podniósł tylko skrzydło. Florencjusz otrząsnął się. To nie czas się zatrzymał, to zaschło mu w gardle.

– Wiem przecież, że nie ma nic za darmo. Pół życia odkładałem. Mój ród znany jest w Passawie. Mój syn to skarb. Tylko mu opiekuna trzeba, takiego jak ty, panie, żeby na złą drogę nie zszedł. – Bertold objął syna ramieniem i przycisnął do piersi, wytarł grzywę. – Moja duma. I wiem, jakie panują obyczaje, panie. – Wyciągnął spod kurtki sakiewkę pełną brzęczących monet. – U nas można kupić za to wieś, ale tu, w tym zapomnianym przez Boga kraju, cały zamek. Ba! kilka zamków.

Florencjusz nie chciał przyznać, że był już gotów przygarnąć Passawczyka za darmo.

– Przyda się. I twój syn, panie, i twoja zapłata. –

Florencjusz z zadowoleniem spojrział na mały skarb i szybko go schował.

Przypomniawszy sobie swoje przyjęcie do zakonu rycerzy z Calatrava, kiedy musiał oddać cały dobytek. Poklepał młodego po ramieniu.

Pilgrim odetchnął z wyraźną ulgą. Uśmiechnął się nawet do swego nowego pana. Dotąd wydawał się nieco zaniepokojony całą sytuacją, jakby się wstydził za ojca, ale chyba tylko z szacunku do niego nie wtrącał się w rozmowę.

Bertold, zadowolony, pocałował potomka w czoło.

– Jak dobry Bóg da, to się jeszcze zobaczymy, a jak nie – to dopiero w niebie, syneczku.

– Albo w piekle – zaśmiał się de Vivar.

Niespodziewanie wstał od stołu i mocno uściskał zaskoczonego Bertolda. Rycerz z Passawy aż poczerwieniał z dumy.

– No, mój syn cię nie zawiedzie, panie, tego jestem pewny. A i grosza nie poskąpiłem – rzekł nieskromnie. – Więc nic tu po mnie. – Stary Passawczyk uklonił się nisko krzyżowcom na pożegnanie i nie patrząc już na syna, opuścił przybytek z dziwną ulgą na twarzy.

Florencjusz wyglądał na zadowolonego z siebie. Jeszcze raz poklepał Pilgrima po plecach.

– Oto nasz nowy nabytek – rzekł do księcia, który właśnie podszedł do stołu.

– No, to żeś się urządził. Masz za co jeść i pić, nieprawdaż? No i gębulę zacną przygarnąłeś. –

Sobiesławowic wytargał milczącego Pilgrima za policzek.

– A jak wszystko przeżresz, to co z nim zrobisz?

– Oj, drwa będzie w Zantyrze rąbał. Zaczny to pachół, widać po gębie, i bogaty. – Uderzył się w pierś, gdzie schował mieszek. Przyjrzał się chłopakowi i nasunęła mu się pewna myśl. – Jakiś taki... – Potarł podbródek.

– Do rąbania drew wystarczy. – Książę zaśmiał się.

– A gdzie tam. Nadaje się do lepszej roboty. Będzie pogan rąbał, nie drwa. – Florencjusz wskazał na duże łapy Passawczyka. – Silny jest jak tur. Tylko muszę mieć więcej takich jak on. Zakonników z Calatrava – to powiedział szeptem.

– Że niby co? – zdziwił się Ranen.

– Nie rozumiesz? To rycerz z Calatrava, jak się patrzy.

– Uśmiechnął się szeroko.

– Ta... prawdziwy zakon się tworzy – zakpił Ranen.

Usiedli i nie przejmując się młodym, który również, jak oni, nachylił się nad stołem, zagłębili się w cichej rozmowie.

– Wszyscy już mówią, że zakon Calatrava to jeden rycerz – Florencjusz przypomniał, co mówił mu Bertold. – Nie wiem, skąd u ciebie, książę, taki spokój się bierze. Ale mnie spieszno do Tymawy. Muszę jednak pokazać, że mam z kim pełnić stróżę.

– I, że niby ten pachół ma ci pomóc? – Sobiesławowica nie opuszczał dobry humor. – Co ty knujesz?

– Będzie ich więcej. I prawdziwych rycerzy.

– A niby skąd?

– Ty, książę, wici rozpuścisz po grodzie, że siedzę tu i czekam...

– ... na pięknych i bogatych. A miałem cię za mądrego.

Młody rycerz z Passawy odkaszlnął, chrząknął, ale nie przemówił, czekał na pozwolenie.

– Mów – nakazał Florencjusz.

– Bo tu, niedaleko, jest siedziba Chocimira. I może lepiej tam, niż tu, nająć rycerzy do służby.

– O czym on gada?

– A, prawda! U Chocimira czekają tylko, aż ich ktoś uwolni. – Ranen aż klasnął. – Ale to strutterzy, wagabundy, raubritterzy, złodzieje... Zresztą nie pójda, choćby im sam papież dał odpuszczenie grzechów.

De Vivar zignorował księcia i zaczął wypytywać Pilgrima, co wie o tym miejscu od ludzi, a co sam na własne oczy widział.

– Wielu jest, co do ciebie z chęcią przystanie. Przecież nie mają innego wyjścia – rzekł młody stanowczo.

– Brednie! – zaprzeczył książę.

– Pójda, i dostaną piękne szaty. – Florencjusz się śmiał.

– Zasiada przy książęcym stole jeszcze w dzień świętego Pawła. Każe im się zawrzeć gęby, żeby nic nie mówili, niech jedzą tylko i piją. Na wozach jest ekwipunek, który wystarczy, by całą armię uzbroić. Biskup Chrystian nie zna gęb, które jechały z Calatrava.

– Toż to zakon szubrawców będzie, a nie świętych rycerzy – przestrzegł Ranen.

– Bez urazy. – De Vivar uśmiechnął się, ale tak, żeby

żart, który zaraz powie, nikogo nie rozśmieszył. – W niczym nie będzie ustępował ani nam, ani sodomitom z Jerozolimy.

Ranen zachichotał, słysząc obelgę. Miał na pieńku z Zakonem Najświętszej Marii Panny i ze ślepym mistrzem Wedeghe. Wstąpił do zakonu braci z Zantyra, ofiarowując mu swój majątek, zyskał tym samym ochronę i spokój w stróży nad Wisłą. Wesołość prędko mu jednak przeszła, kiedy pojął, że może to teraz wszystko stracić za przyczyną swego nowego kompana.

– Przecież obłożą nas ekskomuniką. – Złapał się za głowę. – A ty, rybeńko – ścisnął policzki Pilgrima mocno – skąd o tym wszystkim wiesz? O Chocimirze? Przecież ty nie stąd.

Młody Passawczyk czekał, aż mu książę twarz puści z żelaznego uścisku, ale nic nie rzekł, spąsowiał tylko.

– Mów! – ponaglił go Florencjusz.

– A bo to ja jeden tam byłem – wybąkał.

– Gdzie?

– No, u Chocimira.

– Przecież ojciec twój wmawiał nam, że przybyliście z Passawy.

– Przyjechał po mnie, by wykupić mnie z rąk pomorskiego rycerza, w zamian za obietnicę, że już do domu nie wrócę.

– A to ciekawe. – Sobiesławowic pokręcił głową. – Więc nie jesteś taki święty, na jakiego wyglądasz, i nie tylko potrafisz drwa rąbać, skoro cię Chocimir zatrzasnął

w swym loszku.

Pilgrim machnął ręką, znikł gdzieś przygłupi wyraz twarzy. Rozejrzał się wokoło, spojrział na drzwi, jakby się upewniając, że nie zobaczy w progu ojca, i zaczął mówić nieco przyciszonym głosem, ale pewnie:

– Zasadzki, nocne napaści na wioski wraz z innymi strutterami. Pierw ograniczaliśmy się do Prusów, ale gdy nieco przerażyły nas pogłoski o Szeolu, przenieśliśmy się na pomorski gościniec. Zgubiła mnie litość dla pokonanego wroga. Pomorski rycerz poprosił mnie, żebym się za niego pomodlił. Przykucnąłem przy nim, złożyłem dłonie, jak do pacierza, schyliłem głowę i zanim się obejrzałem, miałem w piersi nóż. Moi kompani zostawili mnie na drodze. A potem już można się domyślić, co robi Chocimir.

– Ciekawe, że tego wszystkiego twój ojciec nam nie opowiedział, chwając się tobą – wtrącił Ranen.

– Nie wszystko wiedział. – Passawczyk uśmiechnął się chytrze.

Florencjusz zaczął podejrzewać, że chłopak nie tylko jest silny, ale i niegłupi. I miał cierpliwość do ojca.

– A to ci dopiero! – Książę uderzył dłońmi o uda w udawanej radości. – To teraz mamy kompanię. Zubożalego księciunia, wygnańca z Hiszpanii i zwykłego rabusia.

De Vivar zmierzył go ostrym wzrokiem.

– A tak, tak, toż domyślam się przecież, że nie masz dokąd wracać. Bo gdybyś miał, to już dawno by cię tu nie

było po tej rzezi. No, chyba że ty naprawdę wierzysz, że jeszcze coś ocalisz. Jakiś pomysł masz. – Sobiesławowic zaśmiał się. – Zakon powiększy się przecież o strutterow. Można przyjąć, że wybraliśmy złoty środek między tym, czego chce od nas Bóg, a czego wymaga sytuacja.

– Teolog! Pomyliłeś ścieżki, zbłądziłeś nie do tego zakonu! – zakpił Florencjusz. – A czy mam dokąd wracać, to nie twoja sprawa.

– A jakim prawem mówisz do mnie tym tonem? – Ranen zmarszczył w złości brwi. – Co ty wiesz? Nie uwłaczając twojej sławie, Prusowie to nie Maurowie. Z nimi trzeba inaczej. Nie możesz strutterow posłać za Wisłę jako krzyżowców. Pierw dobywają broni, a potem martwią się, komu przyłożyli. Zakon Braci Chrystusowych długo budował zaufanie wśród pruskich plemion.

– Śmierć, gdy przychodzi, zawsze jest taka sama – syknął de Vivar.

– Właśnie mówię, że z nimi trzeba inaczej. Tam nie ma władzy jak wśród Arabów. Tam jest gąszcz drzew, zetniesz jedno, w jego miejsce wyrosną następne. Trzeba powoli. Nie tylko z mieczem w ręku, ale i z krzyżem. Wtedy i Bóg wybaczy.

– To i handelek wybaczy. Powiedz, że o to ci chodzi.

– Nie przeciwko tobie staję, bracie z Calatrava. Tylko przeciwko twoim metodom i twojej kłopotliwej sławie. Od Prusów bronimy ziemię od Zan tyra aż do przeprawy...
– uciął, bo nie pamiętał, które ziemię mieli w obowiązku

zabezpieczać.

Choć Prusowie wielokrotnie przeszli Wisłę, do Strzyży nie doszli od lat. Ale była to zasługa nie zakonników, tylko fortuny.

– Rolą Świętopełka jest widzieć rzeczy i dobre, i złe – ciągnął. – Gdy tylko powinie nam się noga, wina jest nasza. Ale gdy jest dobrze, sami musimy upraszać nagrody. Pomorski książę z przesadnym zaufaniem patrzy na nowy zakon. Zbyt dużo waśni, zbyt wiele sporów przez lata narosło albo i w dniach ostatnich, to prawda, ale nie może Świętopełk od tak – tu pstryknął – w jednej chwili zapomnieć o wszystkich naszych zasługach. Wiem, ile mamy winy naprawdę, a ile winy przypisują nam zakonnicy od Najświętszej Pani.

Machnął w końcu ręką i westchnął ciężko.

– Zaniedbujemy od wielu lat swój obowiązek. Nawet nie pamiętam od ilu. Chciałbym kiedyś osiąść na tej ziemi i patrzeć, jak rodzi się nowy świat.

Florencjusz domyślał się, że sprowadzenie go do Tymawy Ranen odbiera jako dowód, że uznano braci z Zantyra za niekompetentnych, jednocześnie wierzył, że książę sam rozstrzygnie dręczące go dylematy i nie trzeba mu będzie pomagać w podjęciu decyzji, po której ma stanąć stronie.

I Sobiesławowic, jakby czytając swemu towarzyszowi w myślach, rzekł nagle:

– Nowe idzie. Nie ma co płakać, pod jakim płaszczem będziemy służyć, byle pod krzyżem, może być czerwony

albo ten z liściem. – Spojrzał na habit calatravensa. – Byleby mieć ryj w żłobie. Nieważne czym. – Trzepnął otwartą dłonią w ławę, już uśmiechał się szyderczo. – Szkoda, że nie ma dla nas teraz miejsca przy stole mego stryja. Kto inny tam żre i pije, obmacuje kurwy, a kurwy Świętopełk ma najlepsze. – Rozmarzył się przez chwilę. – Przyjdzie czas, że te panny i w naszych gaciach pogrzebią, a nie tylko braci od Najświętszej Pani.

– Świętej pamięci książę Grzymisław, pan na Lubiszewie, sprowadził do Starigordu joannitów, kiedy nieba nie szpeciła jeszcze rysa – wtrącił się Pilgrim. – Też myśleli, że podbiją Pomorze.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Poznałem jednego z nich u Chocimira.

– Ale ledwo im stawał. – Ranen zaśmiał się, gdy przypomniał sobie jednego bardzo młodego joannitę ze Skarszew, który próbował wygrzmocić jakąś dziewczkę przy drodze, ale mu kuśka odmówiła posłuszeństwa. Stał tak ze spuszczoneymi gaciami, dupą do gościńca i łajał babę, że niby czarownica i urok na niego rzuciła. – Teraz komu innemu dziwki usługują pod stołem u Świętopełka, nie nam – zezłościł się, aż poczeriał na twarzy. – Sodomici z Jerozolimy przychodzą na gotowe. Zeżrą nas biskupi i książęta, nie zdążymy okrzepnąć. Zanim się obejrzymy, brat Chrystian pokaże nam rzyć i każe wstąpić do zakonu najświętszych sodomitów. Może i dobrze gadasz, żeby z tym Chocimirem dobić targu i żeby przyoblec gmin w habit. – Spojrzał znacząco na Pilgrima.

– Nie pochodzę z gminu! Płynie we mnie krew
możnego rodu z Passawy – oburzył się młody.

– Zamknij gębę! – Książę zamachnął się na niego, ale
nie uderzył.

Pociągnęli jeszcze po łyku piwa, patrząc na siebie przez
dłuższą chwilę w całkowitym milczeniu. Wreszcie
Florencjusz podniósł się od stołu i oznajmił:

– Jestem mistrzem Tymawy...

– Nawet tam nie byłeś.

– ... i biorę pełną odpowiedzialność za wszystko.
Młodzieńcze, prowadź do Chocimira. – Spojrzał
wyczekująco na Pilgrima.

Cisza zaległa nad stołem w gdańskiej tawernie, jakby
właśnie tutaj ważyły się losy całego świata.

– Pojadę z wami – rzekł Ranen po krótkim namyśle –
choć pewnie mało owoców będzie z tego drzewa albo i
wszystkie zepsute.

Wypuścił powietrze z nadętego brzucha, resztki złości
na twarzy ustąpiły, policzki zbladły. Poklepał Pilgrima po
plecach.

– I widzisz, niedługo zostaniesz dzielnym rycerzem, a
ojciec myśli, że będziesz drwa rąbał.

Młody uśmiechnął się, a krzyżowcy uścisnęli sobie
prawice.

– A zatem sprawa wśród dobrych chrześcijan
załatwiona.

– *Bóg z tobą.* – Calatravens w głosie diabła usłyszał
jawną kpinę.

De Vivar zachowywał się tak, jakby mnie nie było. Nie oglądał się już nawet za siebie. Nie zadawał mi pytań, nie dbał też o to, bym otrzymał żądaną odpowiedź.

Musiałem mu przypomnieć, kto tu rządzi.

Florencjusz ruszył do drzwi i przekroczył próg tawerny. Zadrżała mu ręka, stracił czucie w kolanie. Upadł.

– Co się stało? – spytał ksiązę, który podchwycił go za ramię.

– To od słońca. Oślepiło mnie – skłamał.

* * *

Trzeźwiał w kościele parafialnym, ciężkiej kamiennej bryle, z niskim spadzistym dachem i z wąskim wejściem. Saski dzwon, duma Marcina, grzmiał, dudnił, walił mu w głowie, a wiernych wzywał na nieszpory. Tłoczyli się, ale z dala od niego, z lękiem patrząc na ponure oblicze krzyżowca, na wyblakły krzyż na habicie. Nabożeństwo odprawiono swoim rytmem. A on ani w modlitwie i w słowach pieśni, ani pod niewysokim sklepieniem nie odnalazł tak bardzo upragnionego spokoju. Choć diabeł milczał, Bóg również nie dawał żadnego znaku.

Tęsknił za Anną i jednocześnie tracił nadzieję, że poczuje zapach jej skóry, a na ustach złoży pocałunek. Czy jest gdzieś tam i czeka na niego, jak zapewnia diabeł? Obawiał się coraz bardziej, że ten go oszuka. Ale nie miał wyjścia. Musiał iść jak tępy osioł prowadzący urwistą ścieżką dwukólkę.

Widzieć, czuć i dotknąć. Szarpnąłem jego ręką.

Diabeł wykazywał coraz większą aktywność. Florencjusz poczuł ból w dłoni, potem jakby ktoś zacisnął mu palce w pięść tak mocno, że aż paznokcie wbiły mu się w skórę. Nie tylko słyszał diabelski głos, ale i czuł wyraźnie jego nieomal fizyczną obecność, tak jakby ten chciał przejąć nad rycerzem kontrolę. Ale czyż już jej nie miał, kiedy mścili się na rodzie Matiasa, przyglądali rzezi calatravensów na pomorskim gościńcu, gdy zabili Almodovara?

– Czego chcesz? – szepnął.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Florencjusz po wyjściu z kościoła ruszył w stronę przystani, dotarł do Motławy i ruszył wzdłuż rzeki, która, wijąc się, oddzielała Gdańsk od lasów i mokradeł.

Przysiadł na kamieniach. Niegdyś rozkwitał tu gród, teraz straszycie tylko kilka chałup i stary cmentarz przy zapadłym kościele. Obwarowania ledwie się ostały. Najazdy Prusów odcisnęły swoje piętno, przepędziły ludzi dalej na północ, bliżej książęcego grodu, za bardziej solidne wały.

Wiatr odbił się od popękanego nieba, runął w dół w stronę grodu. Przeszedł mokradła od północy, zerwał liście z drzew i zszedł niżej, by osuszyć trawę. Przyleciał nad rzekę, wchłonał jej chłód, wzbił się wysoko i struchlał nieco, przegrał z ciepłym powietrzem. Jakaś dłubanka leniwie przecięła zmaconą tafłę Motławy. Niska fala odbijała się od dzioba z chlupotem, a spiętrzała tam, gdzie

uderzyły wiosła – chaotycznie, zbyt gwałtownie, jakby sternik chciał bić pianę, a nie płynąć naprzód. Łódź unosiła się i opadała jak śpiąca kaczka.

Olśniła go pomarszczona tafla wody, mieniąca się tysiącami barw. Przyziemne spory go nie interesowały. Jakże mogło być inaczej, jeżeli miał w sobie diabła. Jednak dziwne, takiego bowiem, który sam wydawał się niepewny swojej natury. Jeżeli diabłów było wielu, to jego opętał najśłabszy. Czasami rycerz miał przeczucie, że to diabeł jest skazany na niego.

Poczuł uderzenie w głowę, a potem...

Marne ciało. Tylko ciało. Wyobraźcie sobie, jak ktoś was wiąże, a potem szcza wam na twarz i nie możecie nic zrobić. Czujecie fetor jego moczu, widzicie pogardę na twarzy oprawcy, a jedyne, co możecie uczynić, to błagać o litość albo przeklinać jego imię. Nie byłem w stanie zrobić nawet tego, gdy zwykła, przypadkowa baba kazała swojemu chłopu zedrzyć szatę z de Vivara. Z twarzy wyglądała na poczciwą, ale ponaglając męża, by się śpieszył, wyzywała go od nieudaczników, cip i dziwek. Najgorsze chyba, gdy kobieta w ten sposób uwłacza mężczyźnie. Takiej kurwy nie można kochać. A on postusznie wykonywał jej polecenia: odepnij pas, rozetnij koszulę, rozwiąż rzemienie. Nakazał jej tylko odwrócić wzrok, gdy rozbierał mężczyznę. Tak po prostu, z zazdrości. Ale żonka nie postuchała. Syciła wzrok pałą – niby drąg sterczącą – z odległej Hiszpanii. Nakazała

mężowi, by ściągnął z dłoni de Vivara obręcz, bo – jak ocenila – zapewne coś warta. Chłop kręcił przeklętym żelastwem, szarpał, ale po kilku nieudanych próbach zrezygnował.

A ja nie mogłem nic zrobić. Przycupnąłem jak mysz w kącie i czekałem, aż odejdą. Liczyłem na ich litość. Ja! Zło!

Kobieta ponagliła męża, a widząc, jak się męczy, sama przypadła do rycerza. To srebro – szeptała, biorąc obręcz w zęby. Nóż, daj nóż – krzyknęła na swojego chłopca – odetnij mu wreszcie tę dłoń! I mąż, sięgnął do worka na plecach i wyjął lśniące ostrze, które miało okaleczyć krzyżowca i uwolnić jego duszę ode mnie. Struchlałem. Obalałem królów, dusiłem cesarzy, gwałciłem zakonnice, a teraz zwykłe ciury miały pozbawić mnie władzy nad de Vivarem. I tylko los sprawił, że zrezygnowali, bo w odpowiedniej chwili pojawił się Pilgrim i wystraszył ich. Złodzieje pochwycili łup i z powrotem wskoczyli do swej dłubanki, by pośpiesznie odptynąć.

Chciało mi się wyc.

Ciało. Wymysł szalonego Boga. Pierdolony worek na gówno i duszę.

Mój loch.

* * *

Zbudził się prawie nagi z bólem głowy. Złodzieje próbowali nawet zdjąć mu obręcz pokutną – dojrzał na

nadgarstku zadrapania i siniaki. Dobrze, że nie wpadli na pomysł, żeby odciąć mu dłoń, wzdrygnął się.

– *Uratowałem ci życie.*

Rozpoznał głos diabła. Podziękuję ci w piekle, pomyślał i zaczął masować obolałą głowę.

Tuż przy nim stał Pilgrim.

– Wybacz, panie, że mnie przy tobie nie było, jeszcze chwila, a obcieliby ci rękę, ale ich przegoniłem.

– *Łże! To ja szczekałem, twój wierny pies.*

– Zamknij się!

Giermek struchlał nieco, ale nie dał po sobie poznać, że się boi.

Wyciągnął tylko rękę, by jego nowy pan podparł się na niej.

Dopiero teraz de Vivar zauważył, że Passawczyk ma płaszcz z krzyżem zakonu Calatrava.

– Do twarzy ci w nim – przyznał.

Młodzieniec rumieńcem przyjął komplement.

* * *

Wyjechali z Gdańska w stronę grodu pomorskiego rycerza Chocimira o świcie. Tłukli się niecały dzień drogi *via mercatorum* w stronę Oliwy. Książę Ranen, Florencjusz de Vivar i Pilgrim z Passawy. Jeden krzyż z Zantyra i dwa z Calatrava. I wozy.

Gdy stanęli przed dworcem, otoczonym wielką palisadą, nie skrzypnęły zawiasy w drzwiach, nikt nie

wyszedł im naprzeciw, by ich przywitać.

W końcu, po dłuższych nawoływaniach i przekleństwach księcia Sobiesławowica, w progu ukazał się Chocimir. Na jego twarzy wykwitł udawany uśmiech, blady, nijaki. Kolczuga opasała jego cielsko, nie miał przy sobie miecza, a za to w dłoni trzymał bat, nerwowo pocierając nim o udo. Jego twarz zdradzała zmęczenie, oczy miał podkrążone i nawet źle przycięta broda, jakby w pośpiechu, albo od niechcenia, świadczyła, że pan tego dworca nie dbał o swój rycerski wizerunek. Niechętnie przyjrzał się gościom: trzem krzyżowcom, choć jeden przypominał raczej wyrośniętego rycerzyka o nalanej dziecinnej twarzy, w niedopasowanym habicie, na którym zebrało się już chyba całe błoto z drogi.

– Wybaczcie, że musieliście tak długo czekać.

– A gdzie uśmiech na twojej twarzy, drogi Chocimirze? Nie każ nam stać na deszczu. – Ranen rozpostarł szeroko ramiona i uściskał gospodarza, ale ten nie raczył odwzajemnić serdeczności.

Wiele lat temu Chocimir wraz z dobrze urodzonymi rycerzami, którzy nie baczyli na łaskę księcia, postanowili sami zadbać o swoją fortunę: łupili dwory, klasztory, tawerny, targi. Przebierali się za mieszczan, by dostać się do grodów, wkładali włosiennice, by bramy plebanii stawały przed nimi otworem, ubierali się w podłe chłopskie koszule, by zaskoczyć krzykliwych kupców na podgrodziach, porywali dla okupu znamienitych rycerzy. Świętopełk patrzył na ten proceder przez palce dopóty,

dopóki do jego książęcego skarbcza spływała część dochodów hasającej po grodach i gościńcach bandy.

– Przecież nie pada – zdziwił się Pilgrim.

– Ale zaraz zacznie. – Ranen wskazał ręką piętrzące się na niebie czarne chmury.

– Zapraszam w swe skromne progi, książę, wraz z twoją świtą. – Zapiszczały zawiasy, wozy potoczyły się z trzaskiem, konie niespokojnie parskwały.

Chocimir dopiero po chwili poznał Passawczyka.

– A tobie tęskno, widzę.

Pilgrim w odpowiedzi wygładził habit.

W powietrzu czuło się zapach śmierci.

Gospodarz skinął gdzieś nad głowami braci krzyżowych. Pachołkowie wybiegli z dworca, by oporządzić konie i pomóc wprowadzić wozy na dziedziniec.

– Zapraszam. – Wskazał na swój dwór.

– Wolelibyśmy od razu przejść od rzeczy. – Ranen wskazał na wysoki, długi budynek gospodarczy, a gospodarz uśmiechnął się do niego tak, jak lichwiarz do dłużnika, który przybył z dawna oczekiwanym procentem.

– Rozumiem, że sakwy macie pełne, ale nie wiem, kogo tak zacni rycerze mogą szukać w mych skromnych progach. I obawiam się, czy ten młodzieniec – tu wskazał Pilgrima – wytrzyma widoki.

Widać, że szukał sobie ofiary, bo bardzo chciałby na kimś wypróbować swój dowcip. Passawczyk jak zwykle spaşowiał, ale nie ze wstydu, tylko ze źle skrywanej

złości.

– Nie takie rzeczy widziałam, kiedy mnie tu gościłeś – zachnął się. Na wszelki wypadek przykrył jednak usta i nos chustą, wyjmując ją nie wiadomo skąd.

– Jak sobie panowie życzą. – Chocimir skinął usłużnie głową.

Trzej krzyżowcy przekroczyli próg szopy.

Wnętrze pachniało krwią. W głównej sali wielkiej szopy urządzono coś w rodzaju klasztornej infirmerii. Pod wysoką powałą unosił się smród z ran ciętych i kłutych. Pachołkowie skakali między łózkami, próbując dogodzić rannym rycerzom. Zmiażdżone kikuty wystawały spod koców i derek, krew z trudem wsiąkała w polepę.

– Rzadko przyjmuję gości. Tak zwyczajnie, jak Bóg przykazał. – Gospodarz skierował swe słowa do księcia.

Potem jeszcze coś wybełkotał, ale niezrozumiale, oglądał się za to na śniadego rycerza, jakby bojąc się stanąć do niego plecami.

Nagle, odzyskując wigor, zaczął wykrzykiwać na chorych i pachołków:

– To nie stajnia! A to nie konie. – Trzasnął jednego z parobków przez łeb.

Młody próbował rozczesać palcami zlepione krwią długie włosy wrzeszczącego rycerza.

– A ty?! – Pan dworca nachylił się nad łóżem, zbliżył swój płaski nos do pucułowatej twarzy blondyna. – Nie krzycz, prosz Boga o zmiłowanie, a mamusię jeszcze zobaczysz. Zresztą nie godzi się przy gościach. – Mrugnął

do braci zakonnych.

– Moja mamusia w niebie – jęknął młody rycerz.

– Oj, to niedobrze, niedobrze. – Chocimir pokręcił głową. – To kto okup zapłaci? Tatuś może.

Młody pokręcił głową.

– Też w niebie.

– Żona? Eee, za smarkaty. – Pomorski rycerz sam sobie odpowiedział, nie czekając na odpowiedź rannego.

– Siostra może, taka, co to nie chce być pogrążona w bólu, hę? Jakiś dobry brat?

Blondas zastanowił się przez chwilę. Powoli zaczął kręcić głową. W jego oczach Florencjusz w jednej chwili dojrzał nadzieję, a zaraz potem strach.

Gospodarz skinął na parobka, który stał nad młodym rycerzem.

– A widzisz, ty mu piękności dodajesz, a on nie ma czym zapłacić. Weź go do pozostałych, za którymi nikt się nie wstawi i nie odwdzieczy nam groszem za okazaną pomoc.

Chocimir kazał gościom iść dalej wzdłuż łóżek zbitych z kilku desek, ścieżką, niby rynną, tylko że wypełnioną nie deszczem, ale krwią. De Vivar spojrzał za siebie. Dwóch pacholków wzięło wierzgającego młodzika pod pachy, grzebień w jednej chwili w sprawnych rękach zmienił się w młot, tłukli nim rycerzyka, aż się uspokoił wreszcie bądź zemdlał, tego już nie mógł widzieć.

Pomorski rycerz tymczasem przygarnął najmłodszego krzyżowca ramieniem.

– Mój fach jest ciężki, prawie jak wasz. W bitwie, w kurzu, z krwią na oczach, nie rozeznasz tak łatwo, kto wart śmierci, a kto okupu.

Passawczyk przytaknął.

Pan tego przybytku był tęgiej postury, ale o twarzy dziecięcia. Wydawał się dobroduszny, ale znać było po bliznach, że niejedną krew przelał, a po chytrych oczkach, nieco przymrużonych, że potrafił rachować.

– Krew to krew, my tu wiemy, jaki ma kolor, a śmierć i strach jest wszędzie. – Zaczął śmiać się z rycerza, który łkał jak dziecko, leżąc na pryczy, przy której przechodzili.

Przystanął na chwilę.

– Ale dla specjalnych gości mamy wyjątkową salę. Każę nawet tam grzać.

Weszli za przepierzenie.

Pomieszczenie, choć ponure, wydawało się jednak znośniejsze. Łóżka wyglądały na solidniejsze, z dodatkowymi kocami i poduszkami, mniej krwi w nie wsiąkło, na niewielkim stole rozsypano kości do gry, a ciepło z kominka przeganiało chłód, który wdzierał się tu z głównej sali.

– O godność tych zacnych rycerzy ani majątek nie musiałem pytać – pochwalił się gospodarz. – Pierwsze, co krzyczeli, by uniknąć miecza, to z jakiego rodu pochodzą.

Rycerze choć bez lęku, ale i bez nadziei patrzyli na gości.

– Cenni są jak złoto, ale jeżeli poznajecie w nich waszych braci, nic nie wezmę za opiekę. – Gospodarz

spojrzał tym razem na księcia. – Mam nadzieję, że to nie któryś z tych kalekich.

Sobiesławowic pokręcił głową, nieco zaskoczony widokiem. U kilku rycerzy zauważył brak ręki lub nogi. Ruszyli dalej wzdłuż łóżek.

– Są tu same chwaty – zachwalał Chocimir. – Ale mówią w niezrozumiałym języku. Czasami mnie bierze złość, a nawet chęć, żeby łeb uciąć.

Podniósł przykrycie jednego z leżących, by goście przyjrzeni się zniszczonym szatom. Florencjusz krzyż swojego zakonu rozpoznał od razu.

– Calatrava – szepnął.

– Masz swój zakon. – Ranen nie ukrywał zwątpienia, że plan się powiedzie. Kręcił głową za plecami towarzyszy. – Zakon kalekich.

Pod grubym przykryciem jednego z nich nie odznaczały się nogi. Drugi majaczył coś przez sen. Może się już nigdy nie zbudzi.

Florencjusz spojrział na Chocimira groźnie.

– Zająłem się nimi z wielką troską – pospieszył z wyjaśnieniem gospodarz.

– Nie śmiałbym twierdzić inaczej.

Pomorski rycerz odetchnął z ulgą i z wdzięcznością przyjął kilka monet wysupłanych z mieszka.

– Bóg wyznaczył im los. Zadbaj o nich – powiedział na głos Florencjusz, a po cichu dodał: – Ale niezbyt długo.

Poznał braci z Calatrava, ale nie mógł przypomnieć sobie ich imion. Zaginęli na gościńcu jeszcze przed rzezią

na polanie. Teraz nie byli mu już potrzebni.

Chocimir mocno ścisnął zapłatę w dłoni. Jej ciężar przekonał go, żeby o nic nie pytać i nie dziwić się niczemu. Jego twarz pozostała obojętna.

– Zatrąszczę się o nich, o ile mi Bóg pozwoli. – Zerknął porozumiewawczo na calatravensa.

Ruszyli dalej wzdłuż łózek. Jeden z pokaleczonych rycerzy leżał niby pośmiertny posąg, ze splecionymi na piersi dłońmi, z posagowym wyrazem twarzy wpatrywał się gdzieś w powałę. Spod koca, pod którym ukrywał ranę, wystawały brudne bosa stopy. Trząsał się cały, pot zrosił mu czoło. Florencjusz pobłogosławił go i ruszył dalej. Inny siedział na stojącym pod ścianą łóżku i próbował nie patrzeć na gości. Nie odniósł większych obrażeń. Ale jego ponura mina świadczyła, że czuje się skrępowany wizytą gości.

– Zwą go Niedźwiedziem z Brandenburgii. Czeka na brata, który rzekomo ma go wykupić.

Z głównej sali dochodził ich skowyt rannych i błagania o litość, które wzmogły się na widok gości.

– Są jak psy. Jak jeden zacznie, wyje cała sfora. – Chocimir ciężko westchnął. – Bez urazy, ale gościem moźnych panów pod swoim dachem. Wystarczy wykarmić ich nieco, do zdrowia przywrócić i poczekać cierpliwie, aż rodzina z wdzięczności za uratowanie syna czy męża godziwie mój trud wynagrodzi.

Zamilkł na chwilę, a gdy się znowu odezwał, przybrał taki ton, jakby się chciał wreszcie komuś wyżalić.

– A są i tacy, co to z gołą dupą przez całe życie idą, ale gdy śmierć im zajrzy w oczy, to krzyczą, że rycerz. Myślą, że to ich uchroni przed pozostawieniem w polu. Ale jestem nieufny. Moi ludzie są wyuczeni, żeby byle gnojka z ziemi nie podnosić. Szkoda miejsca na wozie, nie mamy dla takich łóżek. A kiedyś – zmienił ton na jeszcze bardziej dobroduszny – dorwałem rycerzyków ze spuszczoneymi gaciami. Walczyli kutasami, nie mieczem. Nie pomorskich rycerzy mieli za wrogów, tylko krzykliwą babę. Wszystkich jak w jatce oporzadziliśmy. Dla wprawy. – Zarechotał. – Wojna to obłąd, a ja staram się jak mogę.

Na rękach miał pełno krwi, w oczach szaleństwo. Florencjusz zamyślił się.

– A nie boisz się, że wrócą i przypomną, jakie przykrości im zgotowałeś? – zainteresował się nagle.

Chocimir nie ukrywał radości, że goście są ciekawi i podjęli próbę zrozumienia, jak parszywą ma robotę.

– Jak każdy fach i ten jest niebezpieczny – rzekł dumnym głosem, z nutką szaleństwa.

Książę nie zezwalał nikomu na taki proceder, ale tylko oficjalnie. Chocimir pomógł mu dojrzeć w tym interes. Nie tylko zacni rycerze tu leżeli, ale i raubritterzy z Saksonii, łotrzyk z Frankonii, po którego jakiś hrabia posłał pachołków, by mu własnoręcznie jaja wepchać do gardła. Chocimir wielu miał takich, co od lat uciekali przed katowskim toporem albo rodową zemstą. Niektórzy udawali, że nie pamiętają, skąd pochodzą, jak ma na imię

ich ojciec, jak nazywa się matka. Na tych miał specjalne sposoby, by w ciągu pacierza wyznali, czy są coś warci. A jeżeli rycerz okazywał się zbyt sławny i honorowy, to nie śmiał nigdy o zapłatę prosić. Ale niewielu takich zdołał sprowadzić do swej posiadłości, ci przeważnie ginęli w boju.

Opuścili cuchnące wnętrza i stanęli na dziedzińcu.

Chocimir krzyknął na pachółka i wydał dyspozycje:

– Pomóżcie przygotować się gościom do drogi, już nas opuszczają.

– Nie tak prędko. – Ranen odchrząknął. – Masz tu największe szelmy z Saksonii, Meklemburgii, ze Śląska. Morderców, gwałcicieli, strutterów...

– Nie chcę sądów pod moim dachem. – Gospodarz wzniosł niby w geście błagalnym ręce ku górze i baczniej przyjrzał się gościom.

– Chcemy tych najbardziej zaprawionych w boju i tych, co mają siłę, by unieść miecz. A im bardziej który pyskаты, tym lepszy. – De Vivar sięgnął po sakiewkę. – To zadatek. Dostaniesz więcej, jak wrócimy tu z powrotem.

– A to ci nowina! – Oczy Chocimira rozblęły z chęci pomnożenia zysku, bo nagle to, co trzymał w dłoni, wydało mu się już tylko niewielkim procentem tego, co może wynieść z wizyty rycerzy chrystusowych. Rozłożył dwie monety na dłoni. – Każda moneta przypada na jeden palec. Dziesięć na jednego rycerzyka wprawnego w boju.

Pokazał dłonie.

– Dziewięć. – Ranen uśmiechnął się.

– Dlaczego?

– Bo jeden palec masz ucięty. A to jest dziewięć.

Chocimir zakłopotał się nieco.

– A ilu masz teraz takich, co miecz uniosą i nie boją się niczego? – spytał Florencjusz.

– A bo ja wiem, panie. Do tylu nie potrafię zliczyć.

– To przygotuj tylu, ilu zdołasz, do świętego Pawła. Dziewięć monet za jednego rycerza. Po resztę przyjedziemy, jak wrócimy z Oliwy.

– Zaraz, zaraz. Na świętego Pawła? Toć to jutro.

– Więc zabieraj się do roboty.

* * *

Rycerze, odziani w swoje stare przybrudzone płaszcze naznaczone krwią i brudem, próbowali zaprezentować się z jak najlepszej strony. Jeszcze bez miecza w dłoni, pozbawieni honoru, mogli go właśnie w tej chwili odzyskać. Wszystko zależało od mistrza z Tymawy, który kroczył wzdłuż szeregu i zaglądał w ich ponure gęby. Niektórzy próbowali przybrać wyraz powagi, inni zaciskali szczęki.

Deszcz siąpił, a Florencjusz przechadzał się już po raz kolejny po dziedzińcu, starając się wybrać tych, którzy prezentują się najlepiej i nie ośmieszają zakonu z Calatrava przy książęcym stole. Ranen i Pilgrim przyglądali się scenie w milczeniu.

– Skąd pochodzisz? – spytał gładkiego typka o jasnych włosach i niebieskich oczach.

– Ze Saksonii – odparł piskliwym głosem.

De Vivar poczuł smród diabła.

– *Łże, psi syn. Urodził się w Akwizgranie. Jego matka zrobiła go na boku, a ojciec, chcąc uniknąć skandalu, uznał go za swego. A ten nicpoń, jak się za młodu o tym dowiedział, szantażem zmuszał ojca do postępu. A starzec, przy pierwszej lepszej okazji, posłał go na krucjatę do Ziemi Świętej, ponad dziesięć lat temu. Spytaj go, czy miecz, unieść potrafi.*

– A miecz potrafisz unieść?

– Potrafię. – Znowu ten pisk.

– *Słyszysz, jaki ma głosik. Sodomita.*

– Dobrze więc, pójdziesz z nami do Gdańska – zawyrokował Florencjusz. – Ale mam prośbę.

– Tak?

– Zawrzyj gębę przy książęcym stole.

Rycerz zapisał na znak zgody.

– A ty? – Podszedł do wielkiego brodacza, Niedźwiedzia z Brandenburgii, który kiwał się na boki. – Co cię sprowadza na pomorskie szlaki? Jesteś wolnym człowiekiem, nie musisz z nami iść. Nie czekasz na brata?

– W sumie... do czego mam wracać? Gwałty, panie... – urwał, bo krzyżowiec kazał mu zamilknąć, przykładając palec do ust. Spojrzał mu głęboko w oczy.

– *Obijał dziewczki, żadnej nie przepuści, od stołu, gdy wstawał, nie płacił, hrabinę jakowąś przeleciał w rzyć, bo*

go za możnego pana miała. Rozkochała się w nim, choć traktował ją jak zwykłą kurwę. Ale tego jej było trzeba przy mężu, co mu kuśka nie stała. Niestety, w niedźwiedziu natura silniejsza niż uczucie. W końcu twarz jej poharatał. Do loszku go zamknęli, ale uciekł. I teraz się szwenda. Banita. Od Śląska po Pomorze.

– Wystarczy – nakazał de Vivar.

– Przecież milczę, panie. – Rycerz z Brandenburgii wzruszył ramionami.

Florencjusz nieco oprzytomniał. Jakby dopiero teraz spojrzał ponownie na niego.

– A wiesz, jak zachować się przy stole? – spytał.

– Pismo nawet znam.

– Więc i ty pójdziesz z nami.

– Panie! – krzyknął wąty rudzielec ze środka szeregu.

Florencjusz minął kilka bladych twarzy, by stanąć przy nim, jednocześnie powstrzymując Chocimira przed wymierzeniem rudemu kary, bo gospodarz mocniej już chwycił bat, dotąd spokojnie leżący na udzie.

– Pochodzę z Alesund – przedstawił się krnąbrny młodzieniec. – Pozwól mi iść z sobą. – Z lękiem spojrzał na pomorskiego rycerza.

– Za jakie grzechy Bóg pokarał cię takim domem? – Wskazał na dworzec gospodarza.

– Nie zliczę, panie. Ten, kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem.

– *To prawdziwy sukinsyn, wikingami ich zwą, warto...*

Ten, który stał obok, w zielonym, pstrokatym stroju,

niespodziewanie poderwał z ziemi kamień i z całych sił uderzył nim rudzielca w czoło. Wiking padł na ziemię.

– Panie, ja byłem bez grzechu – uśmiechnął się. – Do teraz.

Chocimir poczuł, że należy wyjaśnić kilka spraw, więc rzekł:

– Moi ludzie znaleźli go na gościńcu parę dni temu. Ładna cera, pięknie pachniał, myśleli, że cudak może mieć jakąś wartość.

Florencjusz patrzył na rudzielca, który o dziwo zaczął przytomnieć.

– Gównu żeś wart – rzekł do sprawcy siniaka.

– *Nawet nie potrafi zabić.*

Wybrał gwałcicieli, morderców, koniokradów, młodych i starych, chudych i szerokich w barach. Wszystkich oszpeconych bliznami na rękach i twarzy, naznaczonych grzechami. W końcu skinął głową z zadowoleniem i rzekł:

– Za kilka dni przyjadę po was, zwiążę was przysięgą i zabiorę do Szeolu. Ciebie też. – Pomógł rudzielcowi z Alesund wstać. Rycerz przyjął jego dłoń z wdzięcznością, ale próbując zatamować krew, z nienawiścią spoglądał na trubadura. – Kto nie chce, za tego nie płacę. Kto pójdzie ze mną, będzie służył mi jak pies. Jestem mistrzem z Tymawy. Zapamiętajcie moje imię. Florencjusz de Vivar. Odplaciecie mi wiernością. Odtąd jesteście w służbie słusznej sprawy. Macie szansę więc odkupić swe grzechy.

Niektórzy pokiwali ze zrozumieniem głowami, inni uśmiechnęli się nieznacznie pod nosem.

Niedźwiedziowi z Brandenburgii, Saksończykowi o kobiecym głosie, który tak naprawdę urodził się w Akwizgranie, i rudzielcowi z Alesund Florencjusz kazał sposobić się do drogi od razu.

– Włóżcie habity calatravensów. Już niedługo będziecie mogli mi się przysłużyć na naradzie u księcia – wyjaśnił im, a potem zwrócił się do gospodarza:

– Za kilka dni wrócę. Wtedy przybędę po resztę. Wybierz takich, którzy będą gotowi mi służyć i stanąć do walki. Żadnych kalekich. Liczę na ciebie. Pamiętaj, dziewięć monet za jednego rycerza, a nie kalekiego łazęgę.

– Dziękuję za zaufanie. Nie zawiodę cię, panie. – Chocimir skłonił się nisko.

Uścisnęli sobie prawice i pożegnali się.

* * *

Krzyżowcy z ulgą opuścili zatęchły dziedziniec dworu Chocimira.

– Jazda! Panowie z Calatrava i Bracia Chrystusowi. Obwieścimy światu naszą potęgę!

Ruszyli w stronę Gdańska, a wozy z jękiem potoczyły się za nimi.

Rozdział 10

Cystersi znaleźli mnie, wygłodniałego, na trakcie. Majaczyłem, szarpałem się, a mnisi wciągnęli mnie na wóz, by potem przygarnąć niemal jak swego.

Dopiero potem zrozumiałem skąd ta dobroć. Wraz ze mną pod klasztorną opiekę trafił mój krzyż. Przeor, który jechał wtedy na wozie, wpierw omyłkowo rozpoznał we mnie mnicha, a potem, gdy nie zrozumiałem jego mowy, spytał mnie w moim języku, czy jestem neofitą. Przezornie pokiwałem głową. Wziął mnie więc pod opiekę – bo po przyjeździe do klasztoru na długie dni zległem w łożu, a mój drewniany Chrystus zawisł na ścianie przy ołtarzu, który stał się szybko najchętniej odwiedzanym w całym opactwie miejscem. Przekonałem się potem, że każdy chciał coś wybłagać u Syna Bożego albo przeprosić, niekiedy tylko usłyszeć, jak szepta.

Kiedy nieco ozdrowiałem, moim obowiązkiem stało się odpowiedzialne zajęcie: doglądałem świń w chlewie. Karmiłem je, rozmawiałem z nimi, zaprzyjaźniłem się z jedną maciorą. Żał mi jej było, gdy zdechła. Ot tak, pewnego ranka.

Gdy miałem chwilę wolnego czasu, szedłem przed ołtarz i rozmawiałem z matką – miałem nadzieję, że mnie słyszy. Bo przecież mój krzyż szeptał. Mnisi myśleli, że jestem gorliwy w modlitwie, a ja nawet nie wierzyłem w ich Boga.

* * *

W niecały rok po moim przybyciu do klasztoru, po mszy świętej, znaleziono ciało młodego chłopaka niedaleko przy drodze do Gdańska. Mnisi z opactwa ze znanstwem stwierdzili, że winne jego śmierci są dzikie zwierzęta. Wskazywały na to ślady zębów na twarzy i rękach cherlawego trupa. Zajrzałem mu w oczy. Znalazłem tam odbicie twarzy jego ojczyma, który nienawidził niewieściej postury, piskliwego głosu i delikatnych, kobiecych ruchów swojego pasierba. Nazywał go bękartem i sodomitą. Domyśliłem się, że wpierw zatłukł pasierba pałką, a potem pozwolił jego ciało szarpać psom, by okoliczni ludzie nie obwiniali go za tę śmierć.

Zaledwie siedem dni później, letnim wieczorem, na wrzosowisku znaleziono ciała dwóch młodych kobiet. Piękne, nagie, choć twarze miały wykrzywione w bólu od śmierci zadanej jakąś truczką. Wtedy pierwszy raz tak długo i w spokoju mogłem podziwiać kobiecą nagość. Piersi, podbrzusze u jednej z nich – i włosy łonowe, u drugiej pośladki, długie nogi.

Przyjrzałem się wygasłym oczom i nie zobaczyłem nic, prócz wzajemnych odbić. Zrozumiałem, że dziewczyny same odebrały sobie życie, splecione w pożegnalnym miłosnym uścisku.

Gdy zebrałem się na odwagę i pewnego wieczora

opowiedziałem o tym Cyrylowi, który dbał o braci i podróżnych w infirmerii, błyskawicznie wymierzył mi karę: uderzył mnie kilka razy w policzek, a potem roztoczył przede mną wizję piekła, do którego niechybnie trafię, jak będę łągał. Przerzątał mnie. Wydawało się, że dostrzega wszystko wokół, a przecież był ślepy. Gdy przemawiał swym mrukliwym głosem, przekrzywił głowę w moją stronę i – mógłbym przysiąc, że na mnie patrzył.

Niedługo potem, po niesporach, ukamienowano włóczęgę – widziałem w jego oczach roześmiane twarze okolicznych chłopców, którzy pomagali przy pracy w klasztorze. Tak samo odgadłem sprawcę śmierci zbłąkanego rycerza. Bełt tkwił w jego gardle, a kusza należała do młynarza, u którego nieraz bywałem. Nie wnikałem w motywy morderców, ale czułem, że inni muszą znać prawdę. Nie wytrzymałem, zacząłem rozpowiadać o tym przetrzymywanym w klasztorze Prusom, ale i nie omieszkałem wystraszyć oblatów, którzy słuchali mnie z rozwartymi ustami. Sam przeor zainteresował się mną albo raczej karą, którą kazał mi wymierzyć. Chłosta i post. Ledwie przeżyłem.

Potem długie dni wypełnione myślą, wymuszoną modlitwą i klęceniem przed ołtarzem. Z lubością przypatrywałem się obliczu wyrzeźbionej na krzyżu przeze mnie ofiary. Twarz pełna bóleści, wychudzone ciało. Twarz pozbawiona dumy. Przeląknęłam się, bo w drewnianych oczach dojrzałem roześmiane twarze tych,

którzy go ukrzyżowali. Bez drwiny jednak, zwyczajnie.

Z nudów w końcu zacząłem przyglądać się kaplicy. Filarom, każdej rysie na ścianie, wszystko liczyłem, czasami, gdy byłem pewny, że nikt nie wejdzie, chodziłem między rzędami ław, nawą główną, aż poznałem świątynię w każdym szczególe.

W każdym szczególe! Odtwarzałem ją potem przed zaśnięciem, pod zamkniętymi powiekami. Łapałem się na tym, że mam wyciągnięte przed siebie dłonie i próbuję pogłodzić oliwską ścianę albo przetrzeć kurz z ołtarza.

Ostatniej nocy klęczałem tak długo, aż zemdlałem z wycieńczenia. Rano zbudziłem się w klasztornej infirmerii, nad sobą miałem twarz brata Cyryła. Starzec głaskał mnie po głowie, trochę z czułością, trochę z obawą. Szybciej udałem zdrowszego, niż byłem, by znów poczuć zapach świeżego powietrza.

Kilka dni później, pracując w przyklasztornym ogrodzie, dojrzałem jeźdźców, którzy wjechali na dziedziniec. Białe tuniki, bez śladów kurzu, jakby płynęli nad *via mercatorum*, a nie gnali zakurzonym gościńcem.

Nie zeszli nawet z koni.

Stałem za murem odgradzającym ogród od dziedzińca i przyglądałem się im przez dziurę.

Pierwszy raz widziałem przeora Odoną, zgiętego w pokorze, choć przerastał przybyszy posturą, a na jego twarzy zawsze, odkąd pamiętałem, malowała się duma. Ulotniła się w jednej chwili, gdy krzyżowcy próbowali go do czegoś przekonać. Nie ustępował jednak, bo kręcił

tylko głową.

Wtedy jeden z nich, rudy i nieco sędziwy już zapewne, doświadczony w boju – poznałem to po bruzdach na twarzy, głębokich bliznach na policzku i z na wpół przymkniętym okiem od zadanej kiedyś rany – skłonił się w ukłonie pełnym szacunku i spojrział na dwóch pruskich chłopców próbujących zagonić świnie do chlewa.

Drugi, bardzo tęgi, gładził po grzbiecie konia, który nagle stał się niespokojny, nachylił się nad zwierzęciem i szepnął mu coś do ucha. Rumak zastrzygł uszami, parsknął zadowolony i zastygł w jednej chwili jak posąg. Mężczyzna zszedł z niego i podszedł do młodych Prusów, złapał jednego z nich za kark i jak szczenię rzucił przed przeorem. Chłopak skulił się, nie próbując nawet podnieść się z ziemi.

Rycerze z krzyżem na piersi zaczęli gestykulować, zawołali drugiego chłopca, który pokornie stanął przed nimi.

W końcu przeor rozłożył bezradnie ręce, pokiwał głową.

Krzyżowcy zarzucili obu niedorostków na końskie grzbiety i odjechali.

Odon postać jeszcze przez chwilę na dziedzińcu, rozglądając się dookoła, jakby szukając świadków tego wydarzenia, a potem odwrócił się na pięcie i zniknął w głębi kościoła.

Ktoś złapał mnie za kark. Odwróciłem się i ujrzałem pomarszczoną twarz Cyryla. Przyłożył palec do ust w

nakazie milczenia. Wziął mnie za rękę i poprowadził do swego królestwa, do infirmerii. Usiedliśmy na ławie, rozejrzałem się po dobrze znanym mi wnętrzu: łóżka, kilka stolików, piec, zimna posadzka, jak polepa u mnie w chacie.

Tu nic nigdy się nie zmieni. Nie chciałem spędzić tu reszty życia. Musiałem uciec, ale i nie mogłem zapomnieć, że na ołtarzu wisi mój krzyż.

– O czym myślisz? – spytał mnie starzec. Wyczuwałem w nim źle skrywaną o mnie troskę.

– Zastanawiam się, dokąd ich wzięli.

– Do piekła – uśmiechnął się.

– A choćby nawet do piekła...

Poderwałem się z ławy i wybiegłem na zewnątrz, kilkoma dużymi susami pokonałem dziedziniec, dopadłem drabiny przy bramie i wspiąłem się na szczyt klasztornych murów. Spojrzałem na drogę. Po rycerzach został tylko kurz wzbity przez końskie kopyta.

Tam gdzieś było przecież życie.

* * *

Pogodziłem się z wolą przeora, który na długie godziny kazał zamykać mnie w skryptorium z resztą innych moich współplemieńców. Poznawaliśmy uczone traktaty, by dzięki nim rozszyfrować treść pieśni.

Przy źle sklepanych ławach, przy świetle świec, pochylony nad księgami, studiowałem więc myśli

umarłych, tych, którym wydawało się, że zdążyli jeszcze za życia zgłębić tajemnicę świata i ubrać ją w pięknie zdobione litery, cyfry, znaki. Ale te przeklęte symbole nie układały się w żadną odpowiedź, jedynie rodziły kolejne tajemnice, mnożyły wątpliwości, oblekały świat pajęczyną nic nieznaczących pojęć. O ile łatwiej było wszystko objąć rozumem, kiedy świat miał dla mnie dwa kolory: czarny i biały, a reszta to tylko ich odcienie.

Szybko się uczyłem, ale wiedza wcale nie czyniła mnie silniejszym. Zrozumiałem, że przebywanie w klasztorze skazuje mnie na powolną agonię i że nigdy nie uratuję matki. Jeszcze zeszłej zimy ważne było tylko, jak uniknąć śmierci, teraz zapragnąłem się stąd wyrwać.

Kiedy tylko mogłem, uciekałem poza mury klasztorne, by poczuć słońce albo deszcz. Myślałem o mojej niepomszczonej rodzinie. A każdy dzień tutaj oddalał mnie od zemsty, bluźniłem też przeciwko życiu, nie wiedząc, co to pot, krew i łzy. Czułem się bardziej ludzko wtedy, gdy, skrępowany sznurami, szedłem wzdłuż Wisły w nieznaną, niż teraz, gdy mój wzrok przyzwyczaiał się do widoku ściany lasu z murów klasztornych, *via mercatorum* niknącej gdzieś daleko, stawów, kilku pól – choć, musiałem to przyznać, przypominały mi nieco Pomezanie, a najpiękniej wyglądały latem, gdy czerwone słońce chowało się przed księżycem.

Po nauce w skryptorium przyszedł czas na niekończące się śpiewy w chórze. Wraz z innymi moimi towarzyszami w kapitularku, pod opieką mnichów, mieliśmy przez

muzykę zbliżyć się do Boga. Bardziej jednak rozumieliśmy swój chichot niż psalm.

Brat *succautor*, który był odpowiedzialny za porządek podczas śpiewów, gdy nie przysypiał, karmił nas kuksańcami albo roztaczał urywanym szeptem przed nami wizję kary w piekle. I ciągle nas obrażał, powtarzał, że nie mamy honoru, jakby uchylanie się od obowiązków klasztornych miało cokolwiek z honorem wspólnego. Ale co mógł wiedzieć stary mnich, którego wzrok nie sięgał dalej niż mury opactwa. Zacząłem więc stronić od muzyki, tym bardziej gdy zrozumiałem nieco, do czego mnie przeznaczono w klasztorze.

Podczas drugiego lata pobytu w Oliwie zmarło dwóch Prusów. Trzeci, w dzień świętego Pawła, z pianą na ustach, przestrzegał mnie przed krzyżem, a potem umarł.

Psalmodia przychodziła czasami ze wschodem słońca, czasami z pierwszym śniegiem, zjawiała się jak pory roku. Gwałtownie. Szybko też przemijała.

W końcu przestałem wsłuchiwać się w nią, choć przeorowi, który co dzień o nią pytał, kłamałem, że staram się ją zrozumieć, każdego poranka, gdy ją słyszę.

Neofici przebywający w klasztorze topnieli. Przerażaliśmy mnichów tym, jak odbieramy sobie życie, połykając własny język, przecinając sobie gardło, wieszając się na gałęzi w ogrodzie.

Oblaci bali się nas. I właśnie ten strach spowodował, że stali się niebezpieczni.

Pewnej nocy, gdy spałem w infirmerii, osłabiony nieco

gorączką, przyszło do mnie kilku oblatów. Złapali mnie za nogi, za ręce, kazali robić rzeczy, na które nie miałem ochoty.

Postanowiłem zapamiętać tylko ból i upokorzenie. I to, że w ich błyszczących z pożądania i nienawiści oczach dojrzałem swoje odbicie, spokojne, władcze. Miałem zdolności tulisza, widziałem, że umrą z moich rąk, ale przecież gdy przychodzili potem jeszcze kilka razy, brakowało mi sił wojownika. Wykorzystywali przewagę swoich mięśni, mój strach. Gwałcili po kolei, a gdy było już po wszystkim, drwili i kopali mnie jak bezpańskiego psa.

By się schować, zamykałem się w klasztornej kaplicy, niekiedy nawet modliłem się gorliwie, prosząc bogów, by mnie wreszcie uchronili od prześladowców i pozwolili szybciej wypełnić przeznaczenie. Przecież widziałem swoją twarz w oczach oblatów – oblicze śmierci. Ale dlaczego zamiast mieć tyle sił, by zabić, drżałem z niemocy, gdy przychodzili? Czyżby bogowie skazywali mnie na jedną z prób? Dajcie mi siły dwóch mężów, szeptałem, a nie ten przeklęty dar, który tylko sprowadził na mnie tyle nieszczęść. Nigdy nie chciałem być tuliszem, chciałem zostać wojownikiem.

Moje prośby zostały bez odpowiedzi. Drżałem na samą myśl, że oblaci znów przyjdą.

Kryjówkę znalazłem w klasztornym ogrodzie, przysiadawałem tam pod murem, w jego cieniu. Towarzyszył mi młody oblat, z którym podzieliłem się

wątpliwościami co do natury Boga, jego miłosierdzia, że wystawia nas na ciężkie próby. Oblat przyglądał mi się tylko, uśmiechał, kiwał głową albo smutniał. Ale gdy mu wyznałem, co mnie spotyka w nocy, nie dostrzegłem na jego twarzy żadnego współczucia. Nic.

Widziałem, jak często wpatruje się w niebo, szczególnie w bezchmurne dni. Zapewne próbował dostrzec rysę. Często znikał też w kościele, nie rozstawał się z młotkiem i dłutem, choć nigdy nie pokazał mi, że potrafi rzeźbić.

Pewnego ranka rycerze z krzyżem na piersi pojawili się ponownie na klasztorным dziedzińcu. I tym razem byłem świadkiem, jak rozmawiają z przeorem, a on w końcu, tak jak za pierwszym razem, rozłożył w geście rozpaczony ręce i zniknął na chwilę gdzieś w głębi zabudowań klasztornych, by wrócić z dwoma młodymi Prusami.

Krzyżowcy kazali im wsiadać na konie i pognali z nimi przed siebie.

Od tej pory niecierpliwie wyglądałem ich kolejnego przyjazdu.

Ale minęła zima.

I nic się nie wydarzyło.

Coraz mocniej tęskniłem za Namedą, za dotykiem jej dłoni, wilgotnymi ustami. Skradłem tylko jeden pocałunek, a tyle dla mnie znaczył. Na jego wspomnienie przypominałem sobie mój lauks, rodzinę. Szept krzyża dawał mi nadzieję, że kiedyś ujrzę duszę mojej matki w lepszym świecie, bez krzyży. Za pięknymi drzewami.

* * *

Gdy nastąpiła wiosna, pewnego dnia, po nieszporach w części kaplicy pojawił się ogień, najpierw tylko tlił się, a potem – nie wiadomo skąd – wybuchnął żywym płomieniem. Mnisi, obecni jeszcze w środku, próbowali się wydostać – ale dwóch spaliło się żywcem, kilku zdołało uciec.

Wszystko zakończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło.

Przeor kazał uprzątnąć zwłoki, zetrzeć sadzę z kamienia. Nie wszyscy odeszli, niektórzy pogrążyli się w zadumie. Cyryl przeklinał diabła, opat zarządził modły i śpiewy.

Wybuch płomieni powtórzył się dzień później, tym razem podczas nieszporów. Mnisi, obezwładnieni strachem, zamiast uciekać, klękali i prosili Boga o litość. Śmiertelny ogień jakby bez celu tańczył nad ich głowami i tylko przypadkowo spadał na wybraną ofiarę.

Ryk i lament.

Zauważyłem jakieś cienie. Odepchnąłem ogłupiałego ze strachu oblata i rzuciłem się w stronę ognia, po drodze wyciągając z najbliższego uchwytu przy ścianie płonąca żagiew, bijąc i machając nią jak mieczem. Starłem się uderzać na wysokości głowy. Bezskutecznie ciąłem powietrze, aż w końcu trafiłem na coś. Miałem wrażenie, że to ciało. Siła uderzenia wybiła mi broń z rąk. Chwilę

potem wszystko ustało.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, co zrobiłem. Więc się tym pochwaliłem, nie wiedząc, że spotkają mnie za to dodatkowe szykany. Mnisi uważali, że to sprawka Szatana, bo to przecież w jego mocy jest ogień. A ja przyznałem, że mój cios trafił celu – zapewne diabła, jak dopowiedział opat. Odtąd na długie dni zamykano mnie w samotnej celi, izolowano od innych, jedynie przeor nie stracił do mnie zaufania – zabierał do Gdańska, pozwalał wychodzić nad staw albo w pole, bym nie stracił rozumu i nie sposepniał jak starzec – tak mawiał. Rozumu nie straciłem, ale spochmurniałem, to pewne. Wtedy pierwsze raz zamarzyłem o tym, żeby kiedyś wkroczyć do Oliwy na czele wyprawy, jak mój ojciec, i wrócić do domu, opowiadając, że rozebrałem klasztor – kamień po kamieniu. Nigdy już nie pozwolono mi wrócić do zwyczajowych zajęć – pomocy w ogrodzie, pracy w skryptorium. Opat odwiedził mnie raz w celi – byłem wtedy całkowicie załamany, wygłodniały i zziębnięty – i kazał przysiąc, że naprawdę widziałem w kaplicy cienie. Gdy zamykał za mną drzwi, uśmiechnął się tylko złowroźnie.

Tak minęła kolejna pora roku, gdy śnieg na dobre już przykrył kurz drogi. Jak się miało okazać, była to moja ostatnia zima w klasztorze.

* * *

Kapitułę zwołano, jak nakazuje reguła, o wczesnej porze, poprzedzono wspólną modlitwą, przerywaną szuraniem sandałów, pokaszliwaniem, ciężkimi westchnieniami. Bracia zgromadzeni w kapitularku pochylali głowy w wyuczonej pokorze albo w apatii. Tylko moja obecność zapowiadała niespodzianki.

– Tylko, drodzy bracia, pamiętajcie – bez zuchwalstwa i przekory. – Opat Hugon wskazał na Chrystusa wiszącego na ścianie.

Przeor Odon stał wyprostowany, zbyt pogrążony w myślach, by zwracać uwagę na regułę, której i tak mało kiedy przestrzegał. Nie te czasy, powtarzał mi na wspólnych spacerach, żeby się tylko modlić i kłaniać w pokorze.

– Bracia, zebraliśmy się tu po to, by wyznać sobie winy. By między nami nie było gniewu, a pod dach naszego opactwa wrócił spokój i duch boży. – Głos opata drżał. – Winnym wyznaczymy pokutę, jak nakazuje reguła. Ale gromadzimy się w kapitularku, przy tym świętym krzyżu – wskazał na umartwionego – nie tylko dla kar i dla modlitwy, ale by rozpatrzyć sprawy zarządzania opactwem. Módlmy się...

– Bóg poczeka, przejdźmy do sedna. – Przeor był zniecierpliwiony.

Hugon nie ukrywał irytacji. Splótł błagalnie dłonie i spojrzał na gospodarza opactwa.

– Na miłość boską, Odonie. Nie łam reguły.

Przed kapitułę wyszedł Cyryl, mnich z bielmem na

oczach. Twarz miał pooraną od pośpiesznego golenia, kępki zarostu nierówno porastały brodę i policzki.

– W ten zły czas Bóg wystawia nas na próbę, a Szatan liczy nasze grzechy. Liczcie się ze słowami, bracia. Nikt nie jest pewny dnia ani godziny. Szatan zjawi się na chórze, gdy wy śpiewać będziecie psalmodię. Ale wielu z was pograży się we śnie. Nawet brat *succaator* przyśnie. – Odwrócił twarz w stronę młodszych braci.

Wydawało się, że pomimo ślepoty patrzy na nich oczyma duszy, że widzi ich poruszenie, ich strach.

Cyryl wskazał drżącym palcem gdzieś daleko przed siebie.

– Szatan będzie miał ze sobą worek, ale nie solą go wypełni, tylko waszymi grzechami. Zliczcie je teraz, bracia! Czy przeważą szalę na Sądzie Ostatecznym, gdy Bóg zajrzy do worka, gdy rozliczy się z panem piekieł.

– Jest czyściec. – Jeden z młodszych braci uśmiechnął się do przeora.

Odon wynagrodził go lekkim skinieniem głowy.

– Niby gdzie, w Szeolu? – Cyryl nie przestawał wskazywać drżącym palcem gdzieś przed siebie. – Tylko diabły i raubritterzy tam chadzają. A nie powiesz, bracie, że tylko dla nich czyściec miałby być przeznaczony. To wymysł! Jest niebo i piekło! A Szeol to piekło. Tyle że na ziemi, by nas przestrzec. Niebo i piekło. Wyznajcie więc swe winy przed kapitułą. Ci, którzy wykażą skruchę, nawet w najcięższych przewinieniach mogą liczyć na łaskę i zmiłowanie.

Opat przez cały ten czas nie spuszczał ani na chwilę oka z przeora.

– Praca twoich Prusów w skryptorium okazała się bezowocna. – Skrzywił się. – Nie pozwolę, by w murach mojego opactwa szerzyć herezję.

Stałem jak inni w szeregu, ale twarz mi pobladła, gdy zrozumiałem, że opat chce się mnie pozbyć z klasztoru – wygnanie by mi nie przeszkadzało, bałem się raczej o sposób, w jaki mi przyjdzie opuścić Oliwę. Nie mając święceń, nie będąc oblatem – zostałem wezwany przed tak szacowne grono. Było to naprawdę mocno niepokojące. Przetarłem czoło spotniałymi, brudnymi od inkaustu rękami. Ostatnio myślałem tylko o rysie, tej na ołtarzu, i tej na niebie. Wydawało mi się, że niemal czułem, jak pieśń przez nią spływa. Podczas długich dni i nocy w samotnej celi tak bardzo chciałem zrozumieć i odejść z klasztoru... na zawsze. Jak inni moi pobratymcy, choćby powiesić się w ogrodzie.

– Herezję? – Twarz Odonę powoli zaczęła wyrażać zmieszanie i przestach – Herezję? – powtórzył, spoglądając na mnie, potem na opata.

– Myślisz, że dzięki przekłębemu przez diabła Prusowi poznasz sens pieśni? Sam przyznał, że widział w kaplicy cienie.

– Uratował nas.

– Wolę, żeby Bóg doświadczał mnie srogo choćby ogniem, niż przeżyć choćby nawet jeszcze sto lat dzięki

łasce diabła.

Łatwo o takie zapewnienie, pokręciłem w zamyśleniu głową, gdy samemu nie doświadczyło się żaru ognia na skórze. Przypomniałem sobie mnichów, którzy zostali śmiertelnie poparzeni.

Przeor położył rękę na moim ramieniu i odparł atak Hugona:

– Przekłęci przez diabła? – zakpił.

– Wieszają się! Duszą! Popełniają samobójstwa, nie bacząc na to, czy są na rynku w Gdańsku, czy idą gościńcem.

– A ten tu...

– Ten tu to twój grzech! – Opat uniósł nieco głos. – Jesteś pełen pychy! Zgodziłem się, byś sprowadził tu tych Prusów, byś wykształcił ich w umiłowaniu do Boga. Ale zabijają się...

– Umierają w chwili, gdy pojmują pieśń.

– Więc nic tu po nich. To klasztor, nie cmentarz!

Opat westchnął ciężko i ciągnął:

– Dzięki Prusom nigdy nie poznamy słów pieśni. Zrozum to. A tym bardziej dzięki komuś, kto przyznaje, że dostrzega w ludzkich oczach śmierć i widzi diabła. Niech sobie słucha słów pieśni... – urwał i spojrzał na mnie, bo wpatrywałem się w niego intensywnie.

Bał się mnie.

– Wszyscy pieśń słyszą, ale nie rozumieją, może dlatego, że są sparaliżowani strachem? – Gniew i żal wykrzywiły mi usta, i poczucie wstydu, choć próbowałem

je ukryć gdzieś głęboko, wobec ludzi, którzy zamknęli mnie w celi; byli nie tyle sprawcami, ale przede wszystkim świadkami mojego upokorzenia. To wystarczyło, by ich nienawidzić, ich i tego miejsca. – Tylko my, Prusowie, mamy tyle odwagi, by wysłuchać pieśń i ją zrozumieć. Nie tędy droga – wskazałem na korytarz, który kończył się drzwiami do skryptorium – nie przez księgi. Przecież giną zwykli Prusowie, nie tylko ci znający pismo. Pieśń spada na nich przez pogańskich kapłanów, którzy przechodzą przez Wisłę do Gdańska, by namówić swoich braci do powrotu do starej wiary.

– Uważaj, by Szatan twoimi grzechami nie zapchał worka po brzegi. – Cyryl ożywił się i złapał mnie mocno za ramię, powstrzymując przed dalszym wywodem.

– Jest w nim demon. – Spojrzał na mnie swoimi ślepyimi oczami, a potem szepnął coś, czego nie rozumiałem, ale do głębi dotknął mnie ton jego głosu, jakby mi właśnie pomagał. Jakby czuł mój ból.

A potem mnie gwałtownie odepchnął. Spojrzałem na ogłupiałe miny cystersów, na tryumfującą gębę opata. Zwiesiłem głowę.

– Niedługo się przekonacie, że nadchodzą dla klasztoru ważne czasy. I nie możemy sobie pozwolić na żadne błędy. – Hugon zwrócił się do przeora, który jako zastępca opata, miał decydujący głos w wielu sprawach dotyczących wspólnoty. Pod nieobecność Hugona przejmował jego obowiązki. Tylko że opat nigdy nie wyjechał z Oliwy. Często więc Odon, nie bacząc na

regułę zakonną, nie okazywał pokory ani w postawie, ani w głosie. Zasady reguły zamykały mu drogę kariery w opactwie, którym zarządzał Hugon. Zdrowie opata wskazywało na to, że jeszcze wiele zachodów i wschodów słońca zobaczy. A Odon był ambitny, nie lubił czekać.

– Niebieskie sklepienie okaleczyła rysa – ciągnął opat.
– Niechybnie zapowiada nam rychły koniec. W chwili, kiedy się pojawiła, odliczano dni, dziś odliczamy już roki. Czym jest jednak ten czas w żywocie świata? Ale skąd rysa? Winni są ci, którzy kierują się pychą. A także nieumiarkowaniem. Winni są ci, którzy kierują się gniewem. Grzechem jest nieczystość, zazdrość, wasze lenistwo! – niemal krzyknął, wskazując milczących braci, jego wysoki głos odbił się echem po korytarzach świątyni.

Przez chwilę w myślach powędrowałem za echem. Dostrzegłem diakonów. Nie przestrzegali postów, a brat furtian przysypiał przy bramie. Jałmużnik wyłudzał mąkę od piekarzy, kłamiąc, że zmieni ją potem w chleb, który rozda ubogim pod murami opactwa. Szafarz kuchni i ogrodnik tak dzielili stawę między braci albo rozlewali gorsze piwo w dormitorium, by co lepsze wiktuały sprzedać na świeckie stoły. Czy wszyscy łamali regułę za podszeptem diabła?

– Winni grzechu zaniedbania stoją tutaj. – Opat wskazał na starszych braci, skarbnika, infirmierza, kantora i kilku innych. – Gdzie drzewo, by ogrzać salę, bracie zakrystianie? Dlaczego dogasają świece w dormitorium, gdzie twoi bracia pomocnicy, skarbniku? A miód?

Niezebrany. Bydło jest, ale nie daje mleka. Przynajmniej są konie. Kiedy szafarz albo opat podróżuje, nie może być równy chłopom na gościńcu. Jego głowa z książecą ma się równać.

– Ubóstwo, bracie. Ubóstwo różni się od zaniedbania – próbował bronić się wytrącony z równowagi szafarz.

– Nie my jesteśmy winni tych wszystkich zaniedbań – dodał zakrystian.

– Winny jest wasz ojciec, *pater monasterii*. Nasz *Vices Christi agit*. Czyli ja! To chcecie powiedzieć?! – prawie krzyknął opat.

– Może się jednak pomódlmy – zaproponował któryś z braci.

– Bóg na naszą modlitwę poczeka, może przed tercją zdążymy – zakpił przeor.

W kapitularku zrobiło się nadzwyczaj ciepło, sklepienie jakby zbyt nisko wisiało.

– Nasze kłopoty nie znikną. – Opat z trudem wytrzymał ból, jaki nagle zaczął sprawiać mu Cyryl, który wpił się pazurami w jego ramię. Spojrzał na zatroskane, pełne zrozumienia twarze i na tych, którzy patrzyli na niego jak wilki... – Nastąpiła, bracia, klęska suszy, potem ulewne deszcze, zaraza, i ta wojna... Świętopełk wojuje, nie stać go na szczodrość w tych czasach. Dziś więcej ma w skarbcu Żyd, raubritter albo handlarz z Mazowsza. Przez nasze ziemie przetacza się rycerstwo niczym szarańcza.

– Koniec świata – krzyknął Cyryl.

– Od wielu lat, bracie, od wielu lat. Ale jakoś doczekać się go nie możemy – zażartował jeden z braci.

– Nasze kłopoty nie znikną – powtórzył opat z naciskiem. – Nie na wszystko mamy wpływ. Ale nie możemy ku boskiemu pohańbieniu trzymać tutaj pruskich bękartów. – Spojrzał na przeora. – Nadchodzi sroga zima. Niedługo przyjadą zakonnicy od Najświętszej Marii Panny. Kiedy przybędą, masz im oddać nie dwóch, nie trzech, ale ich wszystkich, a przede wszystkim tego. – Opat wskazał na mnie. – Niech te diabły połykają własne języki i wieszają się, ale poza murami naszego klasztoru. I nie obchodzi mnie, co krzyżowcy z nimi zrobią.

Z trudem uwierzyłem w swoje szczęście.

Odetchnąłem z ulgą.

Nie byłem pewny, ale chyba dojrzałem na twarzy Cyryla coś, co przypominało uśmiech.

* * *

Zakonnicy z czarnym krzyżem na białym habicie przybyli do klasztoru w dzień świętego Marcina. Przeor kazał mnie i pięciu pozostałym Prusom spakować swój niewielki dobytek do worków i po krótkiej rozmowie z rycerzami pożegnał się z nami z niechęcią.

Staliśmy na dziedzińcu, krzyżowcy ustawili nas w równy szereg. A ja spoglądałem na kaplicę, w której zostawiałem krzyż. I nic nie mogłem zrobić. Czułem się podle, jakbym raz jeszcze porzucił matkę, tak jak wtedy

w lauksie. Ale wiedziałem coś, co mnie uspokajało. Nie wiedziałem jak, ale domyślałem się, że będę miał szanse, aby tu wrócić. Przypomniałem sobie odbicie mojej twarzy w oczach oblatów, którzy mnie prześladowali – przecież bogowie wskazali już, że to ja zadam im śmierć, pozostawało tylko pytanie – kiedy?

Popchnięto mnie w stronę bramy, bo stałem jak wbity w ziemię. Któryś z chłopaków złapał mnie za rękę i pociągnął, ratując przed kolejnym uderzeniem moich nowych panów.

Do Gdańska mieliśmy iść pieszo, a tam czekała już na nas łajba, która powiezie nas w górę rzeki.

Gdy karnie ruszyliśmy drogą, bezmyślnie wpatrując się w końskie zadki, chwilę później minęli nas jacyś pomorscy rycerze. Odwróciłem się za nimi i dopiero wtedy spostrzegłem, że przed bramę opactwa wyszedł oblat, z którym się zaprzyjaźniłem, choć może to zbyt mocne słowo, bo przecież nigdy do mnie nic nie rzekł. Machał mi ręką na pożegnanie z głupim wyrazem twarzy.

Pomorzanie krzyczeli, żeby zszedł im z drogi, ale on próbował odnaleźć mnie wzrokiem, więc mu odmachałem, a potem ze zgrozą patrzyłem, jak się przewraca, uderzony jednym z końskich kopyt.

– Od dziecka głuchy jak pień – skwitował jeden z idących przy mnie towarzyszy.

– Jak to głuchy? – zdziwiłem się. – Przecież z nim rozmawiałem...

Niczego prócz upokorzenia nie znalazłem w tych

murach – tylko bezmyślne modlitwy, szykany, a teraz poczułem się, jakby los ze mnie zakpił. Myślałem, że był powiernikiem mych skrytych myśli, a on nawet mnie nie słyszał.

Tym chętniej opuszczałem klasztor.

* * *

Domyśliłem się, że celem naszej wędrówki będzie Vogelsanck, stróża nad Wisłą. Wszyscy, których znałem, a byli na tyle dorośli, by wyprawić się dalej niż rodzinny lauks, omijali ją z daleka, bo po okolicznych targach krążyły niesamowite opowieści, że zakonnicy trzymają tam samego diabła, że lochy twierdzy są głęboko wyryte w ziemi, że pożerają dusze niewiernych.

Moi współplemieńcy, z którymi przyszło mi dzielić niedolę podróży w kurzu i spiekocie, zaczęli rozmawiać między sobą o tym, co ich może czekać, po co są potrzebni krzyżowcom. Ja wiedziałem jedno: opanowaliśmy ich język, pochodziliśmy z Prus, więc znaliśmy te ziemie i obyczaje jej mieszkańców – od wielu lat krzyżowcy wykorzystywali neofitów jako przewodników. I choć nam nie ufali do końca, nie mieli wyboru, bo odkąd Szeol trawił pruską ziemię, nie zapuszczali się głębiej do Pomezanii niż na dzień, dwa dni drogi od Wisły.

* * *

Podróż do Gdańska nie trwała długo. W tawernie, gdzie czekało na nas trzech zakonników w asyście parobków, pozwolono nam odpocząć. Kilku krzyżowców zniknęło gdzieś w południe, zostawili nas pod strażą pacholców, którzy rozprawiali o pruskich bandach szerzących popłoch na gościńcach i o rycerzach z odległej krainy, ofiarach jakiejś nieprawdopodobnej rzezi. Nas wypytywali, czy jesteśmy ochrzczeni. Kłamałem, że tak, po czym odmawiałem po cichu modlitwę, by dali mi spokój.

Gdy jeden z zakonników z czarnym krzyżem na piersi wrócił, zaczął nerwowo wydawać rozkazy. Opuściliśmy tawernę i skierowaliśmy się na podgrodzie. Konie, wóz, sznur ludzi.

Przy starej przystani zakonnicy przycumowali kilka łajb, wypłynęliśmy do Vogelsanck jeszcze przed zmrokiem. Nie bacząc na dzień czy noc, prawie całą drogę spędziliśmy na wodzie.

Nikt mnie nie ponaglał, niczego nie kazał, mogłem wyspać się do woli.

Śnił mi się śniady rycerz. Jego powłoka jaśniała, widziałem każdą żyłkę na jego twarzy, a w środku toczył go robak. Dusił i parzył.

Rozdział 11

Walczyłem o dusze biskupów w chwilach ich największego uniesienia – podczas mszy i chędożenia, zasadzałem się na lichwiarza w jego kantorku, czatowałem na rycerzy, którzy, pozbawieni majątku i honoru, chcieli wrócić do dawnego życia, w ciągu dwudziestu dni wywołałem wojnę, w jedną noc potopiłem całe dziesiątki.

Sumiennie spisywałem księgi grzechów. Sprawdzałem się jako skryba. Chwiejne litery – w nagłówku godność, wiek i zajęcie, a poniżej obżarstwo, lenistwo, pycha... Bez zbędnych opisów, szyderstw albo przechwałek.

Zwykła rutyna.

Szeregowy diabeł, skryba pośledniego kręgu Szatana.

Jesteśmy rozproszeni po całym świecie, principes, książęta Szatana, niecierpliwie wyczekują naszych raportów, by przekazać je potem Szatanowi. Najlepszych skrybów wynagradza. Sadza ich przy swoim tronie. Widziałem, jak jednego pocałował, osculatus est eum. Dla mnie ohyda.

* * *

Świętopełk zasiadł na swym rzeźbionym krześle przy szerokim stole. W zamyśleniu potarł czoło, wygładził gęste brwi, spod których zimne oczy rejestrowały każdy

ruch na sali. Nos, jak u większości Sobiesławowiców, miał prosty, a brodę równo przyciętą. Zmęczenie i troska oszpeciły książęce oblicze, policzki zapadły się nieco, włosy przyprószyła siwizna.

Jako najstarszy brat zmarłego Mściwoja, książę objął we władanie Gdańsk i pełnił opiekę nad młodszymi braćmi, z których najstarszy, choć chorowity Warcisław, gdy tylko dorósł, przejął dzielnicę świecką, a następnie Sambor lubieszewskotczewską, a Racibor białugardzką. Sambor, uważając się za pokrzywdzonego, jątrzył przeciw starszemu bratu, mówiono na dworze, że za jego plecami pokumał się z krzyżowcami od Najświętszej Pani. Nieraz stary książę musiał ukarać brata, więził go nawet, by potem przywrócić do łask. Sambor czuł się upokorzony, mawiał, że wolałby zginąć, niż zostać uwolniony, ale z łaskawości brata chętnie korzystał. Siedział teraz po jego prawicy z głupawą miną. Wydał usta, świdrował wszystkich dookoła zmrużonymi oczami, jakby obawiał się, czy ktoś zbyt nie poświęca mu uwagi. Doszukiwał się na twarzach gości drwiny, stąd wielu rycerzy, wiedząc, że jest porywczy, unikało jego wzroku.

Warcisław najmniej przypominał braci, choć uważano, że właśnie on jest najbardziej podobny do ojca. Mały nos, wystające kości policzkowe, ostry podbródek. Gdyby nie wątle ciało i dolegliwości – nie służyła mu zima, a i w lecie ponoć kaszlał – zapowiadał się na dobrego władcę, ale Bóg mu już los wyznaczył. Kilka lat temu, wracając z

Prus, jako jeden z nielicznych, zbłądził do Szeolu i choć powrócił, wzrok miał mętny, cerę przybladłą, z trudem oddychał, jakby brakowało mu powietrza. Zawsze nerwowo rozglądał się na boki. Twierdził, że widzi dusze zmarłych.

Florencjusz z Ranenem zasiedli wśród pomorskich i niemieckich rycerzy.

Niedźwiedź z Brandenburgii czuł się jak u siebie, wsłuchując się w znajomy szwargot. Brodacz nie mógł oderwać oczu od zgrabnych dziewczek, które dbały, by nie zabrakło wina i jadła przy stole. Z ledwością trzymał przy sobie grube łapy. Natomiast niebieskooki rycerz z Akwizgranu wodził wzrokiem za pacholkami, dorównywali pannom w gibkości i sprawności, niemal tańczyli przy gościach. Za to wiking zachłannie gapił się i na dziewczęta, i na chłopców, a tym, którzy napotkali jego wzrok, nie szczędził uśmiechu.

Pilgrim wiercił się tuż obok, nieufnie spoglądał na swych nowych kompanów. Sam miał się już chyba za weterana, uśmiechnął się de Vivar, widząc, jak młodego rozpiera duma i jaki jest pewny siebie, choć przecież żadnej walki jeszcze w barwach Calatrava nie stoczył.

Ranen siedział niepewny, przyglądał się temu świeżemu narybkowi, obawiając się, że jakieś pytanie albo głupi ruch zdradzi ich prawdziwe pochodzenie.

Stół zastawiono raczej skromnie, ciężkie czasy, jak tłumaczył Świętopełk – śledzie i gotowane ryby. Za to trunków nie zabrakło, rycerze mogli pić do woli.

Do sali weszli spóźnieni zakonnicy od Najświętszej Marii Panny.

– Spójrz na nich. – Ranen nachylił się do kompana. – Wpierw skup uwagę na brzuchu brata zakonnego Hinkmara, potem na jego nalanej twarzy. Bardziej spasiony ode mnie. – Zachichotał. – Tego drugiego nie znam. Wygląda, jakby promień słońca kopnął go w tyłek. Zobacz, jak mu się ta czerwona szczota jeży na głowie. Nie szczeka, nie merda ogonem, ale widać, jak się łasi do grubasa.

Krzyżowcy od Najświętszej Paniarki zasiedli tuż obok Sobiesławowiców. Odszukali wzrokiem rycerzy z Calatrava i Braci Chrystusowych i wydawało się, że nie spuszcza już z nich oczu.

Gęstniała atmosfera. Rycerstwo, niby przechwalając się, plotkując, wdając się w prywatne spory, cały czas zerkało na księcia, czekając, kiedy wreszcie zabierze głos w sprawach najwyższej wagi.

Gdy Świętopełk podniósł się z krzesła, głosy w jednej chwili umilkły. Przywitał wszystkich przybyłych, dokładnie wymieniając godności, na dłużej zatrzymał się przy rycerzach z Calatrava.

– A więc to plotki, mistrzu – spojrzał na Florencjusza – że Prusowie wybili rycerzy zakonnych na pomorskim gościńcu.

– Plotki, panie, zwykłe plotki. – Uśmiechnął się zagadnięty od ucha do ucha, spoglądając na sodomitów z Jerozolimy.

- Tymawa więc wasza.
- Nasza, panie. Dzięki twojej łasce.
- Ale spalona. Oto najnowsze wieści.

Florencjusz, zaskoczony, spojrział na Świętopełka, ale ten wyrazu twarzy nie zmienił, tylko wzrok nieco spuścił. Za to na gębach Hinkmara i jego towarzysza wykwitły uśmiechy.

– Odbudujemy więc i Tymawę – powiedział, siląc się na pewność w głosie. – Godnie będziemy pełnić stróżę nad Wisłą, by żaden poganin nie nachodził twych ziem, panie.

– Tak jak Bracia Chrystusowi, co w Zantyrze siedzą. – Gruby Hinkmar parsknął pogardliwie.

– Nie godzi się wszczynać kłótni w obliczu księcia – odezwał się Warcisław, kaszląc przy tym i plując pod stół.

– Chcemy tylko prawdy. – Hinkmar niepewnie poprawiał się na ławie. – Rycerze z Calatrava zostali wyrznięci na pomorskim gościńcu, tak jak i Bracia z Zantyra pod Brodnicą.

– Rycerze z Calatrava siedzą tu przy stole i siła ich! – warknął Florencjusz.

– A to ci dopiero. – Grubas zaśmiał się. – Panie – zwrócił się do księcia – myślę, że twoja powaga została wystawiona na próbę. Czy oni choć mówią w jakimś zrozumiałym języku?

Niedźwiedź z Brandenburgii wstał, nadał się cały, odchrząknął, rozejrzał się po sali i zamarł... – ze wstydu może, tego Florencjusz nie wiedział – a potem zaczął coś

bełkotać. Hinkmar zaśmiał się znów, tym razem głośniej, a jego rudy towarzysz aż zaklaskał z uciechy. I wtedy sytuację uratował Pilgrim. Kazał kompanowi siadać, a sam poderwał się od stołu, aż zachwiała się jego duża głowa, i zaczął coś mówić po niemiecku, potem po arabsku, a na koniec po kastylijsku. Cały spocony, usiadł z powrotem na miejscu.

– Coś rzekł? – De Vivar, choć zrozumiał każde słowo, nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

Nadstawił ucha.

– Że upraszam go, ze względu na obyczaj rycerski, nie szargać dobrym imieniem rycerzy z Calatrava... – wyszeptał.

– Wiem, wiem – przerwał zniecierpliwiony. – Ale ta reszta? To, co rzekłeś w moim języku...

– Panie, resztę to ja zasłyszałem w burdelach. Mam dobrą pamięć. – Wyszczrzył zęby w obleśnym uśmiechu.

– Po co te nerwy? – Drugi krzyżowiec od Najświętszej Pani, rudzielec, wznosił puchar, by wypić za zdrowie księcia. – Nie jesteśmy barbarzyńcami, choć ta ziemia od niedawna ochrzczona.

Świętopełk spojrział na niego mało przychylnie, ale nic nie rzekł.

Ranen też wstał i gdy rycerze dokończyli toast, ze wściekłością ryknął:

– Zdrada pod Brodnicą! Zdrada! Nie przyszliśmy tu puchary wznosić, ale winnych znaleźć.

– Winni jesteście wy sami. – Hinkmar podniósł nieco

swe ciężkie cielsko z ławy, ale usiadł zaraz, rażony wzrokiem gospodarza.

– Książę Konrad już Gryfitów osądził za zdradę. Pozbawił ziemi. Nam nic do tego – mruknął Świętopełk. – Sprawa wyjaśniona.

– A ja wam, panie, mówię, że zdrada. Że pruskie diabły wiedziały, gdzie uderzyć i w kogo. – Ranen nie ustępował.

Warcisław przytrzymał rękę swojego starszego brata, którą książę uniósł w gniewie. Wstał i rzekł ze spokojem, powstrzymując kaszel:

– Brodnica to żadna chluba. – Spojrzał na brata, czy ten pozwoli mu mówić. Świętopełk skinął głową, wyraźnie zmęczony. – Rycerstwo pomorskie i kujawskie, i ze Śląska, doznało wielkiej porażki. I wasz konwent nie uniknął straty. A strata tym większa, że zakon młody i nie lgnie do niego rycerstwo. Nie nasza to jednak wina, racz o tym pomyśleć, zanim raz jeszcze uniesiesz się gniewem.

Ranen chciał coś rzec, ale Florencjusz go pohamował lekkim szturchnięciem.

– Nic nie wskórasz, zamilcz lepiej.

Cisza zaległa pod powałą, ale tylko na chwilę.

– Rycerze z Zantyra są bezradni. – Tęgi zakonnik od czarnego krzyża tym razem wstał, za nic mając niechętny wzrok starego księcia. – Pobożność nie jest ich cechą. A w Prusach, w Szeolu, tylko prawy rycerz nie zatraci duszy. Zresztą kupczą z Prusami.

– Naszym zadaniem jest zabezpieczyć granice. I to

robimy – zapewnił Pilgrim, a Ranen spojrział na niego zdziwiony jego odwagą i... tupetem.

– Nawet z tego się nie wywiązujecie.

– Wszystko wymaga czasu. – Młody nie ustępował.

– Zanim biskup Chrystian poświęci Prusów, wyrzną nas do nogi. Wami kierują grzechy. Największy z nich to lenistwo. My jesteśmy posłuszni, żyjemy w ubóstwie i czystości, nieobca nam jest skrucha, spowiedź i zadośćuczynienie, nie gardzimy miłością.

– Oj tak. – Ranen uśmiechnął się z przekąsem.

– Herman Balk, świeć Panie nad jego duszą, swoje pierwsze schronienie zbudował na drzewie, by móc walczyć z poganami. Cierpimy i nie boimy się tego. Prusowie nadal przekraczają Wisłę. Najeżdżają Kujawy, włości naszego gospodarza, księcia Świętopelka. Pokojowe metody Chrystiana nie powiodły się. A wy, bracia, bez urazy, ale wasza siła po Brodnicy jest żadna.

– Chrystian ochrzcił dwóch naczelników pruskich: Surwabundę i Warpodę – napomknął Ranen. – Nobilowie pruscy nadali swe ziemie biskupowi, wierząc, że w ten sposób ochronią ją przed najazdami krzyżowców. Cysters, aby obwieścić światu swoje misyjne talenty, zabrał neofitów do samego papieża. To są dowody, że z Prusami można się porozumieć wodą święconą.

– Tak, i wykupywał kobiety przeznaczone na ofiary. Zresztą Konrad ma dość pogańskich najazdów. – Hinkmar machnął ręką. – Żaden kościół nie jest bezpieczny, Prusowie pustoszą Mazowsze.

Książę Konrad radził sobie z tym problemem w przeróżny sposób. Mając pusty skarb, a chcąc kosztownościami przekupić Prusów, zaprosił na swój dwór rycerzy spowinowaconych z Gryfitami i przychylnych tej zdradzieckiej rodzinie. Pozbawił ich ubrań, pierścieni i posłał zagarnięte mienie poganom, jako wykup, by już nie najeżdżali jego ziemi.

Wielu obecnych uśmiechnęło się – książę znany był ze swej przebiegłości.

Biskup włocławski, Mikołaj, wstał od stołu i zaczął przechadzać się po sali, pocierając nerwowo zawieszony na szyi krzyż. Miał szansę, by zapisać się w annałach historii jako ten, który zainicjował kolejną wyprawę pomorskich i piastowskich panów do Prus. Chciał skorzystać z nieobecności Chrystiana i wzmocnić swoją pozycję przy boku gdańskiego księcia. Zdobyć jego zaufanie.

– Pruskie diabły są wszędzie. To głupi lud. Nie znają Boga i nigdy nie poznają jego istoty. A ich bogowie to brzuch i chciwość idąca w parze z morderstwem. Trzeba zmusić pogan do uległości, a dopiero potem chrzcić – zagrzmiał.

– Tych, których ostawimy przy życiu – dodał kompan Hinkmara i uśmiechnął się chytrze. – Bóg pozwoli przeżyć tylko godnym. Pod ciężarem miecza Prusowie ugną karki, przestaną służyć bałwochwalstwu i diabłu. Bo w Szeolu z diabłem chadzają pod rękę. Nie obrona, ale wojna defensywna, oto rozwiązanie problemu. W imię

Boga, bracia! – Poderwał się z ławy, ale biskup wrocławski ostudził jego zapał.

– Panowie rycerze. Niejedna już zgodna wyprawa wyruszyła do Prus. Także za poparciem biskupa Chrystiana, który teraz zaniemógł, niech Pan szybko przywróci go do zdrowia, by mógł z nami tu zasiadać. – Przeżegnał się. – W jedności siła.

– Nie można ufać nikomu! Zdrada! Pod Brodnicą! Zdrada. Jak mamy zapomnieć śmierć naszych rycerzy? – Ranen nie ustępował.

– Inasi poginęli: Dzierśław Abrahamowicz, kasztelan wiślicki Budzi sław Krzesławic i wielu innych zacnych rycerzy – wtrącił jakiś rycerz z Kujaw. – Nie licytujmy się w trupach! Zresztą, jak prawil książę, Gryfici odkupili swą zdradę. Konrad Mazowiecki ukarał ich, odebrał majątki i tylko czekają na rozkaz, by wyruszyć do samego Szeolu.

– Właśnie! – Biskup wrocławski klasnął. – W tym rzecz, że nie wystarczy przejść za Wisłę i spalić kilka lauksów. Trzeba dotrzeć dalej...

W sali zapadła cisza. Ktoś potrącił dzbanek, najstarszy brat Świętopelka zakasłał.

– Tak, bracia, do samego Szeolu! – Biskup niemal zaśpiewał.

– Tam chadzają tylko strutterzy! – przeląkł się jeden z rycerzy pomorskich.

– I gwarkowie Henryka Śląskiego – wtrącił drugi. – A widzieliście tych, którzy wracają z Szeolu. Niemi albo

głusi, z bielmem na oczach. Przeklęci!

Warcisław odchrząknął.

Zapadła pełna zakłopotania cisza.

– „Jahwe opiekuje się jedynie człowiekiem dobrym i tylko takiemu błogosławi” – biskup w końcu zacytował jeden z psalmów. – A wy, panowie, przecież jesteście prawi rycerze. Bóg rozliczy wasze dobre uczynki, a Szatan złe wypomni na Sądzie Ostatecznym. A sąd już blisko. Niebo pęka nad naszymi głowami, jak sklepienie w świątyni. Nie możemy pozwolić, by pieśń błagalna anielskich chórów została niewysłuchana. Nie rozumiecie? Drodzy bracia, od Boga otrzymaliśmy wszystkie krańce ziemi. Nie możemy zostawić ani piędzi ziemi diabłu.

Biskup nie przestawał krążyć po sali i gadał jak na kazaniu:

– Czy na wieki odtrącił nas Pan, aby nie okazywać więcej życzliwości? Czy na zawsze skończyła się jego łaskawość? Czy skończyła się jego obietnica po wszystkie pokolenia? Czy zapomniał Bóg swej łaskawości, niczym w gniewie ukrócił miłosierdzie swoje? Wierzę, że nie! Prusowie to narzędzie Boga. Jak Bóg sprowadził wrogów Izraela, tak i może go uwolnić od nich. Ale walkę pozostawia nam. Najpierw miecz, potem krzyż! Z łatwością pokonamy naszych wrogów, bo należą do Boga. I on naszymi mieczami rozbije ich, jak garncarz tłucze swoje gliniane naczynia, które ulepił. I poniesiemy poganom święty krzyż z Oliwy!

Na wielu twarzach Florencjusz wyczytał zwątpienie. Pomorscy i kujawscy rycerze nie byli zainteresowani tym, co biskup im prawi. Nawet możliwość odpuszczenia grzechów nie budziła entuzjazmu – jakby nie ufali Mikołajowi. Ich wzrok nie sięgał dalej niż własna miedza. Co innego zakon, choć zapewne nie sprowadziła ich na te ziemie głęboka wiara, gorliwie wspierali duchownego. Nie mogli się już doczekać wyprawy za Wisłę.

– Mądre słowa, biskupie – rzekł Hinkmar, jakby na poparcie przemysleń de Vivara.

– Pokumaliście się z Henrykiem Brodatym, który sprowadza ze Śląska swoich gwarków, by mu diabelskie złoto kopali. Nie dla wiary, tylko dla skarbów chcecie tam leżać. – Ranen spojrział z wyrzutem na zakonników od Najświętszej Pani.

– Ja nigdzie nie idę. Ani dla wiary, ani dla zysku – odezwał się jeden z pomorskich wojów, z opaską na oku.

– Zbyt wielu nie wraca – poparł go ktoś z sali.

– Powiadają, że Prusowie znoszą swe skarby do Jeziora Łez, bo tylko tam diabeł nie hasa. Więc ledwie przejdziemy rzekę, a już nas capnie! – Jednooki rycerz wstał i położył rękę na piersi. – Wybaczcie, panowie, jeżeli z diabłem mam walczyć, to wolę na swojej ziemi.

– I pozwalać, by palił wam osady i książęce podgrodzie – zakpił Hinkmar.

– Moja wieś stoi.

– Ależ rysa na niebie...

– Wstaję wcześniej rano – tym razem jednooki nie

ukrywał rozdrażnienia – to czyste niebo zastaję na pomorskiej ziemi...

– Ale tam...

– ... nie moja ziemia – dokończył i usiadł.

Pomorscy rycerze nie wykazywali zainteresowania rysą. Nie potrafili chyba nawet sobie wyobrazić, że gdzieś tam pęka niebo, a co dopiero z ochotą wyruszyć do Szeolu. Florencjusz zawiedziony pokręcił głową. Zrozumiał, że jeżeli wyprawa dojdzie do skutku, to nie będzie mógł na nich liczyć.

A po co on jedzie? Zamyślił się. Jak będzie wyglądała Anna i czy poczuje jeszcze zapach jej skóry? Przecież jej dusza może być wolna od ciała. Może już lepiej tylko cierpieć dla miłości, sięgać po owoc, ale go nie zerwać, by nie zawieść się jego smakiem. Nagle przeląkł się własnych myśli. Tak przecież nie można. Zbyt wiele był winien swej ukochanej. Jeżeli pęka niebo gdzieś nad Pomezanią, to jest i piekło, a tam znajdzie ją, choćby tylko jej duszę, zacisnął pięści. Szkoda tylko, że musiał ufać diabłu.

Ranen uśmiechnął się widząc, że calatravens siedzi zasepiony, zapewne myślał, że od słów biskupa, które właśnie padały:

– Nie możecie spojrzeć dalej niż wasze parszywe nosy?! To wyprawa po dusze! – zagrzemiał. – Opamiętajcie się!

– Dusze? – zdziwił się Florencjusz.

– Wasze dusze, by je oczyścić z grzechu podczas

świętej misji, i dusze pogan, by je uchronić przed zatraceniem.

Warcisław wstał, odkaszlnął, poczekał, aż umilkną siorbania, mruknięcia, ciche rozmowy.

– Najpierw widać ogień – powiedział, zapatrzony gdzieś przed siebie. – Dopiero potem nadchodzą pruskie demony.

– Kto jest bez grzechu, nie ma się czego obawiać! – Biskup włocławski stanął za jego plecami.

Wszyscy jakoś dziwnie zwiesili głowy.

A mój grzech? Florencjusz zastanowił się. Jak jest wielki? Że požądam Anny?

– A ci, którzy w grzechu żyją, mają szansę, by Bóg im wybaczył – tymi słowami biskup wlał nieco otuchy w serca gości. – Tylko wielka bitwa rozstrzygnie, czy wygra Bóg, czy Szatan. A polem walki będzie Szeol. Nawet podpalaczom papież udziela rozgrzeszenia. Wielu rycerzy z odległej Jerozolimy przybędzie na nasze ziemie, by nas wesprzeć. Wspiera nas rycerstwo z Calatrava. – Uśmiechnął się jakoś dziwnie. – Trzeba poświęcić ziemię, nad którą pękło niebo, to znak od Boga. Naszym obowiązkiem jest podtrzymać filary tego świata!

Najstarszy z braci Świętopełka zaczekał spokojnie, aż biskup zamilknie, i zaczął mówić nieco przyciszonym głosem:

– Widziałem, jak znikają całe wojska, jak drzewa gną się pod naporem wiatru. Jak gorąca lawa pożera ziemię. Czułem swąd palonej skóry, każdego dnia, gdy się budzę,

niemal czuję w ustach smak spalenizny. W Szeolu lepiej nie oglądać się za siebie. A wiecie dlaczego? Bo nic tam nie ma. Nic.

– A Jezioro Łez? – Pytanie Florencjusza zawisło na chwilę w powietrzu.

Warcisław popatrzył na niego mętным wzrokiem, zanim rzekł:

– Jedyным schronieniem dla Prusów przyjmujących naszą wiarę są twierdze, tam mogą czuć się bezpiecznie. Poganie znaleźli ratunek w Jeziorze Łez. A ci, którzy nie mają szans, by je odnaleźć, odbierają sobie życie, gdy już rozumieją pieśń. Wolą śmierć niż chrześcijańskie chomać. Czy to nie dziwne, że to właśnie oni, nie my, poznają słowa pieśni płynącej z nieba.

– To kara boska! – zagrzmał biskup.

– Może, ale tego nie wiesz nawet ty, biskupie.

Świętopełk, zirytowany przeciągającymi się sporami, wstał i ogłosił wszystkim swoją decyzję. Zarządził krucjatę, a biskup szybko jej pobłogosławił. Rycerze mieli udać się do obozu na prawym brzegu Wisły, by stamtąd, po trzydniowych modlitwach i mszy świętej, ruszyć w głąb do Szeolu.

– A nam czas do Oliwy święty krzyż zobaczyć i poprosić brata Chrystiana, by pobłogosławił naszą misję – szepnął Ranen do towarzysza, gdy Świętopełk skończył naradę.

Warcisław poderwał się nagle i szepnął, ale tak, że wszyscy go usłyszeli.

– Zakopujcie trupy. Zakopujcie trupy, by nie wstały, te diabły. Ciało nie może zostać porzucone. Musi iść do ziemi!

Wszyscy w sali spojrzeli na niego zaskoczeni.

Biskup, widząc, jakie oszołomienie i lęk wywołały słowa księcia, szybko podchwycił i zacytował Księgę Izajasza:

*Podziemny Szeol poruszył się przez ciebie,
Na zapowiedz twojego przybycia;
Dla ciebie obudził cienie zmarłych.*

De Vivar zamyślił się. Chrześcijanie, wierząc w Boga, utrzymują, że świat został stworzony wyłącznie przez niego. To, co ich otacza, objaśniają karą lub nagrodą boską. Sam to tak sobie wszystko zawsze tłumaczył. A tego, czego nie pojął, nie potrafił ubrać w myśli ani przedstawić słowami, nazywał jakimś nieodgadnionym zamysłem bożym, dla niego – maluczkiego – jednak niezrozumiałym.

Spojrzał na wykrzywione gęby pomorskich i zakonnych rycerzy. Nie przyjmowali do wiadomości, że tuż za Wisłą istnieje odmienny świat, który wymknie się ich wyobrażeniom.

Może Bóg nigdy tam nie zajrzał, a diabeł nie istnieje.

Warcisław opadł na krzesło, pokręcił głową zrezygnowany.

– Demony. Pruskie diabły. – Po brodzie pociekła mu

slina.

Rozdział 12

Łódź darła tafłę rzeki, a krajobraz rozmywał się przed moimi oczyma i stapał z ciemnością, ale wysiliłem wzrok, by dobrze się przyjrzeć miejscu, do którego się właśnie zbliżaliśmy.

Twierdza Vogelsanck leżała na lewym brzegu Wisły. Stercząca wieża z wąskimi oknami, wokół ściany i blanki. Ze wszystkich stron przystępu do niej broniły wbite w ziemię ostrokoły, rowy i zasadzki, a droga była tylko jedna – wąska ścieżka ciągnąca się od rzeki na sam szczyt wzgórza.

Burta otarła się z jękiem o pomost zbudowany z wysłużonych desek. Zacumowane dwie inne łodzie, nieco mniejsze od tej, którą przy płynięciu, napelnione były deszczówką. Znak, że wiele dni nigdzie nie wypływały.

Musieliśmy wraz ze służbą zakonną pomóc przy rozpakowywaniu towarów: mąki, soli i skór. Spojrzałem na rzekę, na jej przeciwległy brzeg, gdzie pełgały płomyki. Może moi współplemieńcy rozpalili ogień na noc, pełniąc wartę, albo to sam diabeł. Dźwigając worek, ruszyłem pomostem. Śliskie deski nie pozwalały mi iść szybciej, więc stapałem ostrożnie. Ktoś z tyłu mnie popchnął, odwróciłem się, by skląć chłopaka. W drodze z Oliwy dowiedziałem się, że pochodził z Sambii, dlatego też nigdy nie zamieniłem z nim słowa. Prusowie zamieszkujący te ziemie często napadali nasze lauksy.

Puścił swój toból i uderzył mnie w nos. Przez chwilę myślałem, że upadnę, ale ktoś mnie przytrzymał. Gdy nieco oprzytomniałem, Sambijczyk już mnie wymijał z dumnym wyrazem twarzy. Naparłem na niego całym sobą i ciężarem worka, który taszczyłem. Padł jak kłoda i ześlizgnął się z pomostu do wody, a ja o mały włos nie spadłem razem z nim.

– Co wy wyprawiacie? – krzyknął któryś z pomocników i uderzył mnie po karku.

Musiałem wyciągnąć Sambijczyka z rzeki. Odrzucił jednak moje pomocne ramię. Sam wdrapał się na pomost.

– Lepiej żebyśmy choć tu trzymali się razem – zaproponowałem.

Spojrzał na mnie spode brwi, pomyślał przez chwilę, zerknął na niechętnych nam parobków, by w końcu rzec:

– Jestem Soliba.

Przyjął moją dłoń na znak zgody.

Ruszyliśmy wąską ścieżką pod górę. Sączący się z nieba deszcz rozmiękczył ziemię. Wszędzie sterczały z ziemi kikuty belek, co krok wykopano doły pułapki, żeby jedyną drogą do Vogelsanck pozostała ta wąska ścieżka. W końcu dotarliśmy do bramy osadzonej w drewnianej palisadzie.

Jeden z zakonników zapukał. Odpowiedziało mu echo, jakbyśmy znaleźli się w jakiejś jaskini, jakby nagle świat skurczył się do kawałka ścieki, tego muru, tej twierdzy i... tego echa.

Mimowolnie obejrzałem się za siebie. Ścieżka wiła się

w dół, ale nie widziałem już jej końca. Tak szybko zapadł zmierzch, ledwo dostrzegałem cokolwiek wokoło – kontury rzeki, ściany drzew i nisko zawieszone niebo.

Usłyszeliśmy ciężkie kroki po drugiej stronie palisady. Drzwi otworzyły się z jękiem.

Stanął za nimi niewielkiej postury brat służebny. Nawykły do posługi, ukłonił się nisko i kazał nam wchodzić do środka.

Nad niewielkim dziedzińcem górowała wysoka wieża, przy której znajdowały się zabudowania gospodarcze: chlew, kuźnia, składy zboża, starty namokłego drewna, walały się śmieci, połamane niebie. Nieporządek albo pośpiech wyznaczał chyba rytm dnia w Vogelsanck.

Wydano nam polecenie, abyśmy wszystko ze statków przenieśli na dziedziniec. Choć rozpalono ogniska przy ścieżce, jeden służący złamał *nos*, a któryś z młodszych chłopców upadł pod ciężarem tobołów i skręcił sobie kark. Jego trupa kazano zawlec wraz z Solibą na pomost i wrzucić do rzeki. Równie dobrze mogło to mnie spotkać, myślałem, przycupnąwszy nad Wisłą, podczas gdy zwłoki pochłaniała ciemna toń.

Od strony wieży rozległy się nawoływania i ponaglenia. Pomocnicy, zajęci sprzeczką przy rozładowywaniu łodzi, przerwali na chwilę kłótnię, obładowali nas jak woły i kazali ruszać na górę, by zaraz potem wrócić do wyzwisk i skarg.

Po kolejnej morderczej wspinaczce ułożyliśmy tobołki we wskazanym składziku. Pozostali stali już rzędem przed

wejściem. Ustawiłem się na końcu. Brat służebny otworzył drzwi i pierwszy wgramolił się na wąskie schody. Przeciskaliśmy się za nim, okręcając się po kamiennej spirali coraz wyżej, aż dotarliśmy na jakieś piętro. Nie potrafiłem ocenić na które, bo mijaliśmy kilka poziomów, a każdy oddzielony został od schodów ciężkimi drewnianymi drzwiami.

W ścianie wykuto wąskie okno. Na zewnątrz ziała czarna pustka, ale komnatę rozświetlały łuczywa zatknięte na ścianach i tłące się w kamiennym kominku ognisko. Pomimo to w niskim wnętrzu cień wygrywał ze światłem.

Dopiero po chwili dojrzałem stół, za niskim blatem siedział zakonnik w habicie z czarnym krzyżem.

Brat służebny poszturchiwał nami, dopóki nie uformowaliśmy w miarę równego szeregu, a sam usunął się w odległy kąt.

– Zwą mnie Wedeghe. – Zakonnik nachylił się nad stołem tak, żebyśmy mogli w świetle przyjrzeć się jego poparzonej twarzy, oczom przykrytym bielmem i starannie przyciętej grzywce na wysokości, gdzie kiedyś miał brwi.

– Przyjrzyjcie mi się dokładnie. Wszystkich was to czeka, gdy choćby tylko na chwilę zawierzycie diabłu. Tam, w Szeolu. – Wskazał ręką na okno, a potem wystrzelił wskazującym palcem w naszą stronę i podniósł głos: – Jak wyglądasz, powiedz!

Spojrzeliliśmy po sobie, próbując ocenić, kogo wskazuje zakonnik. Trafiło na najmłodszego, od którego wszyscy

nieznacznie się odsunęli.

– Mów! – nakazał Wedeghe, gdy milczenie się przedłużało.

– Jestem silny – wybąkał chłopiec.

– Nie pytam, jaki jesteś, tylko jak wyglądasz – skarcił go.

– Jestem ze wszystkich najniższy. Mam długie rude włosy. Skośne oczy. No, nie wiem...

Szuranie jego stóp o podłogę było żalosne.

– Wystarczy. A ty? Jak wyglądasz? – Wskazał na mnie.

– Zdecydowanie lepiej od ciebie – wyszeptałem i od razu przeszły mnie ciarki.

Moi towarzysze spojrzeli na mnie ze strachem. Sam nie wierzyłem w to, co powiedziałem, jakbym usłyszał kogoś z głębi komnaty, a nie siebie.

Zakonnik nie spodziewał się chyba takiej odpowiedzi. Nawet nie wiedziałem, czy go rozłościłem, bo ponownie odchylił się do tyłu, twarz chowając w cieniu. Teraz widziałem tylko czarny krzyż na białym habicie zawieszony między blatem stołu a cieniem.

– Dużo mi to mówi o tobie. – Zaśmiał się, a ja odetchnąłem z ulgą. – Zresztą nie w swaty tu przyszliście do mojej córki, której zresztą nie mam, żeby mi się podobać. Ale wolę, jak sprowadzają mi tu silnych Prusów, a nie słabeuszy.

– Jesteśmy silni – odparłem.

– Zawsze mów tylko za siebie, głupcze – przestrzegł mnie.

Drzwi komnaty otworzyły się. Do środka wszedł niewielkiej postury Prus, znacznie starszy ode mnie. Twarz miał gładką, nieoszepeconą żadną blizną, niebieskie oczy, długie blond włosy zaplecione w warkocz. Nosił się jednak jak rycerz: krótki habit, skórzana kurtka, miecz zawiesił przy pasie.

– Nassencepis, zdradź mi, proszę, jak wyglądają moi goście – Wedeghe zwrócił się do przybyłego, zanim ten cokolwiek powiedział.

– Jak psiogłowcy – warknął zapytany. – Kazałeś ich sobie przyprowadzić, a nie masz tego w zwyczaju, panie. Mogę wiedzieć dlaczego?

– Chciałem wybrać dla siebie sługę, a ten, którego mi podsunąłeś ostatnio, okazał się zbyt...

– Panie, oszczędź szczegółów, proszę. Weź, kogo zapragniesz.

– Więc daj mi tego. – Znów wskazał palcem na najmłodszego.

Nikt nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy płakać. Mina Nassencepisa też niczego nie zdradzała. Pozostała bez wyrazu, gdy pchnął chłopca niemal w objęcia zakonnika. Wedeghe położył mu dłoń na głowie i zmierzwił czuprynę.

Nassencepis kazał wszystkim wychodzić.

Gdy stanęliśmy na dziedzińcu, spytał o najstarszego. Soliba, nie patrząc na mnie, pierwszy wyszedł przed szereg.

– Niech będzie. – Nassencepis spojrział na mnie jakoś

dziwnie. – Będziecie rozbudowywać twierdzę. Od świtu do zmierzchu. W nocy macie śnić o tym, by móc pracować jeszcze więcej. – Uśmiechnął się i zwrócił się do Sambijczyka: – Ty nie musisz robić niczego, prócz pilnowania, czy twoi bracia pracują. Ale gdy nie będę zadowolony z wysiłku, pożałujesz.

Skinęliśmy głowami i posłusznie pozwoliliśmy się zaprowadzić garbusowi z zakonnej służby do ciemnych piwnic. Schody, wąskie wejście, niski sufit, jakieś drzwi, znów schody, tym razem w dół, ciemno, drzwi otwierają się ze zgrzytem, brak światła, wilgotna, przegniła słoma, dwa kroki w przód, dwa kroki w bok i z powrotem.

– Mój nowy dom – zadrwiłem.

Usłyszałem, jak garbus odchodzi, ciężko sapiąc.

Wraz ze mną zamknięto Solibę i jakiegoś wystraszonego chłopaka, który jąkał się, gdy tylko chciał coś powiedzieć, więc kazaliśmy mu się zamknąć. Dzielitem z nim siennik, przez całą noc trącał mnie łokciem. Zresztą i tak chrapanie Sambijczyka nie pozwoliłoby mi zasnąć. Cieszyłem się jednak, że nie nękały mnie szczury, choć słyszałem ich chrobotanie i piski.

Niebieskooki nadzorca przyszedł o świcie, zostawił uchylone drzwi, tak by do piwnicy zajrzało nieco więcej światła z korytarza, gdzie paliło się jakieś łuczywo. Przemknęła mi przez głowę myśl, by błagać go o litość, ale natychmiast zrezygnowałem. Przeraził mnie jego cień, szkliste oczy, ciężkie, pełne udręki westchnienie.

Chwilę po nim wszedł garbus, podsunął nam pod nos miski ze śmierdzącą breją. Odrzuciłem swoją ze wstrętem, postanowiłem pokonać głód.

Nassencepis z złośliwym uśmiechem usiadł przy nas i zaczął mówić. Opowiadał nam o Prusach:

– Pojawiali się kiedyś w Vogelsanck wraz ze świtem. Zanim mijало południe, odchodzili, zostawiając zgliszcza wokół twierdzy. Niszczyli pola, podpalali chaty. – Przerwał na chwilę, by samemu uraczyć się strawą, którą pogardziłem.

Zamieszał palcami w misce i oblizał ze smakiem.

– Teraz wpadają w nasze pułapki – ciągnął – kończą w lochach. Wypatroszeni, oprawieni i osoleni trafiają potem na targ do Gdańska. Rysa zmieniła wszystko.

Przełknąłem ślinę, o mało nie zwymiotowałem, widząc, jak ze smakiem pochłania lepłą breję. Nie wiedziałem, chciał mnie tylko przerazić, czy naprawdę jadł jakąś papkę z ludzkiego mięsa.

Widząc narastający w nas strach, bawił się doskonale. Opowiadał, że mięso zza Wisły, od Sambii aż po Pomezanie, jest lepsze gatunkowo, bo tam ludzie nie zaznali większego głodu, dlatego też sprzedaje się najlepiej. Kupcy przybywają na okoliczne targi z samego Gdańska, z Lubiszewa.

– Czy wiedzą, co kupują? – spytał Soliba.

Tylko on nie wydawał się zląkniony, raczej zainteresowany.

– Ależ skąd. – Uśmiechnął się niebieskooki. – Jedz. –

Przysunął do mnie miskę.

Odepchnąłem ją, tym razem gwałtowniej. Gliniane naczynie poleciało na podłogę. Strawa szybko wsiąkała w polepę.

Niezniechęcony ciągnął:

– Jeszcze ze dwie wiosny temu roiło się tu od wieśniaków. Sprzedawali to, co w lesie zebrali albo złowili w jeziorach. A teraz nic. Cisza. Większość poprzestaje na tym, co im zrodzi ich własna ziemia. Boją się odejść na parę kroków od swojej chaty. – Zamyślił się na chwilę.

– Po co nam o tym wszystkim mówisz? – przerwałem mu. – Co chcecie z nami zrobić? Wypatroszycie, jak innych?

– Nie zabijamy neofitów – odparł stanowczo. – Raczej korzystamy z ich usług.

Potem nagle spojrział na mnie zupełnie inaczej i spytał:

– Słyszysz pieśń?

– Nie chcę, ale słyszę, nawet gdy zatykam uszy. Boję się dnia, gdy ją zrozumiem.

– Dlaczego?

– Nie chcę umrzeć.

Pokręcił głową w zamyśleniu, po czym wstał i krzyknął:

– Dość wypoczynku! Do roboty!

* * *

Otrzymaliśmy kawał placka, jakiś suchar, łopatę i ruszyliśmy w dwóch rzędach – było nas teraz znacznie więcej, dołączyli również ludzie z szałasów: Prusowie, Litwini, Jacwięgowie – najpierw przez wejście od wschodniej strony, potem lekko trawiastym wzgórzem w dół.

Niektórym kazano tutaj kopać doły, przygotowywać zasadzki, moja grupa ruszyła nieco dalej, w stronę kamiennego kościoła. Ściany świątyni, choć poczerniałe, nadal podtrzymywały strop i zadaszenie. W jej pobliżu znajdowało się kilka niewielkich zabudowań, zgliszcza chałup i sadzawka – wodę z niej odprowadzały płytkie kanaliki, niknące w wymarłym sadzie z wyschłą winoroślą. Połamane drzewka naruszały porządek rzeczy – równy układ ścieżek. Tylko diabeł mógł wpaść na taki pomysł, żeby na tej nieprzystępnej ziemi zakładać winnicę.

Zaszliśmy do świątyni. W jej wnętrzu wyczułem zapach spalenizny; wypalone drewno, pieczone mięso. Ruszyłem główną nawą, wzdłuż szeregu poczerniałych ław, by stanąć przy ołtarzu – osmolona kamienna płyta, szczątki połamanego krzyża.

Kazano nam uprzętać resztki gruzu, a potem znosić drewno i kamienie.

I tak minął dzień, dwa, trzy...

Chciałem umrzeć. Skórę z palców miałem niemal zdartą, bolały mnie wszystkie mięśnie. Cieszyłem się, że nie kazano mi pracować na wysokościach. Kilku

więźniów, wchodząc na prowizoryczne rusztowania, straciło życie. Nassencepis karcił Solibę, a ten ponaglał nas w pracy. Zawsze przed zmrokiem przychodził Wedeghe. Zaglądał do kaplicy, by spytać, jak postępują prace. Nasz nadzorca szeptał mu coś wtedy do ucha, a zakonnik pocierał podbródek i kręcił nerwowo głową.

Musieliśmy wykonywać rozkazy karła w mnisim habicie, kręcił się cały czas między nami, poszturchiwał, udzielał wskazówek. Jak ustawić ołtarz albo rzeźbę kolejnego świętego.

I wtedy coś mnie tknęło. Odbudowana kaplica przypominała tę, w której wisiał mój krzyż.

Zakonnicy od Najświętszej Paniienki odtwarzali cysterską Oliwę w najdrobniejszym szczególe: sklepienie, ołtarz, rysę, ławy, rzeźby...

Ale najbardziej przerażili mnie ludzie, których zobaczyłem, jak ciągną szczytem wzgórza w stronę kaplicy, podczas gdy my mijaliśmy ich po skończonej pracy. Ślepcy. Wszyscy.

* * *

Zmierzch powoli napełniał komnatę na najwyższym piętrze w Vogelsanck półmrokiem. Wedeghe mówił niewiele, pozwalając, by bracia zdawali mu relację z placów budowy – jak się okazało, nie tylko kaplicę odtwarzali w każdym szczególe.

Docierały do mnie tylko strzępy rozmowy, bo kazano

mi czekać pod drzwiami.

– ... a fosę trzeba pogłębić, ziemny wał okazał się zbyt niski... – zdawał relację Hinkmar.

Usłyszałem głuchy trzask, pewnie dopitego kubka stawianego z mocą na ławie.

– ... pułapki w promieniu na dzień drogi...

Najważniejszych zakonników w twierdzy zdążyłem już poznać. Wszystkich wskazywał mi Nassencepis przy byle okazji – podczas pracy albo wypoczynku na dziedzińcu.

– Potrzeba nam więcej niewolników. – To Wedeghe.

– Budowa Gdańska wymaga czasu – wtrącił się Hinkmar.

– Zbudowaliśmy podgrodzie. Zbudujemy i cały gród. Wystarczy palisada, którą potem...

– ... nie uchronimy tego przed wścibskimi oczami...

– Z Jeziora Łez wygnano czarownicę, która potrafiła utkać wokół tego siedliska żmij mgłę. Przysłużyłaby się naszej sprawie. – Teraz głos ślepcy stał się donośniejszy. Usłyszałem ciężkie kroki. – Wiem, gdzie znalazła schronienie. Więc czas do Szeolu. Tylko trzeba posłać więcej drużyn, którejs na pewno się powiedzie.

Otworzył drzwi.

Wskazał mi miejsce na ławie przy oknie. Przejechał dłonią po zniszczonym białym płaszczu z czarnym krzyżem, wygładził nierówności, przykrył dłońmi dziurę na brzuchu.

– Wezwałem cię tu, byś potwierdził, czy to prawda, co mówiłeś Nassencepisowi.

Skinąłem głową. Wiedziałem, że pyta o Oliwę. Przerażony tym, co widzę, a jednocześnie zafascynowany, spytałem Nassencepisa, czy wie, co to za kaplica. Przyznał, że nie, więc mu powiedziałem, że taką samą widziałem pod Gdańskiem w Oliwie.

– Potrafiłbyś odtworzyć ją z pamięci? – spytał Hinkmar, podchodząc bliżej.

– W każdym szczególe – przytaknąłem szybko.

– Skąd taka pamięć, Prusie? – zaciekawiał się.

Staął nade mną, chcąc mnie przestrzec, bym nie kłamał.

– Wiele godzin spędziłem przy ołtarzu za karę.

– I znasz każdy szczegół? – Wedeghe chciał się upewnić.

– Raczej tak.

Rycerze spojrzeli po sobie. W końcu i ślepiec podszedł do mnie, odpychając nieco Hinkmara.

– Od jutra będziesz chodził z karłem. Powiesz mu, gdzie popełnia błędy. Nassencepis dopilnuje, aby cię posłuchał.

Wzruszyłem ramionami. Zawsze to lepsze niż robota, którą do tej pory wykonywałem.

* * *

Czasami czułem się jak wprawny cieśla, każąc dostawić ławy, albo jak rzeźbiarz, wskazując niedoskonałości posągów świętych. Karzeł bez mrugnięcia okiem

wprowadzał moje wskazówki w życie: zrób to, tnij tu, ustaw to tam. Neofici wykonywali proste prace, ale w rozrastającym się z każdym dniem klasztorze byli także wolni z Mazowsza, z Kujaw, z odległego Śląska. Pracując, wspominali swoje krainy, tęsknili za rodziną, za domem. Jednak większość nie mogła już wrócić tam, gdzie się urodzili. Złodzieje, mordercy albo po prostu ci słabsi w obliczu władzy świeckiego pana, tutaj, w Vogelsanck, znaleźli schronienie pod płaszczem zakonu, który wybacza śmiertelnym grzechy, a w zamian chce ich talentów.

Kaplica pod moim nadzorem została ukończona w ciągu zaledwie paru dni. Setki rąk do pracy, w dzień i w noc. Ale czy tylko ludzkich, tego nie wiedziałem.

* * *

Wedeghe, choć zadowolony, chciał więcej.

– Teraz zbudujemy dziedziniec, warsztaty, wyznaczymy granicę klasztoru, mój dzielny Prusie. – Śmiał się do mnie.

Pracowaliśmy bez wytchnienia, choć moje obowiązki ograniczały się do wskazywania głównemu architektowi planu opactwa. Z czasem zatęskniłem za ciężką pracą, spacerując w nieskończoność po wysuszonej winnicy i ogrodzie. W tych dniach zaprzyjaźniłem się także z naszym niebieskookim nadzorcą. Gdy wypił nieco, opowiedział nam o sobie. Pochodził z Golina, był neofitą,

poganie, napadając na jego lauks, zabili mu ciężarną żonę. Odtąd wraz z braćmi zaczął się mścić, zrazu na mordercach, potem ich rodzinach, a kiedy jego bracia zginęli, na tych, którzy ich zabili. Banda Nassencepisa z czasem się powiększała, a on mścił się już na wszystkich poganach i kiedy zakonnicy od Najświętszej Paniienki zbudowali twierdzę w Vogelsanck, wszedł z nimi w komitywę. Prowadził krzyżowców w głąb Pomezanii. Napadał na pruskie targi i wioski, przygotowywał zasadzki, brał swoich własnych współplemieńców w niewolę i mordował. Nie miał litości. Wszystko w imię zemsty.

– Jak to jest, tak żyć? – spytałem go kiedyś, gdy siedzieliśmy razem przy ognisku, a Nassencepis z surowego nadzorcy stał się dla mnie niemal jak ojciec.

– A wyobrażasz sobie żyć inaczej, kiedy ktoś odbiera ci to, co masz najcenniejszego?

I wtedy po raz pierwszy pomyślałem o zemście na tych, którzy zabili moją rodzinę. Ale nie tak, jak myśli mały chłopiec, gdy może jedynie napluć wrogowi w twarz z bezsilności, ale jak mężczyzna z toporem w ręku. Chwyciłem mocniej oręż i zacząłem nim wymachiwać, rozłupując w wyobraźni głowy mych wrogów.

– A ty? – spytał mnie.

I wtedy ja opowiedziałem mu o sobie, włącznie z tym, co przeżyłem w Oliwie. Nie przyznałem się jednak, że jestem neofitą tylko z przymusu.

– Jezioro Łez – rzekł tylko.

Nie zrozumiałem.

– Jezioro Łez – powtórzył. – Tam skrywają się wszyscy ci, którzy przeżyli.

– Chciałbyś się tam dostać? – spytałem.

– Tam też – wyznał tajemniczo.

* * *

Któregoś dnia Nassencepis wezwał mnie do kaplicy, kazał stanąć w progu i przyglądać się widowisku rozgrywającemu się w środku.

Hinkmar i jego towarzysz z obnażonymi mieczami przechadzali się środkiem katedry i bocznymi nawami, szli pod ołtarz, wymierzali ciosy niewidzialnym wrogom. Krok w przód, dwa w tył i zamach mieczem. Krok w bok. Ich ruchy nie miały żadnego sensu.

W odległym końcu dostrzegłem ślepego mistrza. Wedeghe poruszał się, jakby tańczył w innym świecie. Jakby przepychał się przez tłum, bo wysuwał łokcie, popychał kogoś, dopiero potem robił zamach mieczem. Przez cały czas instruował pozostałych rycerzy, a oni wysilali się, by im sprostać. Nie nadążali. Wydawało się, że to oni są ślepi, a nie on.

– Co się tu dzieje? – spytałem Nassencepisa.

– Sam chciałem wiedzieć. – Stał jak zauroczony.

Strach mieszał się na jego twarzy z zaciekawieniem.

Zakonnicy przerwali swoje misterium.

Wedeghe skinął na Hinkmara. Grubas podszedł do

niego, wysłuchał cierpliwie jego wskazówek i odszedł pośpiesznie. Nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi.

* * *

Wyszedłem na dziedziniec, orzeźwiająco odczułem chłód nocy. Odkąd Wedeghe przeznaczył mnie do pilnowania robót w kaplicy, nie musiałem – tak jak inni – znosić wszystkich trudów niewoli. Chadzałem samotnie po ogrodzie, wymarłym sadzie, czasami nawet zapuszczałem się nad rzekę.

Zszedłem nad Wisłę. Gdy tak stałem na pomoście, nieraz chciałem uciec, przeprowić się przez wodę i odnaleźć swój lauks. Ale wiedziałem, że nie mogę tego zrobić, dopóki nie odzyskam krzyża. I wtedy tknęła mnie myśl. Zawróciłem do wieży.

Jakiś pachoł zastąpił mi drogę, ale go odepchnąłem. Krzyknął coś za mną, wyciągając nóż, ale wskoczyłem na schody, a gdy sięgnął ostrzem mojej koszuli, odwróciłem się i kopnąłem go w szczękę. Spadł z kilku stopni, podniósł lament, usłyszałem odgłosy kroków na dziedzińcu.

Kilkoma susami dopadłem drzwi do komnaty zakonnika i wdarłem się do środka. Stał przy oknie i patrzył w mrok. Nie odwrócił się nawet, ale spytał – w jego głosie wyczułem zniecierpliwienie i od dawna skrywaną ciekawość:

– Czego chcesz?

Kilku zziajanych pachółków wpadło do komnaty. W rękę trzymali pałki i noże. Przerażenie przed karą, jaką może im wymierzyć ślepiec za wpuszczenie mnie bez pozwolenia, mieszało się z kipiącą złością na mnie.

– Czy pozwoliłem wam tu wejść? – spytał spokojnie Wedeghe.

– Ale, panie, chcieliśmy...

– Wynocha! – zagrzemiał.

Bijąc ukłony, w pokorze wycofali się rakiem.

– Ty widzisz, prawda?

Stanąłem przy nim. Mrok za oknem gęstniał, księżyc odbijał się od tafli rzeki, niewidzialną ręką malował na niej obrazy.

– Kpisz ze mnie, Prusie?

– Byłeś tam, w Oliwie, na gdańskim podgrodziu, może nawet to ty, panie, wyrznąłeś zakonników z Calatrava.

Wedeghe uśmiechnął się, ukazując szereg zębów, ostrych jak kły.

– Wiedziałem, żeś mądry. Ale muszę ci wyznać, że nie we wszystkim masz rację.

Odetchnąłem z ulgą. Przecież nie wiedziałem, czy się przyzna do czegokolwiek. Odwrócił w moją stronę poparzoną twarz.

– Otrzymałem cios żagwią podczas ostatniego mojego ataku na klasztor. Od ciebie. Domyślałeś się naszej obecności.

– Ale ślepotą to nie moja zasługa?

– Nie pochlebiaj sobie. To dar od Patollu i Natrimpe. –

Zastanowił się. – Wielu jest bogów, mój chłopcze, ale Diabeł jest tylko jeden, choć wiele ma imion i sług. – Drżącymi palcami dotknął popalonej twarzy.

Dopiero teraz zrozumiałem, że jest już bardzo stary.

– Kazałem jeździć Hinkmarowi i innym do opactwa, by odnaleźli Prusa, który mi to zrobił, który potrafił dostrzec nasze cienie.

– Chcesz się mścić?

– A skądże znowu. Już dawno mógłbym kazać cię wypatroszyć. Widziałem cię wtedy, wiem także – przeor nam wszystko wyznał – że potrafisz wyczytać w ludzkich oczach śmierć. Gdybym je miał, wiedziałbyś, co mnie zabije, prawda? Mnie niepotrzebne oczy. To mój dar: prawe dla Patollu, lewe dla Natrimpe. – Znow odwrócił głowę. Krzyk jakiegoś nocnego ptaka rozległ się za oknem. – Temu światu dostatecznie długo przypatrywałem się jak zwykły śmiertelnik. Teraz widzę oczami duszy, mogę sięgać tam, gdzie chcę, nie ruszając się z miejsca.

Przechadzając się po komnacie, zaczął rozwodzić się nad swym geniuszem, ciesząc się, że przechytrzy wszystkich – Świętopełka, jego braci, których z nim zwaśnił, że zniszczy biskupa Chrystiana i jego zakon, a calatravensów z Hiszpanii już dopadł na gościńcu.

Nie wszystko mi wyjaśnił, jednak wiele sam zrozumiałem.

Nigdy żaden z pruskich kapłanów nie ośmielił się ofiarować niczego fizycznego, co mogłoby związać z nim

demony na zawsze. A ten szaleniec oddał im oczy. Odtwarzając podgrodzie w Gdańsku, obóz na *via mercatorum*, klasztor w Oliwie... sprawił, że demony mogły sięgnąć wzrokiem – i nie tylko – poza rzekę, gdzie istniał świat, który nie należał do nich. Demony brały i duszę, i ciała zmarłych – Wedeghe zorganizował obławy na lauksy. Strutterzy wyłapywali dziewczęta i chłopców. Najpiękniejsze stały się posługaczkami w Vogelsanck, najsprawniejszym wojownikom wyłupiano oczy, dzięki temu mogli chadzać tam, gdzie poprowadzą ich demony. Reszta dołączała do niewolników. Dzięki nim Wedeghe mógł tworzyć kopie strategicznych punktów w Pomezanii. Siłą ich rąk budował domy i grody. Potem rozpoczynał się taniec ślepców, mordowali i podkładali ogień.

Ślepiec nie wiedział tylko, że demony były kiedyś ludźmi. Tuliszami i braćmi zarazem, obaj urodzili się jako ślepcy. Obaj chcieli przyjąć chrześcijaństwo, kiedy wiele lat temu nasi przodkowie osiedlali się na tej ziemi. Occopirma ukarał ich. W chwili śmierci ich dusze zostały uwięzione w płonących ciałach na stosie ciałopalnym. Odtąd to oni odpowiadali za rozniecony ślepo ogień w lesie, pożary w lauksach. Teraz demony zyskały oczy, mogły widzieć.

Wedeghe przeżegnał się.

– Nie wszystko da się wyjaśnić słowami. Nie ma żadnych prawideł, które przybliżą komukolwiek, jak to wszystko możliwe. Mówią, że świat jest boskim warsztatem. Może demony znalazły w nim lukę.

* * *

– Udowodnij, po której jesteś stronie – rzekł ślepiec i wręczył mi topór.

W cieniu nawy bocznej przyglądały mi się dwie zawieszane w powietrzu postaci, zza ognistego kokonu, każda z nich jednym okiem. Patollu i Natrimpe wyglądały jak ludzkie pochodnie. Ciała miały szerniałe, ale wiedziałem, że mogą przybrać różne formy i rozmiary, w zależności od tego, jak wielki tlił się w nich ogień zrodzony z nienawiści do tego, co ich otacza.

Tuż przy ołtarzu oślepieni młodzieńcy stali ze zwieszonymi głowami. Oddychali, ale przypominali żywe trupy. Widzieli tylko to, co chciały demony. Nie byli tuliszami, więc pewnie trudno im było to wszystko znieść. To tak, jakbym ja wiecznie śnił drogę wszystkich zmarłych.

Odwróciłem się. Miałem wrażenie, że Wedeghe przyglądał mi się, dopóki stał w przejściu, ale potem zwyczajnie odszedł. Mocniej ścisnąłem chłodny trzonek.

Tym razem miało to być coś szczególnego. Nie mieliśmy ograniczyć się do samej kaplicy. Rozbiegliśmy się po dziedzińcu klasztornym, kazano nam profanować świątynię. Na początku wyglądało to na zabawę. Armia ślepców goniąca za przypadkowym łupem – chłopcy przewracali się i kaleczyli.

A potem jakby ogień wypełnił przestrzeń, rozpałił

powietrze. Przez chwilę z trudem się poruszaliśmy – spowolnione kroki, nasze twarze, nawet okrzyki ginęły gdzieś zniekształcone.

Nagle wszystko przyśpieszyło, a ślepcy przestali poruszać się już niezgrabnie.

Ktoś wyskoczył z kaplicy, by z ochotą podłożyć ogień pod chlew i kuźnię, inny wziął zamach toporem – rozpadł się kamienny ołtarz. Niszczyli w szale, niby w tańcu.

A ja stałem ze zwieszonymi rękami.

Jeżeli miałem zabijać, to wyłącznie dla siebie, a nie dlatego, że ktoś mi kazał.

Klasztor z perspektywy najeźdźcy wydawał mi się trochę mniej okazały niż wtedy, gdy zobaczyłem go za pierwszym razem, kiedy przybyłem do opactwa jako niewolnik.

Po chwili ujrzałem nie tylko ściany, ale i cysterskie twarze...

* * *

Nie mogłem znieść widoku pielgrzymów kłębiących się wokół klasztoru i bezlitośnie wyrzynanych.

– Wszyscy grzeszni, wszyscy grzeszni! – majaczył jakiś mnich, którego stratowaliśmy w progu.

Jak fala ślepcy rozplynęli się między zabudowaniami klasztorowymi: kaplicą, dormitorium, infirmerią, chlewem, składami, gołębnikami. Krzyk z kilku gardeł odbił się od sklepienia nieba, przebił mury klasztorne.

Mnisi klękali, bezbronni, zakrywali twarze dłońmi. Zbędny gest rozpacz. Silne uderzenie topora. Krew na skroni.

Wielu zbiegło do ogrodu, do pomieszczeń gospodarczych, zaraz za nimi, jak cienie, pognali z dzikim okrzykiem najeźdźcy.

Miotałem się, jakbym to teraz ja był ślepy, nie wiedząc, co zrobić.

Na dziedzińcu wył opat, widząc śmierć swej świątyni. Chorzy w infirmerii modlili się, niemal wyli, przerażeni odgłosami walki. Nie wiem czemu, ale postanowiłem właśnie tam wejść.

Od razu poznałem Cyryla. Biegał jak taran między łózkami, rozrzucał na boki skóry i pierzyny. Podrywał z łóżek chorych, by się ratowali.

– To ty? – Nie dowierzał, gdy podszedłem bliżej.

Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że ten ślepiec mnie widzi. Dopiero po chwili zrozumiałem, skąd pochodził. Ten jego akcent, ta źle skrywana troska.

Nie zastanawiając się nawet, uderzyłem na oślep pięścią. W twarz, w głowę. Ale niezbyt mocno. Nie zamierzałem go zabić. Byleby upadł i nie wstał, gdy nadejdą inni.

Chorzy próbowali wstać. Ci, którym się to udało, ślizgali się na posadzce. Jęki mieszały się z modlitwą i wzajemnymi oskarżeniami. Nie wiedzieli, dokąd uciekać, tym bardziej że zabrakło Cyryla. Ale kilku głupców wybiegło na zewnątrz, by zaraz zginąć.

– Diabeł – szeptano trwożnie, a ja nie wiedziałem, co czynię.

Ze wstrętem odrzuciłem topór.

Sięgnąłem drzwi i wybiegłem na dziedziniec. Reszta ślepców rozbiegła się po całym klasztorze, jak psy. Wąchali, chłeptali krew, na ślepo trafiali tam, gdzie topór tylko mógł trafić – w głowę, w pierś, w serce...

Krew, krew, krew...

Mnisi, którzy zaczęli uciekać w stronę bramy, nie uszli daleko. Dopadli ich, zanim przekroczyli próg klasztoru.

Zamknąłem za sobą drzwi do infirmerii i powiedziałem dwóm moim współplemieńcom, że tam w środku wszyscy nie żyją.

* * *

Opata wleczono po dziedzińcu i skopano na śmierć. Przeor wisiał już na krzyżu, skleconym z dwóch desek. Nie krzyczał, nie płakał. Śpiewał. W pierwszym odruchu chciałem go ratować, ale powstrzymałem się.

Natrafiłem wzrokiem na oblatów – tych samych, którzy upokarzali mnie nocami. Klęczeli, płacząc, nie mogli nawet spojrzeć w oczy swych oprawców. Widzieli tylko ich złowróżbne cienie odbite na ścianie klasztoru.

Drżałem na całym ciele. Coś ścisnęło mnie w żołądku. W jednej chwili zacząłem myśleć tylko o tym, by zabić. Podszedłem i odebrałem od jednego z moich towarzyszy

pałkę. Przyjrzałem się jej, jakby czas się zatrzymał. Okrągła brązowa gałka naszpikowana cekinami. Ale solidnie wykonana. Taka, która potrafi zadać śmierć.

Uderzyłem raz, potem drugi...

Co powiedziała by teraz Nassencepis, gdyby mnie zobaczył? Czy gdy się mścił, czuł to samo, co teraz ja czułem? Pustkę. Skrzywiłem się. Oblał mnie zimny dreszcz. Nie nasyciłem głodu, wręcz przeciwnie, chciało mi się rzygać.

Otworzyłem oczy.

Rozdział 13

Ludzie są przekonani, że relikwie mają niesamowitą moc.

Niektórzy wierzą, że znajdują się w odpowiednim czasie i miejscu. Że koniec świata jest blisko.

Ale nic nie wiedzą o hierarchii piekielnej, mylą imiona Lucyfera i Szatana, a przecież Szatan to wojownik, jego strategią jest katalog siedmiu grzechów głównych, a jego bronią oręż rycerza, kłamstwo mnicha i uśmiech dziwki. Natomiast Lucyfer to kapłan – ma obszar swych wpływów wyłącznie przed Trybunałem Boskim. Tam będzie prezentował oskarżonych i przedstawiał ich grzechy. W kręgach piekielnych mówią, że ma łatwiejsze zadanie, że zawsze wygrywa, bo Szatan oddaje w jego ręce już dawno straconych w grzechu, którzy dusze zaprzędali diabłu.

A moje imię... Czy ktoś je zapamięta. Zwykły diabeł pośledniego kręgu...

– Oliwa spalona. Konwent wyrżnięty!

Wiele dni spędzonych w grodzie w bezczynności sprawiło, że w pierwszej chwili wiadomość bardziej ucieszyła Florencjusza, niż zasmuciła. I chyba nie tylko jego, bo usłyszał śpiew:

– *Konwent wyrżnięty. Konwent wyrżnięty.*

Czekali na zaproszenie Chrystiana, ale teraz już nie musieli.

Całe rycerstwo, które zdołał zebrać Świętopełk, wyruszyło w stronę Oliwy.

– *Konwent wyrżnięty. Konwent wyrżnięty.*

Florencjusz wysłał Pilgrima z małym skarbem, by pojechał po resztę nowych zakonników do Chocimira.

* * *

Drogą od strony opactwa ciągnęli wystraszeni pielgrzymi z całego Pomorza od Szczecina do Gdańska. Z państwa Piastów, z cesarstwa. Nawet gdyby krzyżowcy umieli do tyłu liczyć, nie byłoby w stanie ogarnąć rachunkiem tych wszystkich siwych albo ogolonych głów, niektóre schylone w pokorze, inne zadarte wysoko, spoglądające z nadzieją na mijających ich rycerzy.

Któryś z nich zastąpił Florencjuszowi drogę i złapał go za nogę, lamentując.

– Konwent wymordowany.

– Prusowie? – spytał rycerz.

– Zapewne, ale nikt ich nie widział! Diabeł. Cienie!

– Cienie?! – Odepchnął go jakby rażony piorunem i kazał reszcie calatravensów jechać dalej nieco szybciej, nawet tratować pielgrzymów. Chciał pierwszy przybyć do klasztoru, przed resztą rycerzy pomorskich, księciem Świętopełkiem i jego braćmi oraz zakonnikami od Najświętszej Marii Panny.

Gdy jeszcze przed zmierzchem stanęli nieopodal Oliwy, jacyś pielgrzymi już na powrót tłoczyli się wokół

klasztoru. Nikt z nich nie odważył się jednak przekroczyć zalanych blaskiem zachodzącego słońca murów, za którymi unosił się dym, zwiastun śmierci.

Cisza przypominała tę, która zapanowała po bitwie pod Las Navas de Tolosa, pomyślał calatravens.

* * *

Przeszli przez wyszczerbioną bramę. Florencjusz czuł, jakby wchodził w paszczę bestii, a potem wprost do jej żołądka. Czerwone ścieżki znaczyły ostatnią mękę pomordowanych mnichów, przypominały żyły potwora, ciągnęły się przez cały dziedziniec, znikwały w infirmerii, sięgały kościoła. Szczątki ludzkie, nieprzeżute resztki mięsa.

Ranen wskazał na mnicha, któremu pozwolono umrzeć jak Chrystusowi.

– To przeor. A ten tu – wskazał na jakąś miazgę – to opat.

– A biskup Chrystian?

– Pewnie w infirmerii. – Przełknął ślinę.

Zniknął na chwilę w jej głębi i zaraz wrócił. Zwymiotował.

– Chyba go tam nie ma.

Sobiesławowic zaczął nawoływać.

– Bracie Chrystianie! Biskupie! – krzyczał.

Wszyscy krzyczeli. Stąpali ostrożnie, mijając zwłoki. Zaglądali w każdy zakamarek świątyni Boga, którą

przejęła w swe władanie śmierć.

W końcu jeden z cudownie ocalałych mnichów zdobył się na odwagę i wyrwał z kościoła. Dostrzegając znaki krzyża na piersi przybyłych krzyżowców i widząc zatroskane gęby pomorskiego rycerstwa, wskazał ukrycie brata Chrystiana.

Biskup przybył do klasztoru kilka dni temu. By ukryć swoją obecność, przedzierał się bocznymi drogami dwukółką. Podczas drogi zachorzał i zległ w łóżu na dobre, a zaraz potem dobry Bóg wystawił go na ciężką próbę, bo ledwie przeżył napaść na Oliwę.

* * *

Gdy przybył Świętopełk wraz z rycerstwem pomorskim i zakonnym, kazał ciurom wysprzątać dziedziniec i zabudowania klasztorne, po czym wystawił strażę wokół opactwa. Przegonił pielgrzymów wystających pod bramą. Podziękował Bogu, że ocalił brata Chrystiana i pozostałych, choć nielicznych, nieszczęśników, zapewnił, że sprawcy poniosą zasłużoną karę i jeszcze przed zmrokiem ruszył w drogę powrotną.

Do wieczora przybyli także inni mnisi – duchacy, benedyktyni ze Świętego Wojciecha, by wspomóc cysterski konwent w potrzebie. Krzatali się już w kościele, kuchni, po ogrodzie.

* * *

W infirmerii rozległy się szepty, przebiegły nad łózkami jak fala, ale strzępy słów dotarły tylko do calatravensa, który szedł w stronę brata Chrystiana. Ktoś go pobłogosławił, jakiś chory przeląkł się jego cienia, krzycząc, że już diabeł idzie po niego. Gdy de Vivar stanął nad łóżem biskupa, Chrystian ruchem ręki odprawił brata Cyryla, który pomimo ślepoty i tego, że też nie wyglądał najlepiej, bo głowę miał stłuczoną, czuwał przy chorym, ocierał ciało, starając się, by gorączka ustąpiła.

– *Ma dar.* – Diabeł zaśmiał się.

Biskup wskazał przybyłemu miejsce przy swoim łóżku.

Miał już ze trzy, może i cztery tuziny lat na karku, ale zachował sylwetkę młodzieńca. I nawet bladość cery i zmęczone oczy nie straciły blasku, nie postarzały go. Choć ledwie mówił, dodawał szczęśliwie ocalonym braciom otuchy. Schowali się w grobie za ołtarzem, miejsca starczyło dla trzech mnichów i jednego z oblatów. Prawie wszyscy zlegli teraz w infirmerii. I tu w powietrzu czuć było zapach krwi.

Cyryl odchrząknął coś niepewnie, odszedł, ale nie za daleko, bacząc, by Chrystianowi niczego nie zabrakło. Wielka troska malowała się na twarzy infirmierza.

Chory wsparł się na łokciu, przysiadłszy na łóżku, by lepiej przyjrzeć się gościowi.

– Nie boisz się? Jesteś rycerzem, wiem, ale czy czasami nie dopada cię lęk? Zbyt wiele trosk jest na mej głowie. – Westchnął ciężko.

– Widziałeś rysę na niebie, biskupie? Mówią, że ty ją widziałeś.

Cysters zmrużył oczy.

– Boję się, że zobaczę ją kiedyś jeszcze raz. Dlatego tu leżę, udając bardziej chorego, niż jestem, niech mi Bóg wybaczy. – Przeżegnał się. – Niech mi Bóg wybaczy.

– Co się tu stało, biskupie?

– Cienie. – Pokręcił w zamyśleniu głową. – Widziałem tylko cienie. Księga Izajasza mówi o nich. Szeol, piekło na ziemi, bracia.

* * *

Chrystian zakazał mnichom opowiadać o ostatniej tragedii, by nie wzbudzać paniki, więc krzyżowcom pozostało tylko czekać, aż on sam przyzna, czy widział w opactwie diabła.

De Vivar niecierpliwie wyczekiwał, aż brat Chrystian wyzdrowieje, przyglądał się, jak jego nowi podopieczni – wraz z tymi, których przyprowadził Pilgrim, zebrało się ponad trzy tuziny – zamiast ćwiczyć, gnuśnieją. Saksończyk rozglądał się za co przystojniejszymi mnichami, Niedźwiedź całe dnie spał, a rudzielec zniknął gdzieś na długie wieczory. Ranen spędzał dnie na modlitwie, ale i pilnował, by oblaci przed posiłkami wyszukiwali dla niego najlepsze kąski. Wielkogłowy Passawczyk za to dużo ćwiczył fechtunek, imponował szybkością i siłą, choć poruszał się niezgrabnie. Pomagał

mnichom – bez wytchnienia rąbał drwa na opał, a gdy wspólnie ze swoim mistrzem wystawali na murach opactwa, wspominał Passawę. Wtedy też de Vivar po raz pierwszy zwątpił, przebiegła mu przez głowę przerażająca myśl, czy diabeł go aby nie oszukał. Spytał giermka, kto tak naprawdę uratował go tam, nad Motławą. Chłopaka aż coś ścisnęło w gardle, gdy prawie ze łzami w oczach zapewnił mistrza o swym oddaniu i prawdomówności. Florencjusz uwierzył mu i przeprosił za swe wątpliwości.

Spoglądali wtedy na *via mercatorum*...

Od świtu do zmierzchu śpieszyli drogą kupcy, tragarze, rycerze, książęcy urzędnicy. Nieomal każdy przystawał, krzyżem i pokłonem pozdrawiając klasztor, niektórzy klękali, by w modlitwie szukać siły do dalszej drogi. Gdy zmrok opadał nad ściśnięte wokół opactwa lasy, trakt pustoszał zupełnie.

Dla niego nie była istotna władza, ale wyłącznie Anna. Nie chciał tymawskiej siedziby dla siebie, tak naprawdę mało go ona obchodziła.

Nad Pomezanią pojawiła się rysa na niebie, jego opętał diabeł, więc jakby mógł nie wierzyć w Sąd Ostateczny i że jego dni na tym padole są policzone.

A on nie chce ich zmarnotrawić w tymawskiej twierdzy. Bo na cóż mu zimne ściany i wąskie okno, przez które tylko czasami wejrzy słońce.

Chciałby spędzić z Anną ostatnie dni, choćby w Szeolu.

Opactwo w kilka dni napęczniało od nowo przybyłych cystersów z Łekna. Wypełnili dzień modlitwą, pracą w

ogrodzie, doglądaniem chorych. Wydawało się, że nikt już nie pamięta niedawnej rzezi.

W końcu i biskup stanął o własnych siłach i pozwolił, by rycerz z Calatrava towarzyszył mu w modlitwach i spacerach, które brat Cyryl nakazał. Florencjusz szybko polubił te spotkania; i w dzień, i w noc, gdy światło księżycy przelewało się przez listowie w ogrodzie niczym przez witraże najpiękniejszej z katedr. Wsłuchiwał się w każde słowo Chrystiana. Jest czas plonów i czas siewów, mawiał opat. Czas Boga i czas Diabła. Dla śmiertelnych ważne jest to, w jakim czasie żyjemy, kogo mamy się obawiać.

Z niecierpliwością rozprawiali wtedy o nadchodzącej wyprawie do Prus.

– Zanim tam pojedziesz, musisz coś zobaczyć. – Pewnego dnia biskup Chrystian złapał go za ramię. – Stań przed świtem w ogrodzie i wyglądaj słońca. Może coś pojmiesz.

* * *

De Vivar stanął w ogrodzie obok drzewa jałowca, kilka kroków od okien dormitorium, gdzie spali braciszkanie. Spoglądał ponad wschodni mur opactwa, mrużył oczy i tkwił tak, czekając, aż słońce podniesie się na trzy palce ponad kamienną krawędź. Dzięki temu wiedział, że zaraz brat Cyryl zawoła na prymę. Ale dziś braciszkanie mieli przebywać o kilka promieni dłużej w swych celach, gdzie

słoma służyła za poślanie, a drewniany kloc leżał pod głową. Śnili koszmary albo niecierpliwie wyczekiwali świtu. Modlili się cicho – Słowo Boże dawało wytchnienie lub zagłuszało grzeszne myśli. Zbawieniem dla wszystkich było wezwanie na poranną modlitwę.

Czy można przebłagać Boga umartwianiem swego ciała w tych trudnych czasach? Zawsze są trudne czasy, uśmiechnął się do siebie.

Usłyszał za sobą odgłos kroków. To brat Cyryl opuścił infirmerię, by zwyczajowo szukać tych, którzy złamali dyscyplinę i łążą po ogrodzie.

– Chciałbym ci coś powiedzieć – szepnął starzec.

Nad jednym z jego zabliźnionych oczodołów tkwiła świeża rana. I prawą dłoń miał całą poharataną.

– Ostroniłem się przed ciosem – wyjaśnił, czując, że rycerz mu się przygląda. – Znałem jednego z Prusów, którzy napadli na nasz klasztor.

– Skąd możesz to wiedzieć? Wszyscy pamiętają tylko cienie. – De Vivar spojrzał na niego. – Widziałeś więcej niż inni?

Cyryl pokręcił nerwowo głową.

– To teraz nieważne. Ten młody Prus widział w oczach niektórych z nas swoje odbicie. Wierzył w przeznaczenie.

– Jak każdy. – Krzyżowiec wzruszył niedbale ramionami.

– On je znał. Widział w ludzkich oczach śmierć, co komu dane. W oczach oblatów, całego konwentu zapewne dostrzegał swoją twarz i może swojej bandy, której wtedy

nie rozpoznawał. Stąd ten jego niepokój. Ale i pewność, że kiedyś stąd odejdzie. – Cyryl jakby się zamyślił. – Wiedział, że tu kiedyś przyjdzie i się zemści.

– A miał powody?

– Każdy je ma. – Cyryl ukrył prawdę.

Rycerz z Calatrava spojrział ponownie na niebo i przyglądał mu się tym razem nie tylko z podziwem, ale i przestraczem. Czuł się tak, jakby pierwszy raz wszedł do katedry. Nawa główna, ołtarz i niedosięgte sklepienie nad głową, a tam...

Coś sobie przypomniał.

Odepchnął starca, rzucił się w stronę kościoła.

Wbiegł bocznym wejściem do zimnego wnętrza, poślizgnął się na zimnej posadzce. Wstał, znowu upadł. Oby Bóg wystawiał go tylko na takie próby: czy przejdzie po gładkiej posadzce wzdłuż filarów, nawą boczną do głównego ołtarza. Zaczął się śmiać. Śmiać sam z siebie. Chrystus wchodził na Golgotę, a on ślizgał się po nierównej co prawda, ale całkiem bezpiecznej kamiennej podłodze. Stał przy ołtarzu. Wystarczyło tylko spojrzeć w górę, na sklepienie, by się upewnić.

Wysoko, nad jego głową, łukowe żebra zamykały się w całość. W szarym kamieniu tkwiła rysa przypominająca włócznię świętego Sebastiana albo Włócznię Przeznaczenia. Wpatrywał się długo, chłonąc każdy szczegół, aż usłyszał za sobą szuranie czyichś sandałów. Nie musiał się odwracać. Poznał Chrystiana po ciężkim oddechu.

– Czy widzisz, biskupie, to, co ja widzę? – spytał.

– Taką samą ujrzałem w Pomezanii.

– A ten krzyż? Mówią, że szepta.

– Drewniany Chrystus spogląda na nas i mówi: upokarzacie mnie swoim wzrokiem. Nie patrzcie. Jestem nagi. Spójrzcie mi w twarz.

Po ciele calatravensa przeszły ciarki. Przypomniał sobie krzyż z komandorii calatravensów. Rozciągnięte na krzyżu ludzkie truchło, wychudzone, upokorzone niegodną śmiercią, miało twarz wojownika. Wryte w ciemnym drewnie oczy – przymrużone, jakby skupione na tych, którzy wieki temu zadali mu gwałt, usta ściśnięte w nienawiści, nie w niemocy, podbródek nie opadał na piersi, głowa była lekko wzniesiona. Twarz wojownika, zrozumiał Florencjusz. Ten bardzo go przypominał.

– Co tu się stało, biskupie? Powiedz mi wreszcie.

* * *

Biskup zaczął szeptać – lęklawie, ale i z jakąś ulgą w głosie, jakby się spowiadał:

– Schowałem się, ale ten jazgot i pisk nie dawał mi spokoju. Gdy wyjrzałem, zobaczyłem przez uchylone drzwi kaplicy, jak mnisi biegają po dziedzińcu, uciekając przed niewidzialnym ostrzem. – Zamyślił się. – Jeden mnich zasłonił się rękami, a potem te ręce mu opadły, czaszka w jednej chwili została zmiażdżona. Na dziedzińcu ktoś albo coś złapało przeora i przybiło go do

krzyża. Potem znów się schowałem, bo na drodze do kaplicy jakaś niewidzialna siła znaczyła swoją drogę trupami. Wyraźnie szedł w moją stronę.

Zamilkł.

– Mów – ponaglił go de Vivar.

– Cienie – wyszeptał biskup. – Widziałem tylko cienie.

* * *

Tyle lat na tym padole. Tyle lat.

Na concilia jego majores zdają Szatanowi raporty z pól bitewnych o ludzkie dusze. Diabły towarzyszą rycerzom oblegającym miasta, kuszą ich sławą i bogactwem. Nie odstępują na krok pielgrzymów w ich wędrówkach, wraz z nimi przekraczają progi świątyni i zamczysk. Sprawiają, że leniwy chłop na czas nie obsiewa pola.

Diabeł kusi ludzi, tak mówią.

Tak tylko mówią...

– Ta wyprawa miała być dla was wielkim przełomem. – Chrystian stał przed wyprężonymi braćmi, Ranenem i Florencjuszem. – Ale teraz! Nie godzi się! Nie z takimi rzezimieszkami. – Chrystian nie ukrywał, że wszystkiego dowiedział się od jednego z mnichów, któremu Pilgrim wszystko wyznał na spowiedzi.

– A tajemnica świętego sakramentu? – oponował książę, ale biskup tylko skarcił go wzrokiem.

– Gwałciciele, mordercy, zwykli szubrawcy! – Zacisnął

pięści.

– Teraz rycerze z Calatrava – zaprzeczył Florencjusz.

– Poślę listy do papieża. Świętopelk odbierze ci Tymawę.

– Tymawa i tak spalona.

Chrystian nie zamierzał dać im błogosławieństwa. Jak mógłby posłać takie diabły na świętą misję. Spojrzał na nich z wyrzutem. Wczesny Kościół nawracał nie mieczem, a słowem. Przecież zabijanie pogan nie przyniesie im zbawienia. Zgodził się na miecz, ale nigdy nie pozwoli, by w jego imieniu dźrzyła go ręka szubrawców.

– Gotfryd miał rację, że nawet dzięki mnie pruska ziemia prędzej spłynie krwią niż wodą święconą.

– Biskupie, na pomorskim gościńcu widziałem, jak Prusowie wyrzynali mych braci z Calatrava. – Florencjusz postanowił nie ustępować.

– Chcesz się mścić?

– Nie. Zrobiłem to, co musiałem.

– Jak to?

– Byli grzeszni, a ja...

Biskup uniósł brew.

– Jestem przeklęty. Słyszę, jak diabeł do mnie szepcze. Nawet teraz.

– *Ty pierdolona zdradziecka świnió!*

Wszyscy zamarli.

– Widzę ludzkie grzechy, twoim jest pycha. Ranen grzeszy choćby *gulą*.

– Nietrudno to zgadnąć. – Chrystian wykpił go, zerkając na tuszę księcia.

– Jestem grzeszny – krzyknął.

– Jak my wszyscy.

– Musisz mi uwierzyć, biskupie. – De Vivar padł na kolana. Nie chciał w tej jednej chwili stracić protekcji biskupa, która dawała mu gwarancję wolnej ręki w Prusach.

– Daj błogosławieństwo moim rycerzom. Ślij listy, jeśli chcesz do Calatrava, ale bacz, że tam, na gościńcu, nie działałem za podszeptem diabła ani wbrew Bogu. Chciałem przeżyć, by móc wypełnić misję.

Tylko szczerłość ze szczyptą kłamstwa mogła przekonać biskupa, którym kierowała pycha. To rozumiem.

– Ci, których wykupiłeś od Chocimira, są zwykłymi rzezimieszkami – powiedział stanowczo biskup.

– Pobłogosław ich, niech spłynie na nich twoja łaska, daj im szansę, by oczyścili się z grzechu. Są karni, będą mi posłuszni.

– To szaleństwo! W Szeolu upomni się o nich diabeł, zaraz po przekroczeniu Wisły.

– Uchronię ich przed tym, bo znam ich grzechy. Będą mi wdzięczni. Zrozum, biskupie. Bez hipokryzji, zło zwalczymy złem.

– Ślę listy! Nie mogę pozwolić sobie na takie ryzyko. Wystawicie mnie na pośmiewisko. Odbiorą mi biskupstwo Prus.

– Daj mi trochę czasu. Jak nie wrócimy do zimy, to ślij

pisma, gdzie chcesz.

Biskup tylko pokręcił głową w zamyśleniu.

* * *

Brat Chrystian przez wiele dni czynił pokutę, modlił się w samotności pod ołtarzem, nieświadomie zerkał na ryse.

Ileż Florencjusz by dał, by modlitwą zdusić zwątpienie. Przecież nienawidził siebie, pozwolił, by Anna odebrała sobie życie, sam do niej dołączyć nie potrafił. Humbert nazwał miłość przekleństwem, a on miał żyć wiecznie. Z rosnącą obawą patrzył na wyjazd do Prus. Nawet diabeł go przestrzegł, że pruscy czarownicy mają tyle władzy, by odebrać mu serce i zabrać duszę ze sobą.

* * *

De Vivar musiał poradzić sobie z Pilgrimem, który nie odstępował go na krok, chcąc się dowiedzieć, kiedy wreszcie wyruszą do Szeolu. Podzielił się z nim swymi obawami, że czekają na błogosławieństwo Chrystiana. Passawczyk przejął się tym tak bardzo, że się wypowiadał. Zaraz potem lekko mu się na duszy i sercu zrobiło – widocznie zdjął z siebie jakiś ciężar – i zaczął rozpowiadać w klasztorze o swych cnotach, naiwnie wierząc, że w ten sposób wpłynie na decyzję biskupa i przysłuży się zakonowi. Efekt był taki, że mnisi zaczęli go unikać i przestali korzystać z jego pomocy, bo stał się

zbyt nachalny.

Po nonie odprowadził swego mistrza i Sobiesławowica pod drzwi kaplicy, gdzie mieli stawić się na wezwanie przed obliczem Chrystiana.

– Oznajmię wam swoją decyzję, ale może masz coś jeszcze do powiedzenia. – Biskup zerknął na Florencjusza.

– Dużo myślałem – ton głosu, jaki przybrał, przypomniawszy mu rozmowy z Anną w Hiszpanii. – To nie przypadek, że w Oliwie tkwi rysa. Bóg was wybrał na obrońców swego ołtarza i poświęconej ziemi.

– Rysa, powiadasz. – Chrystian zaśmiał się gorzko. – Niemy oblata wykuwał ją na mą prośbę. Miał patrzeć w niebo, i każde jej załamanie, każdy szczegół odtworzyć potem na sklepieniu kościoła.

De Vivar oniemiał.

– To jak relikwia – wyjaśnił biskup, widząc pełen wyrzutu wzrok rycerza. – Tylko nieco większa i bardziej tajemnicza. I przyciąga tłumy. A mnie daje lepszą pozycję.

– Jak udało ci się utrzymać w tajemnicy takie fałszerstwo?

– Sprowadziłem tu młodego oblata, miał dar. Jeszcze niedawno był rzeźbiarzem i twierdził, że jego ręką kieruje sam Chrystus. Słuch ponoć stracił już jako bardzo młody chłopiec, potrafił więc mówić, choć raczej bełkotał. Jego dzieła olśniewały, dopóki nie wyrzeźbił Syna Bożego ze sterczącym fallusem. Sam wyjaśniał, że natchnął go

diabeł. Doceniając jego kunszt, pozwolono mi zabrać młodzieńca do klasztoru. Już wtedy wiedziałem, co z nim zrobię. Dlatego też kazałem mu obciąć język, jako karę. – Wstał z klęczek. – W Szeolu poganie zbratali się z diabłem. Diabeł podrywa umarłych z ziemi. Bóg się odwrócił od tego świata. Moją rolą jest pokazywać im krzyż, ale teraz wiem, że nie obejdzie się bez miecza. Z Tymawy zostały zgłiszcza. Przeżyło kilku braci służebnych i kilku pacholków. W Gdańsku tumulty, wyciągnięto z chat ostatnich Żydów. Nawet tych, którzy nie mieli grosza. Strach było patrzeć, jak ich włóczono między uliczkami. Wszyscy skończyli w Motławie.

Chrystian westchnął ciężko, by po chwili ciągnąć dalej swój wywód:

– Zakonnicy od Najświętszej Panienci są wściekli, bo to oni zaczęli polowanie na Żydów, a księżę zagarnia teraz ich majątki. Misja w Prusach kosztuje. Opłacają strutterów, budowa Vogelsanck wymaga sporych nakładów. Mistrz z Jerozolimy nie skąpi grosza, ale Wedeghe chce mu pokazać, że sam sobie dobrze radzi. Bracia Chrystusowi wyrżnięci pod Brodnicą. – Zamyślił się. – Świeć panie nad ich duszami. A wy? – Spojrzał na swego rozmówcę. – Mam zaufać sodomitom i mordercom?

– Sami przedni rycerze. – Florencjusz odchrząknął, spoglądając na Ranena.

Biskup nie dosłyszał, zamyślił się. Kiedy już dowiedzie słuszności swego zamysłu, właśnie w Oliwie kościół

niebiański znajdzie swoje odbicie. To tutaj wierni poprowadzą żarliwy dialog z niebiosami. Zjadą się pielgrzymi z całego świata, by adorować oliwską relikwię, cysterski ołtarz. Przejdą pod portalem, przed ich oczami ukaze się nawa główna, nad nimi trzydziestometrowe sklepienie. W południe słońce wleje się przez ołtarz, zaleje całe wnętrze, oświetli rysę i kapitele. Zgromadzeni doświadczą wielkości i chwały Boga, wzniosą modlitwę, wzniosą pieśń. W Oliwie będzie najpiękniejszy z ołtarzy. Rysa.

– Piastowie ujadają jak psy, kąsają się nawzajem. Za rzadko spoglądają w chmury. Nie znajdziesz w nich ani cienia skruchy. Jest tylko pycha i chęć posiadania. Prędzej też dostrzegą rysę w klasztorze, który im podlega, niż na niebie. – Biskup zaśmiał się. – Dzięki Bogu udało mi się namówić księcia Świętopelka na oddanie wam Tymawy.

Chrystian błagalnie wznosił ręce nad głowę.

– Ale teraz Bóg karze mnie bandą od Chocimira.

Choć z drugiej strony, cysters zastanowił się, krzyż otrzymał miecz, tak jak dusza ciało. Bracia od Najświętszej Marii Panny nazywali siebie jego przyjaciółmi, ale nie zasługiwali na to miano. Braci Chrystusowych Bóg już zaczął rozliczać z grzechów. Rękami pogan pod Brodnicą. A może ten dziwny rycerz z Calatrava, przekonany o swym przekleństwie, jest jego ostatnią szansą. Bóg daje biskupowi szansę, by znowu nieść miecz i krzyż.

– Jeżeli w modlitwie będziecie gorliwi i szczerzy, to

każde amen liczy się jak sto uderzeń mieczy. Zapewne więcej działaćie wtedy w Szeolu. Nie samym mieczem wojujcie – przestrzegł ich.

– Więc się zgadasz, biskupie? – Florencjusz chciał się upewnić.

Chrystian skory był do egzaltacji, wzdychał ciężko, machał chudą ręką przed nosem, jakby chciał odegnąć nieistniejące muchy. Mamrotał coś pod nosem, ale swoich myśli nie zdradził. Znajdował się bowiem w niezwykle trudnym położeniu. Świętopełk już mu nie ufał. Zaczął przychylnie spoglądać na zakon z Jerozolimy. Bracia Chrystusowi po klęsce pod Brodnicą nie stanowili już podpory biskupiej władzy. Konrad Mazowiecki też przejrzał cysterskie plany.

– Święty Augustyn twierdzi, że świat powstał z idei Boga, mamy wolną wolę, ale nasz los jest przesądzony. – Chrystian przeszedł się wzdłuż ołtarza. – Po tym, co czynisz, poznasz, kim jesteś i co ci przeznaczone. Mnie przeznaczone są Prusy! – zagrzemiał, przystanął, jakby chcąc się upewnić, że echo poniesie jego głos spod ołtarza ku sklepieniu kaplicy. – Wolałem czasy, kiedy z biskupem Kietliczem graliśmy w otwarte karty. Nienawidziliśmy się, ale pełni szacunku wobec siebie, ostrzyliśmy miecze. A teraz? Niby jak mój poprzednik Gotfryd zniknął? Że go Prusowie napadli, zgoda. Ale, żeby go zabić mieli? Nigdy w to nie uwierzę.

W pruskiej ziemi bezpieczniejszy był biskup, nawet samotnie wędrujący, bez żadnej ochrony, niż byle rycerz.

Poganie w Pomezanii, Sambii, Galindii nie zabijali mnichów. Nie chcieli kolejnych męczenników. Przepędzali ich tylko jak zwierzęta lub też więzili, czekając na wykup. Tych najbardziej wytrwałych, którzy wystawiali pod bramami ich lauksów, karmili, a potem pod eskortą odprowadzali za Wisłę.

Gotfryd musiał być szaleńcem.

Jak mógł uwierzyć, że ktokolwiek uzna jego godność biskupa, nadaną mu przez Władysława Laskonogiego, który toczył wtedy zażarty spór z Kietliczem. Metropolita gnieźnieński nigdy nie dopuściłby do tego, by znienawidzony książę uszczuplił jego władzę w Prusach. Chrystianowi ten cały spór był na rękę – Gotfryd pochodził z Łekna, a Oliwa tylko czekała na to, by przejąć misję i korzyści z niej płynące. Więc Chrystian z nieukrywaną radością przyjął brak uznania godności samozwańczego biskupa przez papieża i poczekał cierpliwie, aż dobry Bóg kazał Kietliczowi odejść z tego świata, i otrzymał nagrodę – biskupstwo pruskie. Nie chciał jednak podzielić losu Gotfryda. Świat był tak urządzony, że wygrywa silniejszy.

– Co więc zamierzasz, biskupie? – spytał Ranen.

– „Niech występni odejdą do Szeolu”. Więc może w waszym pomyśle jest jakaś metoda. – Spojrzał na nich.

„Do Szeolu strącony twój przepych i dźwięk twoich harf. Florencjusz odpowiedział cytatem z Biblii, ale tylko w myślach.

– Czekam do kolejnej zimy. Gdy spadnie śnieg, wtedy

poślę listy do papieża.

– Więc się zgadzasz, biskupie?

– Tak. Możecie stawić się na wezwanie księcia Świętopełka. Wyrwijcie w Prusach, co moje, i odbudujcie Tymawę.

* * *

Krzyżowcy wraz z biskupem wybiegli na dziedziniec, by spojrzeć w niebo.

Również tam wystąpiły te same zmiany.

A potem zabrzmiała pieśń. Tym razem usłyszeli łoskot, jakby koło wprawiane w ruch zaczęło z wolna toczyć się po bruku, skrzypienie, jakby wóz ugiął się pod dużym ciężarem, sapanie koni. Wszystko okazało się zwodnicze, bo potem doszedł ich świst, długi, przeciągły, który w jednej chwili osłabł, ułożył się w niewyraźną melodię. Zabrakło jednak słów.

– Mówią, że nowe pęknięcie to kolejny wers. Nie możemy czekać, aż sklepienie pęknie, a wszystkim na głowę zawali się niebo. Ruszajcie do Szeolu! – Biskup przyklęknął, rażony siłą deszczu, który rozerwał niebo na strzępy.

– A kto zadba teraz o twoją rysę, biskupie, kiedy niemy oblat nie żyje?

* * *

Florencjusz nie odczuwał potrzeby rozmowy z Bogiem, ale chciał choć zirytować diabła. Poszedł się pomodlić do kaplicy. Przyklęknął pod ołtarzem i zaczął szeptać słowa przypadkowego psalmu.

– *To jest muzyka dla mych uszu.*

Modlił się dalej, zmieniając szept w cichy śpiew. A każdy wers miał swój rytm.

– *A „... kto zna muzykę, zna porządek wszechrzeczy”. Oj, śpiew to język duszy – kpił diabeł. – Łączy nasze dusze z duszami zmarłymi i żywych, „... znosi granice między niebem a ziemią, to przedsmak Jeruzalem”.*

Psalm wypełniał głowę rycerza.

– *Stałem się niemity twemu sercu? Ratowałem cię Z najgorszych opresji, dzięki mnie nie gryziesz piachu. Nie chcesz mnie? – Diabeł udawał, że płacze. – Nie możesz! Nie możesz mnie nie chcieć. Jestem dla ciebie wszystkim. Niemal jak zbawienie. Czuję jak ty, myślę jak ty, widzę jak ty, zrozum. Beze mnie nie istniejesz. Kocham cię.*

Przełknął ślinę.

– *Pamiętaj! – syknął. – Od miłości jest blisko do nienawiści.*

Coś szarpnęło Florencjuszem, jakby obce ciało chciało się wydostać z jego wnętrza.

* * *

De Vivar osuwał się z kolan na ziemię.

– *Panie! – usłyszał za sobą wołanie i czyjeś kroki. – Co*

ci jest?

Pilgrim podtrzymał krzyżowca w samą porę, by delikatnie ułożyć mu głowę na zimnej posadzce.

– Modlitwa tak cię wyczerpała? – Spojrzał na niego z szacunkiem.

Nie wchodź mi w paradę, chłopczyku, barani łbie, spąsowiały fiucie. Bo cię zabiję. Chyba zadrzałem z wściekłości.

Florencjusza przeszły ciarki.

Piękne uczucie. Zazdrość. Chęć mordy.

Rozdział 14

Musiałem wykorzystać szansę, by dostać się do Oliwy raz jeszcze i zabrać krzyż.

Przystanąłem. Zaszyłem się krzakach, czekając, aż kaplicę opuszczą ślepcy, a pacholki, którzy pilnowali wejścia, znudzeni, zasną. Gdy usłyszałem chrapanie, wstałem i ostrożnie minąłem leżących, by wejść do środka świątyni.

Odetchnąłem z ulgą, gdy poczułem obecność demonów. Nadal tam były, świdrowały mnie tymi swoimi rozpalonymi do czerwoności oczyma.

Drżałem ze strachu, ale wyobraziłem sobie, że właśnie zacznę śnić kolejny koszmar, który jednak przecież minie.

Żadnych czarów, żadnych modlitw. Musiałem tylko przestać myśleć o czasie i przestrzeni.

Jestem tuliszem.

Po prostu zamknąłem oczy i ruszyłem w stronę ołtarza.

Tuliszem...

Liczyłem kroki, wyobrażałem sobie mijane filary...

Dwa schody...

* * *

Znów ten sam ogień, to samo ciepłe powietrze.

I ujrzałem wewnątrz.

Rycerz z krzyżem wplecionym w liść na habicie wstał z

klęczek. Musiał podeprzeć się ręką. Nie doznał żadnej ulgi po modlitwie, bo wyraz twarzy zdradzał przygnębienie. Ruszyłem nawą główną w stronę ołtarza. Przestałem zwracać na niego uwagę, przylgnąłem do ściany i wcisnąłem palce, potem stopy w niewielkie otwory. Zacząłem się wspinać do góry, bardzo ostrożnie mierząc kroki. W końcu wyciągnąłem dłoń, by sięgnąć po krzyż. Z trudem zeskoczyłem na posadzkę. Macałem przez chwilę zdobycz, całowałem czule, a potem napotkałem zaciekawiony wzrok rycerza z Calatrava. Dopiero teraz pojąłem, że obaj się widzimy.

* * *

Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę.

– Kim jesteś? – spytał rycerz.

– Zwą mnie Dorge. Jestem wojownikiem i kapłanem – odrzekłem.

– *Zabij go* – usłyszałem nienależący do rycerza głos.

– Nie zdoła – odparłem.

Podszedłem do mężczyzny, przewyższał mnie znacznie, czułem się, jakbym stanął przy ojcu. Musiałem zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Masz w sobie demona.

– Diabła – poprawił mnie. – Mam w sobie diabła.

Przyglądałem mu się bez lęku.

– Znam cię. – Puknąłem go palcem w pierś. Jego dusza, którą diabeł pchał ku zgubie, była uwięziona w ciele. – To

o tobie mówią legendy, że na twoje przybycie powstaną cienie, że zniszczysz nasz świat.

– Jak w Księdze Izajasza – zastanowił się.

– Nie dbam o wasze księgi. Widzicie w rysie nad Pomezanią zapowiedź apokalipsy, a o Jeziorze Łez sądzicie, że tam jest wasze piekło. To demony sieją śmierć i spustoszenie. Pruscy bogowie odchodzą i zabierają swój świat ze sobą. Tylko głupcy wierzą, że uratują go demony. A ty, co myślałeś, ulegając diabłu? – Zmierzyłem wzrokiem rycerza. – Pozwólcie nam choć spokojnie odejść z tego świata.

Krzyżowiec dobył miecza. Przed oczyma miał widok trupów swoich przyjaciół, stanęli przed nim Pedro i don Manrique.

– Zabiłem wielu pogan, zabiję i ciebie.

– Od miecza silniejsza jest magia. Dużo lat upłynęło, zanim zrozumiałem, że to jest mój oręż – wypowiedziałem te słowa ze szczególną mocą, jakbym sam właśnie chciał teraz coś sobie udowodnić, że przejrzałem na oczy. – Jesteś dowodem na to, że nasz świat ostatecznie zginie. Ten wasz Bóg posyła do lauksów hordy rabusiów z krzyżem na habitach i nie cofnie się, żeby szcuć nas przeklętymi przez diabła rycerzami, takimi jak ty. Ale nie jest jeszcze za późno. Mogę ci pomóc. – Wyciągnąłem dłoń w stronę jego piersi. – W twoim świecie nie ma już miejsca dla takiej duszy jak twoja, ale w moim jest.

Przenikałem go wzrokiem, jakbym nie patrzył na niego,

tylko gdzieś w głąb. To było jak wyzwanie.

Zrozumiałem to szybko.

Rycerz poczuł silne uderzenie w piersi, jakby ktoś się szamotał, próbował się wydostać ze środka przez gardło. Duszenie, potem drżenie palców u rąk, wypuścił miecz. Upadł na ziemię i stracił przytomność.

Wślizgiwałem się w ten worek na serce i duszę. Ja między zebrami, ja w każdym mięśniu, ja... Chrystus ponoć rzekł do ludzi, że królestwo boże jest w nich samych. Podbijałem więc jego królestwo. Na razie czułem się jednak jak błotny potwór unurzany w szlamie. Odstoniłem zęby de Vivara w szyderczym uśmiechu.

Wstałem.

– *Nie znam boskich zamiarów. A ty znasz?* – Diabeł nie kpił. Zapytał.

Nie przeląknęłam się tego głosu. Spoglądałam na ciało człowieka, które drżało i ledwo trzymało się na nogach, z ust wydobywała się piana.

– *Mój lauks kiedyś zostanie zastąpiony chrześcijańskim grodem. Te wszystkie blaski i cienie... – Zamyśliłem się. – Krzyżowcy walczący o wiarę, ale i ci, którzy przyjdą wyłącznie po to, by się wzbogacić. Mnisi, ci dobrzy, i ci z fałszywą pokorą. Dobry Bóg, który wynagradza, ale i karze – od tego przecież ma ciebie, nieprawdaż?*

– *Czego chcesz?*

Uśmiechnąłem się tylko.

– *Jesteś Żydem ?*

Zaprzeczyłem.

– *A jednak mnie widzisz – Wiele mam imion, wiele jest moich wyobrażeń wśród prymitywnych ludów. Pochlebiam, że widzisz mnie pod tą cudowną zaiste powłoką zakonnika z Kastylii.*

Podszedłem do rycerza, który nie mógł się bronić. Ledwo stał, położył dłoń na rękojeści miecza.

– *Wywabieś mnie, sprytny Prusie. Czuję się oszukany. Co teraz? Odrąbiesz mi głowę* – Nie kpił, nie śmiał się. Jego głos drżał.

– Nie jesteś jeszcze dość silny, by przejąć całkowitą władzę nad ciałem – powiedziałem spokojnie.

Wyciągnąłem w stronę piersi rycerza dłoń, by zanurzyć wpierw palec, a potem całą dłoń, by wyrwać serce. Musiałem spróbować. Byłem tuliszem, a w środku tego ciała dusza przeżywała mękę.

Do kaplicy wpadli jacyś mnisi i na ślepo zaczęli wywijać ciężkim krzyżem, niczym orężem. Cięli na ślepo, próbowali mnie trafić i przeklinali imię diabła. Usunąłem się, bo w kaplicy zrobiło się niebezpiecznie. Musiałem uciekać. Miałem w końcu to, po co tu przyszedłem. Swoją krzyż.

Chwilę potem oniemiały stanąłem na dziedzińcu Vogel sanek.

* * *

Tam, w klasztorze, wiedziałem, że mogę więcej. To było jak zaświaty. Spróbowałem wyrwać rycerzowi serce.

Nie wiedział o tym, ale od wielu lat był martwy. Od wielu lat. Diabeł trawił jego duszę jak pasożyt, wpływał na to, jak myśli i co robi.

I to przeraziło mnie bardziej niż to, że słyszałem umarłych – jak ich dusze pokutują i płaczą w żabich ciałach, jak zostają przekłęci w robaczywych skorupach. Dusza rycerza została zniewolona, przeklęta, nie miał żadnego wyboru. Świątynia jego ciała została skalana, filary gniją, ołtarz wolnej woli już dawno runął.

* * *

Dwa dni później, wraz z innymi wyróżnionymi Prusami, stałem przed obliczem mistrza Wedeghe w jego wieży w Vogelsanck.

Ślepiec przyglądał się nam zimno, ale bez pogardy. Na dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na mnie, potem wstał od stołu. Przypominał zranione zwierzę – kołysał się, ciężko stawiał kroki. Stanął przy Nassencepisie.

– Oni wszyscy – wskazał ręką na mnie, Solibę i rudego jakałę – znają każdą piędź ziemi, w której kiedyś mieszkali. Pomóż im utrzymać topór w drodze, a oni pomogą nam zebrać potrzebne informacje.

Niebieskooki mężczyzna westchnął ciężko i rzekł:

– Jeszcze dziś przeprawimy się przez Wisłę. Przenocujemy na drugim brzegu i o świcie ruszemy. Panowie pomorscy i zakonnicy rycerze szykują wyprawę do Prus. Potrzebujemy przewodników.

Zakonnik kazał wszystkim wyjść, prócz mnie.

– Wiesz, że szukam Jeziora Łez.

– To tylko legenda. Tylu szaleńców się za nią ugania. –
Miałem nadzieję, że ton mojego głosu zabrzmiał tak,
jakbym był tym wyjątkiem, który nie wierzy w tajemniczą
krajnę.

Chyba jednak nie przekonałem starego zakonnika.

– Zniszczysz ochronę, by demony mogły tam wejść –
rzekł.

Uniosłem pytająco brew.

– Mgłę – dodał. – I nie zapomnij, po której stronie
stanąłeś.

– Czyli Zakonu Najświętszej Marii Panny – z trudem
ukryłem kpinę.

– Po właściwej. Rozumiem twoje wahanie. Ślepcy
opowiadali mi, że długo musieli czekać na tve pierwsze
ofiary. Nie dziwię się twojej postawie. W końcu napadliśmy
cysterski klasztor. Niekiedy jednak potrzebne są ofiary.
Zresztą, tak tylko dla przykładu, Sambowie wyrzynają
Galindów, Pomezanie – Sambów. A przecież wszyscy są
Prusami.

Nawet nie patrzyłem na ślepcę. Miałem wrażenie, że
przygląda mi się badawczo, ale myślami byłem gdzie
indziej. Cieszyłem się, że zostałem ich przewodnikiem. Że
dzięki ich wskazówkom i mojej wiedzy o Pomezanii
odnajdę wreszcie Jezioro Łez. Mocniej ścisnąłem krzyż
pod koszulą i czułem się, jakby darowano mi drugie życie.

Szczałem już niemal jak chrześcijanie. By przeżyć,

musiałem zatoczyć ogromne koło, od Pomezanii do Gdańska, i teraz z powrotem do Prus. Przez cały ten czas miałem wrażenie, że wszystko dzieje się bez mojej woli. Jakby jakaś niewidzialna ręka trzymała mnie z tyłu mocno za kark i popychała do przodu, każąc iść, ale nie tam, gdzie chcę. Teraz myślałem już tylko o uwolnieniu się, byle przejść Wisłę.

– Pamiętaj, jak przekroczycie rzekę, będziecie zdani tylko na siebie. Nie mam aż takiej władzy nad demonami. I omijaj Zantyr – przestrzegł mnie jeszcze kapłan.

Ja jednak wiedziałem, że będę u siebie.

* * *

Na dziedzińcu pachotkowie wręczyli nam worki z prowiantem, dali ciepłe skórzane kurtki, topory. Poczekaliśmy, aż przyjdzie do nas Nassencepis, i znów musieliśmy zejść na przystań. Tam kołysała się lekko na fali łódź.

* * *

Zbudzono mnie kopniakiem o świcie. Nasza dwunastka, tak jak inni, z Nassencepisem i Solibą na czele, ruszyła w las, między ostępy leśne, zagubione ścieżki i bagna. Czekały na nas lauksy i grody obronne.

Jako że urodziłem się w Pomezanii, Sambijczyk z uśmiechem kazał mi iść przodem.

– Dokąd mam prowadzić? – spytałem, gdy po dwóch dniach drogi rozpoznałem swoją okolicę.

– Po lewej stronie mamy Wisłę, więc na północ – nakazał Nassencepis.

– W ten sposób minimy Zantyr – zgodziłem się.

Zwyczajowo w lauksach władzę sprawował naczelny dowódca, powoływany przez wiec tylko na okres wojny. Nassencepis zdradził mi, że kiedyś był takim wodzem. Nigdy nie przegrał – przyznał – i teraz też nie zamierza. Zrozumiałem, że bardzo na mnie liczy.

Wszyscy młodzi, którzy szli ze mną, otrzymali uzbrojenie: kije, pałki, oszczepy, miecze, włócznie, tarcze, hełmy. Wyglądali jak duże jeże, zaśmiałem się pod nosem, ale na ich twarzach malowało się męstwo. Czułem się od nich lepszy, choć niewiele więcej miałem lat na karku i zapewne mniej krwi na rękach. Nie ufałem im. W oczach Nassencepisa dostrzegłem śmierć – twarz Soliby. Za to moje oblicze odbijało się w źrenicach Sambijczyka. Bogowie dbali o mój los.

W oczach pozostałych, a w każdym razie większości, tlił się ogień. Ich ciemne sylwetki rzucały na drogę cienie, odcinały się na tle ściany drzew. Niechętnie wyobraziłem sobie, że wielu z nich zostanie na trakcie, ich trupy przykryje kurz.

Nassencepis miał swoją zemstę, a ja swoją.

Mówił, że zanim umrze, zabije jak najwięcej pogan, którzy zamienili jego życie w pogrzeb.

* * *

Ogniki, które dostrzegłem jako pierwszy, okazały się nie leśnymi demonami – jak przestrzegał Soliba – ale rozpalonymi ogniskami, wokół których zasiadali Prusowie z odległych krain, Litwini, Jaćwięgowie pospołu z rycerzami z Mazowsza, Pomorza, Kujaw, ze strutterami – gwałcicielami, rabusiami, najmłodszymi synami, którzy nigdy nie pogodzili się z losem, jaki wyznaczył im ojciec – wczoraj zakonnikami w śląskich opactwach, pomorskich kościołach, dziś szukający sławy i majątku w Szeolu.

Namioty rozstawiono w nieładzie, szalasy sklecono naprędce, znak, że nie zarządzono dłuższego postoju.

Gdy przechodziliśmy z Nassencepisem między grupą rozbawionych pacholów, zauważyłem, że uśmiechy i poklepywanie się po plecach są nieco na siłę. Wszyscy spoglądali niepewnie na czerwone niebo na horyzoncie, gdzie zachodziło jakby krwią rozmyte czerwieniejące słońce.

Niektórzy chcieli się dowiedzieć czegoś więcej, skąd to przedłużające się oczekiwanie, niechętnie rozstawiali namioty, koniarze w końcu pogonili konie do najbliższej rzeczki.

Powszechnie było już wiadomo, że niepokój wzbudzał spalony Zantyr, brak rycerzy od Najświętszej Marii Panny. I nas to zdziwiło, że Wedeghe jeszcze nie przybył.

Pozwolono nam odpocząć przy jednym z ognisk. Tam

nasłuchałem się opowieści o napaściach pogan na lauksy neofitów, o gwałtach na ciężarnych kobietach, o uśmiercaniu niemowląt, o śmierci, która miała różne oblicze, ale zawsze ten sam kolor krwi. O towarzyszącym jej strachu i krzyku. O Szeolu, w którym świat znika, o tych, którzy z niego nie wrócili – dziesiątki imion, mnóstwo wspomnień, żartów o tych, którzy nigdy nie zasiądą już przy ognisku – i o tych, którzy wracali z szaleństwem w oczach, mocno zaciśniętymi pięściami, przez palce przesypywał im się piasek. Mówili, że to złoto.

Ale byli i tacy, którzy wracali z Szeolu cali i zdrowi. Ufni w opatrność bożą, spoglądali na nas z wyższością i z udawaną troską. Dla nich z chwilą przekroczenia rzeki byliśmy martwi.

Postanowiłem nie zwracać na to uwagi. Leżąc z rękami pod głową, przyglądałem się, jak bledną gwiazdy. Zasnąłem.

* * *

Zbudził mnie krzyk. Była noc, a wydawało się, że cały żar i blask zachodzącego słońca wlał się na polanę.

Rycerze rzucali się na ziemię, turlali, próbując w ten sposób zagasić ogień na sobie. Umierali, spaleni żywcem albo od ran.

Wstałem i rzuciłem się do ucieczki. Wraz ze mną zerwał się Soliba, Nassencepis i kilku jeszcze innych

naszych towarzyszy.

Biegliśmy między rozpalonymi do czerwoności drzewami, płonącymi ludzkimi pochodniami, wydawało się, że nawet z nieba lał się żar.

Nie wszyscy przeżyli.

Rozdział 15

Zeżartyby was wyrzuty sumienia. Łżecie, pożądacie, obżeracie się albo żyjecie w gniewie. A tak – wszystko zwalicie na diabła.

Jesteście pełni zgryzoty: męczy was życie, a wizja śmierci i tego, co po niej, nie pozwala wam swobodnie oddychać. Stąpacie z duszą przy ziemi. Nie mogę tego pojąć. Mając co wspominać i móc o czym marzyć...

Przyznam, że dużo czytałem.

Imponuje mi ludzkie dociekanie, ale wyłącznie jako sposób na życie. Wtedy i król, i biskup jest nagi. Bo jak ktoś twierdzi, że w jednej księdze, albo w jakimkolwiek systemie, znalazł wyjaśnienie zagadki świata, to ja zakrzyknę: Dajcie mi go tu. Bóg właśnie zszedł na ziemię!

Ponoć świat jest w swojej budowie celowy. Wszystko ma w nim swoje miejsce. Święty Bazyli napisał, że to warsztat, gdzie boski rzeźbiarz wystawia swe dzieła, byśmy cieszyli nimi oko. A czy znajdzie się jakiś skrawek ziemi wyłącznie dla mnie? Przecież nawet Augustyn rzekł, że potwory takie jak ja też mają rację bytu. Bo na ich tle błyszczący piękno. Tak bardzo chciałbym znaleźć uzasadnienie tego, że jestem wam potrzebny.

Tak, przyznaję, jestem zapatrzony w siebie.

Florencjusz przystanął na wzgórzu. Pilgrim nie odstępował go na krok. Z daleka wyraźnie na tle nieba

rysowały się kontury klasztoru oliwskiego. Krajobraz szpecił słup dymu, nieco rozmazany przez wiatr.

Czy z jego gardła wydarł się krzyk, kiedy zobaczył tego Prusa? Nie pamiętał. Czuł ból...

– ... *O! gdzieś tu... obolała pierś...*

... jakby ten młody Prus w kaplicy wbił mu całą pięść i po prostu wyrwał z mięsem. Ale oddychał przecież. Płaszcz i koszulę szpeciła dziura. Z odrazą przyjrzał się świeżej bliźnie – a przecież to tylko ślad po dotknięciu palcem.

Nie mógł oswoić się z raną. Czy jest martwy? Wbił sobie nóż w rękę. Krwawiła, ale przy tym nie odczuł bólu. Czy Prus, który skradł krzyż, mówił prawdę, przestrzegając de Vivara, że od dawna jest martwy? Ale wtedy... co z Anną?

Przeląkł się. Czy nie ma już szansy na zbawienie? Diabeł przeklął jego duszę, a ciało wykorzysta, by potem porzucić w ziemi, a teraz przysłuchiwał się jego rozterkom, to pewne, więc de Vivar nie musiał na głos wyrażać swoich myśli, ale rzekł:

– Nie pozostawię po sobie nic. Prócz zgliszczy paru spalonych miast. – Zastanowił się, a widząc, że Pilgrim dziwnie mu się przypatruje, uśmiechnął się, jakby do niego.

– *Kocham cię. Nigdy bym cię nie okłamał.*

Na czystym od chmur jasnyniebieskim sklepieniu świata podrygiwało jakieś ptaszysko. Czarny punkcik raz wznosił się, raz opadał. Florencjusz zazdrościł mu

bliskości rysy, którą zapewne dostrzegał. Czy będąc tam, w górze, można być bliżej Boga? Czy podmuch wiatru to jego szept, a gdy wichura gnie drzewa i wzburza fale, czy wtedy Bóg krzykiem objawia światu swój gniew? Chciałby uczepić się nieboskłonu, ale jak się wznieść? Zresztą o ile łatwiej spaść.

Rzucił kamień, który potoczył się bezszelestnie po stromiźnie wzgórza.

Tyle znaków, rycerz zmrużył oczy od słońca, ale i tyle niepotrzebnych pytań.

Lepiej walczyć i modlić się, nie licząc na nic.

Nasłuchiwał nieba, ale łoskot wozów i pomrukiwania krzyżowców jadących od klasztoru w stronę Szeolu rozproszyły jego myśli na drobne.

* * *

Słońce wkleiło się między chmury. Z lotu ptaka krzyżowcy, którzy wyruszyli z Oliwy, przypominali grubego sznur, który wił się między drzewami.

Ranen wybierał mniej uczęszczane ścieżki, tam gdzie motłoch mógł jedynie zabłądzić, choć tym samym narażali się na spotkanie z włóczącymi się bandami, które nie gardziły ludzkim mięsem.

Ponad trzy tuziny rycerzy, jeden w białym habicie z czerwonym krzyżem i tarczą, reszta z krucyfiksem wplecionym w liść, budziło respekt. Kilka trzeszczących wozów wypełniono suszonym mięsem.

Przez kilka staj jechali wzdłuż rzeki, potem skierowali konie na drogę znaną tylko Ranenowi.

– Widać, że Prusowie tędy chadzali. – Ranen wskazał na wypaloną ziemię, kilka chat. – Tylko oni niszczą wszystko wokoło.

Florencjusz kiwnął niedbale głową. Nagle dopadła go jakaś z dawna skrywana tęsknota. Jakby sam się przestraszył tego, że minęło wiele dni, odkąd nie myślał o Annie. Czuł się, jakby ją tym zdradził.

– ... wiem, że straciłeś kiedyś kobietę. – Zorientował się w pewnej chwili, że ksiązę mówi do niego od dłuższego czasu.

– Wyłącznie fizycznie.

– Co przez to rozumiesz?

– To, że jeżeli coś się kończy, to nie mogło być prawdziwe. A to, co do niej czuję, trwa wiecznie.

– Nie do końca cię rozumiem, ale chyba nie żałuję tego. Ale wiesz co? Wypiję za nią i za ciebie. – Ranen wyciągnął bukłak i pociągnął łyczek. – Skąd u nich takie uwzniośnione miny? – Zaśmiał się, oglądając się na jadących z tyłu towarzyszy. – Do diabła jedziemy, nie do Boga. A ty przestałeś być taki zasępiony? Nie martw się. W kronikach napiszą o tobie, żeś dotarł do Tymawy jako jedyny rycerz z Calatrava.

– Przecież nawet tam nie jedziemy.

– A kto mówił, że w kronikach piszą prawdę? – Sobiesławowic zarechotał.

Podjechał do nich Pilgrim. Czoło miał mokre od potu,

wargi mocno zaciśnięte. Myślał.

– A po czym będę wiedział, że Bóg mi już wybaczył? – spytał szeptem, tak by inni zakonnicy nie dosłyszeli.

– Po liczbie zabitych pogan – wyjaśnił rzeczowo Florencjusz.

– I szukaj znaków – dodał Sobiesławowic.

– Jakich?

– Tego to już nie wiem. – Księżę wzruszył ramionami.

Passawczyk zmarkotniał, dłonią otarł czoło. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale został w tyle i dołączył do reszty.

Florencjusz odwrócił się, by przyjrzeć się rycerzom w źle dopasowanych habitach. Jeszcze niedawno skazani na śmierć na dworze Chocimira, teraz podążali do samego piekła, by Bóg rozsądził, czy ma ich poświęcić, czy rozgrzeszyć. Chyba przejęli się swoją rolą. Byle nie zechcieli uciekać. Jadąc tuż obok siebie, wymieniali się jakimiś uwagami, co pewien czas zerkali w stronę swego mistrza i księcia.

– A ty? – zwrócił się do swego towarzysza. – Boisz się?

– Myślałem, że już tam nie będę musiał wracać. Lepiej nie wchodzić drugi raz do tej samej rzeki. Czasami budzisz się z ulgą, że zły sen już nie wróci, a tu okazuje się że ktoś każe ci go śnić ponownie.

Po chwili za nimi rozległy się krzyki. Rycerze kłócili się o coś zajadle.

– Słuchaj, Pilgrimie – mówił Saksończyk – twoja rola nie polega na tym, żeby mędrkować. Nie chciałbym cię

mieć przy swoim boku, kiedy trzeba będzie wyciągnąć miecz.

– A ja ciebie z tyłu – odciął się Passawczyk. – Mówię tylko, że przed nami boża misja, a większość z was przyłączyła się do niej z tchórzostwa. A to prawie że świętokradztwo.

– Mnie nazywasz tchórzem?! Przyjrzyj się mojej twarzy – wtrącił Niedźwiedź. Cała w bliznach, zdradzała doświadczenie w walce, błysk w oczach – brawurę. – Zresztą idziemy do Szeolu, a to chyba gorsze niż Chocimir.

– Nasz pomorski gospodarz wydawał się wam gorszy od diabła w Szeolu – nie ustępował Pilgrim.

– A co ty wiesz? Może ja naprawdę chcę, by mi Bóg wszystkie winy wybaczył. – Saksończyk przeżegnał się.

– Tak, ale wpierw zdążysz nagrzeszyć, hę? Widziałem, za kim uganiałeś się w Oliwie.

Oburzony mężczyzna chwycił za rękojeść miecza.

– Szkoda chyba rycerza. – Niedźwiedź powstrzymał go.

– Właśnie, szkoda fatygi.

– Mówiłem o tobie, chuderlaku. – Wielki Brandenburczyk uśmiechnął się, a Pilgrim tylko machnął mu w podziękowaniu olbrzymią łapą i podjechał nieco do przodu.

– A tobie co się stało? – zapytał Florencjusz, bo młody wyraźnie spochmurniał.

– Nic, tylko do piekła idziemy, a to nie są anioły.

Książę się zaśmiał.

– To się chyba wszystko zgadza.

* * *

Deszcz bił o ziemię strumieniami. Wezbrana w rzece woda spiętrzyła fale, popychała barki, kogi i promy cumujące przy przystani. Żaden z kupców z Mazowsza, Kujaw czy Pomorza nie miał odwagi, by rozwinąć żagle swej łodzi. Zebrani w tawernie ludzie mówili, że od Gdańska aż do Tczewa pada już od jakiegoś cholernego świętego – nie pamiętali którego – a i tutaj burza nie ustawała od wielu dni.

Nieznaczny ruch widać było tylko na drodze. Rycerze pomorscy nie lubili wody, lepiej smakował im piach i kurz, choćby błoto, niż zdradliwa Wisła. Nie ufali łajbom, woleli, jak ich koń kołysze. Ciągnęli całymi drużynami albo samotnie, ponaglając pacholków, gdy wozy z prowiantem tonęły w błocie.

Ci, którzy postanowili przeczekać wicher, chronili się w portowej tawernie i w grodzie. Wszędzie było pełno zwierząt, rycerzy, giermków, kupców i pielgrzymów, wszystkich czekających, aż Bóg się zlituje albo Szatan ustąpi i odeśle burzę, by można załadować statki towarem albo dalej popłynąć do Szeolu. Zabijali czas, pijąc i badając co chwila niebo, wróżąc z rozmytych chmur, czy niedługo już się przejaśni. Ale nic nie dawało nadziei: ani wzmagający się deszcz, ani błyskawice. Ani groźne fale złojące koryto rzeki.

Florencjusz wraz z Ranenem i Pilgrimem weszli do tawerny w gwar i szum, przysiedli się do najbardziej obleganego stołu. Calatravens rozrzucił po blacie kilka monet. Chytre oczka kupców błysnęły, ale żaden z nich nie przyznał się nawet drgnieniem powiek, że dojrzał, jak błyszczą złoto. Kilku kupców, tych wątlących, odeszło od stołu. De Vivar wymienił uśmiechy z księciem, poczekali, aż gospodarz podejdzie, i zamówili trzy piwa. Grubas uwinął się szybko i postawił pełne kufle na stole.

Tutaj, bliżej Szeolu, ludzie zachowywali się inaczej, ich ruchy były pewne, władcze, a twarze pobladłe, ale z zimna, nie z głodu jak na trakcie. W oczach czaił się nie tylko strach, ale i przekora. Na tej ziemi, niedaleko przepraw przez Wisłę, wystarczył jeden krok, by znaleźć się w innym świecie, w Prusach.

Florencjusz rozejrzał się po sali. Strutterzy, przemytnicy, złodzieje, udający pielgrzymów. Trudnili się niebezpiecznym fachem, więc powinni umierać młodo, ale wokół siebie zauważał prawie same stare gęby. Przy stole siedzieli albo najmężniejsi, którzy czekali tylko, aż minie burza, by pognać do Szeolu – wspomnienie przeżytych przygód na zawsze rozświetlało ich twarze uśmiechem i pewnością siebie – albo ci, którym strach przysądził tyłki do stołka i nie mieli odwagi, by ruszyć dalej. Zdradzały ich markotne, zasepione miny. Ale dojrzał też twarze nienawistne, rzygające tym, co przeżyły. W kuflu szukali szczęścia, trunek palił im trzewia, tylko na chwilę poskramiał ich złość, dawał

nadzieję, że jutro też... będą mogli wypić.

Rozpoznał także wielu starych wyjadaczy, dla których wyprawa do Prus była niczym przejście przez dobrze usypany bród. Stół, piwo, dzban wina – i kolejna podróż do Szeolu. Tylko blizny na ich twarzach mówiły o tym, że wrócili z piekła.

Zauważył, że jeden z gości, ze szramą na twarzy, przyglądał mu się tak samo uważnie. Opatulony w futra, wystrojony w przeróżne drobiazgi na szyi i rękach. Podszedł do stołu krzyżowców i zepchnął z ławy kilku siedzących przy stole.

– Można krzyżowiec czy rozrzutny? – spytał i usiadł bokiem, tak by pozostać twarzą w twarz z nimi. Położył jeden łokieć na stole. – Zwą mnie Szrama. Kaszuba jestem. – Podał dłoń.

Florencjusz siorbnął nosem, ręki nie wyciągnął.

– Tu wszyscy równi. – Kaszub nie ustępował, więc rycerz ugiął się, po chwili uścisnęli sobie dłonie.

– Widzę, książę, że znalazłeś sobie nowe towarzystwo – rzekł przybyły, witając się z Ranenem.

– Znacie się? – De Vivar zerknął na księcia.

– Oj, nie raz handelek się czyniło. Nie raz – wyjaśnił szybko zapytany.

– A więc jesteś kupcem, jak oni. – Florencjusz wskazał na tych, których Szrama pogonił od stołu.

– Jeżeli potrafisz z koziej dupy zrobić trąbkę, panie, to możesz nazwać ich nawet strutterami. To lichwiarze. Na prawy brzeg Wisły nie wyściubią nosa. Kupują tylko to,

co im zwiozają z Szeolu tacy jak ja, a potem drą skórę z ludzi, sprzedając wszystko na targach w Lubiszewie, Gdańsku i Tczewie. A ja lubię i z Prusem pogadać twarzą w twarz, i z księciem.

Kaszub położył dłoń na monetach.

– Więc za co mi płacicie? Pewnie żydowskie. – Zerknął z ukosa na przybyłych.

– Książęce – sprostował Sobiesławowic.

– A to przepraszam. – Spojrzał jeszcze raz na krzyżowca, a potem już bez żadnych oporów zgarnął resztę monet.

– Życzę sobie tego, za co właśnie zapłaciłem. – Florencjusz uśmiechnął się.

Kupiec zastygł na chwilę w oczekiwaniu.

– A za co, jeśli można wiedzieć?

– Za bezpieczną przeprawę za Wisłę.

– Jak się domyślam, nie chodzi tylko o prom, bo to byś miał, panie, za dziesiątą część tego, co mi dałeś.

– Tak, chcemy płynąć w górę rzeki. – Książę skinął głową.

– Do Szeolu?

– Nie twoja zasrana sprawa – burknął Pilgrim.

– Teraz już jego. – Florencjusz pochylił się nad stołem.

– Chcielibyśmy wyruszyć jeszcze dzisiaj. Ponad trzy tuziny chłopa, wozy.

– Więc w tym tkwi haczyk.

– Tkwiał. Właśnie go połknąłeś.

– Panie, za dwa, trzy dni...

- Dzisiaj!
- Ale statki...
- Teraz stać cię na to, by wykupić cały port.
- Ale nie wykupię życia.

De Vivar wysupał jeszcze kilka monet z sakwy i rzucił na stół.

– Błyszczą równie pięknie. – Szrama nie dał się dłużej prosić.

W jednej chwili zgarnął majątek.

Rozejrzał się po gospodarze, ale w żadnej z gęb, które przyglądały się transakcji, nie widział zazdrości, tylko powątpiewanie. Dla nich już był martwy.

Rozbawiło go to, powstrzymał się jednakże od uśmiechu.

Szrama krzyknął na gospodarza, by przyniósł piwa, aby oblać życiowy interes.

– Za krzyżowców – wzniósł toast, upijając mały łyżeczek.
– Wam to dobrze. Zakon Chrystusowy, kiedy tylko chce, zaślania się habitem, a nam – porządnym kupcom, chleb odbiera. Zakazuje handlować z Prusami. Nie ma dla nas litości ani książę Konrad, ani Świętopełk. Gdy nas pomorskie albo kujawskie stróże dopadną, nawet modlitwy nie zezwalają dokończyć, tylko od razu w łeb pałą. No, chyba że braciszkanie z Zantyra. – Lekko uniósł kufel w kolejnym toaście.

– A do jakiego ty się boga teraz modlisz, Szrama? – zakpił Ranen.

– Do tego co zawsze. – Siorbnął. – Zakon Najświętszej

Marii Panny wszelkimi sposobami zabiega, by na stałe osiąść w Szeolu. Konradowi obiecują, że powstrzymają najazdy Prusów, Świętopełkowi dają gwarancję, że wreszcie spokojnie na zachód będzie mógł się oglądać, nie bać się o swoje plecy. Was, Braci Chrystusowych, już prawie nie ma. Odbierają wam źródła potęgi, ledwie żyjecie od Brodnicy. Wasze stróże nieobsadzone albo w zgliszczach. Do Zantyra nikt z Prusów nie zajrzy już na handelek, bo droga niepewna. Ilu was zostało, pół tuzina?

– Siła.

– To może znów nastanie porządek. Zakonnicy od Najświętszej Paniarki karzą tych, którzy w górę rzeki płyną. Vogelsanck! Stamtąd wszystko kontrolują. Jak widać, wielka wyprawa się szykuje. Obiecują złote góry. Strutterów po tawernach nie szukają. Wysługują się tymi neofickimi psojebcami.

Szrama narzekał jeszcze długo na los kupców, jak zwał zwykłych strutterów i rzezimieszków, wzdychał, jęczał, ale z każdym łykiem język mu się bardziej gwał albo drętwiał, więc Florencjusz ukrócił jego męki, poufale klepiąc go po plecach, odstawiając kufel na bok i każąc Ranenowi i Pilrimowi wziąć chwiejącego się na nogach pod ramiona.

– Dasz radę, Szrama?

– Z Bogiem, panowie, albo i bez Boga.

Opuścili tawernę, wlokąc pijanego kupca.

* * *

Gdy zaszli na przystań, wśród grzmotu błyskawic z pomostu na rufie największej łodzi o płaskim dnie, napędzanej kilkoma parami wiosł i żaglem, zeszła wielka postać. Przewoźnik z długimi, splątanymi w grube warkocze włosami, wełnianej koszuli, rozdzieranej przez wiatr, stanął jak wbity w ziemię. Nie ugiął się, nie krył nawet twarzy przed deszczem.

– To mój druh – krzyżąc, wskazał na wpół przytomnego Szramę. – A to moja łajba. – Spojrzał za siebie. – I Szramy – przyznał po chwili, już mniej chętnie.

– A my ją wynajęliśmy. – Księżę pozwolił, by wielkolud odebrał mu Kaszuba.

– Zacnym panom ufam, i chętnie taką kompanię na statek wezmę, bo i samemu Chrystusowi się w ten sposób przysłużę. Ale Szatan chyba pioruny zesłał i wodę na długo w Wiśle zmacił, więc wybaczcie, panowie, cena wzrasta. A tacy dzielni rycerze na pewno sakw pustych nie mają, tylko droczą się z przyzwoitości, obyczaj kupiecki szanując.

– Gadane to ty masz, czy ty czasem śliwek na bazarze w Gdańsku nie sprzedajesz? – zaciekawiał się Ranen.

Właściciel łajby splunął.

– Każdy jest mistrzem w swoim fachu. Ja wiosłem, wy mieczem robicie.

– I krzyżem. – Florencjusz odchrząknął. – A zapłatę przyjąłeś.

– Tego nie wiem. – Potrząsnął Szramą. – Pewnie żeście

go spili i za darmochę obiecał was przewieźć.

– Szkoda, że wcześniej nie wiedzieliśmy, że po kilku kuflach można ubić z nim taki interes.

Szrama ocknął się nieco. Przysłuchiwał się rozmowie od dłuższej chwili, ale dopiero teraz zrozumiał, że mało ma wspólnego z wymianą uprzejmości.

– Ożeż... – Złapał swojego towarzysza za kark. – Zawrzyj gębę, Wilk! On z Mazowsza, wybaczcie. Panowie zapłacili.

– Pewnie zdążyłeś przepić.

– Do końca życia bym nie zdążył. – Nie bacząc na wiatr i deszcz, zaczął wyciągać z sakiewki monety.

Szybko nasiąkała, zrobiła się ciężka. Ale i ciężar monet wyrzuconych na dłoń pyskacza sprawił, że Mazowszaninowi na twarzy rozkwitł błogi uśmiech. Ale tylko na chwilę.

– Jak na mój gust, to żeście, panie, zbyt mało troskliwie te swoje skarby po blacie rozpuścili. – Uśmiechał się nadal, ale chytrze. – Błysk monety oka nie wykołę, ale obyczaj kupiecki...

– Drwiesz! – Tym razem de Vivar nie wytrzymał i złapał go za gardło.

Mazowszanin próbował się wyswobodzić, ale pomimo wielkiej postury, nie sprostał zaprawionemu w walce rycerzowi.

– Panie – Wilk ledwo przełknął ślinę – jak mnie udusicie, to kto was Wisłą sprowadzi?

– Szrama!

– Ale będzie mu smutno.

– Tobie bardziej. Swoje zapłaciłem. Dorzucę, jak mi obiecasz, że rozgonisz burzę jednym pierdnięciem.

Przez chwilę w oczach Mazowszanina rozbłysła jakaś iskierka.

– Dobrze więc – zgodził się nagle. – Pierdzieć nie będę. A twój uścisk na mym gardle to wystarczający argument.

Florencjusz puścił go i delikatnie odepchnął.

– Zapraszam. – Mazowszanin uśmiechnął się szeroko, czarująco, ale chyba tylko do siebie.

Calatravens widział już takie uśmiechy, na twarzach pewnych siebie morderców, którzy właśnie stoją naprzeciw swej ofiary.

Ruszyli w stronę łodzi. Wszystkie przycumowane do pali wbitych w dno rzeki chygotały się na wietrze, który był zapowiedzią nadchodzącej wichury. Dwie były otwarte i bezpokładowe, z poprzeczną ławą do obsługi wiosł i prostokątnym żaglem. Ta, z której zszedł przewoźnik, na tle pozostałych prezentowała się znakomicie. Długa na paręnaście kroków, szeroka przynajmniej na pięć, z żaglem i bocznym sterem. Należała do Szramy, tam też ich zaprosił. Wiking dyrygował resztą zakonników, każąc lokować się im na pozostałych dwóch łodziach. Szybko przeładowywano towar z wozów na łajbę, próbując uspokoić opierające się konie, które wzbraniały się przed opuszczeniem stałego gruntu.

Gdy Florencjusz znalazł się już na pokładzie – śliskim

od deszczu, ale solidnym, bo z dębiny – a załoga szybko uwinęła się z robotą, Mazowszanin wydał dyspozycje, sam wszedł też na statek Szramy. Kilku wioślarzy uczepiło się wiosła, żagla nie rozkładano, bo zbyt duży wiatr wiał, podróżnym kazano rozsiaść się między towarem a burzą.

– Ciasno tu trochę, bo towar miałem zwieźć do Gdańska – Wilk wytłumaczył się nieco.

– Piękna łódź. Nawet w Gdańsku takich nie robią – zauważył Ranen, pakując się obok Florencjusza.

Zaraz za nim wepchnął się Pilgrim.

– Co się dziwisz, panie, że go na nią stać, skoro takie opłaty za przewóz bierze.

Opatulili się mocno derką.

Szrama stanął nad nimi i dumnie oznajmił:

– Ostatniego lata odebrałem ten statek wojownikom z północy.

– Kiedyś nam o tym opowiesz. – Księżę ostentacyjnie ziewnął.

– Więc dokąd, panowie krzyżowcy?

– W górę Wisły, potem Nogatem do Zantyra, tam wysiadziemy.

– Dobrze, ale pozwólcie, panowie, że wpierw się wyrzygam.

* * *

Koryto rzeki przedzielało władztwo Sobiesławowiców i

księcia mazowieckiego od Prusów. Tam, w wyludnionej krainie jezior, mokradeł, nieprzeniknionych puszczy, skrywały się ziemie od Pomezanii nad Wisłą i Nogatem, do Jaćwieży opierającej się o Niemen, Biebrzę i Szeczupe. Biedni chłopci uprawiali tam pole radłem, a bogatsi wspomagali się przy tym koniem, na Pomorze i Mazowsze wysyłali swych najmężniejszych synów, by wracali z łupem – kobietami i dziećmi, mężczyźni zawsze zabijano. To stąd wyprawy Prusów sięgały Kruszwicy, docierały na Pomorze do Gdańska i Oliwy.

Florencjusz obserwował wierzby z rzadka kłaniające im się z brzegu, jaśniejącą na tle ciemnej trawy ścieżkę, wydeptaną przez pielgrzymów, zakonników, kupców i rybaków, ścianę drzew, za którą skrywał się świat Prusów.

Łódź ledwo płynęła, walcząc z nurtem rzeki, załadowana po brzegi. Kupcy, gdy już tego popili i zaprzyjaźnili się nieco z gośćmi, przyznali, że oskubali Jaćwięgów, płynących aż z samej też im obcej Rusi z towarem – tam w zamian za futerka bobrów, kun i wiewiórek, zakupili od Rusinów żyto, tak cenne na Pomorzu, które borykało się z suszą. I teraz ten ładunek zalegał na całej barce.

– Po co ci teraz ten towar, skoroś bogaty? Zrzuć go do Wisły – zaproponował Ranen.

– W Prusach i na Rusi Bóg zsyła śnieg w lecie, a słońce praży w zimie. Kto wie, co jutro będzie cenniejsze, złoto czy żyto? – Kaszub poganiał dwóch innych, którzy

długimi kijami wspomagali sternika. Prądy na rzece znosiły łodzie ku brzegowi. – Toń omijać, grunt czuć, zgrębolałe szmory! Żwawo, żwawiej, mówię.

Nie zważając na połajanki, ostrożnie macali kijami dno, cierpliwie próbowali sprowadzić łódź na odpowiedni prąd.

– Tam niedługo zacznie się granica Szeolu. – Drugi kupiec, Mazowszanin, podśmiechując się z nerwowego kumotra, dolewał podróżnym piwa. Wskazał ręką na ponury, ciemny prawy brzeg Wisły. – Boga już tam nie ma i nigdy nie będzie. Diabeł jeno gościńcem chadza, a w ostępach leśnych nie uświadczysz grubego zwierza, ale diabła. I w tych ich lauksach diabeł rządzi, Prusów za rzekę wysyła po baby, by je chędożyć, i dziatwę, by ich krew spijać.

Zaśmieli się krzyżowcy, wymienili spojrzenia. Obaj już trunkiem nieco stępiłi zmysły. Siedzieli wsparci o burtę. Przeżuwali źle dopieczone mięso.

– Nie wszystko to prawda – rzekł w końcu Ranen, nie chcąc obrazić kupca milczeniem.

– Prawda wszystko, niech Bóg będzie świadkiem. – Mazowszanin spojrział w niebo. – Strutterzy się tam zapuszczają, to i wszystkiego się wywiedzą, opowiadają potem w tawernach co i jak. – Westchnął. – A jakie perły znoszą! Na co im ten cały urobek, wysłużą się panom, Piastom, Sobiesławowicom, zakonnikom, a sami nic z tego nie mają. Grosz marny i poklask hołoty, co to po gospodach tyłki, jak kury na grzędzie, wysadza.

– Dziś lepiej żytem, skórką z bobra handlować niż skarbami z Szeolu – wtrącił Szrama, jednocześnie trzaskając przez łeb młodego chłopaka z załogi, by nie przysłuchiwał się rozmowie, a raczej zajął się robotą na pokładzie. – Jeżeli twoja ręka nie jest pańska ani biskupia, to lepiej na targu ze złotem się nie pokazywać. Bo wiadomo, skąd złoto – z Szeolu! A tam diabeł rządzi. Więc taką rękę lepiej uciąć, a pieniądze zabrać. – Uśmiechnął się ponuro. – Dobrze przynajmniej, że tutaj mają mniejszą władzę nad nami. – Wskazał na Wisłę. – Rzeka rządzi się własnymi prawami.

– No i taki strutter... – Mazowszanin westchnął. – Ten niczego się nie boi.

– To prawda. Na złoto nawet nie spojrzy, a żyje jak pan. Zamek ma piękny, konie, dziewczki na każde zawołanie. Perłami obsypie biskupa, księcia pana, a mnich w klasztorze odkupienie mu jeszcze da. I diabeł worka jego grzechami nie napcha z wdzięczności, że go z Szeolu wyrwał. Z jednej strony taki strutter mógłby być dobry pan, ale on woli przepić grosz, by potem znowu iść w służbę do jakiegoś rycerza, a najlepiej do zakonu Najświętszej Pani. – Wskazał na płynącą za nimi drugą łajbę. – Co to się porobiło, że w świętych zakonach taka banda, za przeproszeniem, miejsce znajdzie.

– Wiele wiecie, zacni panowie. – Florencjusz instynktownie mocniej zaciągnął kaptur na twarz, by ukryć uśmiech.

Spojrzał na Ranena, który zapatrzył się w ciemną,

pomarszczoną toń wody. Przysłuchiwał się rozmowie, ale nie z takim zainteresowaniem jak jeszcze przed chwilą. Wypatrywał czegoś na drugim brzegu rzeki.

Rzeczny prąd powstrzymywał barkę, by rwała szybciej do przodu, a tafla wody stawiała się jeszcze mniej przejrzysta.

– Jacy z nas panowie. – Szrama uśmiechnął się. – Kiedy trzeba, łapię śledzie w morzu, a jak najdzie mnie ochota, aż na Bug się zapuszczę, ba! Jaćwięgom łomot sprawię.

Załoga barki zarechotała, słysząc te słowa, pewnie na myśl o niedawnej przygodzie.

Florencjusz zsunął nieco kaptur z czoła, pytająco uniósł brew.

– Ano było! – Kaszub ucieszył się, że gość wyraźnie domaga się opowieści. – Jesteśmy od wielu tygodni w drodze. Z towarem na wymianę do Tczewa płynęliśmy. Przeprowa to diabelska, w dzień trzeba targować, bo zaraz o zmroku smętki się schodzą jak na komplety i żadne dzwony ich nie odstraszą, nawet te w Lubiszewie, co dwa biją. Żadna świętość nie przegoni. Żaden obrazek święty. Nic lichy nie uszanuje. Niczego się nie boi. – Splunął, a diabeł się uśmiechnął, ale skrycie. – W Tczewie joannici, co to zamiast Prusów gonić, interesy z nimi robią. Wzięli od nas cały towar, z nawiązką zapłacili, bo kazali szybko na wozy pakować i wio... do Szeolu. Jednego z nas podkusiło, by zostać jeszcze przy przeprowie, nieco odpocząć, u kupców z różnych krain zaciągnąć języka.

Popiliśmy, kilku się potopiło, dobra, cóżeśmy na wymianę od joannitów wzięli, potraciliśmy. Biada nam, myślimy, tak bez niczego do domu wracać.

Mazowszanin zaczął się śmiać, a Szrama ciągnął:

– Popłynęliśmy więc w dół rzeki. Od kupców z Mazowsza dowiedzieliśmy się, że Jaćwięgowie płyną z Szeolu albo z Rusi interesy robić. Zasadziliśmy się na nich przy zakolu, łajbę ich obrzuciliśmy z zaskoczenia przygotowanymi wcześniej pniami zawieszonymi na drzewach, załogę wystrzelaliśmy. No, i teraz z towarem, jak piękni panowie, popłyniemy do domów. I sakwa pełna. – Spojrzał na Florencjusza. – Aż trudno uwierzyć, że człowiekowi może się tak poszczęścić. Jak na nieboraka spada siedem nieszczęść, to się Boga pyta, czym zawinił. A jak mu Bóg miód zsyła, to o Bogu zapomina.

De Vivar skinął głową.

– Mądre to słowa.

– Pewnie, że mądre, prosto z kaszubskiego serca.

Piwo polało się do kubków, spłynęło do gardeł.

– Ale jednego diabłu nigdy nie wypomnę. – Kaszub wstał, rozsuptał sznur przy kroczu i przez chwilę starał się podnieść poziom rzeki. – Dobrego piwa!

Nieco chłodniej się zrobiło. Florencjusz opatulił się mocniej skórami, ciesząc się, że Szrama wreszcie odpuścił sobie gadanie i zajął się łajaniem załogi.

Sternik wprowadził łódź w lewe koryto rzeki i z westchnieniem ulgi wszyscy pożegnali zdradliwy nurt

Wisły.

– We nockę przenocujemy w starej osadzie, a z samym świtem powrócimy na Wisłę – wytłumaczył Szrama.

Od północy majaczyły opuszczone grody i stare wały mające chronić mieszkańców przed napaścią, ale nie wylewem rzeki. Przycupnęli w jakimś zakolu, zabezpieczyli łodzie i wyszukali miejsce na nocleg.

Od południa chroniły ich przed wiatrem szczątki palisady, od północnej strony majaczyły jakieś wypalone chaty.

Rozpalili ognisko i udali się na spoczynek. Straże wystawiono nieliczne, Szrama uspokajał, że na tym pustkowiu nawet diabeł nie chadza. Byle dalej od gościńców i traktów, targów i przepraw, bo tam człowiek, a gdzie człowiek, tam i niebezpieczeństwo, kręcił głową.

Calatravens jednak kazał wystawić dodatkowe warty. Nie ufał kaszubskiej załodze.

Nie mogąc zasnąć, spacerował wzdłuż ciemnego koryta rzeki. Słyszał jakieś szepty dochodzące od strony chałup, gdzie ulokowali się Wilk i Szrama. Kłócili się o coś zajadle.

W końcu przysnął.

* * *

Zbudziło ich chłodne, wilgotne powietrze, które sprawiło, że szybko zapomnieli o nadzwyczaj ciepłej nocy. By nie przemarznąć i utrzymać wspomnienie

ciepłych leży, pośpiesznie wyczerpali ostatnie zapasy wszelakiego trunku.

Dopiero gdy wszyscy ugasili pragnienie, naprędce załadowali łodzie i barki i z powrotem skierowali łódź w główny nurt Wisły, modląc się, by tym razem silny prąd nie przeszkodził im szybko płynąć. Tuż za ujściem jakiejś niewielkiej rzeki Bóg zaczął zmieniać pogodę: znad Pomezanii nadciągnął wiatr, a fale coraz mocniej uderzały o poszycie.

Grzmot rozdarł niebo.

Kaszub trzymał mocno ster, załoga zabezpieczała ekwipunek, bo co rusz zrywała się jakaś lina i worki z towarem sunęły po pokładzie. Szrama kłął i złorzeczył Bogu, że go pokarał takimi gamoniami.

Florencjusz musiał trzymać się burty, by nie wpaść do wody.

Kolejny grzmot przeszył niebo.

* * *

Wichura spiętrzyła wodę Wisły, jakby nie płynęli rzeką, tylko morzem; uniosła w górę fale, które zalały pokładowe deski. Siła uderzenia wywróciła jedną z łodzi, ludzie wpadali do rzeki. Pozostałe barki nurt spychał na piastowską stronę.

Wiatr nie tylko piętrzył fale, ale i podsycił na prawym brzegu Wisły dym i ogień. Dotknięte czerwonym językiem drzewa wybuchały, sypiąc płonące pnie w wodę,

prosto na łodzie.

Na jednej z nich, trafionej kilkoma takimi pociskami, wybuchł pożar. Załoga bezskutecznie próbowała go ugasić.

Florencjusz obserwował wszystko z narastającym przerażeniem. Kawał ciężkiego drewna wylądował tuż obok ich łodzi, rozbryzgując wodę. Ciężkie krople uderzyły go w twarz, kawałki drzazg, które spadły na pokład, skrzyły się jak żar z ogniska. Spojrzał na brzeg. Wydało mu się, że widzi dwa ogniste olbrzymy wypluwające czerwone ogniste języki.

– Matko Przenajświętsza! – usłyszał nagle Ranena, który złapał go za ramię. – Spójrz.

Jeden z języków ognia trafił w rzekę. Woda zaczęła się pienić i bulgotać. Ognista lawa ruszyła w stronę płonącej łodzi, by roztopić jej resztki w jednej chwili. A potem, wiedziona niewidzialną siłą, uderzyła prosto w nich.

– Do wody! – krzyknął.

– Nie umiem pływać – zląkł się Niedźwiedź z Brandenburgii, stał na środku pokładu i tylko nerwowo kiwał się na boki.

– Zostańmy na statku. – Pilgrim też nie okazał entuzjazmu do tej niespodziewanej kąpieli.

– Gówno macie pod czerepami! Niedaleko do brzegu.

Florencjusz zdjął, co miał ciężkiego, i wskoczył w ciemny nurt, reszta poszła w jego ślady.

* * *

Nad głową miał jasne niebo i jaskrawą rysę. Deszcz i wichura pozostały już tylko wspomnieniem.

Leżał na piasku i wdychał ciężkie, spalone powietrze z przeciwległego brzegu.

Książę zrobił sobie z niego leże. Odciągnął z szyi potężne ramię grubego mężczyzny, odepchnął śpiącego nieco na bok, a sam wysunął się ostrożnie, by go nie zbudzić.

Rozprostował kości.

Nadpalona łódź osiadła na mulistym dnie. Nigdzie nie było widać załogi. Przepadło kilka tuzinów chłopów – rycerzy, parobków i giermków, a także wozy, konie. Prócz nich tylko Niedźwiedź z Brandenburgii, rudzielec z Alesund i Pilgrim leżeli niedaleko. Reszta zginęła, na kawałku deski podpłynął też niebieskooki Saksończyk. Niestety martwy.

– I tak nie byłoby z niego pożytku. – Pilgrim z trudem wyciągnął trupa na brzeg. – Ciężki jak cholera. Od grzechów pewnie. Nawet w piekle go nie chcieli.

Narzekał, klął, ale wraz z pozostałymi krzyżowcami wykopali sodomicie miejsce wiecznego spoczynku, choć płytkie; wieko ułożyli z kamieni i tego, co wyrzuciła woda.

Nikt długo nie ubolewał nad stratą, wystarczyła cicha modlitwa nad grobem. Zbyt dużo braci zakonnych potopiło się w wodzie, Florencjusza ogarnęło zwątpienie.

– Co to było? – spytał Szramę, który wygrzebał się

spod jakiejś sterty mokrych szmat. Wyglądał, jakby właśnie zbudził się ze snu. Przeklął na głos swój los, ale mocno trzymał sakwę, w której zachował zapłatę za nieudany rejs.

– To umarli, panie, wstają z grobów. Diabeł już swoimi mackami po Wisłę sięga. Trzeba rozejrzeć się za inną robotą – skwitował.

– Głupstwa gadasz – zaprotestował calatravens, próbując dojrzeć cokolwiek wśród zgliszcz na prawym brzegu.

* * *

– Nie pójdę z wami. – Szrama kiwnął im niedbale na pożegnanie ręką i ruszył niepewnie z powrotem na północ, zapewne do najbliższej przystani.

– Jak sobie chcesz. – De Vivar wzruszył ramionami, a potem zwrócił się do księcia: – Daleko do obozowiska krzyżowców?

– Do Zantyra? – Książę nie dosłyszał. – Niedaleko. Tylko jak się przedostaniemy na drugi brzeg rzeki?

Florencjusz wszedł na łódź i zaczął z niej wygrzebywać, co tylko się dało.

– Zrobimy z tego coś, czym się da przepłynąć Wisłę, i dostać się na tamtą stronę – rzekł. – A dalej pójdziemy piechotą.

Pilgrim i Niedźwiedź od razu przystąpili do roboty. Woleli to niż bezczynność. A już najzupełniej nie podobał

się Passawczykowi brak wiary młodego wikinga, który kręcił tylko głową, twierdząc, że to się nie może udać i wrak już nigdzie nie popłynie.

Ale jednak się udało.

Musieli przeczekać tylko noc, w zimnie, bo bali się rozpalać ognia, a o świcie na tratwie, skleconej z pozostałości łodzi, przepłynęli na przeciwległy brzeg, ale wysiedli nieco dalej, tam gdzie ogień nie strawił drzew.

Ranen już się trząsał na myśl, że zbyt dużo będzie musiał tłumaczyć mistrzowi, który od wielu tygodni czekał na nich w stróży, ale pomimo wszystko cieszył się, że zobaczy starego druha. W końcu spędzili ze sobą nad Wisłą wiele zim, a ich konie niejedną gościniec razem zjechały.

* * *

Opuszczona, zdewastowana stróża – drewniana wieża z poszczerbioną palisadą – majaczyła we mgle na skaju bagien.

Pokonali zarośniętą ścieżkę i przekroczyli próg wyłamanej bramy.

Zantyr spalony.

– Spędziłem tu wiele zim. – Sobiesławowic stał jak wryty. Zatraskał się widokiem nadpalonych ścian, zgliszcz chlewa i niewielkiego warsztatu. Nie chciał myśleć, co się stało z giermkami, parobkami i pozostałymi braćmi, którzy pozostali w stróży. Nie mógł sobie

wyobrazić, że ich mistrz nie żyje.

Rycerze przetoczyli wóz pod jedną ze ścian, w której na wysokości głowy dorosłego człowieka znajdowało się wejście, i wdrapali się do środka. Jedno piętro, dwa pomieszczenia. Pusto.

Stróża nad Wisłą, do której zobowiązany został Zakon Braci Chrystusowych nakazem biskupa Chrystiana, letnią porą sprowadzała się do zwyczajowych patroli. Bagna i rzeki stanowiły naturalną zaporę. Prusowie nawet nie próbowali jej złamać. Zimą jednak poganie bez większych przeszkód docierali przez skute lodem rzeki i niegroźne mokradła aż nad Wisłę, próbując przekroczyć ją tam, gdzie nurt był łagodny, a koryto wąskie. Z głębi lasów dochodziły wtedy odgłosy łamanych gałęzi, nawoływania, a nawet śmiech. Albo dziki i nieludzki skowyt. Ranen przyznawał, że nie kwapił się do walki z nimi, wołał zawierać przyjaźnie, by handlować na szlakach i w wymarłych osadach. Teraz jednak nie mogli na to liczyć.

Rozsiedli się przy ścianie, każdy pogrążony we własnych myślach.

W końcu odezwał się wiking.

– Dlaczego nikt jeszcze nie przybył? Nie ma pomorskich rycerzy ani Mazowszan. Powiem prawdę, że na tym odludziu byłbym rad, gdybym zobaczył czarne krzyże na płaszczach. Może lepiej zawrócić? – Spojrzał na de Vivara. – Straciliśmy cały dobytek, przednich rycerzy.

– Poczekamy – odrzekł zagadnięty.

Do zmierzchu milczeli. Zaledwie Niedźwiedź z rudzielcem wymienili jakieś opowieści, Pilgrim zmówił przed snem modlitwę.

* * *

Rycerze chrapali, stękali, księżę mrucał coś przez sen. De Vivar śnił, że Anna niemal płynęła w powietrzu nad zieloną łąką, usianą kwiatami, ledwie dotykając ziemi. Zakręciła się wokół, by zatańczyć. I chwilę potem krajobraz się zmienił: zamiast łąki – śmiertelne bagno. Pleśń wykwitła tam, gdzie jego ukochana postawiła stopy. Z bagnistej czeluści wystrzeliły gałęzie, raniąc ją. Z powstałych ran sączyła się krew.

Zbudził się, zlany potem. I właśnie teraz przypomniał sobie inny sen, który go kiedyś nawiedził: sylwetkę diabła pochylonego w skrytorio, jak spisuje ludzkie grzechy. I jak sięga wzrokiem ponad jego ramię, a tam widzi krwią zapisane jedno imię – Anna.

Ułożył się ponownie na podłodze, ale dopiero po dłuższej chwili zapadł w głęboki sen.

* * *

De Vivar usłyszał przekleństwo, otworzył oczy i zobaczył, jak jego ręce zaciskają się na gardle leżącego giermka, który nawet nie próbował się bronić. A potem plecy Florencjusza przeszył ból – to Ranen przysiadł mu

na plecach.

– Zostaw go! – wrzeszczał książę.

– *Zabiję skurwysyna.* – Calatravens syczał, ale nieswoim głosem.

Pozostali krzyżowcy okładali go coraz mocniej, przerażeni tym, co robi i jak wygląda – martwa maska pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

W końcu odstąpiłem. Wygląda na to, że już wiem, co to zmęczenie.

De Vivar, ciężko dysząc, usiadł na ziemi i przyjrzał się swoim dłoniom.

– Chciałeś go zabić, bydlaku – krzyknął gdzieś przed siebie, a potem poprosił chłopaka o wybaczenie.

– Nie wiem, co ci jest, panie, ale widzę, że chyba już jesteśmy w piekle. – Pilgrim z trudem wciągał powietrze.

Diabeł milczał. Siedział między żebrami, a może, jak twierdził ten młody Prus, w samym sercu i – chyba – przejmował władzę nad jego ciałem.

* * *

Nie chcąc zasnąć, de Vivar objął wartę. Po chwili usłyszał wołanie o pomoc, dobiegające gdzieś z pobliskich szybów, jakby spod ziemi. Zaalarmował po cichu resztę. Zaspani krzyżowcy w pośpiechu szykowali się do drogi – zapinali pasy, sprawdzali miecze. Wszystko jednak robili w nienaturalnym milczeniu, niespokojnie zerkając na de Vivara, który stał w oknie wieży,

wypatrując czegoś.

– Słyszycie?

Pokręcili głowami, nie chcieli napotkać jego wzroku. Nic nie słyszeli.

Tylko Pilgrim przypadł do okna i w pewnym momencie coś zobaczył, bo przyłożył palec do ust w nakazie ciszy.

– Prus jakiś – ocenił po chwili szeptem.

– Jeden? – zdziwił się Ranen.

Passawczyk pokiwał głową.

Niedźwiedź, nie czekając na rozkaz, zaczął powoli schodzić na dół, kiwając się na boki.

– Ty patrz – zasugerował Pilgrimowi Florencjusz. – Zagwiżdż tyle razy, ilu zobaczysz.

Nie dał znać ani razu.

Niedźwiedź samym swym widokiem wystraszył intruza. Krzyżowiec dopadł go w warsztacie, który obcy przeszukiwał, wziął go za kark i wyciągnął na dziedziniec.

– To dzieciak! – zdziwił się Pilgrim.

Florencjusz ukucnął przy chłopcu.

– Gdzie twoi towarzysze?

Kręcenie głową.

– Syci, pewnie gdzieś opijają zwycięstwo. – Krzyżowiec spojrzał na wypalone zgliszcza.

Ranen odepchnął nerwowo calatravensa, sam przypadł do Prusa. Powtórzył pytanie w jego języku.

Mały ośmielił się i zaczął mówić, szybko, nieskładnie, ale po chrześcijańsku, więc nie trzeba było tłumaczyć:

– Panie, wierzę w krzyż, moja rodzina nie żyje...

wszyscy zginęli... Od dwóch dni tu cierpliwie ślęczę w krzakach po tej całej jacie, czekając, że może coś się ostało. Cokolwiek, by choć jeden dzień jak człowiek przeżyć. Zjeść coś. Potem przyszliście wy, czekałem noc, ale tak mi w brzuchu burczało, że postanowiłem zaryzykować...

– O czym ty mi tu gadasz? – Książę zdziwił się.

– Że widział napad, ale nie uczestniczył w nim – wyjaśnił Pilgrim.

Prus zaczął kiwać szybko głową i jakoś przychylniej zerknął na Passawczyka, który kilka zim ledwie był od niego starszy.

– Ja się w waszych sporach nie rozeznaję. Wy macie takie krzyże – zerknął lękliwie na calatravensa, potem na Ranena – a ci, co to ogień podkładali i dokonali mordy, czarne.

Milczeli.

Chłopak wstał i otrzepał się z ziemi.

– Jak mi pozwolicie tu się rozejrzeć, to powiem wam coś jeszcze – zaproponował niepewnie.

– Powiesz, jak ci... – Niedźwiedź już wyciągał w jego stronę ręce, ale wiking z Alesund powstrzymał go szybko.

– Mów.

– Ten, który nimi dowodził, był ślepy.

* * *

Pilgrim znalazł kilka wychudzonych szkap,

spłoszonych zapewne z Zantyra. Ranen nie ukrywał zadowolenia, bo nie uśmiechało mu się noszenie swojej tuszy na własnych nogach, co w dodatku nie było godne rycerza. Ucieszył się też, kiedy rudzielec wraz z Niedźwiedziem przeszukali dokładnie ruiny i znaleźli całkiem sporo prowiantu.

– Na kilka kolejnych wieczerzy wystarczy, nawet jak zostawimy trochę dzieciakowi – uznał de Vivar.

Droga, którą ruszyli, wydeptana przez wiele koni, prowadziła dalej na północ, wzdłuż resztek obwarowań stróży.

Książę tylko kręcił głową, wymieniał po kolei tortury, które wypróbuje na rzezimieszkach z Zakonu Najświętszej Marii Panny.

Wyruszyli pośpiesznie i dotarli na jakąś polanę w samo południe. Słońce stało wysoko, ale to nie od niego bił największy żar.

Stanęli jak wryci, kiedy z za zakrętu wyłonił się jakiś rycerz.

– Tunika na mnie goreje – wycharczał tylko i upadł twarzą do ziemi. Drgał jeszcze w konwulsjach. Ręce miał okaleczone, całe w bąblach, odarte na palcach ze skóry.

Pilgrim skrócił jego męki jednym uderzeniem miecza.

Przerażeni krzyżowcy spoglądali przez chwilę na leżące przed nimi zwłoki.

– Idziemy – ponaglił ich książę. – Obóz jest tam. – Wskazał na ścianę drzew i chwilę później przeklął, gdy prowadząc konia za uzdę, jako pierwszy wszedł w wąską

przesiekę, inni zaraz za nim.

Z obozu zostały tylko zgliszcza, wokół leżały nadpalone i poszarpane ciała. Krzyżowcy musieli przepłynąć się przez Wisłę w Tczewie i dalej szli: w górę rzeki wzdłuż jej prawego brzegu, aż dotarli do Zantyra. Zapewne zaskoczyły ich zgliszcza, więc rozstawili obóz pół dnia drogi na rozległej polanie, nieco dalej od bagien. Wszyscy znaleźli tutaj śmierć. Powykręcane ręce, oszpecone prerażeniem twarze.

– Kto was tak urządził? – Niedźwiedź próbował wypytać jednego z umierających, ale w odpowiedzi usłyszał tylko bełkot.

Stanęli w półkolu. Pilgrim, wiking z Alesund, brodac z Brandenburgii i Ranen – wszyscy w milczeniu spoglądali na swojego mistrza.

– Co teraz? – Florencjusz spytał jakby sam siebie. A po chwili dodał: – Dlaczego mnie to nie dziwi, że nie ma tu trupów z czarnymi krzyżami na piersiach?

– Idziemy dalej? – zastanowił się książę. – Ale dokąd? De Vivar spojrzał gdzieś ponad ich głowami.

– Przed siebie! – ryknął nagle. – Szybko!

Wspiął się na konia, próbując powstrzymać przerażenie.

Spojrzeli za jego wzrokiem.

Za ich plecami świat zmieniał się z każdą chwilą. Jakby ktoś przejechał po lesie rozżarzoną palcem, roztopił drzewa i krzewy, zmienił blask dnia w ciężkie kolory zachodzącego słońca: czerwień i żółć. Żar niby fala

pożerał każdy metr ziemi, zataczał coraz szersze kręgi, pędził ku nim.

Żar.

Wskoczyli na konie i ruszyli w popłochu tam, gdzie rzeczywistość wydawała się jeszcze rozpoznawalna, przez las, przez przesiekę, wąską ścieżką, byle dalej od tego, co chciało ich pochłonąć.

Florencjusz dostrzegł czarne krzyże na habitach, choć przecież to niemożliwe, pomyślał, przecież ten...

Żar.

Żar jak krew.

Rozdział 16

Zdzieraliśmy z siebie popalone ubrania, dwóch Litwinów, którzy zdołali uciec wraz z nami, umarło od poparzeń. Pozostawiliśmy daleko za sobą zlaną ogniem polanę, ale szliśmy dalej. Nikt z nas nie chciał słyszeć krzyku, czuć swędu popalonych ciał. Nassencepis, pomimo utraty prawie całej drużyny, dalej zamierzał iść w głąb Szeolu.

Przy najbliższej okazji postanowiłem się zgubić.

Po drodze przemyślałem wydarzenia ostatniej nocy. W jednym miejscu zebrali się ci, którzy mieli ruszyć na wyprawę do Prus, Wedeghe specjalnie jednak zwlekał z wysłaniem swoich braci zakonnych do obozu. Zamiast tego przygotował pułapkę. Na krzyżowców udających się do Prus miały napaść demony. Patollu i Natrimpe zbudzili cienie. Cienie zmarłych, których dusze widziałem we śnie, jak są więzione w swych martwych ciałach, nieoddanych ziemi ani niespalonych. Demony wyrzną pomorskich rycerzy i zakonników. Tylko jego zakon będzie zdolny stawić czoło Prusom.

Powiedziałem o tym wszystkim Nassencepisowi. Tylko przecząco pokręcił głową, nie chciał tego słuchać. W sumie nie dziwiło mnie to specjalnie. Zawaliłby się cały jego świat, bo przecież w jakiś sposób wierzył ślepcowi. Mnie jakby przestał ufać. Znaczył drogę nacięciami na drzewach, czasami przystawał, by zapamiętać jakieś

szczególne miejsca. Duży kamień na drodze, polanę łysą jak kolano, bez źdźbła trawy, rudą żyłę tętniącą pod ziemią. Wielu miejscom nadawał nazwy: Mała Przystań – to na zakręcie, tam gdzie stały wielkie kamienie w kształcie ławy. Wskazywał drogę i mówił, że to kręta rzeka, a siedzisko – na którym przysiadłem dla wytchnienia – to przystań. Święta Polana – tam rozbiliśmy nawet obozowisko na noc. Drzewa pięły się w górę, otaczając półkolem trzy inne, ich gałęzie rozpięły się, tworząc krzyże. Zapamiętałem jeszcze jedno miejsce, nazwał je Domem.

Moim Domem.

* * *

Rozpadłem się na drobne kawałeczki, widząc, jak czas obszedł się z moim lauksem. Pognite deski palisady, zapadnięty most, dziura zamiast bramy, zgliszcza wypalonych domów.

Rozpadłem się na kawałeczki.

* * *

W pewnym momencie, na jakiejś polanie, natrafiliśmy na porzucony wóz i konia – niewielkiego, o grubych nogach, z długą sierścią. Na początku parskał gniewnie na nasz widok, kręcił się niespokojnie, ale Soliba uspokoił go szeptem. Po kilku chwilach i wóz, i koń nadawały się do

drogi. Postanowiliśmy na zmianę odpoczywać.

Czułem się, jakbym jechał w podróż, która nie miała celu. Gościniec bez końca. W nocy wszyscy drżeli z zimna, musieliśmy opatulić się ciepłymi futrami. Wypatrywałem ptaków, które szybują nad lasami, łąkami, za rzekę, bardzo daleko, aż po horyzont. Czasami przycupną gdzieś na gałęzi, wydają się wtedy samotne, opuszczone, ale przecież tak nie jest, bo wszędzie słychać świergot innych skrzydlatych stworzeń. W każdej chwili mogą dołączyć do tego śpiewu.

Dobrze jest wysunąć rękę przed siebie i być pewnym, że się na kogoś trafi. Poczuć czyjś ciepły dotyk. Zatęskniłem za swoim lauksem, za moją matką, siostrą, za Namedą. Jej wspomnienie, choć ulotne, tkwiło gdzieś w głębi mnie, nie dawało mi spokoju. Wierzyłem, że kiedyś ją zobaczę. Mimowolnie wyciągnąłem rękę przed siebie spod okrycia. Zniknęła w mroku, który ciemnym płaszczem pochłaniał mijane przez nas wzgórza i lasy.

Mocniej okręciłem się futrami.

Postanowiłem zasnąć.

* * *

Przez cały dzień natrafialiśmy na opuszczone lauksy. O zmroku napotkaliśmy trzech Prusów. Neofitów. Jechali na targ. Wymiana towarów odbywała się za sprawą kupców, którzy wędrowali od lauksu do lauksu albo rozstawiali swe towary w miejscach specjalnie do tego

przeznaczonych. W zimie i w lecie, na niewidzialnych ścieżkach, gdzie za dnia budziło się życie. Sklecano stragany, ustawiano wozy ze skórami, żelazem, solą.

Poprowadzili nas jednym ze szlaków, przechwalali się, że tylko im znanym. Dla bezpieczeństwa Nassencepis kazał zabić dwóch z nich, darując życie najślabszemu, temu który chwalił się, że pozna drogę nawet z zamkniętymi oczami, i obiecał, że pozostawi go przy życiu, jeżeli doprowadzi nas do szlaku nad Wisłę.

Po długich dniach i nocach spędzonych w Szeolu niebieskooki wódz zdecydował o powrocie do Vogelsanck.

Przewodnik jednak chyba sam pobłądził, bo trafiliśmy do faktorii wikingów.

* * *

Drużyny jasnowłosych wojowników od wielu lat przenikały pruskie ziemie od Sambii do Pomezanii. Ich łodzie pędziły z nurtem Dźwiny, Wołgi, Dniepru, Wisły, dalej na południe, aż do znanego mi tylko z nazwy Morza Czarnego. Wojownicy i kupcy. Zakładali przy rzekach faktorie, gdzie można było wszystko sprzedać bądź kupić i odpocząć przed dalszą podróżą.

Kilka mocnych chałup, kuźnia, chlew, licha przystań przy rzece, tej nie znałem. Żadna łajba jednak nie cumowała na wodzie.

Weszliśmy do sporego pomieszczenia, które

przypominało pomorską tawernę. W środku zbito z desek kilka ław i stoły. Z progu wejścia, zapewne do niewielkiej spiżarni, uśmiechał się do nas tęgi posiwiasty mężczyzna z włosami splecionymi w warkocze. Przywitał nas imieniem Chrystusa i pozwolił odpocząć przy rybie i kaszy, uraczył nas piwem nalanym do glinianych dzbanków.

Przewodnik, korzystając z okazji, chciał się wymknąć, ale Nassencepis mu na to nie pozwolił. Złapał go za ramię i posadził przy sobie.

– Pójdiesz, kiedy trafimy na szlak. Nad Wisłę.

Skinął tylko głową, ale mocno zmarkotniał.

– Co was sprowadza do mojego królestwa? – spytał gospodarz, gdy już nas obsłużył i nie pytając o zgodę, przysiadł się do stołu.

– Ślepotą – burknął Nassencepis. – W ile dni sięgniemy Wisły?

Siwus zaśmiał się.

– W tyle, ile dobry Bóg wam pozwoli.

– Gadanie – parsknął Soliba.

Wiking przysunął się bliżej.

– Jeżeli dobry Bóg sprowadza mi takich gości, to pewnie nie na darmo.

– To się jeszcze okaże – skwitował nasz wódz.

– Droga przed wami daleka, a nadarza się okazja, by nie wrócić do domu z pustymi rękami.

Nassencepis spojrział na niego niebieskimi oczami. Żadnym grymasem twarzy nie zdradził, że zaintrygowały

go te słowa, ale spytał:

– A czemuż to?

– Weselicho się kroi. Zupelne niedaleko.

– Mamy powinszować młodym?

– Państwo młodzi bogaci. – Wiking uśmiechnął się chytrze. – Może podziela się swym bogactwem, lepiej żeby nie poszło na zmarnowanie, gdy przyjdą krzyżowcy i to wszystko wezmą.

– Więc co radzisz? – Nassencepis zmrużył oczy. – Oczywiście z dobroci serca.

Gospodarz zwawo podsunął mu dzbanek pełen piwa pod nos.

– Opić dobry interes. Powiem wam gdzie, a wy, dobrzy panowie, również z dobroci serca, podzielicie się ze mną łupem.

– Czemu sam nie pójdziesz w gościnę? Nie zaproszono cię?

– Poszedłbym, ale moi bracia nie wrócili jeszcze z Konstantynopola, za mało nas. – Zaśmiał się.

Słyszałem kiedyś nazwę tego miasta, ale moja wyobraźnia nie sięgała tak daleko.

– Ile chłopów będzie sproszonych na wesele? – spytałem.

– Jak popiją – wiking zaśmiał się – to przestanie mieć znaczenie.

Nassencepis spojrział na niego.

– Mów więc, gdzie to jest.

Siwus rozstawił dzbany po stole, tłumacząc, gdzie las, gdzie ścieżka, które bagno ominąć.

– Ale nie martwcie się, poprowadzę was. Nie straciłbym takiej okazji.

– Kiedy idziemy? – spytałem. Byłem niechętny tej napaści, ale z drugiej strony pomyślałem, że łatwiej nadarzy się okazja, by uciec.

– Dzisiaj – padła stanowcza odpowiedź.

* * *

Podeszliśmy lauks o zmroku. Zza palisady dochodziły nas odgłosy biesiady: śmiechy i krzyki.

Kilku biesiadników wyszło na polanę, która stykała się z lasem. Schowaliśmy się w cieniu drzew i gdy mężczyźni podeszli bliżej, wciągnęliśmy ich między krzewy i zarżnęliśmy.

Noc gęstniała, gwiazdy blakły, a my czekaliśmy wytrwale, aż odgłosy zabawy nieco umilkną. Przypomniałem sobie, jak kiedyś napadnięto na mój lauks. Jak bezbronni byliśmy. Teraz ja stawałem się oprawcą, nie ja jednak decydowałem o wszystkim. Rządził nami Nassencepis, a on skorzysta z każdej okazji, byleby się tylko zemścić na poganach. Przez chwilę myślałem nawet o tym, by się skryć w krzakach i przeczekać napad, ale przecież oskarżyliby mnie o tchórzostwo.

Straż zdjęliśmy kilkoma strzałami i wtargnęliśmy po cichu do lauksu.

W głównej siedzibie gospodarza – obszernej chacie –

natrafiliśmy na pijanych, którzy leżeli jak kłody na zimnej polepie. Nie stanowili dla nas żadnego zagrożenia. Wprawnie podcinaliśmy im gardła, niemal po cichu. Ci, którzy zdążyli się zbudzić, zegnali się ze światem charkotem i jękiem.

A potem ją zobaczyłem. Stała w progu. Zastygliśmy z nożami tuż przy szyjach pochrapujących ofiar, spoglądając w jej stronę.

Krzyknęła.

Jej krzyk zbudził pozostałych. Wstali z ledwością, słaniając się na nogach. Sięgnęliśmy po topory i zaczęliśmy ich tłuc, jak wieprze.

Nie minął pacierz, a w chacie czuć było tylko krew.

Gdy ubroczony krwią pogan, przypomniałem sobie o kobiecie, rozejrzałem się po wnętrzu. Zobaczyłem ją, jak klęczy przy zwłokach młodego mężczyzny z rozłupaną głową.

Podszedłem do niej.

Nie mogłem uwierzyć, że to ona.

– Urma? – spytałem.

Spojrzała na mnie bardziej ze zdziwieniem niż z lękiem.

– Siostro! – Chciałem ją przytulić, ale odepchnęła mnie ze wstrętem.

Miałem krew jej bliskich na rękach.

Soliba podszedł do nas i zaczął się śmiać.

– Spotkanie rodzinne? – zakpił.

– Odejdź albo cię zabiję – syknąłem.

Odszedł, wzruszając ramionami, jakby urażony. Słyszałem, jak pod jego komendą inni okradają trupy z pasków, kurtek, kosztowności. Jak sycą się weselnym jadłem i trunkiem.

– Braciszku – usłyszałem.

Zaskoczenie na twarzy Urmy zastąpiło niedowierzenie.

Pozwoliła, bym wziął ją pod ramię i wyprowadził z chaty. Wyszliśmy z lauksu. Nie chciałem, by naszą rozmowę zakłócił tryumfalny śmiech mojej bandy. Usiedliśmy na polanie.

Księżyc. Noc. Ciemne chmury.

– Dlaczego? – spytała.

Po jej policzkach płynęły łzy.

Nie chciałem mówić jej prawdy.

– Wtedy, w dzień napadu na nasz lauks, widziałem ciebie z twym kochankiem. To jego zabiliśmy teraz, prawda? Dlaczego nas zdradziłaś? – spytałem.

Pokręciła głową z niedowierzaniem, łkała, w końcu skryła twarz w dłoniach.

– Dlaczego? – szeptała, nie mogąc chyba uwierzyć w to, co się stało. – Dlaczego?

– Moi druhowie chcieli łupów. – To wszystko, na co mnie było stać. Nie musiałem się przed nią tłumaczyć.

– Nie pytam się, dlaczego zginęli. Śmierć była dla nas nieuchronna. Chcę wiedzieć, jak to możliwe, że właśnie ty tu jesteś. – Wciąż nie patrzyła na mnie.

Wzruszyłem ramionami.

Tak bardzo przypominała mi matkę. Jasne włosy,

prosty nos, uniesione ku górze brwi i ten łagodny wyraz twarzy, taki dobrotliwy. I te łzy. Pamiętałem je. Matka zawsze płakała, gdy ojciec odchodził i wracał z wyprawy. Łzy szczęścia i łzy żalu zawsze wyglądają tak samo.

– Jak cię wtedy ujrzałem, gdy wtulasz się w swego kochanka, życzyłem ci śmierci – wyznałem.

– Teraz wołałabym, żebyś ty też nie przeżył. Tam była moja rodzina, nawet nie wiesz, jakie to straszne, kiedy mordercą okazuje się ktoś bliski.

Spojrzała na mnie.

– Tam zginął mój mąż.

– Może to kara za to, że wtedy zostawiłaś nas w lauksie i tak po prostu uciekłaś. W niczym nie jesteś ode mnie lepsza.

A potem nagle westchnęła głęboko, kładąc mi dłoń na plecach.

– Umieram – wyznała.

– Jakże to?

– Przyszedłeś na pogrzeb, nie na wesele. Matka od wielu lat rozumiała pieśń. Kiedyś zdradziła mi jej znaczenie. Nie chciałam jej uwierzyć, bo wołałam dalej żyć, a nie umierać wraz z nią i z tym jej pogańskim światem. Dlatego też zgodziłam się przyjąć chrzest i być razem z moim kochankiem, teraz mężem. Wiedzieliśmy, że tej nocy ktoś do nas przyjdzie, by nas zabić. Wielu z nas znało pieśń, nikt jednak nie miał odwagi, by uciec. Starszyzna podjęła decyzję, byśmy wszyscy odeszli razem, jak wojownicy. W walce. Wiking wywiązał się ze

swojej umowy, pewnie teraz we wskazanym miejscu odkopuje należną mu zapłatę.

– Więc wiedział.

– Tak. Ale nie przewidziałam jednego, że ty tu przyjdiesz. – Spojrzała na mnie jakoś inaczej. – Przypominasz mi matkę – szepnęła.

– Jest zaklęta w drzewie – rzekłem. – Mam kawałek przy sobie.

Złękła się, jakbym jej niespodziewanie dotknął.

– Co ty mówisz? – nie dowierzała. – Pokaż mi ją. – Szarpnęła mnie za koszulę i wyciągnęła krzyż.

Rozpląkała się, widząc, jak bardzo drewno jest kruche i połamane.

– Nasza matka nigdy nie zazna spokoju w krzyżu.

– Nie mogłem przecież zostawić drzewa, by szczełło spalone. A gdybym nie wyrzeźbił z niego krzyża, gdy mnie pojmano, zabiliby mnie. Co stałoby się z duszą naszej matki? Muszę zadbać, by drzewo odrosło w świętym gaju.

Wstała, otrzepała spódnicę z trawy i błota.

– Zrób tak, by jej dusza mogła w spokoju oczekiwać nadejścia dnia ostatniego.

– W Jeziorze Łez – szepnąłem.

– Tak, właśnie tam. Zrozumiała pieśń i chciała umrzeć, by odejść z tego świata, tak jak nakazuje nam wiara przodków.

– Dlaczego jej nie słyszałem?

– Ty niczego nie rozumiesz, prawda? Nasz ojciec

zapewne był tchórzem, dlatego jego pieśni nie słyhać. Nie siedzi wraz z innymi przy bramie, nie oczekuje nas.

– Nie wierzę! Ma granitowy pomnik, jest bohaterem! Jak nasi dziadowie!

– Pewnie i oni błakają się jeszcze po świecie w ciałach zwierząt albo śpią w drzewach. Jak wielu Prusów, czekając, aż ktoś ich przywoła.

Zaczęła iść w stronę ciemnego lasu.

– Powiedz mi o ojcu! Gdzie idziesz?

– Umrzeć. Mam nadzieję, że pieśń mnie przywoła, kiedy moja dusza będzie ćwierkać jak ptak albo rechotać jak żaba.

– Nie pozwolę ci na to.

– To musisz mnie zwięzać.

– Zrobię to. – Wstałem i rzuciłem się na nią, ale mi umknęła.

Przewróciłem się, a ona zniknęła między drzewami. Wstałem i rozejrzałem się dookoła, ale w ciemnościach nic nie mogłem dojrzeć. To, co mnie najbardziej przeraziło, to cisza. Przecież nie mogła odebrać sobie życia tak szybko.

Ruszyłem po omacku przed siebie.

Chwilę później potknąłem się o jej ciało.

Zrozumiałem, że w głębi duszy nigdy nie życzyłem jej śmierci, nawet wtedy gdy zdradziła nas z neofitą.

* * *

Przykryłem moją siostrę gałęziami. Uroniłem kilka łez, choć były niepotrzebne. Nie paliły mi skóry, nie darły jej, zbyt szybko wyschły.

Wróciłem do lauksu.

Płonał.

Przed bramą stał Soliba z kilkoma neofitami i wiking.

– Gdzie nasz wódz? – spytałem.

– Tam. – Sambijczyk wskazał na zgliszcza jednej z chat.

– A to, skąd to masz? – Zerknąłem na miecz, który trzymał w dłoni. – Należy do niego.

– Należał.

Właściwie powinienem być zadowolony. Nassencepis nigdy nie pozwoliłby mi uciec. Zdążyłem go zresztą polubić i z trudem – jeżelibym musiał – odebrałbym mu życie. Nad złupioną przez nas osadą wzniósł się ptak. Wierzyłem, że to dusza Nassencepisa zaznała spokoju od cierpienia z żalu po straconej rodzinie. Miałem nadzieję, że bogowie wybaczą mu to, że przyjął do swego serca krzyż.

* * *

Soliba wyklócał się z wikingiem o to, co ten przyciągnął z lauksu w worze. W końcu, niedaleko od faktorii, zaszedł go od tyłu i zabił jednym uderzeniem topora.

– Zwariowałaś? – Sięgnąłem po jego miecz i zanim się

zorientował, wyciągnąłem mu go z pochwy. – Nie ty tu wydajesz wyroki!

– Chciał nas oszukać. – Sambijczyk zaczął rozsypywać worek, udając, że nie obawia się mojej złości.

Widziałem jednak, że spowolnił ruchy, kątem oka spoglądał na pozostałych, ale odsunęli się od nas, tworząc półkole. Oni też nie chcieli mieć dwóch wodzów.

– Niech sprawa rozstrzygnie się teraz – rzekł jeden z nich.

Soliba odrzucił łup, wstał i rozejrzał się za jakąś bronią.

Nie dałem mu szansy. Zdzieliłem go mieczem w rękę.

– A gdzie twój honor? – jęknął i upadł, ryczał w złości i bólu, próbując zatamować krew z odciętego kikuta.

Uderzyłem go w głowę.

– Honor to... to, jak cię widzą inni.

Wbiłem ostrze w martwe już ciało.

Spoglądali na mnie ze strachem.

Od strony factorii, którą dojrzeliśmy z daleka, nadchodziły ze trzy dziesiątki postawnych wojów.

– Chyba nie pokażemy im tego. – Jeden z neofitów kopnął zwłoki wikinga.

– Co rozkażesz? – spytał mnie drugi, ten najmłodszy.

– Odwrót! – krzyknąłem i poderwałem z ziemi worek.

Wdarliśmy się między gęste drzewa, ktoś upadł, ktoś uderzył głową o twardy pień. Potem ktoś pobiegł w lewo, ktoś inny w prawo. I choć nie wiedziałem, dokąd ich prowadzę, wiedziałem, że każdy krok oddala nas od groźnych okrzyków pogoni.

Z nieba spadł deszcz, rozmył nasze ślady, ale ubrania uczynił ciężkimi.

– Odsapnijmy trochę! – krzyknął któryś z neofitów z tyłu, a po chwili zacharczał, bo strzała przebiła mu grdykę.

Rzuciliśmy się w panice dalej przed siebie. Przekroczyliśmy strumień, potem kilka kolejnych, powoli grzęźliśmy w błocie. Bagno jednak było dla nas wybawieniem. Im głębiej się w nie zapuszczaliśmy, tym szybciej cichły odgłosy pogoni.

Aż w końcu umilkły na dobre.

Przysiedliśmy.

Nie na długo.

Jeden z nas zaczął się zapadać. Inni trzymali go mocno, ale spanikował i bagno szybko upomniało się o swoje. Udusił się.

– Zdechniemy tu.

Stałem na chwiejnych nogach, a reszta, jak psy na łańcuchu, leżała jeszcze na ziemi, bojąc się ruszyć. Patrzyli na mnie jakoś inaczej. Wykorzystałem chwilę, kazałem wszystkim podnieść się z ziemi, mówiąc takim tonem, jakim zawsze przemawiał do mnie ojciec. Władczym, stanowczym, ale bez pogardy.

Wstali. Już po kilku krokach natrafiliśmy na niewielką wysepkę, gdzie grunt nie był taki grząski. Rozglądaliśmy się niepewnie po moczarach, zziębnięci kuliliśmy się do siebie.

– Poczekajcie – poleciłem. – Rozejrzę się. W pojedynekę

będzie mi łatwiej.

– A jak nie wrócisz?

– To znaczy, że zginąłem.

Gdy odchodziłem, zerknąłem przez ramię na neofitów. Patrzyli na mnie z nadzieją, ale i ze strachem.

Nigdy nie wróciłem. Nie zamierzałem. Nic mnie z nimi nie łączyło. W jednym się nie myliłem. Że w pojedynkę będzie mi łatwiej. Honor jest tym, jak cię widzą inni, powtórzyłem w myślach. Przed chwilą zabijali z zimną krwią swoich chrześcijańskich pobratymców. A teraz żaden z neofitów nie dożyje kolejnego dnia.

* * *

Świtało. Błada jasność odcinała się z wolna od czerni. Ściany mroźnego powietrza rzędy pod naporem pierwszych słonecznych promieni.

Przykucnąłem, by uważniej przyjrzeć się ziemi.

Wysoka ściana lasu ochroniła polanę od wiatru i śniegu, zielone placki porastały brunatną skorupę. Dotknąłem zziębniętych źdźbeł trawy; pas szronu przecinał ją wzdłuż i wszerz.

Wstałem i ruszyłem w kierunku niewielkiego wzgórza. Gdy sięgnąłem szczytu, drzewa przysłoniły mi horyzont. Ich ołowiane liście i czerniawe pnie zdradzały złoża tej ziemi.

Zapewne gwarkowie byli tu przede mną, pomyślałem, nie przeoczyliby takiego miejsca.

Wsluchalem się w szelest ciężkich liści, próbując rozpoznać wśród drzew odgłos łamanych gałęzi, może nawet jęk drewnianego żurawia, ponagłania górników.

Nic. Taka cisza, która brzmi jak najgorszy hałas, ledwo ją znosisz.

W jednej chwili oszalałem.

Wdarłem się między drzewa, by poczuć ich zapach, usłyszeć jęk gałęzi, rozedrzeć dywan ze sztywnych liści, które strzegły opuszczonych nor, przepastnych dziupli. Mieczem torowałem drogę donikąd, jednak im więcej napotykałem przeszkód, tym więcej odczuwałem radości. Bo z każdą chwilą, pomimo że krok mój stawał się coraz cięższy, przybliżałem się do jakiegoś celu, choćby nawet i śmierci. Byle dalej, do przodu, nie patrzeć za siebie, gdzie przeszłość...

– Dokąd tak gnasz? – usłyszałem pytanie.

Odwróciłem się, ale nie dojrzałem nikogo. Ten głos huczał mi w głowie, mój głos.

Odsapnąłem, by po chwili ruszyć dalej nieco już uspokojony.

Ponownie wsluchalem się w las. Żadnej spłoszonej zwierzyny, poderwanego do nieba ptactwa.

Dopiero po chwili dojrzałem coś w głębi lasu.

* * *

Zdziwiłem się, bo spomiędzy drzew wyłonił się mały chłopiec. Nosił gruby, powłóczysty kubrak, sięgający do

ziemi i zbyt duży kapelusz z okrągłym rondem. Podszedł do mnie i zadzwonił dzwoneczkiem zawieszonym na szyi.

Zrozumiałem dopiero po chwili, że chłopiec jest ślepy i domaga się odpowiedzi. Czuł mnie, ale nie widział. Czekał, aż i ja zadzwonię.

– Gdzie twoi ziomkowie? – spytałem i w tej samej chwili z lasu wybiegła dziewczyna. Zaczęła nerwowo dzwonić dzwoneczkiem. Chłopiec odpowiedział swoim.

Nieznajoma rzuciła się w stronę malca, porwała go z ziemi, przycisnęła do piersi. Z wyraźną ulgą schronił się w silnych kobiecych ramionach. Zapłakał.

Przyjrzałem się nieznajomej. Białe loki spływały jej na plecy, okalały wychudłą, spaloną słońcem twarz. Nosila pruski męski płaszcz. Patrzyła na mnie, oswajała spojrzeniem swych zielonych oczu.

Znałem te oczy...

– Czego tu chcesz? – szepnęła, jeszcze mocniej tuląc chłopca do piersi.

– Boli – jęknął chłopiec.

Dziewczyna zwolniła nieco uścisk i zawróciła w stronę lasu.

Instynktownie ruszyłem za nią.

– Nie musisz... – mruknęła, choć nie wydawała się niezadowolona z towarzystwa.

Chłopiec ułożył głowę na jej ramieniu, przywarł policzkiem do szyi. Szliśmy lasem, a ona dokładnie wiedziała, który krzak ominąć, jaką przesiekę wybrać. Przystawała co chwila, by nieco odpocząć.

Zatrzymywałem się wtedy tuż przy niej, chłonałem kobiecego zapach jak słodkich wiśni.

– Wybrałeś się na daleki spacer – powiedziała.

– Ty pewnie też – odparłem.

– Uciekł mi. – Poglaskała chłopca.

– Przecież jest ślepy.

– Ma wyczulony węch i słuch. Tylko w naszym świecie byłby kaleką. Ale nie tu, w Szeolu.

– Nie jest ciężarem dla was? – spytałem. – Przecież nie odróżnia złota od zwykłego kamienia.

– Skąd wiesz o złocie?

– Widzę, jaka jest tutaj ziemia. – Wskazałem za siebie.

– Nie ma już tutaj złota. Tylko śmierć. A to, o czym mówisz, potrafi nawet ślepy.

Ruszyła przed siebie. Minęliśmy wypaloną ziemię, jakby ktoś żar rzucił w las.

Przecieliśmy ścianę drzew niemal uformowaną w naturalną palisadę i wyszliśmy na wielki pofałdowany wzgórzami taras, gdzie gwarkowie ukryli wyrobisko. Szyby zostały ledwo wydrążone, wokół nich zalegał piach, kurz, popękana od słońca ziemia, nad czarną czeluścią otworów żurawie osadzone na dwóch grubych słupach, nieopodal magazyn na narzędzia, kuchnia, szopa do spania, obok stoły, gdzie zalegał nietknięty urobek. Gwarkowie znaleźli złoża, zbudowali osadę, szyby, ale pracę nagle przerwali. Od wielu dni, może tygodni, nikt w szybach nie pracował. Zajrzałem do jednej z dziur. Okazała się niezbyt głęboka, mogłem dojrzeć dno.

Przejrzałem kawałki skamieliny na stole, rozpoznałem wiórki złota.

Przy jednym z szybów stały uwiązane niskie, ale silne konie.

Założyli osadę, jak nakazywały reguły cechu, na terenie górzystym, w lesie, przy strumyku, pobudowali sztolnie, ale wydawało się, że coś kazało im w jednej chwili zaniechać pracy.

Kobieta zaprosiła mnie do największego z szałasów. Niepewnie wszedłem do środka. Żółte promienie słońca przenikały przez zadaszenie, smugi pyłu wirowały w ich świetle. Łóżka, grube skóry na zimne noce, drewniane kubki z jakąś niedopitą breją, talerze z resztkami kaszy – oznaki życia.

Postawiła chłopca na ziemi. Malec wybiegł na zewnątrz i puścił się po wyrobisku, jakby doskonale widział, bo mijał szyby i sprzęty w bezpiecznej odległości. Patrzyła za nim, aż znikł gdzieś za jedną z szop.

– Zna tu każdy zakamarek lepiej niż ja – wyjaśniła i nastawiła nad paleniskiem wodę, po czym wrzuciła coś do garnka.

– Dlaczego nie pracujecie? – spytałem, siadając przy stole zbitym z desek.

Z zainteresowaniem przyglądałem się mojej gospodyni, jak kręci się między stołem a paleniskiem, ustawia gliniane talerze i półmiski, jej sennym ruchom.

Nagle przykucnęła przy mnie. Chciała zzuć mi buty, ale odmówiłem.

– Nie wypoczniesz – przestrzegła mnie.

– Nie jestem zmęczony.

– Po takiej podróży? – zdziwiła się.

Wyszła przed szafas. Kątem oka obserwowałem ją, jak wzrokiem próbowała odnaleźć chłopca. Stała na palcach, wyciągnęła się jak struna, ręką przysłoniła oczy przed blaskiem słońca. Gibka i zgrabna, westchnąłem. Dopiero po chwili troska z jej twarzy ustąpiła, twarz złagodniała. Najwyraźniej zobaczyła dziecko.

Potem wróciła do szafasu i spojrzała na mnie wymownie.

– Przysięgaliście nam opiekę i pomoc w imię Jezusa Chrystusa, w którego z trudem wierzę, przyznaję, ale waszą wiarę bez względu, jaka jest silna, szanuję i cenię – rzekła.

Zrobiłem zdziwioną minę, a ona spojrzała na mój krzyż, który zwisał mi na szyi.

– Ach, tak – rzekłem.

Nawet na chwilę nie można zapomnieć, że ten świat nie należy do nas, tylko do bogów. Woda gotowała się w garnku.

– Przyjęłaś chrzest? – zainteresowałem się.

– Tak.

Wzruszyłem ramionami.

– Co tu się stało? – spytałem. – Wszystko wokół przypomina cmentarz.

Nie odpowiedziała, wygrzebała tylko coś z garnka i położyła na półmiski. Meltan – potrawa z owsa. Po chwili

szalas wypełnił się mlaskaniem, siorbaniem i w końcu pełnym ulgi westchnieniem, kiedy w pośpiechu nasyciliśmy głód.

– Dokąd zmierzasz? – Dziewczyna zaciekawiła się.

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnąłem się tylko znad miski, z której wylizałem resztki stawy.

– Tak czy inaczej, zapewne pomyliłeś drogę. Diabeł naznaczył tę ziemię, nie sięga tu spojrzenie boga.

– Mówisz o tej szarości, która pochłania świat – domyśliłem się.

Wzruszyła ramionami, znowu nie odpowiadając na pytanie.

– My siejemy, orzemy, ale nie ryjemy ziemi, by szukać skarbów. Ci, co mieli nadzieję znaleźć złoto, skończyli marnie. Chciwość ich zgubiła. A widziałeś ją kiedyś?

Zrozumiałem, że jest to odpowiedź na pierwsze pytanie i że pyta o rysę.

– Odkąd pękło niebo nad Pomezanią – ciągnęła dalej – złoza naszej ziemi obrodziła złotem, spiętrzyła się nawet ziemia i powstały równiny i wysokie góry. Ale nie jest to raj, tylko przekleństwo. Jedyne schronieniem dla nas jest Jezioro Łez.

– Więc istnieje – wyszeptałem.

– Zmierzam właśnie tam.

– Weźmiesz mnie ze sobą? – wypaliłem, naiwnie i beztrosko, a ona odpowiedziała:

– Oczywiście, że tak.

Zaniemówiłem, bo nagle doszły nas nawoływania i

przekleństwa, przytłumione, jakby dobiegały spod ziemi.

– A twoi przyjaciele? – spytałem, przełykając ślinę.

– Jestem tu sama.

– Przecież słyszę, że ktoś tu jest.

Wzruszyła ramionami i kiwnęła palcem, bym z nią wyszedł z namiotu.

Przeszliśmy wzdłuż hałd, wąską ścieżką, na skraj kopalni. Zatrzymała się tuż przy drzewach, gdzie znajdowało się wejście do jednego z szybów.

Kazała mi zajrzeć do wnętrza.

– Zasypane – stwierdziłem.

Uśmiechnęła się chytrze i wykrzyczała jakieś imiona. Gdzieś z głębi ziemi dobiegły nas zduszone jęki i nawoływania, przekleństwa.

– Zagnała ich tam pycha i chciwość. – Spojrzała na mnie przenikliwym wzrokiem, jakby chcąc i mnie przejrzeć, by się dowiedzieć, po co się tu znalazłem. – Stary Wentygs przestrzegali ich, kazał im przestać kopać. – Wskazała ręką na stertę gruzu. – Leży o tam. Usypałam mu grób z kamieni, po tym jak go zabili. Poszli kopać. Wejście do szybu się zawaliło. Tkwią tam od wczoraj. Nie wiem, na ile jeszcze starczy im powietrza.

– To twoi ziomkowie.

– Nie. – Zaśmiała się. – Żyłam z nimi przez wiele dni. Przyjęli mnie, a ja byłam zbyt przemęczona drogą, by iść dalej. Wraz z nim. – Zerknęła w stronę chłopca, który pojawił się między hałdami piasku i bawił się, rzucając kamieniami w niewidzialnych wrogów. – Lada dzień

przyjadą krzyżowcy z czarnym krzyżem na habicie zabrać urobek.

– Zakon Najświętszej Pani? – zdziwiłem się.

– Ciągłe ją wzywają na świadka swej cnoty. Przy każdej okazji proszą ją o pomoc i wsparcie. Ale nie gardzą złotem wyrwanym z tej diabelskiej ziemi. – Splunęła. – Zbyt dużo pruskiej krwi kosztuje ich chciwość. Wyślugują się Prusami.

Przełknąłem ślinę. Uniknąłem jej wzroku.

– Więc tak wygląda piekło. – Zamyśliłem się.

* * *

Ułożyłem się wygodnie, przykryłem stęchłymi skórami, ręce splotłem pod głową. Po chwili poczułem ciepły oddech na swoim policzku. Pocałunek. Ale kobieta tak szybko oderwała usta, tak delikatne, że ledwie zostawiła wilgotny ślad na mojej skórze.

Ale poznałem ją.

– Jak masz na imię? – spytałem.

Nie odpowiedziała, wiedziałem już jednak na pewno, że to ona. Nameda.

Nie mogłem się ruszyć, nie wiedząc, co począć. Nie poznała mnie, zdusiłem w zarodku jakąś bezsensowną pretensję. Czy myślała o mnie przez cały ten czas? Czy to dziecinna mrzonka o dziewczynie, którą kiedyś pocałowałem? Ten pierwszy raz.

Nameda życzyła mi dobrej nocy i wyszła. Otworzyłem

oczy, napiąłem wszystkie mięśnie, zwolniłem oddech, by nawet najmniejszy jego ruch nie zakłócił odgłosów nocy. Trwałem tak, niemal w bezruchu. Raz, dwa, trzy, kiedy wzejdzie słońce, będę jeszcze żył. Raz, dwa, trzy... Liczyłem bez końca. Nosem dotykałem ściany, ciemnej zasłony, odgradzającej mnie od świata. Nie mogłem przestać o niej myśleć. Ale żaden pomysł nie przychodził mi do głowy. Najpierw chciałem się przyznać, kim jestem, opowiedzieć wszystko, co przeżyłem. Ale może oskarżyłaby mnie o tchórzostwo w ten dzień, kiedy napadnięto nasz lauks. Że jej nie pomogłem. Co ona robiła przez cały ten czas...

Musiałem lekko się przesunąć, by w dziurze szałasu dojrzeć księżyc. Raz, dwa trzy... Raz, dwa trzy... W końcu się oziębiło, oddech mieszał się z powietrzem.

Wiatr przyniósł ze sobą jakieś odgłosy. Może to gwarkowie z zaszypanego szybu, pomyślałem, ale musiałem się upewnić.

Delikatnie wysunąłem się spod przykrycia i wstałem z łóżka, by wychylić głowę z szałas.

Zimny, północy wiatr, który przybierał na sile, zdierał z ziemi kurz, unosił go i rozrzucał w powietrze. Ze świstem nagłych podmuchów wymieszał się inny dźwięk, ale zanim zdążyłem się zorientować jaki, Nameda wślizgnęła się do szałas. Zastygłem w oczekiwaniu, co powie, bo oczy miała okrągłe i przerażone.

– Gdyby nie on, mój chłopiec, on ma lepszy słuch... – Próbowała złapać oddech. – Oni są tutaj!

– Kto?

– Uciekamy – szepnęła już spokojniej.

Wybiegliśmy na wiatr, który zmienił imię na wicher, świat zmalął na chwilę do tego kawałka ziemi, który rozświetliła błyskawica: fragment nieba, urobisko, szalas i krzyże na habicie.

* * *

Przeprowadziła mnie między dołami i zwałami urobku, by sięgnąć pobliskiego lasu, ale nie weszła wraz ze mną między drzewa.

– Muszę wracać po chłopca.

– Pójdę z tobą. – Stałem krok przed nią, już chciałem iść, ale mnie powstrzymała.

– Zaczekaj tutaj. Pójdę sama. Znam teren.

– Weźmy konie.

– Za późno.

Kiwnąłem głową i przycupnąłem za drzewem. Patrzyłem, jak rozmywa się w granacie ciemności, jakby ciągnąc za sobą szal z białych włosów.

* * *

Dojrzałem białe płaszcze, jak łopotały na wietrze, ale nie czarne krzyże, tylko jeden czerwony i takie, które widziałem na habicie rycerza w Oliwie. Zaraz zresztą znikły w ciemnościach.

Musiałem czekać na Namedę. Wiedziałem, że bez niej zginę w tym przeklętym lesie.

To Szeol. Piekło. Nazwa nie odgrywa roli. Choć woda w strumyku jest taka sama, tak samo pachnie trawa, ale gościńcem i nieudeptanymi ścieżkami chadzają demony. I oni – spojrzałem na krzyżowca, który stanął do mnie plecami, jakby nasłuchiwał. W świetle księżyca jego postać jawiła mi się jeszcze bardziej złowieszczo. Z obozu dochodziły nawoływania, ktoś próbował przekrzyczeć wiatr.

Rycerz zniknął, a po chwili na tle granatowego nieba zamajaczyły dwie postaci. Kobieta i dziecko. Uciekali w moją stronę, biegnąc co tchu. Zaraz za nimi posypały się wystrzeliwane w powietrze na ślepo strzały.

* * *

Nameda instynktownie, w ciemnościach, odnalazła strumyk. Poszliśmy wzdłuż niego, potem brodziliśmy w wodzie, bez względu na noc, na zimno, by nie zostawiać śladów na mokrej ziemi. Przystanęliśmy dopiero, gdy ucichły odgłosy pogoni.

Pozwoliłem, by podparła się na moim ramieniu, potarła obolałą kostkę.

Chłopiec przykucnął. Nadstawił ucha i wskazał na drzewa i strumyk – tam skąd przyszliśmy. Chwilę później dosłyszeliśmy chlupot wody.

Skryliśmy się za krzewami, przypadając do mokrej

ziemi. Czekaliśmy, wstrzymując oddech.

– To nie byli zakonnicy od Najświętszej Panienki –
zdziwiła się.

Kiwnąłem tylko głową.

* * *

Pogoń przeszła niedaleko, zanurzyła się w ciemny las, ale musiała zatoczyć koło, bo krzyżowcy wrócili do kopalni gwarków. Widziałem kilku, jak kroczyli niepewnie, na przedzie szedł potężny grubas, trzymając konia za uzdę, zaraz za nim przeklęty przez diabła śniady zakonnik. Poczekaliśmy jeszcze chwilę i ruszyliśmy dalej wzdłuż strumyka, a potem brnęliśmy już przez deszcz, uginając się od wiatru, przeklinając liście, gałęzie, krzewy, cały świat.

Deszcz ustał, zanim cały krajobraz zdążył się zmienić w wielką rzekę.

Zatrzymaliśmy się, by odpocząć. Przemarznięci rozpaliliśmy niewielkie ognisko. Nameda zagotowała wodę ze strumyka, oporządziła i upiekła złapanego przeze mnie zajaca.

Niepomni zagrożenia, zdrzemnęliśmy się przy dogasającym ognisku, ogrzewając się własnymi ciałami.

Ruszyliśmy dopiero o świcie.

* * *

Przykucnąłem przy Namedzie. Wystawiła głowę ponad krzaki, próbowała dostrzec coś w oddali. Podążyłem za jej wzrokiem. Pokręciłem z rezygnacją głową, widząc w pierwszej linii niewysoki płot, kilka chat widocznych przez otwartą bramę, domyśliłem się, że jeszcze kilka znajduje się w środku. Lauks mógł pomieścić kilkanaście rodzin.

Zawsze, gdy w Prusach spadał pierwszy śnieg, a lód skuwał rzeki i bagna, dotąd stanowiące naturalną zapórę chroniącą lauksy, najmężniejsi i ci, którzy mężczyznami dopiero się stawali, wyruszali na wyprawy na Pomorze, Mazowsze, na Jaćwież i na Ruś. Najbardziej podstępni szukali też łupów w mniej odległych miejscach, w sąsiedzkich lauksach, nie bacząc, że mordują i zagarniają dobytek sąsiadów.

Tym razem śnieg, padający od kilku dni, był jednak mokry i nietrwały, szybko topniał, mieszał się z błotem.

– Ile byś poświęcił, aby dotrzeć do Jeziora Łez? – Kiwnęła w stronę lauksu z ponurym uśmiechem.

Przyglądałem się, jak tuli chłopca.

A ile bym poświęcił teraz dla ciebie, pomyślałem.

– Nadal chcesz zostać wojownikiem? – spytała i uśmiechnęła się szeroko.

To spojrzenie sprzed lat. Spod sklepienia naszej małej świątyni skąpanej we mgle.

Poznała mnie. Złakłem się tego tak bardzo, że nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Albo my, albo oni. – Westchnęła. – Trzeba nam

ciepłych ubrań, wozu, jadła.

– Przecież jestem sam – zdziwiłem się. – Mam czekać czy warczeć – zakpiłem – żeby ich wystraszyć?

– Zbyt wielu Prusów nie wraca do swoich domów. Nie mam zamiaru zdechnąć z głodu – powiedziała ponuro. – Weźmiemy w niewolę tylu, ilu się da.

Nie wierzyłem. Nie dosłyszała mnie albo była obłąkana.

Uśmiechnęła się sztucznie, ale już na mnie nie patrzyła. Wyciągnęła rękę i liczyła.

– Pewnie kilku młodych i starych zostawili. Reszta jest na polowaniu. Trudne czasy. Trzeba wiele ryzykować, by wyżywić cały lauks.

– Obiecuj, że ujrzę spojrzenie boga – szepnąłem.

– Nie martw się. Bóg patrzy na ciebie. – Objęła dłońmi moją twarz i pocałowała czule.

* * *

Gdy przekroczyła próg lauksu, weszła między mieszkańców, którzy powychodzili z chat. Jej potargane włosy, lament zrobiły wrażenie. Krzyczała, że zabierze godnych do Jeziora Łez. Ale miejsc nie zostało wiele. A jutro... Jutro przyjdą krzyżowcy! Krzyczała. Odrąbią wam członki, zgwałcą wasze kobiety, was samych obedną żywcem ze skóry. Gównozercy! Była okropnie wulgarna, pomyślałem, ale robiło to wrażenie. Ktoś chciał podejść, odepchnąć czarownicę, ale zaczęła machać rękami i –

choć wydawała się bezbronna – napastnik przestraszył się jej piany na ustach, a w oczach szaleństwa.

Jakiś okaleczony, jednoręki, młody mężczyzna przypadł do niej, przyklęknął, złapał za nogę i prosił, by go zabrała, i jego matkę, ze sobą.

Położyła mu dłoń na głowie i głośno oznajmiła, by wszyscy usłyszeli.

– Wezmę cię, ale śpieszmy się, bo niewiele miejsc zostało – potoczyła wzrokiem po obecnych, cały lauks już wyszedł na powietrze – a was jest tutaj znacznie więcej.

Kaleka podziękował, wyciągnął matkę spomiędzy gapiów i zaczął ciągnąć ze sobą.

– Weźcie swój dobytek – nakazała Nameda – byście mogli przeżyć w drodze.

Pobiegli do chat, by wrócić po chwili z workiem i dwoma tobołkami. Jednoręki z ledwością dźwigał tępy topór. Resztę trzymała matka, pochylona pod ciężarem garbu.

Nameda wskazała im bramę lauksu, by wyszli.

Zaczęli niepewnie dreptać po błotnistej ziemi.

Ktoś z tłumu krzyknął. Chciał ich zatrzymać. Ale garbuska tylko splunęła, więc któryś ze śmielszych mieszkańców lauksu rzucił kamieniem.

– Nie jesteście w niczym lepsi od nas! Dlaczego wy?!

Kaleka kazał matce iść dalej, a sam rzucił się na tego, który złorzeczył najgłośniej. Zaskoczony zabił toporem.

Ci, którzy przeciwstawiali się odejściu, cofnęli się o krok. Wtedy właśnie niezdecydowani nabrali odwagi.

Zaczęli błagać Namedę, by zabrała ich ze sobą.

Rozpostarła ręce.

– Pójdą tylko najsilniejsi! – krzyknęła.

– Mówią, że w Jeziorze Łez rządzi chrześcijański mnich! I że nie ma tam miejsca dla pogan!

– To się zmieni! – krzyknęła.

Mieszkańcy przyglądali się jej przez chwilę, a potem spojrzeli po sobie nienawistnym wzrokiem. Kobiety, starcy, młodzi chłopcy. Ci, którzy nie byli uzbrojeni, pobiegli do chat po topory, pałki i grube kije. Kobieta położyła na ziemi niemowlę i rzuciła się z gołymi rękami na siostrę. Przewróciły się na ziemię i dusiły, nie bacząc, że ktoś przydeptał dziecko. Gdy jedno z ciał zwiotczało, w plecy tej, która się podnosiła, jakiś starzec wbił kawałek zaostzonego kija. Wyciągnął go z trudem. Rozejrzał się za inną ofiarą, ale rudy chłopiec pałką rozbił mu kolano. Starzec przyklęknął i otrzymał kolejny cios w twarz. Zalał się krwią, a krew oblepiła pałkę. Nie umarł, ale padł na wprost przytomny, patrząc, jak rudzielec szczęśliwie przekracza próg lauksu i macha do niego.

Jednoręki, pomimo kalectwa, wydawał się najsilniejszy. Może chciał się zemścić za doznane upokorzenia, bo wpadł do jednej z chat, bił toporem na ślepo w kobiety i skulone pod ścianami dzieci. Wybiegł dopiero wtedy, gdy wszystkich uśmiercił.

Cały lauks wypełnił się dymem i ogniem.

* * *

Syci, otuleni w skóry, siedzieliśmy na zdobycznym wozie, pozwalając, aby kilku mężczyzn, którzy ocaleli z rzezi, ciągnęło nas we wskazanym przez Namedę kierunku.

Zadarłem wysoko głowę, spojrzałem na szczyty drzew, wydawało mi, że sięgając nieba, malują chmury. Pochylone gałęzie, tuż nad moją głową, nieniepokozone przez wiatr, statyczne.

Zaledwie w ciągu kilku chwil mieszkańcy lauksu wymordowali się nawzajem, spalili chaty, krnąbrnych popędzili w niewolę wraz z dobytkiem. Jeszcze wraz ze świtem witali się jak sąsiedzi, a gdy słońce zaszło, stali się dla siebie wrogami...

Szeol to sprawił czy Nameda, zastanawiałem się. Patrzyłem na nią jakoś inaczej.

Jej oczy nie były już zielone, miały kolor kory.

Widząc jej zatroskaną twarz i to, jak mocno tuliła do piersi ślepego chłopca, z trudem próbowałem przegonić ponury obraz czarownicy, którą przecież była.

A wóz dalej toczył się ciężko drogą między drzewami...

Rozdział 17

*Podziemny Szeol poruszył się przez ciebie,
Na zapowiedź twojego przybycia;
Dla ciebie obudził cienie zmarłych.*

Księga Izajasza 14, 9

Wyczerpani wielodniowym marszem po ucieczce z polany, zziębnięci, wygłodzeni, z rzadka oglądali się za siebie. Ulgę przyniosły im jedynie konie, które zabrali z obozowiska.

Grozę budziło w nich niebo i rysa – ponad chmurami. Choć ledwie widoczna, stwarzała wrażenie, że świat może się w każdej chwili zawalić. Światło, które niekiedy wylewało się przez pęknięte sklepienie Pomezanii, przypominało słoneczne promienie; oblewało szczyty drzew, przebijało się przez szczeliny w gęstej koronie i sunęło w dół, by dotknąć ziemi, ale tylko na małą chwilę, bo zaraz się rozpraszało, jakby uciekając przed czymś.

W kopalni gwarków natrafili na jakichś ludzi, których jednak spłoszyli – hałasem, a może i widokiem krzyży na piersiach widocznych na tle granatowej zasłony nocy, tego Florencjusz nie wiedział. Próbował ścigać uciekinierów – po sylwetce poznał kobietę i dziecko, ale mu umknęli.

Postanowili więc w osadzie zatrzymać się na nocleg.

De Vivar nie mógł zasnąć, sam stanął na straży. Wpatrzony w ciemną ścianę lasu, czuł, jakby ktoś go obserwował. Przeląkł się, gdy jednak zza pleców usłyszał jakieś stłumione odgłosy. Zbudził księcia i razem ostrożnie ruszyli w głąb kopalni, między rozrzuconą ziemię i doły. Światło księżycy pozwalało im przejść bezpiecznie.

– To tutaj. – Ranen ukucnął i zaczął nasłuchiwać, przy jednym z zasypanych wejść do szybu. – Głos dochodzi z podziemi. Jest tam kto?

Z wnętrza dobiegły ich nawoływania.

Księżę zbudził resztę i wykopano gwarków. Dwóch żywych, zupełnie wycieńczonych, i jednego martwego.

Dowiedzieli się od nich, że przygarnęli do siebie kobietę. Nie dość, że miała dziecko, czyli dodatkową gębę do wyżywienia, to próbowała za gościnę i opiekę odpłacić się wyłącznie sprzątaniami i gotowaniem. A młodym to nie wystarczało. W końcu uległa, ale tylko jednemu, z nikim więcej nie chcąc już dzielić łoża. Dwóch pozostałych postanowiło się jej pozbyć. Jednak gdy okazało się, że jest czarownicą – potrafiła utkać mgłę, która miała chronić kopalnię przed obcymi, i przyznała, że pochodzi z Jeziora Łez – z obawy, że sobie z nią nie poradzą, przekazali strutterom, żeby zakonnicy z Vogelsanck przyjechali co rychlej, i nie tylko po urobek tym razem. Oczywiście nie wiedzieli, dokąd mogła uciec.

Zostawili górników przy życiu.

Wraz ze świtem nadeszli zakonnicy od Najświętszej

Marii Panny.

Florencjusz zza drzew obserwował tylko, jak Hinkmar bije do nieprzytomności młodego gwarka, pewnie z wściekłości, że dali się oszukać kobiecie.

* * *

Florencjusz zdecydował, że najlepiej będzie, jak ruszą w pogoń za czarownicą. Przeczuwał, że doprowadzi ich do Jeziora Łez. Byli na tropie nie tylko pruskiej dziewczyny i jej dziecka, ale i młodego chłopaka, jak zapewniał ksiązę, wążąc jak pies po śladach. Jednak po kilku dniach zgubili trop.

Wydawało się, że Szeol ich wciągał. Natrafili na kolejne lauksy, większość została dawno opuszczona. Tam, gdzie napotkali życie, rozprawiali się z poganami.

Bezwzględnie.

Potem kopali wielkie doły, pamiętając słowa Warcisława i to, co ujrzeli na polanie. Mijali opuszczone grody, których Ranen – jak zapewniał – nigdy tu nie widział; od dawna niezamieszkane, zarosłe trawą, przypominały pomorskie osady czy przysiółki, a nie pruskie lauksy.

– Skąd to się tu wzięło? – Ksiązę zastanowił się, gdy stanęli przed największą jak dotychczas palisadą.

Weszli do środka przez bramę.

Chaty, z których przeważnie zostały tylko zgliszcza, otaczała spróchniała palisada. Wąskie uliczki porastała

bujna trawa i chwasty. Ptactwo uwiło sobie gniazdo na wieży spalonego kościoła, przez główny plac przebiegł spłoszony jeleni.

Od dawna wdarła się już tu wilgoć zimy i skwar lata.

W oddali majaczyła przystań, ale nigdzie nie było widać rzeki.

Pojęli, że patrzą na kopię gdańskiego podgrodzia. Spłonęło wiele lat temu, rzekomo w wyniku napaści Prusów, nikt jednak żadnego poganina nie widział. Ludzie szeptali, że widzieli tylko cienie. Nie mieli pojęcia, co to oznacza.

– Diabeł w tym musi palce maczać – jęknął Ranen.

– Zapewne – zgodził się Pilgrim.

Rzeka okazała się wrotami do piekła, Zantyr i polana zamieniona w cmentarz – jego przedsiódkiem. A teraz to diabelstwo, budowane tylko po to, by zostać spalone.

– Diabły – mruknął książę. – To stąd te ataki w grodzie, na trakcie, w przysiółkach. Diabelskie sprawy.

– Cienie – zastanowił się Florencjusz.

Domyślał się, że teraz będzie musiał przeciwstawić się najgorszemu. Diabeł przejmował nad nim kontrolę, czuł mrowienie niemal w każdym zakamarku swojego ciała. Starał się nie myśleć o niczym, nie chciał zdradzić diabłu swoich zamiarów.

– *Chytry plan.* – Usłyszał jawną kpinę, a potem ucisk w gardle, jakby coś dusiło go od środka. Zwymiotował żółcią, zrodzoną ze strachu.

Wsparł się na Ranenie.

– Obiecay mi coś.

Sobiesławowic pomógł mu się wyprostować.

– Słucham uważnie.

– Przysięgnij, że mnie okaleczysz.

Niedoszły władca Gdańska pokiwał głową.

– Postradałeś zmysły.

– Tego mi żal najbardziej. I Anny – wyszeptał. – Gdy padnę z pianą na ustach, okalecz mnie, bym nie mógł wstać ani nawet pełzać.

– Mam się przyglądać, jak zdychasz jak pies jakiś? Lepiej cię dobiję od razu.

– Nie! – Uczepił się jego ramienia. – Okalecz, żeby diabeł nie mógł wysługiwać się już dłużej mym ciałem i spać. Żywcem! I niech nikt nie dotyka mnie, zanim umrę. Przysięgnijcie!

Czuł, jakby gnił od środka. Wiedział już, że diabeł go oszukał. Domyślał się, co zrobić, by się go pozbyć na zawsze.

Ranen poczekał, aż krzyżowiec z Calatrava zwymiotuje.

Krzyżowcy przyglądali się całej scenie z niepokojem, Pilgrim przetarł smarki rękawem.

– Przysięgam, panie. A co z nami?

Nie odpowiedział.

Pomyślał o ziemi niczyjej, o calatravensach, o Annie. To wszystko było tak odległe. Chciał nadać sens swojemu życiu, spotkał kobietę, a potem ktoś mu ją zabił. Wstąpił do zakonu i przyobleczony w habit, nie wiedział, komu

służy – Bogu czy Szatanowi. Został przeklęty, już dawno. Tam, na ziemi niczyjej.

– Możecie odejść – rzekł nagle do swoich towarzyszy niedoli.

Cisza. Czas oczekiwania.

– Ja pójdę tam, gdzie pozwolą mi głowy pogan rąbać, nie drwa – Pilgrim odezwał się pierwszy.

– Ja i tak nie mam dokąd iść. – Książę tylko westchnął ciężko.

Zakon Braci Chrystusowych miał ostać się w Zantyrze. A stróża spalona. Może kilku jeszcze braci z czerwonym krzyżem na habicie tułało się po gdańskich gościńcach, ale prawi i silni zginęli pod Brodnicą.

Wiking pokręcił głową.

– Wiem, co to honor. Gdyby nie ty, zdechłbym podle u Chocimira.

Niedźwiedź milczał.

– *Właśnie, panowie rycerze, liczy się cel* – usłyszeli głos wydobywający się z ust rycerza z Calatrava.

Jak dobrze czuć, gdy język uderza o podniebienie. Jaki jest szorstki i miękki zarazem. Ten świst powietrza w gardle, to tchnienie, które zmienia myśl w słowo. Właśnie sobie uzmysłowilem, że nie mam żołądka. Nie wiem, co to głód. Dziwne, że właśnie teraz.

Cofnęli się o krok. Florencjusz trzymał się za brzuch, giął się w pół.

– *Sam was wybrałem, panowie rycerze. Ja, nie calatravens. W kronikach potem napiszą o was, że*

Najświętsza Paniienka was natchnęła. A teraz do ciebie mówię, de Vivarze. Anna, nie zapomnij, po co tu przyszedłeś.

– Obawiam się, że dalej mogę nie dojść o własnych siłach. – Spojrzał na krzyżowców.

– *Zaufaj mi!*

Ranen podszedł do calatravensa i spojrzał w jego twarz, pobladłą nagle i wychudzoną.

– Oj, jego diabeł opętał, a we mnie chyba sam Chrystus wszedł.

– *Chrystus?* – Diabeł zdziwił się.

– Czuję, że trzyma moją prawicę, tę samą, którą będę cię po mordzie walił.

Uderzył.

Nic to nie dało. Calatravens syczał dalej nieswoim głosem.

Pilgrim poprawił. Mocno, tak by jego pan w końcu stracił przytomność.

* * *

Florencjusz potarł się po obolałej gębie.

– Diabeł nie jest taki silny, skoro młody powalił go ciosem w szczękę – zaśmiał się Ranen. – Gdy padłeś, mamrotał coś jeszcze, ale w końcu zrezygnował.

Od strony prowizorycznej przystani nadbiegł Pilgrim.

– Prusowie! – Przypadł do Sobiesławowica. – Idą przecinką. Kobiety, kilku młodych, starcy. Jakiś kaleka.

Mają wóz. Zapewne żywność.

– Może podążają do Jeziora Łez.

– Wszystkiego się dowiemy.

Florencjusz poczuł, jak krew się w nim gotuje. Jak w jednej chwili odzyskuje siły. Byle diabeł mu w niczym nie przeszkodził, zaciągnął mocniej pas, pogładził miecz.

* * *

Wóz terkotał, konie parskwały.

Przyczajony za krzakami wiking wypuścił pierwsze strzały. Na ślepo jakiś grot przeciął liście, ale trafił do celu, bo ktoś krzyknął.

Krzyżowcy wybiegli z lasu.

Żadnego oporu nie napotkali. Tylko panikę.

Wszyscy jadący na wozie zeskoczyli i rozbiegli się po lesie. Tylko matka z dzieckiem, jakiś jednoręki i młodzieniec skoczyli do przodu.

Florencjusz nakazał ruszyć za nimi.

Pilgrim dobił kilku leżących i rzucił się w pogoń. Ranen, ze względu na swoją tuszę, ochraniał tyły.

Biegli co tchu, przed nimi był łatwy łup.

– Nie strzelać! – krzyknął calatravens.

Wiking wypuścił ostatnią strzałę.

A potem jakby nieprzenikniona zastona przystonita świat.

Rozdział 18

Nie wiedzieliśmy, skąd przyszedł atak. Strzały jak igły wyleciały z lasu, przecinały płaszcze, cięły skórę, raniły i zabijały. Krzyże na piersiach atakujących nie pozostawiały złudzeń. Spojrzałem na ślepego chłopca, przecież już raz nas ostrzegł. Ale teraz tarł twarz, zbudzony hałasem ze snu. Zaskoczeni nagłym napadem, rzuciliśmy się do panicznej ucieczki. Wszyscy, nawet ci zniewoleni przez nas.

* * *

Utykałem jak raniona łania, nawet nie patrzyłem na grot strzały wystający mi z uda. Biegłem co tchu, przed siebie. Nie mogłem przecież zginąć, będąc tak blisko celu. Nameda dodawała mi siły, wołając.

– Jezioro Łez, Jezioro Łez!

Kilku naszych nowych towarzyszy padło na drodze, dwóch wskoczyło w krzaki, matka kaleki zostawiła go otumanionego, sama też ratowała się ucieczką. Oprzytomniał jednak szybko i poderwał się z wozu. Zaczął biec za nami, ciężko dysząc.

Przeklinałem cały świat, ale parłem naprzód.

Nameda targała na plecach ślepego chłopca, choć zapewniał, że mógłby iść sam. Czasami używała jego wiotkiego ciała, jak tarana, przebijając się tyłem przez

listowia, próbując ochronić twarz.

Pogoń rzygała w naszą stronę przekleństwami, wrzask i nawoływanie przebijały się przez wiatr.

Gałęzie smagały mi twarz, biegłem prawie na oślep, rozpychając się łokciami przez wysokie zarośla, przeciskając przez ściany kolczastych krzewów. Las zdierał ze mnie odzienie, a potem skórę, krew znaczyła moje ślady.

Każdy krok był cięższy od poprzedniego, okupiony resztkami sił.

– Zaraz nas dopadną – stęknąłem, gdy zatrzymaliśmy się na chwilę, próbując złapać tchu.

– Jeszcze trochę... Chodźcie... – Nameda ponagliła nas. Nie traciła nadziei.

– Nie damy rady, nie zdążymy nawet zmówić pacierza.
– Przystanąłem na dobre.

Zimne powietrze wdzierało mi się w płuca, drapało gardło.

– Co robisz?! Idziemy! – Nie przystanęła, szła dalej.

– Nie mamy dokąd. Walczmy! – Z ran kaleki sączyła się śmiertelna krew. – Wolę umrzeć z honorem, a nie ze strzałą w zadku.

– Mgła! Utkaj mgłę, jak kiedyś! – krzyknąłem w jej stronę.

Spojrzała na mnie, jakby po raz pierwszy mnie dostrzegła. Zrozumiała, że ją poznałem, tak jak i ona mnie.

* * *

Pieśń huczała mi w głowie. Poznałem jej głos, to Nameda śpiewała.

Plącz.

Dotyk łez jest niczym muśnięcie motyla.

To deszcz.

Jego matką jest smutek, radość tylko siostrą odległą.

Mgła.

Setki kropeł tworzących zasłonę z zastygłych łez.

* * *

Mgła jak fala wylała się spomiędzy drzew. Pochłonęła las.

– Jezioro Łez! – krzyknęła.

Dostrzegłem w ostatniej chwili jakieś niewyraźne błyski, jakby strużkę światła, tworzącego niewielki okrąg wokół niej.

Traciłem przytomność...

* * *

Mgła!

Oprzytomniałem raptownie. Mgła zbiła się nad naszymi głowami niczym sklepienie świątyni, ściany utkała z falujących, półprzezroczystych zasłon. Dostrzegłem

krzyżowców, którzy, nieco rozmyci, idą dalej, mijają nas...

W tej mgle...

* * *

I ta pieśń Namedy:

Płacz Occopirmy,

Jak deszcz.

Łzy z nieba

wyżłobiły ziemię.

Narodziło się Jezioro Łez.

Tam brama utkana jest z mgły...

* * *

Usłyszałem szuranie stóp, posapywanie, modlitwę, przekleństwa. Fachowe porady: korzeń orzecha jest na silny ból, ale czego – nie dosłyszałem, co zrobić z fiołkami i do czego wykorzystać kroplę soku dziewanny, i ile czegoś tam trzymać w ustach – wszystko to miało poskromić, jak się domyśliłem, ból zęba. Ale nie mój, bynajmniej...

Próbowałem otworzyć oczy, dowiedzieć się, kto szurał, a kto wzdychał, ale moje powieki okazały się zbyt ciężkie, jakby ktoś podkowami obłożył mi gębę. Nie mogłem ruszyć żadnym mięśniem, dać znaku, że jestem żywy. A

ci, którzy krzżeli się wokół mnie, przestraszyli mnie jeszcze bardziej.

– Kiedy go potniemy, to ujrzymy duszę? – usłyszałem dziewczynę.

Nie od razu rozpoznałem Namedę. Pochyliła się nade mną, bo poczułem jej oddech i zapach potu.

– Jeżeli diabeł nie zdążył mu jej zabrać. – Drugi głos należał do leciwego już mężczyzny.

Szepnęła coś niezrozumiale, po czym zaczęła rozcinać koszulę. Szarpała się z materiałem, w końcu go podarła. Poczułem draśnięcie, potem dotyk dłoni starca, który nachylił się nade mną, by posmarować czymś moje ciało.

Chciałem przekląć, niemal czułem, jak moje wołanie przechodzi mi przez gardło, wisi na języku, jak próbuje rozewrzeć szczękę, ale głos odbił się tylko echem w mojej głowie, a przez gardło nie wydobył się nawet charkot.

– Zaraz będziemy cięli. O tutaj. – Puknął mnie palcem w okolicy serca.

Fala zimnego potu przeszła moje ciało. Zrozumiałem, że to dobra wiadomość. Może zobaczyli moje drżenie? Z wolna odzyskiwałem czucie w palcach, czułem, jak krew zaczyna przetaczać się przez żyły. Mocniej zacisnąłem dłoń, na czymś twardym, co wetknęli mi w dłoń.

– Zbyt mocno trzyma krzyż – jęknął mężczyzna. – Dałem mu go dla zbawienia duszy, widocznie dobrze zrobiłem, bo diabeł duszę do piekła wyrywa, a ciało świętej relikwii się trzyma.

Trzymałem i nie puszczałem, ale ze strachu przed

cięciem, nie przed piekłem. Powoli zacząłem oddychać.

– W celu uzyskania należytej pewności, że trup to trup, nie wystarczy tylko modlitwa – poinstruował. – Drażnisz stopy, o tak.

Zaczęli głaskać mi stopy, potem kłuć. Poczułem gilgotanie, ale nie mogłem się ruszyć.

– Widzisz, nie śmieje się, więc martwy. – Starego trzymały się żarty. – Można jeszcze napuścić dymu do nosa, ale to zbyteczna sprawa.

– Gotfrydzie, ale on chyba nie umarł! – krzyknęła Nameda, a ja poczułem nieopisaną wdzięczność.

Zacząłem oddychać. Powoli, ale z wyraźną ulgą. Otworzyłem oczy bardzo szeroko, żeby nie mieli wątpliwości, że żyję.

– Ale to trup! – Mężczyzna zwany Gotfrydem nie dowierzał, próbując nie patrzeć na mnie.

– A szeroko otwarte oczy? – spytała, nie ukrywając kpiny.

Jeszcze mocniej zacisnąłem palce na krucyfiksie.

– A to już inna sprawa.

Zrzucił z mojego ciała kilka metalowych płytek z wygrawerowanymi symbolami.

– Trup, chyba że srebro ożywia. Skąd je masz? – krzyknął stary. – Mówiłem ci, żebyś zaprzestała czarów.

Straciłem przytomność.

* * *

Doglądali mnie przez wiele dni, pamiętałem ich szepty, czuły dotyk Namedy, jej troskę, szczebiotanie małego chłopca, gdy przychodziła do mnie wraz z nim.

Gdy już się na dobre ocknąłem, skulony na wąskim łożu, z trudem usiadłem. Ciało miałem obolałe. I czułem się bardzo dziwnie. Jakbym stał obok, a ktoś zamiast mnie oddychał, ciągnął za niewidzialne sznurki – podniosłem ręce, pokręciłem głową. Wydawałem się sobie niezdarny, bezbronny.

Przepierzenie z dranic dzieliło ponure wnętrze na dwie izby i spichlerz. Nad izbami, pod dachem, znajdowała się dodatkowa izba, pewnie sypialnia buttanawas. I komora, do której można się było dostać tylko przez wewnętrzną sień. W końcu wstałem. Poczułem pod stopami zimną polepę. Pierwsze kroki okazały się bolesne. Nastąpiłem na drewnianą kratę, zaskrzypiała. W jamie pod podłogą przetrzymywano więźniów. Ta jednak okazała się pusta.

Jeszcze kilka kroków.

Czułem się tu jakoś dziwnie. Wtargnąłem w końcu w czyjeś życie. Wchodziłem z mroku swego wnętrza w półmrok tej chaty. Ale nie pragnąłem słońca. Słońce, gdyby teraz weszło i dostało się do pomieszczenia, które kochałem, mogłoby mnie zdradzić. Rzuciłbym cień na palenisko, gliniane garnki, resztki strawy. Obraz nagle zrobił się bardziej ponury.

Kolejny krok.

Dalej w półmroku.

Więc krok następny.

Z jakiegoś odległego kąta, z cienia, wyszła kobieta. Stara i rozczochrana. Nic więcej w niej nie dostrzegłem. Spojrzała na mnie, przywitała ponurym uśmiechem, skinęła głową i wróciła w mrok.

Tylko kurz, który unosił się w powietrzu, był świadectwem, że świat jeszcze istnieje. Bo reszta w tym wnętrzu już dawno umarła. Stare graty, stara baba. Wzdłuż ścian – nary, zbudowane z kamieni, przykryte skórą. Kołyska zawieszona na długiej linie z łyka była pusta. Płachty, skóry, przewrócony zydel; nieporządek w półmroku wielkiej chaty.

I nagle więcej światła z łuczywa.

Ktoś je zapalił.

Na podłodze leżał pies, pogłaskałem kudłaty pysk. Zaraz obok ślepy chłopiec, którego wziąłem na ręce.

Zobaczyłem Namedę, prawie nagą, jak siedzi na rzeźbionym krześle; zapewne tryumfalnie przyniesionym przez gospodarza z jakiejś wyprawy. Błede nogi przerzuciła przez poręcz. Bose stopy. Piękne, a na nich piasek, ten z drogi. Oczy zielone, jakby wpatrzone we mnie od dawien dawna, przypomniałem sobie, jak na mnie patrzyły, gdy leżałem pogrążony w gorączce. Podszedłem, a ona obdarowała mnie uśmiechem, takim, którego już nikomu nie oddam. Jej też nie oddam. Część jej będzie ze mną na zawsze, czy tego chce, czy nie. Wyciągnąłem rękę, by jej dotknąć. Przyjęła mnie delikatnym uściskiem. Potem odebrała dziecko i przytuliła do piersi. Zrozumiałem, że razem czuli się bezpieczniej.

Stałem tak przez chwilę wpatrzony w tę parę, aż i mnie przygarnęła, każąc usiąść tuż przy sobie. Czułem, jak oddychają spokojnie.

Cisza.

Ten moment.

Tyle.

Niczego więcej nie chciałem.

* * *

Ranek.

Przyjrzałem się osiedlu omywanemu przez pierwsze promienie słońca. Kilka chat, przekrzywionych, niby układających się na zboczu, którego krawędź mocno odcinała ląd od jeziora. Podkowa lasu broniła wody od wiatru. Żadnej fali. Tafla lodu, jak blacha, zupełnie czysta.

Ruszyłem zboczem w dół między ludzi i domy gospodarzy, czeladzi, budynki gospodarcze, łaźnie. Gdzieś dalej palisada, wieża strażnicza.

Ten lauks niewiele różnił się od innych. Mężczyźni znikali w lesie na polowaniach, kobiety tkwały, przędły, szyły. Śmiały się.

Zajrzałem do jednej z chat. Ruda tkaczka przywołała mnie ochoczo. Jakby i ona dobrze mnie znała.

Posłałem jej całusa, inne zaczęły chichotać, ale jak spojrzały ponownie tam, gdzie stałem, już mnie nie było w progu. Szedłem dalej, już się nie zatrzymywałem.

Wydawało mi się, że znalazłem w tej krainie coś, co można dostrzec w odbiciu oczu sarny na chwilę przed śmiercią – blask otaczającego ją piękna, a potem przerażenie, gdy strzała myśliwego boleśnie wbija się w ciało. Nie było też tu żadnej świętej lipy ani dębu, jak w innych lauksach, tylko pień – jak się domyśliłem, ściętego drzewa.

Podszedłem na skraj jeziora.

Zawiał wiatr i ożywił wymarłą tafłę, przegonił na chwilę mgłę, odsłaniając przede mną ukryte piękno: smukłe lipy i zieloną wyspę. Wokół niej ustawiono dwa szeregi domów na palach, połączonych ze sobą i z brzegiem pomostem szerokim na dwa kroki. Wszedłem na niego, stąpałem po nierównych deskach ostrożnie, by nie wpaść do wody. Domy przykryto słomą, ściany zbito z sosnowych desek. Zajrzałem do wnętrza jednego z nich przez otwarte drzwi, nie pytając o pozwolenie. Zauważyłem palenisko z kamieni, ledwie się tliło.

* * *

Prosty nos, wychudłe policzki. Zmęczone oczy, zwierciadło duszy. W myślach tuliłem ją do siebie. Wyobrażałem sobie, jak pachnie. Sunałbym palcem, potem językiem, po jej ciele, całą moją dłońią, mało wprawna, może zbyt szorstką. Twarz, szyja, małe twarde piersi, sterczące sutki. Moje niecierpliwe palce. Brzuch, uda, między jej udami mój wilgotny język, by poczuła, jak

bardzo mogę być jej oddany. Przygryzała paznokcie, jakby ssąc palce. Wyglądała cudownie.

Zamyślona.

Usta pełne, szerokie. Takie, które w chwili, gdy musną moje ucho, wyszepczą coś czule. Wyczują chwilę, kiedy tego potrzebuję.

Leżeliśmy na pościeli w jej chacie, nadzy, przykryci skórą.

Sami bogowie musieli wpierw zarysować jej kontury, a potem wypełnili kolorem policzki i usta czerwienią, a rzęsy i brwi – czernią. Zapragnąłem, by przylgnęła do mnie mocniej, by poczuć jej woń – zapach lata.

Towarzyszył nam ogień – dosypała jakichś ziół – z diabelskim uporem palił i łamał drewno, syczał. Dawał nam ciepło, w zamian za to pozwalałem mu żyć, wrzucając kolejne szczapy.

Pogładziła mnie po policzku. Przyglądała mi się, tak jak moja matka ojcu. W jednej chwili odgadłem znaczenie takiego spojrzenia. Odsunąłem nieco nakrycie, by też lepiej się jej przyjrzeć. Uśmiechnęła się tylko. Jej cery – gładkiej, nieco śniadej – nie szpeciła żadna blizna. Była młodsza ode mnie, ale w jej oczach odbijało się wiele zim i niezliczone zachody słońca.

Objąłem ją ramieniem i przytuliłem, bardzo mocno. Nachyliłem twarz, by nasze usta zderzyły się ze sobą. Delikatnie przygryzłem jej wargi. Całym sobą poczułem jej zapach. Odwzajemniła wszystko to, co dałem jej w tej jednej chwili: niepewność, strach przed utratą, potem

nadzieję i poczucie bezpieczeństwa. Jej dłonie zaczęły krążyć po moim ciele.

– Uwielbiam cię. – Przy niej nie bałem się szeptów pełnych oddania i czułości.

Ułożyłem głowę na jej piersi, która uniosła się wysoko i zapadła się nagle wraz z ciężkim westchnieniem.

Nie wiem, czy to zioła, czy po prostu jej głos, którym snuła swą opowieść, sprawił, że poczułem się, jakbym śnił.

Po napadzie na nasz lauks Nameda uciekła i żyła wśród innych pogan, jak pozostałe pruskie kobiety. Do czasu, gdy spotkała mężczyznę, który dał jej dziecko, a potem wypłynął w morze i nigdy nie wrócił. Chłopiec urodził się ślepy. Buttanawas kazał go zanieść do lasu. Nie zgodziła się, a nie miał jej kto bronić. Została wyrzucona z lauksu, błąkała się, aż w końcu znalazła schronienie u chrześcijańskich misjonarzy w jednej ze stałych osad targowych. Potem ruszyła wraz z nimi do domu, do Natangii, ale po drodze zostali napadnięci. Znowu uciekła i tułała się z synkiem, aż odnalazła Jezioro Łez. Tutaj roztoczono nad nią opiekę, ale musiała dać coś w zamian. Nauczyła kobiety tkać mgłę, która chroni lauks przed intruzami. Kapłani z ledwością tolerowali neofitów i Gotfryda, starego cysterskiego mnicha, który wydawał się niegroźny – przyszedł przecież już tak dawno i spędził wśród nich wiele lat.

Po całych Prusach rozeszła się wieść o chronionej przez mgłę osadzie. Próbowali ją odnaleźć nie tylko

przychodzący wraz z pieśnią zbłąkani Prusowie, ale i krzyżowcy. Niszczyli lauks po lauksie. Uważali, że pieśń, którą słyszeli na Pomorzu, to lament ich Boga, który płacze nad przeklętym przez pogan światem. Niszczyli święte drzewa, pruskie groby. Wydzierali ziemi złoto, zostawiając jej w zamian pruską krew.

W końcu ludzie w Jeziorze Łez zaczęli głodować, kapłani nie potrafili zaradzić waśniom. Gotfryd przeczuwał, że jego świat się wali. Zaczął więc podważać pozycję kapłanów, przekonywał ludzi, że tylko prawdziwy Bóg ich ochroni, więc planowali go ukarać. Ale nie docenili cystersa. Przy pomocy oddanych mu neofitów przejął władzę w osadzie i kazał ją opuścić zatwardziałym poganom. Tym, którzy obiecali przyjąć chrzest, nie odmówił schronienia. Stał się mniej wyrozumiały dla pruskich bałwanów – jak zaczął mawiać. Kapłanów zabił albo uwięził. Nie odważył się jednak zniszczyć spojrzenia boga, bojąc się demonów.

Problem głodu i sąsiedzkich sporów w lauksie rozwiązał za jednym zamachem – kazał organizować napady na inne lauksy. Wydawało się, że wstąpiła w niego nowa siła, bo sam stawał na czele band. Neofitów i tych, którzy zdążyli wykrzyczeć, że przyjmą chrzest, oszczędzał. Pogan wybijał do nogi.

To taki los spotkał mój lauks, pomyślałem i otworzyłem oczy. Spojrzałem na usta Namedy. Poruszały się, więc to nie był sen.

– Musiałam odejść jak inni – szepnęła. – Trafiłam do

kopalni gwarków. Żyłam z nimi. Tymczasem Gotfryd szybko zorientował się, że tam, gdzie nie sięga wzrok Occopirmy, rządzą demony. Nazwał to Szeolem, ale ja wiedziałam, że jakimś cudem Patollu i Natrimpe zaczęły tam urządzać swoje królestwo.

Objęła mnie czule.

– Są takie dni, że znikają całe lasy, pola. Tego najbardziej się boję, gdy wychodzę poza lauks. Nie krzyżowców, nie Sambów, tylko tego, że bóg na mnie nie będzie spoglądał. Że zniknę. – Zamyśliła się na chwilę. – Wszyscy się tego boimy. Gdy cię ujrzałam, tam, w kopalni, uwierzyłam, że to nie przypadek. Sama nigdy nie odważyłabym się tu wrócić. Ale z tobą jestem silniejsza. Nikt mnie nie tknie. Namówiłam Gotfryda, by mi pomógł cię uzdrowić. Przekonał go krzyż, który miałeś na piersi. Ten starzec zabije mnie prędzej czy później. Na razie ugiął się, i tak jak korzysta z wiedzy kapłanów, którzy przechytrzyli Occopirmę, tak chce, bym utkała mgłę. Bo ta traci moc. Inne czarownice już nie żyją.

– Więc potrzebuje cię.

– Tak. To prawda.

Pomimo jej troski na twarzy uśmiechnąłem się.

– Cieszę się, że znów się spotkaliśmy i trafiłem z tobą do Jeziora Łez.

– Takie miejsca trzeba umieć dostrzegać – rzekła.

– Wyjaśnij mi to – poprosiłem.

– Gdy odwracasz się od drzewa, skąd wiesz, że nadal stoi za tobą?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – powiedziałem szczerze.

– To bóg sprawia, że drzewo nadal tam stoi.

– Dalej nie rozumiem.

– Wyobraź sobie, że gdy przymykasz powieki, trwa to nieco dłużej niż mgnienie. W tym czasie może wydarzyć się wiele rzeczy. Mówiąc prościej, nie wszystko zdołasz dostrzec. Gdy przymykasz oczy albo odwracasz się od drzewa, wszystko nadal istnieje, ale za sprawą naszego boga.

– Grunt to uchwycić jego spojrzenie – zrozumiałem.

– I zatrzymać je już na zawsze. Należymy do bogów, tak jak oni do nas. Zrozumiesz to jeszcze. – Uśmiechnęła się, widząc zapewne zakłopotanie na mojej twarzy. – Niektórzy widzą więcej. Bogowie wyznaczają im pewną rolę.

Pamiętała, że miałem zostać tuliszem.

– Nie przez przypadek więc mnie tu przywiodłaś.

– Nie. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że przeznaczenia nie oszukasz. Bogowie dali ci dar. Myślę, że przyjdzie niedługo czas, że go wykorzystasz.

Leżeliśmy przez chwilę w ciszy.

Zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem, wpatrując się w skrawek jej biodra, które wysunęło się spod przykrycia. Dla mnie w jednej chwili wszystko stało się proste. Nie dbałem ani o ten świat, ani o spojrzenie boga, zdałem sobie sprawę, że martwię się tylko o nią. Dziwne to było uczucie. Czyniło mnie mocniejszym.

Wysłuchałem się w odgłosy na zewnątrz. Zwykła poranna krzątanina. Ktoś wołał dzieci, które ledwie rozbudzone, już rozbiegły się po lauksie, ktoś dzień przywitał śmiechem, ktoś płaczem.

– Budzą się do życia. – Wsparła się na łokciu. – Jest tu nas przynajmniej setka. – Zmrużyła oczy od wstającego słońca.

Przyglądałem się, jak okrywa się kocem, ale tak, bym nadal mógł sycić wzrok wzgórkami jej piersi.

– Gdy niebo pękło – rzekła – wielu szukało schronienia w klasztorach, kościołach, na książęcych dworach. My mieliśmy szczęście mieszkać tutaj. Dopóki władzy nie przejął brat Gotfryd – dodała po chwili. – Czasami zjawia się ktoś nowy, a czasami to my zabiegamy o to, byśmy nie byli sami.

– Przynajmniej nie grają tu dzwony i nikt nie prowadzi kazania. – Przypomniałem sobie Oliwę i Gdańsk: tam zapewne i brata Gotfryda uznano by za heretyka.

– Jezioro Łez jest odbiciem naszego małego świata. Chronimy się tu, ale mgła rzędzie, a sklepienie pęka. Widać już jedną z bram, stąd rysa na niebie. Nad Pomezanią. Zresztą nie da się wszystkiego wyjaśnić. To bogowie decydują, ile mogą przed nami zdradzić tajemnic. Śmiesz mnie tylko to, że chrześcijanie widzą na niebie coś na kształt włóczni. Może zawsze jest tak, że każdy widzi to, co chce? – Zamyśliła się.

Ciężko westchnąłem, a ona dopiero po chwili ciągnęła dalej:

– Zanim nasz świat przestanie istnieć, każdy z nas będzie do niego wracał pod postacią ptaka, niedźwiedzia, żaby... Niewielu od razu przekracza dziewięć bram, inni odradzają się w swoich braciach i siostrach albo dzieciach swoich dzieci. My jesteśmy ostatni. Po nas nie przyjdzie już nikt. Kto zrozumie pieśń, zrozumie wołanie swojego ojca albo pradziada, ten odchodzi z tego świata, bo wie, że nie ma po co żyć.

– A moja pieśń? – przeraziłem się.

– Im większym twój przodek był wojownikiem, tym jego śpiew po śmierci jest donośniejszy i szybciej go zrozumiesz. A gdy już pojdziesz do końca, co słyszysz, wtedy ruszysz tam... Za swoimi przodkami. W zaświaty. Nic już nie będzie cię tu trzymać. Odbierzesz sobie życie.

– To znaczy, że jeżeli nie pojąłem jeszcze słów pieśni, to znaczy, że mój ojciec...

Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę. Przecież mój ojciec zasłużył na pomnik. Prowadził największe wyprawy nad Bałtyk, wracał z łupami, był bohaterem naszego lauksu.

– Przykro mi.

Pokręciłem przecząco głową. Nie chciałem już tego słuchać.

Zsunęła delikatnie moją głowę ze swojej piersi, by wstać. Nałożyła na siebie koszulę. Zerknąłem na jej wycięcie, gdzie unosiły się białe owoce, przez chwilę zastanawiałem się, przez ilu już tknięte.

– Widziałeś te ryby w jeziorze? – spytała. – Chodź,

pokażę ci.

Ubrałem się pośpiesznie i wyszedłem na pomost.

Usiedliśmy ze zwieszonymi nogami nad wodą. Uspokoił mnie jej chlupot, dojrzałem cień ryby, która przepłynęła pod moją stopą. A jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że wszystko wokół jest martwe.

Spojrzałem w niebo, gdzie tkwiła rysa. Nic. Cisza. Tutaj mogłem przeżyć.

Nameda rzuciła kamień w wodę. Wydawało się, że ziemia zadrżała. Pojawiły się ryby. Stukały pyszczkami o dach swego świata, jakby próbując wydostać się na wolność.

– Są takie ufne – przyznała.

– Raczej rzekłbym, naiwne i głupie – nie zgodziłem się z nią.

Zaśmiała się, a jej śmiech poniósł się jak echo. Przez chwilę wydawało mi się, że jestem w wielkiej sali, a nie nad jeziorem otoczonym lasem.

– Wyglądają, jakby nie zadawały sobie trudu istnienia, a przecież żyją.

– To, że pływają, jedzą... to nie wszystko.

Pogładziła mnie, jak kolejnego ślepego chłopca.

Zaczęła mówić:

– Wielu misjonarzy przychodziło na nasze ziemie. Na początku ich słuchaliśmy. Szczególnie ci z nas, którzy mieli najwięcej do stracenia. Wiedzieliśmy przecież, że jeśli nie przyjmujemy krzyża, będziemy musieli nastawić kark, bo przyjdzie miecz. Przyjmowaliśmy nową wiarę,

chrzciliśmy siebie i swoje dzieci. Ale kazano nam płacić zbyt wiele w zbożu, miodzie, rybie. Plemiona szybko zaczęły się buntować, od Pomezanii nad Wisłą i Nogatem, na Jaćwieży, w Sambii. Nie dość, że odbiliśmy, co swoje, to sięgaliśmy jeszcze po ziemie Mazowszan, dotarliśmy pod samą Oliwę.

Pokiwała głową zamyślona.

– Gotfryd, jeden z misjonarzy, przestrzegał nas przed innymi mnichami, którzy jak on, obleczeni są w te same szaty, ale w sercu skrywają śmierć i strach przed nami. Mówił, że ich serce wypełnione jest pychą, ich brzuchy pełne z obżarstwa, że zazdroszczą wszystkiego, że są skorzy do gniewu, chciwi, leniwi...

– Jakiś się tu dostali? – spytałem, bo nie wiedziałem, o czym mówi.

– Tutaj są miejsca tak małe, ale jednocześnie tak wielkie, że mogą pomieścić całe legiony. To tak jak z zaciśniętą dłonią – machnęła mu pięścią przed oczami – albo z kieszenią. Ta wyspa, to jezioro... to część Szeolu, tylko zamiast wypalanej ziemi, gór, piasku, tutaj jest woda, jest życie.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Nie każdy jednak może się tu dostać – dodała.

– Magia? – nie dowierzałem.

– Raczej wiara, która potrafi czynić cuda. Widzisz skraj jeziora?

Rozejrzałem się wokół. Wszystko dookoła otaczała wysoka palisada, za którą unosiły się strzępki mgły.

Horyzont wydawał się tak bliski, jak na wyciągnięcie ręki. Naprzeciw dostrzegłem zaokrąglenie jeziora, jakby opadało nieznacznie w dół, a tam, gdzie niebo stykało się z wodą, rozchodziło się promieniście bladoniebieskie światło. Poczułem się przez chwilę, jakbym był wysoko nad ziemią, i nie widział końca świata.

– A czy można tam dojść albo dopłynąć? – Wskazałem ręką.

– Jak chcesz, możesz zaraz spróbować.

– A skąd to światło?

– Przyjrzyj się dobrze.

Wyteżyłem wzrok. Najpierw dostrzegłem źródło światła naprzeciw siebie, ale daleko, tak że nie mogłem rozpoznać kształtów.

– Zwierciadło? – próbowałem zgadnąć.

– Tak – odparła i zatoczyła ręką wokoło. – Jest tego tu więcej, ale to, na które patrzysz, jest najważniejsze.

Powiodłem wzrokiem we wskazane miejsce i odnalazłem podobne kształty. Wielkie zwierciadła z daleka wydawały się mniejsze, ale pewnie swym ogromem dorównywały kościołom.

– W rzeczywistości stoją całkiem blisko – wyjaśniła, widząc zadumę na mojej twarzy. – Do jednego mógłbyś podpłynąć.

Wstała, zgrabnie, bez niepotrzebnych ruchów i skrzepowania zsunęła z siebie suknię. Biała, posągowa pani o przezroczystej skórze, pod którą przesuwwały się błękitne żyłki. Byłem zachwycony.

Wskoczyła do wody.

Zielona tafla, zmacona pluskiem.

– Chodź ze mną – zachęcała. – Jest ciepła.

Nawet nie zdążyłem przyjrzeć się jej piersiom. Teraz migotały tylko na krawędzi wody i świata.

Rozebrałem się w pośpiechu i wskoczyłem za nią.

Płynęliśmy powoli. Czasami wykorzystywałem okazję, by otrzeć się o jej skórę. By mnie zdenerwować, prychała w moją stronę wodą albo nurkowała głęboko, by pojawić się zbyt daleko, bym mógł ją złapać.

Gdy dopłynęliśmy na miejsce, Nameda pozwoliła mi okrążyć zwierciadło dookoła. Umieszczono je na wielkiej, drewnianej, skleconej z belek tratwie. Tratwa ani drgnęła, zauważyłem, że jest przymocowana do dna linami, więc i tu jezioro nie mogło być głębokie, choć dna nie widziałem. Dojrzałem, jak światło odbija się od zwierciadła, biegnie do następnego, a potem jeszcze dalej. Dopiero teraz spostrzegłem, spoglądając w stronę wyspy, że cała okolica wokół jest jakby utkana ze światła o równym natężeniu, jest nim spowita, zalana, i że wszystko ma to same bladoniebieskie źródło. Jak niebo.

– To spojrzenie Occopirmy złapane w zwierciadło – wyjaśniła.

I wtedy pojąłem, że na powierzchni zwierciadła dostrzegłem odbicie zimnych oczu nie z tego świata. Ale jak potężne musiały być czary, by zatrzymać jedno z boskich spojrzeń, nie potrafiłem tego pojąć.

* * *

Nameda siedziała tuż obok mnie.

Usłyszałem odgłos kroków, szelest gniecionych liści.

Zbliżał się Gotfryd.

Cień.

Habit.

Jego stara twarz.

Nameda wstała i po prostu odeszła. Chyba uważała, że lepiej będzie, jak zostawi nas samych.

Wyciągnął do mnie rękę i mocno ścisnął, jakby chciał udowodnić, że pomimo lat zostało w nim jeszcze dużo siły. Był wysokim mężczyzną, o wychudłej twarzy, ale z trudem ukrywał drzenie lewej dłoni, którą schował za siebie, usta miał wykrzywione w wyniku jakiegoś paraliżu. Spojrzałem w jego oczy. Nic w nich nie ujrzałem, żadnego odbicia. Wraz z nim przyszło kilku chroniących go osiłków, stanęli za jego plecami. Przyglądali mi się czujnie, marszcząc brwi, w dłoniach dzierżyli topory.

Zacisnąłem palce na krzyżu na piersi. Musiałem go zabić, pomimo że nie wyczytałem w jego oczach nic. Nie mogłem wymazać z pamięci tej sylwetki, stojącej na tle ogni i w dymie tuż przy moim domu, jej złowieszczonego spokoju.

– Zabijaliśmy Prusów z innych lauksów, by przeżyć – rzekł, jakby czytając w moich myślach. – Mam nadzieję, że w niebie wybaczą mi taką ofiarę. Zresztą żaden z

bogów nie jest w stanie uporządkować tego świata – jest zbyt stary. – Przysiadł się do mnie i zaczął mówić. Oto czego dowiedziałem się z jego opowieści.

Przybył do Pomezanii jako gorliwy wyznawca wiary chrześcijańskiej. Chciał słowem nawracać pogan. Przekonywał, że Chrystus kocha tak samo każdego człowieka i dzięki jego przykładowi oni tak samo pokochają innych. A potem przychodzili krzyżowcy i mordowali wszystkich Prusów – pogan i neofitów. Nie mógł nikogo ochronić.

Kapłani widząc, że ich świat wraz ze starymi bogami umiera, uprosili Occopirmę, by choć po raz ostatni na nich spojrział. Oszukali go, łapiąc spojrzenie boga, a z jego łez – pełnych złości – stworzyli jezioro. Wywołali umarłych, by wzywali swych żyjących potomków – stąd pieśń. Ci, którzy ją usłyszeli i pojęli jej sens, próbowali dotrzeć do Krainy Łez albo zabijali się, wierząc, że prędzej czy później przekroczą dziewięć bram. Do tego czasu ich dusze miały zaznać spokoju w ciele zwierząt i korach drzew. W Jeziorze Łez kapłani zbudowali osadę. Curche, bóstwo urodzaju, zaklęli w łanie zboża, bo bóstwo to miało w zwyczaju chować się w ostatniej ścinanej kępie, i obsiali z niego kawałek pola nad brzegiem, aby zawsze był urodzajny. Stara czarownica utkała mgłę, by strzec lauksu przed intruzami. Po jej śmierci szukano innej, więc z ochotą przygarnięto zbłąkaną Namedę, by odtąd ona chroniła spojrzenie Occopirmy. Koniec świata nie nadchodził, a mieszkańcy Jeziora Łez musieli jakoś żyć.

Nawet plony z łanu Curche marniały. Zaczęli więc napadać na inne lauksy. Atakowali neofitów, zabijali, wielu wzięli w niewolę. On, Gotfryd, nie mógł na to patrzeć. Oswobodził pojmanych i namówił ich, by zgładzili kapłanów. Odtąd Jezioro Łez stało się schronieniem wyłącznie dla tych Prusów, którzy się nawrócili.

Mnich przerwał swoją opowieść. Zaczął kaszleć, zasłonił dłońmi usta. Gdy je opuścił, pełno było na nich plwociny i krwi.

– Nie jestem biskupem Prus – rzekł. – Doprowadziłem do zguby tysiące, a uratowałem niewielu. Może prostszym rachunkiem byłoby jednak skazać wszystkich na śmierć od mieczy krzyżowców?

Milczałem, a on ciągnął.

– Wygnałem pogan, także Namedę. Ale wróciła wraz z tobą. Bez jeziora jest skazana na śmierć. A ty... Nosisz krzyż – powiedział jakby z ulgą.

Skinąłem tylko głową. Obmyślałem plan, jak go zabić. Oddani mu ludzie stali cały czas przy nim. Zrozumiałem, o czym mówiła Nameda, tłumacząc mi, że pozwoli mi zostać wojownikiem.

– Wstajemy wcześnie rano, łowimy ryby, polujemy w lesie, wspólnie zasiadamy do wieczerzy. Starsi raczą nas opowieściami, młodzi słuchają. Żyjemy w zgodzie. Niektórzy mogą powiedzieć, że to słabość, ale to jest właśnie siła.

– I wszyscy są szczęśliwi – zakpiłem.

– Tak. Jesteśmy szczęśliwi, że nasze domy nie zostaną spalone podczas kolejnych najazdów czy to naszych pruskich sąsiadów, czy Pomorzan albo Mazowszan. Jesteśmy szczęśliwi, że nie musimy słuchać kazań obłudnych klechów, którzy swoimi grzechami, jak rzygami, mogliby napęłnić całe dzbany. Nie musimy obawiać się rycerzy ani zwykłych band, które za nic mają życie ludzkie. Nie gwałcimy sobie żon, nie podpalamy domostw. Nie wykradamy wieczerzy. Śpimy spokojnie. Tak, jesteśmy szczęśliwi – zakończył, lekko uderzając mnie w głowę, jakby za karę, że musiał mi to wyjaśniać. – Wątpisz w to? Myślisz, że pozwoliłem cię ocalić ze względu na krzyż? Zapewne tak powiedziała ci Nameda. Ale oszczędziła ci nieprzyjemnej prawdy.

Odprawił neofitów, którzy stali przy nas. Odeszli niechętnie.

– Nie słyszysz pieśni swego ojca, ale nie wiesz dlaczego. Nie zasłużył na przekroczenie żadnej z dziewięciu bram. Gdy tylko zechcesz, pokażę ci jego grób, wtedy zrozumiesz, dlaczego tak się dzieje.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Tak. Jesteś tuliszem. Z kości wyczytasz, gdzie teraz błądzi jego dusza, choć dobrze wiesz, że przyjął chrzest.

– Jesteś chrześcijaninem, a wierzysz w pogańskie bajania? – zakpiłem. – I dlaczego mi o tym wszystkim mówisz?

Przeczuwał chyba, że chcę go zabić, stąd brał się u niego ten poufały ton. Zapewne zamierzał mnie

przechytrzyć.

– Wiele w życiu widziałem – odparł. – Byłbym głupcem, gdybym nie uwierzył, że wasi bogowie istnieją. Zrozumiałem jedno. Wielu jest bogów, ale Szatan jest tylko jeden, choć imion ma bez liku. Poza naszą osadą szaleją Patollu i Natrimpe. Demony. W Gdańsku nazwą to piekłem, Szeolem. A Zło, jak zdążyłeś zapewne doświadczyć, to nicość, brak dobra. A dobro przybiera różne formy. Zresztą przyjdą po nas następni, którzy czcić je będą pod inną postacią.

Nie zdziwiłem się, że chrześcijanie w swej arogancji uznali, że tam, gdzie grasują demony, to po prostu piekło, choć nasz świat nie miał nic wspólnego z ich wyobrażeniami.

– Znałeś mojego ojca – ponagliłem go.

– Bardzo dobrze. Pomógł mi zgładzić kapłanów. Był tym, który mnie do tego nakłonił.

Wstał i odwrócił się do mnie plecami. Czekał, a ja nie byłem zdolny nic zrobić.

* * *

Nie wyrzeknę się przeznaczenia. Stałem nad grobem mojego ojca w szacie tulusza: długi płaszcz, sandały z łyka, naszyjnik z kości. Kilku moich współplemieńców pomogło mi wykopać jego szczątki.

Drżącą ręką rozłożyłem kości oblepione ziemią na trawie. Nie pobierałem nigdy żadnych nauk, ale jedną

tajemnicę tuliszów znałem. Całe to skakanie i modlitwy nie były do niczego potrzebne. Miały tylko przekonać gapiów o ich zdolnościach. Rozpaliłem więc ogień, by wskrzesić słońce, rozlałem wokół wodę z jeziora, by napoić ziemię i zacząłem dotykać kości – każdej po kolei, aż zobaczyłem ojca, jak śpi jego dusza, bez żadnych zgryzot, bez żadnych emocji. Na trzysta lat została przeklęta, uwięziona w ciele nietoperza.

* * *

Wetknąłem krzyż w ziemię.

– Co robisz? – zląkł się.

– To święte drzewo, nie żaden krzyż.

– Nie ma prawa tu być.

Drzewo zaczęło szybko zapuszczać korzenie, ziemia pod nami uniosła się, spulchniła. Spojrzenie Occopirmy ożywiło martwy od dawna konar, sprawiło, że rósł, a z jego boków wystrzeliły gałęzie.

– To dąb. – Uśmiechnąłem się. – A mówią, że tylko lipa przyjmuje pod swoją opiekę kobiety. Moja matka... – nie mogłem znaleźć słów.

To ostatnie takie święte miejsce, gdzie sięgało jeszcze spojrzenie Occopirmy. Zastanawiałem się, jak długo bóg każe mojej matce trwać w tym konarze, ile męki jej tym zada za przewiny, zanim otworzy dla niej jedną z dziewięciu bram. Ale nagle usłyszałem pieśń, niby gwałtowny deszcz zerwał się z nagła oberwanej chmury.

Szum w głowie narastał i dopiero po chwili poznałem jej głos i rozumiałem słowa.

Nigdy nie będę już sam. Przywoływała mnie. Jej słodkie słowa.

Pieśń przycichła.

Gdy się ocknąłem, rozumiałem, że wszystko trwało nie dłużej niż podmuch ciepłego wiatru.

– Słyszałaś? – spytałem Namedy. Stała tuż obok.

– Nie, ale wierzę, że ty tak. – Po policzkach płynęły jej łzy.

Gotfryd przyglądał nam się bacznie jeszcze przez chwilę, a potem kazał stojącym za nim neofitom ściąć drzewo.

Nikt się nie ruszył.

– Twoja władza, biskupie Jeziora Łez, skończyła się – rzekłem.

– Zabijcie go – nakazał.

Spoglądali na mnie, czekając, co ja im rozkażę.

– Zawsze chciałem być wojownikiem, ale nie ominąłem przeznaczenia.

– Powiedz, jak ich namówiłeś do tego, by cię słuchali? – spytał.

– Jestem tuliszem. Każdemu odczytałem śmierć. Wiedzą, jak zginą. Pomagając mi, chcą zasłużyć na przekroczenie jednej z dziewięciu bram.

– Ja też oferuję wam niebo – rzekł do swych niedawnych podopiecznych.

Stali nieporuszeni. Bali się go, ale moja obecność

dodawala im otuchy.

– Mnichu, nikt twojego nieba nie widzial. Nikt! – syknalem. – Mozesz mowic, ze wierzysz w naszych bogow. Ale my nie wierzymy w twojego.

– Jest niebo. I pieklo! Choc rozne ma imie. Sam sie o tym przekonasz.

Pod habitem skrywal noz. Wyciagnal go w moja strone i wymieryl cios. Nawet sie nie odsunalem. Nie z jego reki mialem zginac. O swicie po raz pierwszy przyjrzałem sie odbiciu w swoich oczach. Nie jego tam dostrzegłem, nie Gotfryda.

Chybil. Zlakl sie mojej pewnoscia. Chcial uderzyc jeszcze raz, ale zaczal kaszelc i krztusic sie. Zgiat sie w pol i upadl na ziemie.

* * *

Stalismy nad lozem umierajacego Gotfryda. Domyslalem sie, ze pewnie zatęsknil za zimna cela, gdzie moglby do ostatniego tchnienia poswiecic sie modlitwie i wszystkim tym myslom, ktore zblizaly chrzescijan do ich Boga. Nie wygladal na zawiedzonego, choc zapewne odczuwal upokorzenie. Marnial tez z kazda chwila, powalony chorobą.

– Twój dobry Bóg postanowil cie zabrac do siebie, jak widze. – Ukucnałem przy nim.

Nameda starala sie przedluzyc mu zycie. Zaciemnilismy wnetrze chaty, bo razilo go swiatlo,

przykryliśmy futrami, bo narzekał na zimno. Mamrotał, na chwilę odzyskując przytomność. Wtedy patrzył na nas z wyrzutem, ale i jakąś skrywaną w głębi ulgą. Jakby chciał powiedzieć: Dobrze, że przyszliście. Ale nie wiedziałem dlaczego. W końcu zaczął szeptać:

– Za późno, by uratować ten świat. – Krew popłynęła mu z ust.

– Krzyżowców można pokonać. Zebrać wszystkich buttanawas z lauksów... – rzekłem, choć przeraziło mnie, z jaką pewnością mówił o końcu naszego świata.

– Wedeghe wezwał siłę, z którą sobie nie poradzicie. – Podniósł lekko głowę.

– Patollu i Natrimpe – domyśliłem się. Przyłgnałem do jego ucha. Mamrotał. – Demony nie są najgorsze. Osadę chroni spojrzenie boga.

– Czego oczekujesz ode mnie? – spytał.

– Byś powiedział mi całą prawdę.

– Ten pies z Vogelsanck... – Jęknął. – Próbowałem go stamtąd wykurzyć. Przekłęta dusza. Najmuje strutterów, litewskie i pruskie bandy łupią pogańskie lauksy. Ale nie oszczędza też neofitów. Wielu z nich w Jeziorze Łez znalazło schronienie. By poskromić mnie i wszystkich tych, którzy się sprzeciwiają jego planom, wezwał demony. Korzystając z wiedzy tuliszów, poznał naturę Patollu i Natrimpe, że są, na swój sposób, cielesne. Sprawia, że palą całe to pogańskie piekło. Dla nich nie istnieje pojęcie czasu, nieśmiertelności, wyzwolił je i teraz myślą, że są wieczne, a przecież odejdą wraz z ostatnim

tchnieniem tego świata. Ale nie ze spojrzeniem Occopirmy, tylko wraz z ostatnim człowiekiem, który będzie je czcił. Nie wiem, ile z tego Wedeghe rozumie, ile powiedzieli mu kapłani. Na razie interesy demonów i ślepcy są zbieżne. Obiecał im, że zniszczy Jezioro Łez, spojrzenie boga.

Wiele z tego, co mówił, rozumiałem lepiej niż on. Ale jedna nowa myśl pojawiła się w mojej głowie.

– Więc to on jest tym krzyżowcem, który ma zgładzić nasz świat?

Przypomniałem sobie spotkanie w Oliwie i przeklętego przez diabła męża. W swej ignorancji, tak jak inni chrześcijanie, zarówno diabeł, jak i człowiek myśleli, że tu jest ich piekło. Wychodziło na to, że Wedeghe wszystkich oszukał. Sprowadził nieszczęście na rycerzy w obozie pod Zantyrem, niektórzy mówili nawet, że to on napadł na stróżę Braci Chrystusowych, a nie poganie. Niszczył wszystkich, którzy stanowili konkurencję dla potęgi Zakonu Najświętszej Marii Panny w Pomezanii, Sambii, aż pewnie – przyjdzie taki dzień – na wszystkich ziemiach leżących po Bałtyk. Teraz rozpuścił po całej Pomezanii strutterów i litewskie bandy, ponoć sam szedł na czele krzyżowców – o czym donosili zwiadowcy. I zniszczył oliwski klasztor. A wszystko dla władzy.

– Chroni nas mgła – szepnęła Nameda.

– Zanika.

– Wiem. Dlatego pozwoliłeś mi zostać. Utkam nową.

– To lepiej zacznij już tkać, bo możesz nie zdążyć.

* * *

Postawa Namedy wyzwała we mnie niezrozumiały przyływ złości. Chciałem walczyć, choć mówiła, że nie mamy szans. Próbowła mnie przekonać, że nie zdąży utkać mgły, a zwiadowcy powtarzali, że krzyżowcy wciąż krążą obok wejścia do lauksu. Kwestią czasu pozostawało tylko, kiedy je odnajdą. Przed nimi mogliśmy się jeszcze bronić, ale nie przed tym, co nadchodziło z południa. Żar i ogień.

Przekonywała mnie, żebyśmy uchronili dusze, by bez lęku przejść w zaświaty, by nie zabrały ich demony, Patollu i Natrimpe.

– Posłuchaj swojej matki – rzekła.

Przyzywała mnie, nie mogłem się przed tym uchronić. Rozpoznawałem jej śpiew.

* * *

Ugiąłem się, ale nie przed Namedą, tylko przed matczynym śpiewem.

Słodkie słowa...

Niemal czułem na sobie ciepły oddech matki, jej miękkie dłonie na twarzy.

Słodkie słowa...

Wiedziałem, że muszę już iść. Przypomniałem sobie moich pobratymców, jak popełniali samobójstwa w

Oliwie, na trakcie, w niewoli – wtedy i we mnie wzbudzali niemały strach, a teraz ja i te...

Słodkie słowa...

– Musisz odejść – powtarzała Nameda.

– Bez ciebie nie mogę. Nie pozwolę, by tak jak wtedy, w lauksie...

Wydawało mi się, że mającę albo że głos, który słyszę, nie należy już do mnie.

– Musisz odejść, wołają ciebie...

To chyba Nameda.

– O mnie się nie martw, poradzę sobie.

Wariowałem od jej słów, które mieszały się ze słowami mojej matki – wszystko huczało mi w głowie.

Musiałem położyć się, wypocząć, by nabrać siły i wraz z nadejściem krzyżowców stanąć do walki. Przespałem chyba całą noc, ale wraz z pierwszymi promieniami słońca, które wkradły się do chaty, zbudziła mnie Nameda, która krzątała się przy palenisku. Poczułem ciepło ogniska, potem żar jej pocałunku na policzku.

* * *

Narzuciłem na siebie lnianą koszulę, taką jak na Pomorzu nosili kupcy i możni panowie, a my wkładaliśmy ją na specjalne okazje. Przepasałem się nowym pasem, z pięknie inkrustowanym mieczem, naciągnąłem wysokie, wiązane buty. Wygładziłem niewidzialne fałdy, ciesząc się delikatnością materiału i

lekkością stroju.

Wyszedłem z chaty. Nameda czekała na mnie. Złapała mnie za rękę i poprowadziła pomostem.

Poczułem podmuch wiatru, mógłbym przysiąc, że uniosłem się wraz z nim. Kopała chroniąca ten świat gdzieś znikła. Nad jeziorem wisiało sklepienie zbite z gęstych chmur, na jego powierzchni kołysała się łódź.

Przypomniałem sobie to, co zobaczyłem w odbiciu swoich oczu w jeziorze. O to chyba chodzi z przeznaczeniem, to była moja ostatnia myśl, gdy nagle zabrakło mi tchu.

Gdy upadłem, wcisnęła mi do ręki miecz.

– Przepraszam, kochany – szeptała, czule gładząc mnie po głowie.

Przypomniałem sobie strawę o poranku, zapach nieznanych ziół, gdy tarła je między dłońmi, wsypując do garnka i słowa: Czeka tam na mnie, kochany.

Rozdział 19

Jestem jak plaga, ale przychodzę bez zwiastunów na niebie; nie będzie gwiazdy z ogonem, księżyc nie zblednie ani nie przybierze krwistoczerwonej barwy. Ja przyjdę do ciebie po cichu. Z jednego zatrutego serca przeniknę do drugiego. Wtedy jeszcze silniej odczuwam piękno, wiedząc, że przyjdzie mi je opuścić.

Błąkali się po lesie przez wiele dni.

We mgle.

Wilgoć przenikała ich na wskroś, dokuczało im zimno i wyczerpały się zapasy żywności.

– Gdzieś tu musi być wejście do tego przeklętego lauksu! – krzyczał Florencjusz.

Coraz częściej robili postoje, by choć osuszyć wilgotne ubrania, upolować choć jakąś niewielką zwierzynę.

Nie zasypywali popiołu po ogniskach, znaczyli drzewa. Wszystko na darmo. Świadomość niebezpieczeństwa powiększało wrażenie, że są obserwowani z ukrycia – ktoś czekał, aż osłabną, może, by rzucić się na nich jak na padlinę. Raz nawet Florencjuszowi wydało się, że widzi białe habity i czarne krzyże, a zaraz za nimi ogień, ale taki, który ledwie się tlił, jakby dogasającego ogniska.

W tej kurewskiej mgle dostawałem szatu. Diabeł i wilgoć. To nie pasuje.

Aż w końcu na ich drodze pojawiły się bagna. Przeszli ich skrajem i odnaleźli pomosty.

– Pobudowane przez Prusów – ocenił Ranen. – Ale z dawna nieużywane. Trzeba iść ostrożnie. I na szczęście mgła rzednie. – Był dobrej myśli.

Konie stąpały lękliwie po wilgotnych deskach, gdzieś w wykoszonych przegniłą słomą, podpartych kamieniami. Gdy dotarli do błotnistej ścieżki, usłanej opadłymi z drzew liśćmi, odetchnęli z ulgą. Przecieli strumyk, przeszli stają, gdzieś w oddali majaczyła mgła, wysoka aż ponad szczyty drzew.

Usłyszeli suchy grzmot, jakby pęknięcie. Spojrzeli na niebo, ale nic nie dostrzegli. Chmury zamarły, nie kłębiły się, trwały, jakby przytrzymując sklepienie.

Florencjusz nakazał, aby się zatrzymali.

– Jestem pewny, że gdzieś jest wejście do tego jeziora.

– Od wielu dni chodzimy w kółko – przypomniał Ranen, a potem nagle krzyknął z zadowolenia i wskazał na niewielką wieżę strażniczą sterczącą na odległym wzgórzu. Chwilę później dojrzeli szarą sylwetkę niewyraźnie odcinającą się na tle lasu. Jakiś człowiek stał na zboczu, po czym zniknął im z oczu.

De Vivar zsiadł z konia.

– Dalej pójdziemy pieszo.

Przywiązali konie do gałęzi i ruszyli wzdłuż ściany drzew. De Vivar stawiał kroki pewnie. Reszta próbowała nie stracić go z oczu, by nie rozmył się im w ciemności.

Przykucnęli na chwilę, nasłuchując. Trwali tak wszyscy w niemym zachwycie i przerażeniu, bo wydawało się, że ciszy można było dotknąć. Każdy oddech stawał się grzmotem, świszczące w nozdrzach powietrze porywistym wiatrem, a świat umarł, padła zwierzyna, zamarły liście. Uwierzyli w to w jednej chwili.

– Dlaczego tu jest tak cicho? – spytał Pilgrim, ale nikt mu nie odpowiedział.

Ruszyli dalej, nieuważnie łamiąc gałązki na ziemi, darli stopami liście. Najmniejszy hałas napinał zmęczone mięśnie.

Ziemia wyschła, jakby żar z nieba lał się przez cały dzień w jedno miejsce.

Weszli głębiej w leśny ostęp. Ciemne ściany listowia, w oddali czeluść, brama piekła.

Calatravens zwolnił nieco, pozostali zakonnicy przycupnęli przy ziemi.

Z oddali doszły ich trzaski łamanych gałęzi, ktoś rzucił się przed nimi do ucieczki.

Poszli śladem uciekającego.

De Vivar znów przystanął.

– Co robimy? – spytał Niedźwiedź z Brandenburgii. Dreptał w miejscu, rozglądał się niepewnie wokoło, jakby nie wiedział, czy iść dalej przed siebie, czy może uciekać.

– Tam są tylko starcy i kobiety. Nie będziemy tracić czasu. Walimy przez bramę, zanim zdążą się zorientować i uciekną do lasu. – Sobiesławowic spojrział na towarzyszy. – Panowie, tylko głośno, z przytupem. Żeby

na sam widok naszych mieczy, na sam odgłos naszego krzyku pomarli. Mniej będzie wtedy roboty. – Uśmiechnął się i wyprostował zgarbione plecy.

Florencjusz jednak pokręcił przecząco głową. Czuł w sobie niecierpliwość diabła, jego pragnienie ujrzenia Jeziora Łez. Spojrzał na braci i rzekł:

– Zmówcie dwa pacierze. Jak nie wrócę do tego czasu, wkroczycie. – Ruszył powoli, ale zdecydowanie.

Utkwił wzrok w wieży, próbując dostrzec jakiś ruch. Napiął wszystkie mięśnie, niemal wstrzymywał oddech, oczekując niespodziewanej strzały. Gdy dotarł do mostu, poczuł się trochę pewniej. Przeszedł nad spokojną wodą, która leniwie toczyła swój nurt wokół palisady. Nasłuchiwał przez chwilę odgłosów, ale niczego nie dosłyszał. Stanął pod bramą, naparł na nią, ustąpiła ze zgrzytem.

Wioska wydawała się martwa: żadnych odgłosów – pisku dzieci, nawoływań matek, przekleństw, zgrzytu piły w warsztacie. Domy, ustawione w dwóch szeregach, otaczały plac, z rosnącym pośrodku białym drzewem. Bez żadnej skazy na korze, ze sterczącymi gałęziami prawie bez liści. Ptaki zataczały nad nim pętle, żaden nie przysiadł choćby na chwilę. Promienie słońca ślizgały się po pniu, wydawało się, że spływa po nim woda.

Lauks skrywał jezioro z niewielką wyspą, na której pobudowano chaty.

Ruszył ku drzewu jak zahipnotyzowany, wbijając ciężkie kroki w błotnistą ziemię.

Gdy zbliżył się na krok, usłyszał zduszony krzyk, niby szept. Przystanął i wyciągnął ku pulsującemu konarowi rękę. Gałęzie odwzajemniły ruch, delikatnie zaczęły wysuwać się w jego stronę. Podszedł bliżej, odważył się dotknąć śliskiej kory. Pod opuszkami palców poczuł jakąś maź, brunatną i lepłą jak krew. Dojrzał twarze niby wymalowane w konarze.

Szept.

Przeląkł się, bo czuł na sobie spojrzenie dziesiątków ludzi. Chciał się cofnąć, ale gałęzie zaczęły go oplatać, krępując mu ruchy. Przyłgął do drzewa, i wtedy zrozumiał, że jest bezpieczny.

Twarze.

Czuł dotyk ich ust, słyszał ich szepty. Oczy skośne, usta skrzywione w niesmaku, nienawiści, miłości, zazdrości, ślina, krew, strach.

On tu, a świat tam...

Krzyk.

Gałęzie obejmowały go, był pewien, że nie dadzą go już nigdy skrzywdzić.

W tej jednej chwili uwierzył, że może wybrać między dalszym życiem i strachem a spokojem, takim na zawsze...

Bez Anny. Dopadł go strach.

Nagle chciał się uwolnić, a drzewo od razu wyczuło jego niechęć. Gałęzie podarły mu habit i przebiły skórę, liście wcisnęły się do ust. Przerażony próbował wyrwać się ze śmiertelnego uścisku. Uderzenie, jakby kopnięcie,

powaliło go na ziemię.

Z chat zaczęli wychodzić wszyscy mieszkańcy lauksu, jakby ostrzeżeni niewidzialnym dzwonem. Szli w jego stronę, ktoś pomógł mu się podnieść.

* * *

Próg osady przekroczyła reszta kompanii. Szli niepewnie, lustrując wzrokiem otoczenie, z obnażonymi mieczami.

A Florencjusz stał i milczał.

Patrzył na długi sznur pochylonych sylwetek – starcy, kobiety, dzieci – jak szli bez lęku, nerwowo napierali na siebie. Byle szybciej schronić się między gałęziami, byle dalej od tej obcej i niechcianej śmierci, która z wolna przekraczała próg lauksu. Nie mógł oderwać wzroku od ciał, jakby roztopiały się w drzewie – wydawało się migotać w świetle dnia. Gruby pień pochłaniał mieszkańców, rósł, pęczniał, rozchylał gałęzie. Chciał więcej.

I nagle ziemia zaczęła drżeć.

Do lauksu wdarli się krzyżowcy od Najświętszej Marii Panny.

Konie, ludzie.

Śmiał się Hinkmar, wtórowali mu inni bracia zakonni.

Byli gotowi rozerwać ten wąty świat na strzępy, kopytami wbić w ziemię połamane kości. Rzucili się między domy, niemal rozpruli ich wnętrza. A za palisadą

krzyczały demony, nie mogły przekroczyć granicy, którą wyznaczało spojrzenie Occopirmy. W złości posyłały między chaty ogniste strzały, które wbijały się w ziemię, spadały na dachy.

Lauks płonął.

De Vivar ze zdziwieniem wsłuchał się w odgłosy walki, ale prócz bojowych okrzyków krzyżowców, ponagleń, pośpiesznie wydawanych komend i przekleństw, syku płomieni, zdał sobie sprawę, że nie słyszy lamentu.

Lauks umierał bez płaczu.

Ranen i pozostali nie wiedzieli, z kim mają walczyć, ostatecznie rzucili się na zakonników z czarnymi krzyżami.

Przed chatę wybiegł chłopiec. Zaraz za nim jakaś kobieta. Ciągnęła za sobą mgłę, niby szal, skryła w nim przed oczyma najeźdźców dziecko. Pobiegnęła w stronę wyspy.

* * *

Niedźwiedź łatwo się nie poddał. Zabrał do grobu dziesięciu, krzyczał, że zabierze jeszcze dwóch, szydził, że odejdzie z tego świata w towarzystwie dwunastu apostołów – ostatniego zadusił swoimi wielkimi łapami, w końcu zginął od ognistej kuli. Z wikinga został tylko ochłap mięsa, spalił się żywcem w chacie wraz z kilkoma Prusami. Księcia ani Pilgrima nie było widać.

Florencjusz musiał uciec od żaru i ognia.

Wbiegł na pomost, szukając kobiety. Gdy ją znalazł, w połowie skrywała ją mgła. Nie widział jej nóg. Na rękach trzymała chłopca. Miał włosy zlepione brudem. I krwią. Przyglądała się, jak na jeziorze dogasa niewielka łódź.

– Musiałam być pewna, że odejdzie w spokoju. To jedyne, co mogłam dla niego zrobić.

– Był wojownikiem?

– Kto? Dorge? – Ledwie się uśmiechnęła, a potem rzekła z dumą: – Dorge to tulisz.

– *Spójrz na nią, zobacz, jaka piękna.*

Diabeł miał rację, Bóg obdarował dziewczynę śniadą skórą, smukłym ciałem i...

– *To ona, masz ją. Przecież ci obiecałem.*

Tak, bardzo przypominała mu Annę... Twarz ciemna, ale jakby od słońca, włosy białe, a jego ukochana miała przecież nie ten kolor, może oczy... Oprzytomniał nieco, czuł ból w głowie.

– Ale nią nie jest przecież – powiedział, jakby do siebie.

– *Ach, ileż władzy i jak długo może mieć martwa kobieta nad swym ukochanym.*

– O czym ty mówisz? – Nameda przełękła się wyrazu oczu rycerza i tego, że rozmawiał dwoma różnymi głosami.

– To nie jest Anna – powtórzył.

Kpiłem z niego. Tak! Jeszcze chwila i nie będę od niego zależny.

Florencjusz poczuł ucisk w sercu, jakby ktoś zaciskał je

w pięści, potem zaczął tracić czucie w rękach i nogach, zaczął się chwiać.

W jednej chwili pojął to, co przeczuwał od dawna, że diabeł go oszukał. Sprowadził go tu tylko dla własnych korzyści, jak objuczonego osła, któremu nad głową zawiesił marchewkę na kij, by szedł po stromych ścieżkach na sam szczyt, gdzie nie było dla niego żadnej nagrody.

De Vivar odwrócił się, bo usłyszał zawodzenie. Ogień objął już gałęzie i konar świętego drzewa w osadzie. Krzyk zaklętych w dębie.

Łódź przechyliła się i zaczęła tonąć.

Spojrzał na nią raz jeszcze, a potem przeniósł wzrok na mistrza z Vogelsanck, który stanął na wzgórzu. Krzyżowcy trzymali księcia skrępowanego, był poparzony, krwawił na całym ciele. Tuż obok niego klęczał Pilgrim, z powrozem na szyi, i rękami skrępowanymi na plecach. Kręcił głową, lekko odchyloną do przodu, jakby czegoś żałował albo po prostu patrzył w górę i żegnał się z niebem.

Te ręce, te nogi. Całe ciało...

Florencjusz poczuł mrowienie w rękach, a nogi...

... jak wyciosane z drewna.

Poczuł się staro...

Jakbym wychodził z matczyngo łona...

Umierał.

... jak niemowlę...

Trochę niezręcznie tak umierać.

Rodzi się nowy diabeł, obleczony w ludzką skórę.

– Kiedy krzyżowcy zniszczą zwierciadła, nie będzie już ani spojrzenia Occopirmy, ani Jeziora Łez. A ty? Nie musisz należeć do tego świata.

– I nie chcę już.

– Zatem powinienes pójść ze mną. Sprawię, że twoja dusza przejdzie tam, gdzie ten, który ją skalał, nie ma dostępu. – Poczuł, jak mocno łapie go za rękę, ale się wyrwał.

– Jeśli zdołasz, zrób to, ale mam coś jeszcze do załatwienia.

Zszedł z pomostu. Z trudem utrzymywał się na nogach. Stał przed ścianą krzyżowców z czarnym krzyżem na płaszczach i ich pacholkami.

– Zabij mnie! Zabij, skurwysynu! – resztkami sił rzucił wyzwanie ślepcowi.

Ukląkł. Diabeł odbierał mu ostatnie siły. *Ślina.*

Czułem smak jego śliny.

Jak uwięzła mu w gardle.

Moim gardle...

Splunął jakąś żółcią. Pocięła mu po brodzie. Na ustach wystąpiła piana.

– Mówię ci, starcze. Zabij mnie! – Spojrzał ponad głowy krzyżowców, gdzie zastygła ściana ognia.

– Demony nie mogą się już doczekać. – Wedeghe zaczął się śmiać.

De Vivar upadł, a ślepiec postanowił spełnić prośbę calatravensa. Ze złym, tryumfującym uśmiechem

podszedł i wbił miecz w pierś leżącego mężczyzny, w krzyż wpleciony w liść.

Jakby ktoś zdmuchnął świeczkę.

* * *

Nameda błyskawicznie przypadła do zwłok i wyrwała z nich serce. Jak tulisz. Krzyżowcy próbowali ją pochwycić, ale im umknęła, znów chowając się we mgle. Pobiegła w stronę dopalającego się drzewa, by je tam wrzucić. Chwilę potem, wraz z chłopcem, również wskoczyła, widząc jeszcze kątem oka, jak Wedeghe wskazuje drżącą ręką zwierciadła na jeziorze. Miała tylko nadzieję, że zasłużyła, by Occopirma pozwolił jej przekroczyć jedną z bram.

Drzewo stopniało jak woskowa figurka.

* * *

Powiecie, że będę bluźnił, że jestem winien.

Nazwiecie bękartem, synem kurwy, oskarżycie o zło.

Powiecie, że gdyby nie ja...

A ja odpowiem, że gdyby nie wy...

Wieszczą moje przybycie. Zastanawiają się, czy zostanę normalnie zrodzony, czy z jakiegoś inkuba i kurwy, czy może jako bękart ułomnego księcia. Przestrzegają, że wyskoczę z łona żydowskiej nierządniczy.

A może...

To człowiek przeklął diabła.

Wedeghe.

Przeraża mnie starość...

Ślepota...

Wieszczą moje przybycie. Zastanawiają się, czy zostanę normalnie zrodzony...

Epilog

Nameda postarała się, bym odszedł w spokoju. – L N
Ale jeszcze teraz niemal czułem gorzki smak trucizny.

Łódź trawił płomień. Zrozumiałem, że to stos. Mój stos. Nigdy bym sobie nawet nie wyobraził, że tulisz może przyjrzeć się swej ostatniej drodze. Ciało już ogarnął ogień, pożerał pozostawione zmarłemu dary – oręż i podarki dla moich przodków czekających na mnie gdzieś tam...

* * *

Staliśmy z Namedą na łące, trzymając się za ręce. W oddali majaczyła niska palisada, która, jak się domyśliłem, okręgiem otaczała wioskę, choć nie dostrzegłem żadnych zabudowań.

Wielka brama, jedna z wielu, była zamknięta.

Naprzeciw niej, na szerokiej ławie, siedzieli moi sąsiedzi.

Wszyscy skromnie ubrani, w wełniane jednolite koszule, bez żadnych ozdób. Wśród mężczyzn zobaczyłem kilka kobiet – rozpoznałem matkę.

– Kochali cię, Dorge – szepnęła Nameda tuż nad moim uchem. Miała ciepły oddech, równie ciepły jak ogień ofiarny, który wystrzelił teraz w górę. – Nie mogli się doczekać. Wróciłeś z bardzo dalekiej drogi. Ale teraz

możesz być już spokojny, twoja dusza znalazła wreszcie przystań.

Zawiesiła mi ręce na ramionach.

– Twoja dusza przekroczy kiedyś dziewięć bram.

– Mam taką nadzieję – rzekłem i nagle zaniepokoiłem się: – A ty?

Pocałowała mnie.

– Pójdę wraz z tobą. – Odsunęła się ode mnie delikatnie, musnęła jeszcze dłonią policzek i ruszyła w stronę palisady.

Jeden z mężczyzn podniósł się i wyszedł nas przywitać; mnie przytulił do szerokiej piersi. Jak na starca mężczyzna był postawny i silny. Mocarz trzymał mnie w żelaznym uścisku przez długą chwilę.

– A więc przybyłeś. – Pociągnął mnie za sobą, kazał usiąść na ławie.

Odebrał mi worek, wyciągnął z niego piwo i kawałek chleba. Poczęstował resztę mężczyzn siedzących na ławie. Jedli, mrużąc przy tym z zadowolenia, patrząc na horyzont. Nie było tam niczego, prócz kreski oddzielającej niebo i jałową, suchą ziemię.

Matka wstała, ucałowała mnie delikatnie i rzekła:

– Już nic ci nie grozi.

Nie miałem odwagi spytać, czy właśnie tu kończy się moja długa droga.

– Widziałem jej odbicie w moich oczach – przyznałem.

– Widzisz śmierć w oczach innych ludzi, widziałeś więc i swój pogrzeb. Swoją drogę. Jesteś tuliszem.

– Jestem tuliszem – przyznałem. – Tuliszem!!!

– Nie wszyscy mają tyle szczęścia co ty. Przy mnie siedzą twoi dziadowie. Nasz świat umiera, nadchodzą tacy jak Kietlicz, Gotfryd, Chrystian, Wedeghe. Każdy jest niby inny, ale wszyscy są tacy sami. To chrześcijanie. Wydzierają nam ziemię i niebo. Nikt z nas nie chce żyć w niewoli. Tym bardziej nikt nie chce ani ich nieba, ani piekła. Tam nasze miejsce – całego naszego ludu. – Wskazała za palisadę.

– Mogę ją przekroczyć? – spytałem, uwalniając się z uścisku.

– Jeszcze nie teraz, ale nie martw się. – Uśmiechnęła się. – Jest tam miejsce dla ciebie. I dla niego też. – Spojrzałem we wskazane miejsce, gdzie siedział pogrążony w rozpaczycy rycerz. – I dla niego Occopirma był łaskawy.

* * *

Ptak sięgnął bezchmurnego nieba, którego nie szpeciła żadna rysa. Wzleciał, by zaraz obniżyć nieco lot, a potem rozpostarł skrzydła i pozwolił, by uniósł go podmuch wiatru nad spalonym lauksem, pośrodku lśniła zielona toń rozległego jeziora.

Koniec

Od Autora

Dziękuję Ani Brzezińskiej, która we mnie uwierzyła i dużo mnie nauczyła, za jej cenne uwagi, Runie, wraz z Edytą Szulc, za życzliwość i zrozumienie, gdy tego potrzebowałem.

Jestem wdzięczny mojej redaktorce, Ewie Guttmejer, za rady i intuicję, za każdy pomysł, który znalazł się w tej książce, za serce oddane *Psalmidii*.

Szczególne podziękowania *należą* się Antoninie Liedtke za otwartość i pomoc, i za współpracę na Fantazmatach.

Dziękuję Julii, mojej córce, dziewczynce o wielkim sercu i nieograniczonej wyobraźni, z którą potrafimy dzielić nasze światy.

Chciałbym też podziękować Agnieszce za długie rozmowy o książce i za wsparcie.

Michał Krzywicki